

17


PROZA
POEZJA
ESEJE
KRONIKA

ZAPIS

styczeń 1981

w numerze:

Jacek BOCHEŃSKI
Kazimierz BRANDYS
Jarosław Marek RYMKIEWICZ
Janina JANKOWSKA
Tomasz JASTRUN
Lech BĄDKOWSKI
Kazimierz ORŁOŚ
Anna POGONOWSKA
Janusz ANDERMAN
Wiesława GROCHOLA
Stanisław BARAŃCZAK
Tomasz BUREK
Stefan KISIELEWSKI
Andrzej SZCZYPIORSKI

niezależna
oficyna
wydawnicza 

Z A P I S nr 17
Poezja - proza - eseje + kronika

ZAPIS nr 17 przygotowali: Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jacek Bocheński, Kazimierz Brandys, Tomasz Burek, Anna Chmielewska, Andrzej Drzewicz, Jerzy Ficowski, Ryszard Krynicki, Adam Michnik, Kazimierz Orłoś, Wiktor Woroczylaki.

Styczeń 1981.

Copyright by authors ZAPIS nr 17
NIEZALEŻNA OFICYNA WYDAWNICZA
Warszawa, 1981 r.

PROŚBA DO NASZYCH AUTORÓW

Serdecznie dziękując zaprzyjaźnionym z nami Znacomitym Autorom w kraju i za granicą, oddającym swe - nieraz bardzo wybitne - prace do dyspozycji "Zapisu", prosimy usilnie Wszystkich, aby powierzali nam wyłącznie materiały, których nie zamierzają jednocześnie oferować innym redakcjom. Ze zrozumiałych względów "Zapis" nie może pozwolić sobie ^{na} zamieszczanie tekstów dostępnych już w języku polskim na łamach innego czasopisma.

ZAPIS

Jacek Bocheński

CO ZA NAMI, CO PRZED NAMI

A nie mówię: przypatruj się historii, to zobaczysz, że się nie powtórza? Najprawdopodobniej stanie się nie to, co umiesz sobie wyobrazić, bo już kiedyś było, ale coś "niemożliwego". Jeżeli nie chcesz się pomylić, liczy tylko na realność "nie mieszczącą się w głowie".

I cóż stało się w sierpniu 1980?

Piszę w listopadzie, ukaże się to w roku przyszłym z datą styczniową, czytane będzie w kwietniu. Co więc w sierpniu 1980 stało się naprawdę? Mam odpowiedzieć teraz, ale jest to tak, jakby trzeba było włożyć odpowiedź do koperty, zakleić i oddać Panu Bogu do wyjęcia i sprawdzenia dopiero na wiosnę.

Otóż w sierpniu 1980 stało się przede wszystkim kilka rzeczy, które - jak często przedtem słyszałem od mądrych ludzi - stać się nie mogły. Żaden rozsądny, odpowiedzialny, doświadczony i zorientowany "realista" nie brał ich pod uwagę. Przypomnijmy te nieprawdopodobieństwa.

Ustrój był tak skonstruowany, że wykluczał możliwość zmiany panujących stosunków w drodze sprzeciwu społecznego. Próby stawiania oporu monopolowi władzy totalitarnej nie miały sensu, gdyż - po pierwsze - nie mogły zyskać w społeczeństwie dostatecznej liczby odważnych zwolenników, a - po drugie - choćby ich zyskały, nie mogły przynieść sukcesu. Podobno wszelkie takie, w istocie nieco operetkowe akty donkiszoterii i brawury miały co najwyżej znaczenie psychoterapeutyczne dla podejmujących je neurotyków i pięknoduchów. Ci szukali moralnego samoczyszczenia nie zważając na katusze moralne realistów oraz na bezpieczeństwo narodu.

Absurd oporu polegał również na tym, że każdy opór m u s i a ł być kontrolowany przez władzę i jej policję, był więc od tych sił uzależniony, dokładnie przez nie penetrowany, reglamentowany, wręcz kierowany, a może nawet w ich interesie tworzony. Prędzej czy później musiało się to skończyć katastrofalnie dla naiwnych kontestatorów, z których każdy tkwił automatycznie w sieciach prowokacji.

Dlatego nie było mowy o tym, żeby jakakolwiek zbiorowość w Polsce mogła się zorganizować i stanowić sama o sobie, a ci, którzy uważali, że to potrafią i robią, żałośnie się kłudzili.

Czasem, lecz rzadko, możliwe były nagłe i krótkie rebelie zdesperowanych tłumów. Ale i one wynikały do pewnego stopnia z prowokacji tajnych intrygantów i służyły przeważnie jakimś celom "frakcyjnym". W marcu 1968 zostało to jakoby dowiedzione ponad wszelką wątpliwość, podejrzany zaś był i grudzień 1970, ponieważ robotnicy wymaszerowali na miasto zwartym szykiem i znaleźli się wśród nich partyjni. Któż ich tak uszykował, jeśli nie agenty? Przede wszystkim jednak każdy bunt m u s i a ł być s t ł u m i e n i e m , jawnie czy niejawnie, krwawo czy bezkrwawo, ale f a k t y c z n i e . W polityczne skutki buntów /usunięcie Gomułki w roku 1970, odwołanie podwyżki cen 1976/ okazywały się niewiele warte, ich znaczenie albo było pozorne, albo trwało krótko.

Robotnicy nie mogli rzekomo zdobyć się na nic więcej niż na te rzadko chaotyczne i daremne rebelie, podczas których brali na pół godziny sztandarowy komitet partyjny, aby opróżnić go z zapasu wędlin i podpalić. Swoje rozczarowanie rozumieli tylko jako brak dostępu do partyjnych bufetów i dyskotekowskich. Ich aspiracje nie sięgały głębiej, bo zostali skutecznie odepchnięci przez system, odcięci od wszelkich wyższych wartości, znieprawieni pijactwem, lewizną i złodziejstwem. Ich poczucie sprawiedliwości czy godności ograniczyło porcję jada, osławionej kiełbasy, która każdemu jest wydzielana,

ale nie swobód obywatelskich, o których nie mieli pojęcia. W mrocznej świadomości politycznej tych ludzi kołatała co najwyżej prymitywna nienawiść do "Ruskich", strach przed Niemcami i antypatia do Żydów.

Intelektualiści dostawali gęsiej skórki na myśl o tym obszarankim żywiole i popadali w melancholię. Jakież nadzieje mógł pod koniec dwudziestego wieku mieć naród dysponujący klasą robotniczą na takim poziomie? Sami intelektualiści byli, jak się wydawało, skazani na wieczną nieufność i niechęć robotników, gdyż w razie potrzeby demagogiczna propaganda mogła zawsze utęszamić intelektualistów z próżnującymi wątkoniami przy biurkach, czyli przedstawicielami administracji, czyli właścicielami dacz, czyli jadaczami szynki w bufecie, czyli Żydami! Jaskrawa niezbornosć tej logiki nie byłaby szkopułem, bo mętlik nie jest nigdy szkopułem, lecz - na odwrót - instrumentem demagogii. Tak czy owak, robotnicy nie pośpieszyli na pomoc studentom i literatom w roku 1968, studenci i literaci nie pomogli robotnikom w roku 1970. Upragniony sojusz klasy robotniczej z inteligencją, który mógłby stworzyć pierwszą nie pozbawioną szans opozycję w tym doskonale zabezpieczonym przed opozycjami systemie, uważano za mrzonkę. Jeszcze w roku 1976, gdy obserwatorzy świeżo powstałego KOR-u zaczęli pojawiać się na salach sądowych, by śledzić procesy robotników Ursusa i Radomia, matki czy żony podsądnych odsuwały się nieufnie od nich i próbowały usprawiedliwiać swoich biednych synów i mężów, którzy przez udział w rozruchach czerwcowych zrobili im taki wstyd, proszę pana, taki wstyd! Z jednej strony "taki wstyd", a z drugiej /to u poważnych, choć nie ukrywających sympatii dla KOR-u "realistów"/ solidna pewność, że wszystkie te kontakty robotniczo-inteligenckie, wszystkie wysiłki oświatowo-wydawnicze, wszystkie wolne inicjatywy syndykalne dotyczą osobliwych "marginesów" życia, w istocie raczej "skrajności" życia, a więc nie mają, oczywiście, praktycznego znaczenia, ale mają olbrzymią, proszę pana, wprost nieocenioną wartość moralnego symbolu.

Trzeźwy ten sąd utrzymał się do sierpnia 1980.

x

Tu przestaję cytować i zaczynam mówić od siebie.

x

W sierpniu "marginesy" okazały się tysiącami, dziesiątkami i setkami tysięcy, a później milionami ludzi. Robotnicy ujawnili owe niewiarygodne cnoty czy niezwykle właściwości, o których tyle następnie mówiono: samowiedzę, dalekowzroczność, zdyscyplinowanie i żelazne nerwy. Jakoś mniej interesowała ich kiełbasa, a bardziej wolność, cenzura i więźniowie polityczni. Jakoś nie splądrowali partyjnych spiżarni i nie włamali się do willi partyjnego sekretarza, lecz raczej czuwali w bramach stoczni albo modlili się pod gołym niebem, skupieni i godni, jak w dniach wizyty papieża, o której może myśleli. I po raz pierwszy od roku 1956 nie poszli zdobywać partyjnego komitetu, nie oblali go benzyną i nie podpálili. Robili rzecz nieprawdopodobną. Strajkowali! Racjonalnie i po europejsku. Jakby byli Francuzami albo Włochami. Tylko że strajkowali o coś bardziej elementarnego niż tamci: o prawo do autentyczności. Inaczej mówiąc, o uznanie, że oni to oni. Czyli o coś, o czym tamci na Zachodzie nie wiedzieliby, co to takiego, bo nigdy nie poczuli braku, a zatem i potrzeby takiego uznania, pewnie więc nie wiedzieliby też, po co o nie strajkować. A gdyby im powiedziano, że by to je uzyskać przez wolne związki zawodowe, nie rozumieliby dalej, bo u nich wolne związki zawodowe znaczą co innego i mniej.

No więc strajkowali, jak nigdy jeszcze w Polsce Ludowej: w sposób przemyślany, ze świadomością celu, solidarnie, z niezbędną organizacją, bez gwałtu. Non-violence. Choć w Warszawie i gdzie indziej aresztowano natychmiast połowę KOR-u. Jacek Kuron mógł słusznie uważać te dni spędzone w areszcie za swoje wielkie dni: robotnicy postępowali w myśl zasady, którą od lat propagował, nie palili komitetów, ale je zakładali. Były to Międzyzakładowe Komitety Strajkowe. Nie musieli też, jak niegdyś w Ursusie, rozkręcać szyn i zatrzymywać pociąg z cudzoziemcami, aby świat się dowiedział.

Musieli wprawdzie długo walczyć o łączność telefoniczną, ale wiedzieli już, jak korzystać z telefonu dla rozpowszechniania wiadomości w kraju i za granicą. Rząd zgodził się rokować. To nie było całkowitą nowością. Gierk - Jaroszewicz też kiedyś rokowali.

Nowością było powołanie przez robotników grupy intelektualistów /głównie z Towarzystwa Kursów Naukowych/ jako ekspertów do pomocy w rokowaniach. Nowością było, że pracownik Niezależnej Oficyny Wydawniczej i zarazem jeden z członków KOR-u, którzy uniknęli aresztowania, obsługiwał strajkujących w Gdańsku jako technik-poligraf; głośna dzisiaj nazwa "Solidarność" była z początku tytułem drukowanej przez niego gazetki. Nowością było wreszcie, że do Międzyzakładowego Komitetu strajkowego wszedł gdański współpracownik "Zapisu" i właśnie już nie po ciąg z cudzoziemcami, lecz ten pisarz Lech Bądkowski, został robotniczym rzecznikiem prasowym.

Dzięki tym wszystkim okolicznościom w strajkach sierpniowych objawiła się po raz pierwszy /przynajmniej na tak szeroką skalę/ nowa postać oporu społecznego - mniej przypominająca bunt i powstanie, do czego się zazwyczaj skłaniała w przeszłości, a bardziej o b o z y c j ę. I nie chodzi o to, żeby użyć tego samego słowa, które obrał sobie na nazwę "dysydenski" ruch opozycyjny, i wywołać wrażenie tożsamości fizycznej ruchu strajkowego oraz - Boże zmiłuj się nad tym głupim określeniem! - dysydenskiego /po polsku: odstępczego/. Chodzi o tożsamość t o r m y oporu, wytworzoną dzięki wspólnemu doświadczeniu inteligencji i robotników.

W myślę, że opozycyjna, a nie rebeliancka forma oporu wytwarzała się stopniowo, w procesie wieloletnim, przez wymianę informacji, nawiązywania kontaktów między środowiskami i wzajemne przenikanie się wpływów. Na przykład radykalny KOR nie byłby zapewne powstał, gdyby na grupy inteligentów nie podziałał wpływ zbuntowanych robotników w roku 1976. "Kulturalny" strajk na Włbrzeżu, strajk o szerokich horyzontach, strajk z koncepcją, strajk negocjujący, strajk - można powiedzieć - o manierach parlamentarnych, słowem strajk "niemożliwy" nie byłby doszedł do skutku w roku 1980, gdyby nie poprzedził go trening teoretyczny /a i praktyczny/, przeprowadzony zarówno w kręgach robotniczych jak i własnych przez opozycyjną inteligencję. /A z kęś o n a sama się składa, jeśli nie ze śmiełków "wyzuconych z pracy", dobrowolnie, albo przymusowo "strajkujących" i permanentnie wysuwających "postulaty"?. Nie ulega wątpliwości, że znaczenie lekcji pogładowych, jakich przez kilka lat na ograniczonym / bo ograniczonym / polu udzielała nie tylko sobie i robotnikom, lecz całemu społeczeństwu /bo na przykład i chłopom/ tzw. opozycja demokratyczna, było ogromne. Mam na myśli i sam wzór postawy niepodusznej, i rolę informacyjną czasopisma w rodzaju "Robotnika", i poradnictwo praktyczne /jak powinienś, a jak nie możesz w chwili X/.

Gdy to piszę, przypomniał mi się nagle profesor S., mój przyjaciel. Staje przede mną jak żywy z "Kulturą" /warszawską/ w kieszeni i zgłasza taki mniej więcej zarzut: mówić, że się w edukowało klasę robotniczą, jest nietaktowne i nieskromne.

Może i nieskromnie, ale czy edukować studentów jest skromne? No to dla czego S. jest profesorem? Sądzę więc, że nie o skromność tu chodzi, lecz o coś znacznie ważniejszego.

Zarówno "l'ancien régime" ostatnich dni Gierka, jeśli można się tak wyrazić, jak i władze posierpniowe skupiły największą swą niechęć na jednym szczególnym fenomenie, ujawnionym w sierpniu: na powiązaniu ruchu robotniczego z ruchem inteligencji. Przeciwno temu niepożądanemu zjawisku podejmowały od początku najbardziej nerwową i nie przebierającą w środkach kontrakcję. Rokowania w Gdańsku zaczęły się od prób wykluczenia osób "nie mających nic wspólnego z załogami", gdy tymczasem w kraju trwały wspomniane już aresztowania, o których przedstawiciel strony rządowej "nie wiedział" i bardzo nie chciał wiedzieć. W końcu dzięki stanowczości robotników musieli się dowiedzieć i zgodnie z punktem 4 porozumienia gdańskiego zwolniono wszystkie osoby zatrzymane, wymienione w "aneksie". Wydaje się jednak, że władze planowały, co prawda, zawarcie porozumienia ze strajkującymi robotnikami, lecz

i jednocześnie pozostawienie w więzieniu aresztowanych inteligentów /niektórzy utrzymali właśnie świeże sankcje prokuratorskie/, aby niepostrzeżenie, przy okazji radoznego zamieszania i niejako z milczącą aprobatą robotników dać nareszcie wycisk "siłom antysocjalistycznym". A nuż się uda? Było to jednak zbyt piękne, by mogło być prawdziwe w roku 1980. Ale idea żyje! W różnych posierpniowych oświadczeniach i publikacjach oficjalnych na temat sytuacji społecznej w kraju sugeruje się niemal zawsze, że istnieje podział na jakieś siły rdzennie robotnicze /te są, oczywiście, prosocjalistyczne, chociaż "pro" nikt nie napisze, ale to kwestia magii językowej/ i inne, które za tamtymi "stoją" /te są antysocjalistyczne/. Otóż siły zajmujące ową pozycję tylną są mniej robotnicze lub nawet wcale robotnicze nie są, bo jeśli głębiej wniknąć w sprawę, okazują się przeważnie KOR-em, są więc raczej inteligentkie, ale właśnie "stoją" za robotniczymi i to jest bardzo źle. Gdyby nie to, byłby spokój, nie byłoby "eskalacji żądań", może partia "odzyskałaby zaufanie". Trzeba koniecznie rozzerwać ten fatalny związek sił zdrowych i "stojących" za nimi niezdrowych. Zdrowe naturalnie poprzeć i pozyskać, bo i jakże, a niezdrowe... No, mniejsza o to. Do sprawy "sił antysocjalistycznych", która ma więcej aspektów niż tylko ten jeden, jeszcze wrócę.

Tu chcę powiedzieć, że stosunek władz do roli, odegranej przez opozycyjną inteligencję /z KOR-em na czele/ w "edukacji" albo lepiej "cywilizacji" gniewu ludowego, wydaje się tak samo tępy dziś jak wczoraj, mimo lekcji sierpniowej. Na pierwszy rzut oka jest to rzecz dziwna. Czyżby naprawdę po wszystkim, co się stało, ludziom na górze nie przyszła do głowy żadna refleksja również w tej sprawie, skoro przyszła w innych? Czyżby nie mieli tam lepszego pomysłu niż powtarzanie bezsensownej formułki o "siłach antysocjalistycznych"? Brak rozeznania? Wyobraźni? Wolnej ręki?

Przyczyny mogą być różne. I może wchodzić w grę motywacja całkiem prosta, a mianowicie takie z grubsza myślenie: owszem, powstał ten potwór, krzyżówka opozycyjnych robotników z opozycyjnymi inteligentami, jest to hybryda straszna, w której pierwiastkiem silniejszym i straszniejszym są, oczywiście, robotnicy, ale nie popadajmy w panikę, kto wie, czy jakoś przecież tego smoka nie obezwładnimy, pod warunkiem, że uda nam się wydkubać z niego mózg. Inaczej mówiąc, robotników, mimo że tacy groźni, będzie pewnie można wykołować, jeśli odetnie się od nich tych drugich: zachowujących się z pozoru polityczniejsz, lecz kutych na cztery nogi i perfidnych do szpiku kości inteligentów. A więc, jak niedawno w terminach ludowo-przyrodniczych ujął sprawę nowy sympatyk "Solidarności", generał Mieczysław Moczar, trzeba, ale to koniecznie trzeba, żeby "Solidarność" pozbyła się tych, którzy do niej pasują jak jemiółka do sosny.

x

Dobrze, a co jeszcze stało się w sierpniu? To się stało, że p o t e n c j a l n i e upadł cały system polityczny, w którym żyjemy. Upadł, ponieważ okazało się, że nikt go nie chce lub - dla dokładności - prawie nikt; ale tych, którzy go ewentualnie chcą, jest tak mało, że nie mogliby systemu obronić. W dodatku nie wiadomo, czy ci nieliczni chcący systemu chcieliby go także bronić, bo to różnica. Zwłaszcza gdyby trzeba było nadstawiać karku. W sierpniu okazało się, że kiedy nawet nie trzeba nadstawiać karku, ale o tak trochę poświecić oczami, zachować własny pogląd, z którym się występowało wczoraj, wtedy chcących systemu robi się jeszcze mniej, a właściwie nie ma ich zupełnie, bo jak wynika z tego, co mówią, w gruncie rzeczy i oni systemowi nie chcieli. Diabli wiedzą, skąd się wobec tego wziął taki system.

No, ale w sierpniu upadł on potencjalnie, mimo że przedtem wydawał się urzędzeniem, które nie może upaść - co mówią! - nie może się nawet zachwiać, i to nie dlatego, że zaraz ktoś mocny przyjdzie z zewnątrz i podtrzyma, ale że zabezpieczenia wewnętrzne są bardzo chytne, całkiem dostateczne. Może runąć gospodarka, oświata, kultura, lecznictwo i na przykład stary Kraków, tylko nie system polityczny. On jeden jest pilnowany odpowiednio, na ten cel nie żałuje się środków, wszystko istnieje dla systemu, cały naród musi pracować i męczyć się głównie po to, żeby system nie upadł.

W sierpniu wyszło na jaw, jak sprawa wyglądała w rzeczywistości. Wszystkie zabezpieczenia były albo pozorne, albo po pierwszym wstrząsie rozsypały się w drobny mak, albo nie nadawały się do użycia niczym sławetne maszyny zagraniczne w krajowym przemyśle.

Pozorne okazały się organizacje: związki zawodowe, rady zakładowe, komitety, komitety, tak zwane stronnictwa, Fronty, i inne. Właściwie związki młodzieży. Wszystko to znaczyło tyle co nic. Czyżby w Ostał nie było też partii? Czy tylko chwilowo posak...? Trafiało się jej coś pośredniego między niebytem a rozsypką. Wtedy... potem, wzywaniu do "zwarcia szeregów", przebąkiwanie o potrzebie partii mniejszej, ale "kadrowej"/. Ostał się zasadniczo "aparatem"; jednak skłócony, przerażony i właśnie w tym kacu. Ale się Ostał. A ja, pisząc w dalszym ciągu tego tekstu "partia", będę miał na myśli tylko jej aparat, a nie miliony członków.

Rozleciały się i zawiodły zupełnie mechanizmy totalitarne, uważane za podstawową gwarancję systemu: wszechobecna kontrola, wszechobecne zastraszanie, prewencyjna blokada ludzkich inicjatyw, porozumień, czynności, słowem - zabezpieczenie automatyczne, polegające na tym, że ewentualni "niebezpieczni" sami trzymają za ręce jedni drugich.

W rezerwie pozostawały jeszcze formacje specjalne milicji i wojsko. Ale tych sił w powstałych okolicznościach nie można było użyć, a to, jak się zdaje, z dwóch powodów. Po pierwsze, ludzie, którzy by się na tak... zdecydowali, podpisaliby zarazem wyrok na samych siebie: precedensy, wśród nich głównie rok 1970, wskazują, że pacyfikacja, nawet "zwycięskie", nie kończą się niczym dobrym dla sprawujących władzę, bo ci muszą ją w każdym wypadku stracić. Po drugie, nie wiadomo, czy nie zawiodłaby również milicja i wojsko, skoro zawodziła cała reszta. Lepiej więc było nie sprawdzać. Czy ja wiem zresztą? Może próbowano?

Tak doszło do sytuacji, gdy wszystko, na cokolwiek władze byłyby się zdecydowały, oprócz ustępstw, stawiało je tylko przed groźbą jeszcze większego oporu, strajku powszechnego i upadku. Potencjalnie władze nie miały ratunku nawet w ustępstwach, gdyż odmówiono im w sposób oczywisty kredytu, do czego się same wkrótce przyznały /"partia uraciła zaufanie społeczeństwa"/. Otóż jest rzeczą jasną, że partia, która utraciła zaufanie społeczeństwa, nie powinna rządzić społeczeństwem ani chwili dłużej. Taka partia przegrała z kretesem, nie ma prawa moralnego pisać o swej "kierowniczej roli", ma prawo tylko zrzec się władzy.

Chyba że jest niezastąpiona.

A jest. /O czym niżej/.

I rządzi.

x

Zwariować można! Czy rzeczywiście system upadł tylko potencjalnie? Czy jednak nie jest inny niż był? Partia rządzi. Zgoda. Ale czy nie rządzi inaczej? Czy nie podpisała ręką Jagielskiego porozumienia w Gdańsku? Czy nie wyrzuciła Gierka? Nie ogłosiła odnowy? Nie uznała "Solidarności"? Nie pozwoliła na większą swobodę słowa? Nie przyznała, że obsiedli ją złodzieje, a niektórym z nich nie wytoczyła już procesów? Przecież każdy widzi.

Owszem, każdy widzi, a kto wierzy? Bo jest jakoś tak, że widzą, a nie wierzą. Dlaczego?

Powód ogólny: nie są wiarygodne słowa tych, którzy mają nóż na gardle. Gdyby zostały powiedziane wcześniej, zanim jeszcze nóż do gardła przyłożono, byłyby traktowane poważniej. W sytuacji obecnej brzmią jak wymuszone zapewnienia lub obietnice poprawy deklarowane pod pręgierzem. A czyny? Przecież oprócz słów coś się robi. Lecz nawet i czyny tych, którzy mają nóż na gardle, nie są wiarygodne. W takich okolicznościach narzuca się presumpcja nieszczerości: przyjmuje się za rzecz naturalną, że wszystkie czyny dokonywane są wbrew chęci, a więc muszą być nierzetelne, pozorowane tylko. Gdyby nawet partia z dnia na dzień stała się święta i miała najczystsze intencje, trudno by jej było uniknąć podejrzeń, że jest w istocie diabłem, który z braku innego wyjścia przebrał się w ornat i na uszę dzwoni.

Najważniejszy powód niewiarygodności: wystawianie ogona spod ornatu. Bo jednak wystaje! Bo nie ma dnia, sprawy, sytuacji, żeby jakoś ten ogon nie wyjrzał. Nie ma układu, którego w pewnej chwili nie spróbowano by naruszyć stosując bezprawie czy podstęp /niesłychana przeróbka statutu "Solidarności" przez sąd wojewódzki/, nie ma osobowości /autentycznej osobowości, tego najgłębszego celu strajków sierpniowych/, pod którą nie usiłowano by się podszyc /zatrzęsienie pseudoniezależnych i pseudosamorządnych związków, podkradanie programów niezależnym organizacjom studenckim/, wreszcie - mimo znacznej poprawy - nie ma gazet czy telewizji bez kłamstwa /przeinaczanie, przemilczanie, tendencyjne okrawanie wiadomości o faktach, jawne manipulowanie opiniami ludzkimi, szczególnie w reportażach i wywiadach telewizyjnych, a całkiem już bezprzykładne i wyzute z wszelkiej koherencji idiotyzmy w atakach na "siły antysocjalistyczne"/.

Celowo pomijam tu bardzo ważną kwestię, czy nasza rządząca partia w ogóle potrafi rządzić dobrze lub gospodarzyć dobrze, no a wiadomo, że gospodarzyć w tym systemie może też tylko ona, aczkolwiek dotychczas robiła to z opłakanym skutkiem. Pomijam wykonalność zgłaszanych przez nią projektów. Pomijam też wiarygodność osób, członków albo zauszników partii zasiadających na wiecznej "karuzeli", pomijam choćby taki fakt, że o "siłach antysocjalistycznych" /oraz o Kościele/ pisze zawsze ta sama grupka starych i skompromitowanych doszczętnie wycirusów, których wieloletnia i wieloraka produkcja jest wręcz nieprawdopodobnym fenomenem nikczemności, cynizmu i obrazy ludzkiego rozumu.

Pomijam to wszystko dla jasności perspektywy.

Partia jest bowiem dzisiaj w zupełnie innej sytuacji wobec społeczeństwa, niż pozwalano jej być przez lata. Tę inność pragnę tu wydobyć. Partia musiała uznać odrębną, różną od swej własnej, podmiotowość społeczeństwa, i to nie tylko *d e f a c t o*, ale - z uciążeniem się, zastrzeżeniami i próbą matactwa - także *d e i u r e*. Partia nie może już, choć zapewne będzie się starała, udawać, że nie ma różnicy między nią a narodem, że w Polsce istnieje jakaś bliżej nieokreślona rzeczywistość wyrażana zbitką "partia przecinek naród" /a broń Boże nie "partia i naród", bo to by sugerowało dwie osobowości/. Partii będzie trudno przykwaszczyć sobie, zastępować i fałszować tę drugą osobowość, do której prawo/wywalczyli dla siebie i narodu stocznio-
wcy.

Każdy, kto widział ich w Gdańsku, zwierzał się z niebywałego wrażenia, jakie wywierali: byli to ludzie przemienieni, nie sposób powiedzieć co w nich zaszło, ale coś wspaniałego, coś w sferze ducha, stali się nagle tacy jak nikt w Polsce. Sądzę, że odzyskali w tym strajku właśnie osobowość, poczuli ją, jeśli byli młodzi, może po raz pierwszy w życiu, a zaznawszy jej smaku postanowili, że o tej intymności swojej, tej najbardziej osobistej rzeczy już sobie odebrać nie dadzą, że nikt już nie będzie że nich myślał, że nich mówił, za nich się podawał, za nich kłamał, za nich o nich orzekał, mianowicie w zakresie, w jakim każdy może i musi orzekać o sobie.

Czy to jest wolność? Nie! Wolni ci robotnicy się nie stali i Polska wolna nie jest. Wolny jest ten, kto może sam ocenić, co musi /a nie ten, oczywiście, kto w ogóle nic nie musi, bo takiego nie ma/. Otóż robotnicy i Polska nie mogą na przykład ocenić, jaka jest - by użyć słów I Sekretarza PZPR - granica możliwości, której nikomu przekroczyć nie wolno, ponieważ w tej sprawie nie rozporządzają żadnymi danymi, prócz mglistych uwag I Sekretarza. /A to on, nie Lech Wałęsa, rozmawia z Breżniewem i wyłącznie PEPP, a nie "Solidarność", sprawuje "kierowniczą rolę w państwie", na której to wyłączności PZPR-owi tak bardzo zależy/. Robotnicy i Polska uzyskali tylko ewentualnego powiedzenia o tym I Sekretarzowi, ponieważ zdobyli prawo wydawania z siebie własnego głosu i stawiania żądań w ograniczonym zakresie spraw. Ponadto wolno im się między sobą porozumiewać, zanim ten głos wyładną.

I to jest wszystko. I to jest, jak na nasze warunki, niewyobrażalnie dużo.

Dużo przede wszystkim dlatego, że po raz pierwszy w historii systemu stało się to instytucją: "Solidarność" - a w tej postaci odrębna podmiot-

wość społeczna - istnieje, zaakceptowana i usankcjonowana przez system. Nie chodzi w dodatku o instytucję, którą system zastał i której nie mógł zniszczyć, jak się rzecz ma na przykład z Kościołem, ale o instytucję stworzoną pod panowaniem systemu.

Jest to nie wyobrażalnie dużo, bo nie umiemy właśnie wyobrazić sobie skutków zmiany, która zaszła. I świat nie umie, świat wschodni i zachodni, a więc raz po raz dobiegają z jednej strony poirytowane, z drugiej przestraszone głosy, że - jak na Polskę - jest to za dużo.

x

Czy mają się czego bać? Oni. Po obu stronach.

No i my.

Najpierw dorzućmy tu coś jeszcze bardziej przerażającego, horror zupełny: system potencjalnie upadł w sierpniu, lecz zapewne nie po raz ostatni, bo znalazł się w takiej sytuacji, że będzie się odtąd musiał liczyć z upadkiem, jeśli nie spełni warunków, które mu są i będą stawiane. A dla uspokojenia zapytajmy od razu: dlaczego w sierpniu ocalał? I odpowiedzmy: bo ci, którzy systemu nie chcą, a nie chcą prawie wszyscy ludzie w kraju, woleli jednak nie doprowadzać go do ostateczności i pozwolili mu ocaleć.

Każdy robotnik i właściwie każde dziecko w Polsce zna prawdziwą przyczynę tak dziwnego zachowania się olbrzymich mas ludzkich, które mogłyby zdmuchnąć obcy im system, ale go przezornie utrzymują. Przyczyna jest, oczywiście, mówiąc elegancko, geopolityczna. Zanim się zajmiemy tą kwestią, wcale nie tak prostą, jak na pierwszy rzut oka wygląda, przypomnijmy, czym sama władza objaśnia swoje ocalenie, mimo że "utraciła zaufanie społeczeństwa".

x

Według jedynej dopuszczalnej wykładni - bo każda inna grozi "nieobliczalnymi skutkami" i "wymazaniem z mapy" - ludzie w Polsce chcą socjalizmu, a mogą go mieć tylko pod warunkiem, że obędzie im "przewodzić" PZPR. Te dwa pewniki obchodzą się bez dowodu, gdyż dowodzenie ich byłoby samo przez się niebezpieczne. W ostatnich latach /pięciu, dziesięciu, nie wiadomo dokładnie ilu/ doszło, zresztą nie po raz pierwszy, do skandalicznych wypaczeń socjalizmu. Stąd "szusny protest robotniczy". Cóż jednak zrobili robotnicy? Ano, powiedzieli: socjalizm - tak, wypaczenia - nie! Władze się z tym zgodziły. Tylko "sił antysocjalistycznych" nie zadowala takie rozwiązanie, one "stojąc" za robotnikami usiłują, oczywiście, wbrew życzeniu tych robotników mówić im hasło: socjalizm - nie!

Jak jest naprawdę z socjalizmem? Czy ludzie go chcą? Właśnie tego jakiegoś "dobrego" socjalizmu, a nie "wypaczonego" systemu politycznego, którego z pewnością nie chcą. Czy w ogóle można się o tym czegoś dowiedzieć? Spróbujmy. I potraktujmy hipotezę, że chcą, możliwie najprzychylniej, weźmy ją in optima forma.

Przygotowując bieżący numer "Zapisu" czytałem tekst Janiny Jankowskiej złożony wyłącznie ze zdań nagranych na taśmie magnetofonową w Gdańsku. Była to wypowiedź strajkujących robotników. Znalazłem jedną niezwykłą, z pozoru niezrozumiałą. Jakiś człowiek mówił o narastającej nienawiści do... I tu właśnie, jakby nie umiejąc sformułować dalszego ciągu myśli, poradził sobie z niejasnością i sprzecznością rzeczy, tak dziwnie ją ujął: "Mówmy uczciwie nie do ustroju czy do rządu. Do nich osobiście. Ustrój jest piękny, tylko żeby był wykonawcą aktualny. Statut partii jest piękny, sam go czytałem, tylko wykonawca musi się znaleźć". Ktoś z zespołu redakcyjnego powiedział, że "do nich", skoro nie są rządem, a tekst przeniesiono z taśmy, trzeba pisać dużą literą: "do NICH", wtedy myśl ma sens. Może. Wątpię jednak, żeby ten robotnik znał Witkacego. Z drugiej strony nie myślę, żeby nie znał słowa "rząd" i po prostu użył go błędnie. Dlaczego więc miał takie kłopoty z wyrażeniem czegoś, co chciał wyrazić?

Przypuszczam, że szukał i nie znajdował tych "osobiście", którzy powinni byli wedle jego intuicji istnieć fizycznie i ponosić winę za niezrealizowanie pięknych założeń ustrojowych, a nawet pięknego statutu partii. Zar-

zem jednak czuł, że niezrealizowanie wszystkich tych pięknych rzeczy nie wynikać jedynie z wadliwej obsługi ustroju, na przykład z niekompetencji ministrów. Szukał natomiast "wykonawcy" ideału, zapewne ideału socjalistycznego, czekał na kogoś, kto byłby wykonawcą "aktualnym", czyli - jak rozumiem - nie fikcyjnym.

Trudno o więcej dobrej woli i więcej konfuzji. Ale w gruncie rzeczy jest tej konfuzji tyle samo, ile we mnie, gdy /na Zachodzie, powiedzmy/ zadają mi pytanie: chcesz socjalizmu, czy nie? To tak, jakby zapytano: chcesz ognia czy nie? Ogień - prometejski wynalazek i w ogóle rzecz pożyteczna, może jednak być potrzebny po to, żeby mnie spalić na stosie. W dodatku nie jestem całkiem zadowolony z porównania, które wymyśliłem, bo ogień jest zawsze ogniem, a socjalizmem mogą być rzeczy różne, tak do siebie niepodobne, jak na przykład ogień i woda.

Przed udzieleniem odpowiedzi, czy się chce czy nie chce socjalizmu, należałoby więc koniecznie zapytać, co to jest socjalizm. Już choćby istnienie terminu "realny socjalizm" sugeruje, że może być mowa także o jakimś innym socjalizmie. Nierealnym? Ale nie! Nie tak! Bądźmy dla niego życzliwi. Nazwijmy go idealnym. Bo jeśli wiemy z doświadczenia, że cechami socjalizmu "realnego" są ucisk, samowola rządzącej oligarchii, państwo policyjne, kpiący z prawa, monstrualne zakłaganie, cenzura, korupcja, niemożność powiąsania końca z końcem w gospodarce, wieczny niedostatek i ogólne zgnojenie człowieka, to potrafimy też wyliczyć cechy socjalizmu idealnego, znane nam z tradycji, książek myślicieli i marzeń szlachetnych ludzi, a byłyby to: odebranie człowiekowi sposobu na ujarzmianie drugiego człowieka, zniesienie podziału na uprzywilejowanych i upośledzonych, demokracja, sprawiedliwość, wolność słowa, myśli, sumienia, owocna gospodarka oparta na wspólnej własności pracujących i - po raz pierwszy na świecie - ogólnie godziwe życie wszystkich. Wymieniając te cechy, nie mam ani cienia wątpliwości, że jestem stanowczym zwolennikiem socjalizmu. Gdy natomiast wymieniam tamte pierwsze, "realne", czuję, że istotnie jestem tego socjalizmu przeciwnikiem. /Ach, jak cudowne zdanie do wyrwania z kontekstu i zacytowania w artykule jakiegoś pogromcy "sił antysocjalistycznych"! Najlepiej zacząć od "czuję", gdyby ktoś potrzebował/. Ale może cechy "realne" to właśnie "wypaczenia", których od dzisiaj nie będzie? Jeżeli tak, żnów robię się zwolennikiem socjalizmu. Bieda polega na tym, że socjalizmu realnego nikt w Polsce nie odwołał, a zawsze twierdzono, że to on, ten straszny nasz socjalizm powszedni ma już jakoby wszystkie pożądane cechy idealne, jest sprawiedliwy, demokratyczny i nawet niebawale wydajny pod względem gospodarczym, żadnego zatem idealniejszego socjalizmu niż "realny" z natury rzeczy być nie może. W tym układzie spraw pytanie, czy ktoś chce czy nie chce socjalizmu, jest bezprzedmiotowe, a odpowiedź obujętna. W odpowiedzi zupełnie tę samą wartość mają "tak" i "nie", ponieważ nie wiadomo, jaki jest sens pytania i co znaczy odpowiedź.

Ale tak naprawdę to w Polsce nikt nikomu ani w sierpniu ani po sierpniu pytania tego zadawać nie potrzebował, bo wszyscy dobrze wiedzieli, że n i e o t o c h o d z i ł o. I na litosć Borską! - nie tzw. społeczna własność środków produkcji musiała przede wszystkim być zabezpieczona, jak to z niebu śmieszna powagą starano się podkreślać. /Nie słyszeliśmy o nikim czyhającym na tę własność, nie bardzo można ją nazwać społeczną, nie jest ona jedyną formą własności w Polsce, gdzie istnieją również prywatna gospodarka rolna, nie zagrażał ten stan rzeczy dotychczas realnemu socjalizmowi, lecz raczej prywatnej gospodarce rolnej/. W istocie chodziło o władzę partii i tzw. sojusze, albo ściślej: o władzę, którą partia musi sprawować ze względu na tzw. sojusze, albo wreszcie najściślej: o zabezpieczenie interesów Związku Radzieckiego w Polsce.

Interesów tych nie znamy dokładnie, bo Związek Radziecki nigdy nie sformułował ich jawnie wobec społeczeństwa polskiego, zapewniano nas raczej w konwencji propagandowej o zupełnej bezinteresowności ZSRR. Prawdopodobnie nasze władze państwowe są poinformowane najlepiej, ale one z kolei nigdy nie przekazywały tych informacji narodowi polskiemu w sposób wiarygodny i dostatecznie konkretny. Jesteśmy więc skazani na domysły co do zasięgu interesów radzieckich i to jest - jak władze, rzeczami bardziej niebezpieczną, może je-

dyną naprawdę groźną w obecnej i przyszłej sytuacji kraju.

Partia zachowała władzę, gdyż najradykałniej nawet usposobieni robotnicy zdają sobie sprawę, że w oczach Związku Radzieckiego ma ona pewne kwalifikacje wyjątkowe: nikt, poza nią nie nadaje się jakoby na pośrednika między narodem polskim a ZSRR. W sierpniu robotnicy polscy nie powiedzieli bynajmniej "socjalizm - tak, wypaczenia - nie", powiedzieli raczej "prawda - tak, nieprawda - nie", co w szczególnym odniesieniu do stosunków polsko-radzieckich mogłoby brzmieć "konieczność - tak, nadużycie strasząca - nie". Powiedziawszy to, zgodzili się, aby partia zachowała "kierowniczą" /czytaj: pośredniczą/ rolę, do której pełnienia upatrzona została w kolebce, czyli pod koniec II wojny światowej. Albowiem sytuacja polityczna Polski w ś w i e c i e nie zmieniła się od tamtych czasów na lepsze, chociaż wbiliśmy słupy graniczne nad Odrą, chociaż ideologia komunistyczna w Polsce się nie przyjęła, a Karol Wojtyła został papieżem. Strajk na Wybrzeżu nie anulował postanowień konferencji jałtańskiej. Sekretarz generalny NATO, Luns, miał więc wszelkie powody, aby powiedzieć, że w razie interwencji radzieckiej w Polsce NATO nie zrobi nic, bo nie jest jego zadaniem bronić Polski przed przyjaćmi, jak się taktownie wyraził.

Naród polski wie to od dawna i nie liczy na pomoc NATO, a Zachodowi - zgodnie z tradycją historyczną - nie grozi umieranie za Gdańsk, grozi mu co najwyżej umieranie ze strachu /no a później można jeszcze umrzeć za Dunkierkę na przykład/.

Jest prawdą, że naród polski nie stosował się na ogół w swej historii do oportunistycznych rad Zachodu, lecz prawdą jest i to, że dzięki temu istnieje. Jest prawdą, że nie wyrzeknie się on aspiracji do niepodległości, lecz i to, że nie może jej uzyskać naruszając takie interesy Związku Radzieckiego, do których poszanowania opłaciłoby się Związkowi Radzieckiemu zmusić Polskę bez względu na własne koszty i ofiary. Pytanie sprowadza się więc do kwestii, co się opłaca Supermocarstwu i czy naród nasz za pośrednictwem PZPR będzie mógł to rozpoznać. Komplikuje sprawę fakt, że już sama rola pośrednicząca PZPR uważana jest, jak się zdaje, za jeden z nienaruszalnych interesów Supermocarstwa.

Otóż czego się obawiam: w sytuacji, gdy naród nie ma zaufania do PZPR, co partia przyznaje, gdy sama partia rozdzierana jest walkami wewnętrznymi, wskutek czego nie zawsze wiadomo, czy w pełni odpowiada za swe słowa, w tej pożądaną godnej sytuacji, którą raczej wszyscy akceptujemy z r o z s ą d k ą /aczkolwiek nie mamy go rzekomo/, w tej - przyznaję - dziwacznej nie- co sytuacji może dojść do nieporozumień i omyłek w rozróżnieniu prawdziwych interesów ZSRR przez miliony Polaków. Nie obawiam się słynnych "emocji", pochodów ulicznych i nie kontrolowanych odruchów czy rozruchów, których zawsze obawiają się władze, obawiam się natomiast nieprzydatności systemu politycznego w nowych warunkach, jego niefunkcjonalności i słabości, jeśli nie zostanie rzeczywiście zmodyfikowany i wzmocniony.

Lecz cóż to znaczy "wzmocniony"? System nie wtedy jest mocny, gdy może się wykazać jakąś choćby małą gromadką więźniów politycznych, w czym niektórzy chcieliby, zdaje się, widzieć dowód panowania władz nad sytuacją. W istocie system, który ma więźniów politycznych, podejrzewany jest zawsze o słabość, chyba że ma ich tylu, ilu Hitler i Stalin, co nie wchodzi w grę. Ale - rzecz prosta - nie o legitymację systemu troszczyć się tutaj, lecz o bezpieczeństwo Polski. Dla bezpieczeństwa Polski potrzebną byłoby - myślę - wzmocnienie systemu podobne bodaj częściowo do takiego, jakie uzyskał w roku 1956 Gomulka, który jednak nie skorzystał z atutów danych mu do ręki. Niestety, Gomulce /niepotrzebnie/ wierzono, a dziś żadnemu I Sekretarzowi nikt już na piękne oczy nie uwierzy. Dziś system może się wzmocnić, zdobyć zaplecze społeczne i minimalny wpływ na społeczeństwo, niezbędny do rozmów na Kremlu, tylko dzieląc się dobrowolnie swymi prerogatywami ze społeczeństwem, porozumiewając się z nim, informując je i respektując jego stanowisko, słowem: p o s r e d n i c z ą c n a o b i e s t r o n y, a nie na jedną, jak zawsze dotychczas bywało.

Sugestia ta może się wydać skromna Polakowi, ale chodzi w niej nie o nasze uczucia, lecz o gwarancję dla Związku Radzieckiego. Chodzi też o coś,

bez czego gwarancja nie może być prawdziwa: o zbliżenie się Polaków do wolności, czyli o współdziałanie narodu w ocenie, co jest koniecznością i gdzie przebiega "granica, której przekroczyć nie wolno". Bo trzeba, oczywiście, zgodzić się ze Stanisławem Kanią, że granica taka istnieje.

Jak zmodyfikować w praktyce system polityczny, aby nie podważając jego zasadniczej i obowiązkowej roli gwarancyjnej w stosunkach ze Związkiem Radzieckim uczynić go jednocześnie systemem rzeczywistego i skutecznego porozumiewania się z narodem, tego w szczegółach nie opiszę, bo nie moja to rzecz, nie jestem politykiem.

Uważam jednak, że ktokolwiek swobodnie myśli i niezależnie działa, nie może unikać odpowiedzialności także w tym przedmiocie, ale przeciwnie: musi być gotów do wzięcia jej na siebie, gdyby zaszała potrzeba. Nikt nie ma prawa nie znać odpowiedzi na pytania, które stąd wynikają. Dobrze jest przygotować sobie odpowiedź wcześniej, zwłaszcza gdy ma się tyle czasu, ile ja w "Zapisie": do wiosny.

Są oznaki wskazujące, że proces modyfikacji i przystosowania systemu do nowych warunków faktycznie się toczy. Jeśli ma przynieść wyniki, władze muszą się postarać o porozumienie z całym społeczeństwem. Niech się nikt nie kłodzi, że możliwe jest porozumienie selektywne i krótkotrwałe: jednych się zaspokoi, drugich oszuka, trzecich skłóci ^{między} sobą, czwartych wyaresztuje, piątych zastąpi ukradłszy im szylf. Niech nikt nie szuka otuchy w historycznych wzorach z końca lat czterdziestych. Niech natura nie ciągnie wilka do lasu. Bo wilczego lasu już nie ma. Nad lasem przeszedł huragan.

x.

Aha! Muszę jeszcze odpowiedzieć, czy system jest "reformowalny", ponieważ nagle zrobił się z tego jakby test dla czarownic podejrzanych o spółkowanie z szatanem: kto mówi, że system nadaje się do zreformowania, jest w porządku, kto mówi, że nie, jest przeciwnikiem socjalizmu. Sęk w tym, że dotąd było odwrotnie: przeciwnikami socjalizmu byli ci, którzy widzieli możliwość i potrzebę zreformowania systemu, tzw. rewizjonisci i "naprawiacze socjalizmu wszelkiej maści", natomiast ci, którzy żadnej "reformowalności" nie dopuszczali, byli w porządku. Osobiście zawsze stałem na tym pierwszym stanowisku: system nadaje się do zreformowania i podda się reformom prędzej czy później, bo innego wyjścia nie ma. /Wojen światowych ani krwawych przewrotów nie brałem pod uwagę, pewnie dlatego, że ich sobie nie życzy/. Z czasem, pod wpływem faktów i obrońców systemu, którzy nie dawali żadnych szans "naprawiaczom", zmieniłem nieco zdanie i uznałem system za "niereformowalny" w tym sensie, że on sam zreformować się nie chce. "reformowalny" jednak o tyle, o ile zostanie do reformy zmuszony. To się jakby sprawdziło w sierpniu, ale spotkała mnie też niespodzianka: obrońcy systemu a tymczasem oświadczyli, że system chce się zreformować i że właśnie ludzie, którzy to kwestionują, są wrogami socjalizmu.

No i bądź tu mądry!

Ale ja tam swoją małą, upartą, ośłą mądrość mam, z niespodziankami się liczyłem i dalej sobie powtarzam: liczę się głównie z tym, co jest niemożliwe. Teraz na przykład, oscylując między różnymi złymi i dobrymi ewentualnościami, liczę się i z tak nieprawdopodobną, że system się zreformuje, a historia nie powtórzy.

listopad 1980

Jacek Bocheński

Kazimierz Brandys

MIESIĄCE

1980

kwiecień 1980

W pierwszym z kalendarzowej wian - przed trzema tygodniami - wysłałem list do Zarządu Głównego Związku Literatów. Przepisuję go z zachowanej kopii:

"Szanowni Koledzy,

pragnę zawiadomić Zarząd Główny o następujących faktach. Latem 1977 r. złożyłem w wydawnictwie "Czytelnik", zgodnie z zawartą umową, maszynopis mojej nowej książki pt. "Rondo". Książka została przychylnie oceniona w wydawnictwie, nie budząc merytorycznych zastrzeżeń. Wkrótce jednak powiadomiono mnie, że "Czytelnik" nie będzie mógł przystąpić do druku z uwagi na sprzeciw czynników nadrzędnych, których opinia jest dla wydawnictwa wiążąca. Sprzeciw nie dotyczył treści książki, lecz - co dano mi do zrozumienia - samej możliwości publikacji tego tomu w państwowym wydawnictwie. Po czym Sp. Wyd. "Czytelnik" w ciągu niemal 3 lat od złożenia przeze mnie maszynopisu nie skierowało go do druku, a od 2 lat nie uznaje za konieczne przekazać mi jakakolwiek wiadomość w tej sprawie.

W końcu lutego 1980 r. złożyłem w Komendzie Stożecznej M.O. podanie o paszport zagraniczny do Francji. 20 marca udzielono mi odpowiedzi odmownej, nie informując mnie o przyczynach odmowy. Odwołałem się od tej decyzji na piśmie, z uzasadnieniem, iż moje stosunki i kontakty ze środowiskami artystyczno-intelektualnymi na Zachodzie są pożyteczne dla kultury polskiej, przyczyniając się do jej rozpowszechnienia poza granicami kraju, o czym świadczą choćby liczne recenzje z przekładów moich książek, zamieszczane w prasie zagranicznej. Czekam obecnie na odpowiedź Biura Paszportów.

Pozwalam sobie zwrócić uwagę Szanownych Kolegów na to, że obydwie przytoczone tu fakty stanowią ograniczenie moich praw pisarskich i obywatelskich oraz na to, iż obie decyzje są sprzeczne z zasadami prawnymi obowiązującymi w Polsce. Stwierdzam zresztą, że niejednokrotnie pisarzom wyrażającym poglądy podobne do tych, jakie ja wypowiadam, i drukujących utwory w tych samych czyż wydawnictwach i piśmie, nie zakazuje się publikacji w kraju ani wyjazdu za granicę. A więc żadne prawomocne sankcje nie wchodzi tu w grę, wobec czego muszę uznać obie powyższe decyzje jedynie za zwykany w stosunku do mojej osoby. Identyczne zwykany, jak wiadomo, użyte zostały przeciw paru innym naszym kolegom.

Sądzę, że Szanownym Kolegom nie będą te sprawy obojętne, dotyczą bowiem nie tylko mnie osobiście, lecz w swych konsekwencjach godzą w interesy każdego członka Związku Literatów. Jestem głęboko przeświadczony o tym, że dyskryminacja stosowana wobec autorów, których pozbawia się uprawnień pisarskich i obywatelskich, prowadzi w rezultacie do umniejszenia wartości literatury publikowanej, nie podlegającej zakazom - do zdewaluowania jej w oczach czytelników. Tworzenie się takich podziałów wyrządza szkodę całej naszej literaturze.

Powyższe względy skłaniają mnie do przekazania tych paru faktów i refleksji Zarządowi Głównemu ZLP.

Łączę wyrazy szacunku".

Powinno wspomnieć, że na odmowę w sprawie paszportu byłem przygotowany i zgłaszając się w wyznaczonym dniu po odpowiedź na ulicę Kruczą miałem już przy sobie odwołanie na piśmie. Kiedy weszliśmy z M. do pokoju nr 12

i wymieniliśmy nazwiska, urzędnik poszperał w przegródkach, po czym oświadczył, że musi się w tej sprawie rozmówić przez telefon. Poprosił nas o opuszczenie pokoju i zapewnił, że za chwilę nas wezwie. Drzwi otworzyły się po kilku minutach. Urzędnik zawiadomił M., że otrzymała paszport. - Na pana podanie jest odmowa. - Gdy M. wyjaśniła, że nie zamierza wyjechać beze mnie, przerwałem jej pytając, komu mam złożyć odwołanie. Urzędnik odesłał mnie do okienka, gdzie składano formularze z podaniami o paszporty. Za zgodą interesantów, przyjąłem je poza kolejką i poinformowano mnie, że odpowiedź nadejdzie drogą pocztową w ciągu trzech tygodni. Termin minął wczoraj, odpowiedź jeszcze nie nadeszła.

Na to również byłem przygotowany, nie mnie pierwszego to spotyka. W takich przypadkach można podobno zażądać osobistej rozmowy z naczelnikiem. Jednakże nie pociąga mnie taka możliwość. Jakkolwiek nie należę do ludzi gwałtownych, w pewnych sytuacjach tracę panowanie nad sobą. A niedawno powtórzono mi przebieg rozmowy, jaką odbył z naczelnikiem mój znajomy, pisarz, człowiek o najwyższej kulturze literackiej i towarzyskiej, którego odwołanie, podobnie jak moje, pozostawiono bez odpowiedzi. Kiedy zgłosił się na tę rozmowę, naczelnik go pouczył: - Zamiast wyjeżdżać za granicę, lepiej pilnowałby pan córki. - Córka mego znajomego jest działaczką Studenckiego Komitetu Solidarności.

No więc tak. Przewidywałem niniejszy obrót rzeczy i byłoby nie na miejscu przybierać z tego powodu minę cierpiętnika. Paszportu odmawia się dziś wielu osobom, i to bez podania motywów. Znam ludzi, którzy zachodzą w głowę, czemu i za co ich to spotkało. Ja przynajmniej wiem za co: za książki wydane za granicą i udział w zespole redagującym ZAPIS. Jedną połową mojej świadomości mówi mi: wszystko, co robię i piszę, nie jest zakazane przez prawa w twoim kraju, to odmowa wydania paszportu łamie praworządność. A jednocześnie moja druga świadomość szepcze, że gdybym za życia Józefa Stalina wygłosił jedno zdanie z książki, którą niedawno opublikowałem, gnąłbym przez lata w kryminale. Nad tymi dwiema świadomościami unosi się trzecia, która mi powiada, że człowiek żyjący w owej podwójnej skali, z dwiema zachodzącymi na siebie miarami rzeczywistości, człowiek, który odczuwa bezkrwawą samowolę władzy jako rodzaj tolerancji przez porównanie z ludożerstwem, a zarazem nie może jej uznać za prawo, bowiem poczucie prawa ma wyniesione z kultury - że taki człowiek nie jest istotą pełnowartościową.

Posiadam tę trzecią świadomość, dlatego w chwili gdy spokojnie wysłuchuję odmowy zakomunikowanej mi przez urzędnika i posłusznie składam odwołanie w okienku, i później, kiedy wychodząc mówię do M., że tego się właśnie spodziewałem, bo w takim systemie żyjemy, widzę w tych kilku scenach siebie w sposób nieprzyjemny, w mojej reakcji jest coś podejrzanego. M. natychmiast reaguje zdrowo: - Małpia złośliwość! - woła po wyjściu z pokoju. Na co od razu obojętnie odpowiadam, że znam cenę, jaką teraz płacę, i jestem na nią przygotowany. Ale gdyby to samo powiedział kto inny o mnie, byłbym wściekły i nazwałbym to mentalnością niewolnika.

Od dwóch tygodni /nowiny rozchodzą się szybko/ podobne słowa czytam w niektórych spojrzeniach. "Czego oczekiwales, prezentu? a może liczyłeś, że zabawa w opozycję ujdzie ci na sucho? Wiesz, w jakiej rzeczywistości żyjemy. Myślny wyciągnęli z tego wnioski".

Gdybym im powiedział, że takimi słowami współtworzą rzeczywistość, poczuliby się dotknięci. Lecz gdyby cudownym zrzadzeniem wypadków "zabawa w opozycję" odniosła trwały sukces polityczny, uznaliby to za swoje zwycięstwo. To nie są ludzie podli ani głupi, o wielu rzeczach myślą podobnie jak ja. To są ludzie, którzy nie chcą brać udziału we własnej najważniejszej sprawie, ponieważ uwierzyli, że ta sprawa jest na zawsze przegrana.

Mieliśmy pojechać do Francji, spędzić parę tygodni z Krzywickimi i Piotrami Słonimskimi, zobaczyć Teresę, Olę. Potem zatrzymać się w Berlinie Zachodnim, gdzie wciąż czeka na mnie stypendium Akademii Sztuki. Teraz pobędziemy w Warszawie. Od Hani Słonimskiej nadeszła paczka z różnokolorowymi jajeczkami wielkanocnymi, na paczce przyklejona kartka z wymienieniem zawartości /"les oeufs de Pâques"/ oraz pieczętka z nadrukiem "poddane kontroli

celnej". Niemal jednocześnie przychodzi wiadomość od Hani i Piotra z Tunisu. Byli tam przez święta.

W numerze "Le Monde" przeczytałem niedawno obszernie sprawozdanie o ważnym odkryciu naukowym dokonanym przez Piotra. Wytłumaczono mi, że jest to rzecz doniosła, wielki krok na drodze do regulacji procesów genetycznych. Będąc w Gif często się zastanawiałem, o czym rozmyśla mój przyjaciel, gdy w trakcie ożywionej rozmowy nagle zapada w odrętwienie, nieruchomiejąc z fajką w ręku i nogami w skarpetkach oparty na stolik przy fotelu. Bałem się go trochę w tych momentach. Po przeczytaniu artykułu w "Mondzie" rzecz mi się wyjaśniła. Teraz rozumiem, że mój przyjaciel myślał o tym, jak wyprodukować sztucznego człowieka. Niepotrzebnie się bałem.

Trzy lata temu w Boże Narodzenie, kiedy byliśmy w Gif-sur-Yvette, Piotr wziął mnie ze sobą po kolacji do laboratorium C.N.R.S., którego jest dyrektorem. Kompleks budynków należących do Centre National des Recherches Scientifiques ciągnie się o kilkaset metrów od domu Piotra. Puste dziedzińce oświetlone jarzeniówkami, wewnątrz długie korytarze z szeregami metalowych drzwi, sale z niepojętymi dla mnie przyrządami, które same funkcjonowały w bezludnej ciszy, na ścianach plansze z wykresami, jakieś mrugające światełka, szmery i tykanie aparatów, wnętrza nagie, białosine w poświacie jarzeniowej - nigdzie ani śladu człowieka. Przez cały czas zdawało mi się, że jesteśmy pod ziemią, idąc za Piotrem z niepewną miną czułem się tak, jakbym w noc Bożego Narodzenia wylądował w cywilizacji Ufoidów. Kiedy w jednej z salek na biurku spostrzegłem bukietek mimozy wetknięty w wazonik, odetchnąłem z ulgą. Nareszcie coś zrozumiałego, bliskiego: jakaś dziewczyna z Ziemi dostała kwiatki od chłopca! Piotr znalazł w swojej szufladzie papiery, których szukał. Zapalając gasnącą fajkę spytał, czy się nie znudziłem za bardzo. Odpowiedziałem, że nie, skądże, tylko miałem wrażenie, jak gdybym zwiedzał podziemny kościół, którego religii i obrządków nie znam, wyczuwam w nim jednak obecność ukrytej Tajemnicy. I zadałem mu pytanie laika, profana: gdybym cię poprosił, abys mi wyjaśnił, czemu to wszystko służy, na czym pracują te komputery, po co zapalają się i gasną światełka, żebyś mi pokazał tę rzecz najważniejszą, dla której wzniesiono budynki za miliony franków i o której tak usilnie rozmyślasz z nogami na stole, czy byłoby możliwe, abym tę rzecz zobaczył?

Wtedy mój przyjaciel kiwnął głową z poczciwie chytrym uśmiechem. Mięliśmy trzy korytarze, przeszliśmy przez cztery pąste salki. Skręciliśmy na lewo, potem w prawo. Jeszcze raz w lewo, i znowu na prawo. Wreszcie Piotr wprowadził mnie do niewielkiego pomieszczenia, gdzie przy ścianie stał metalowy pojemnik przypominający kasę pancerną. Wyciągnął pęk kluczy. Po chwili ujrzałem wewnątrz pojemnika. Był w nim umieszczony tylko jeden przedmiot: okrągła puszka podobna do pudełka konserw. Piotr odemknął wieczko. - To właśnie jest rzecz, o którą chodzi.

Co zobaczyłem? Garstkę wilgotnej, ciemnej ziemi. Widniało na niej kilka białych plamek nie większych od ziarenek ryżu.

List do Zarządu Głównego wysłałem bez wiary w jego skuteczność, powiedziałbym nawet, że pisałem go z pewną niechęcią. Zazwyczaj takie listy Zarząd przekazuje Komisji Interwencyjnej. Przewodniczącym komisji jest partyjny urzędnik literacki, daleki od pragnienia, aby cokolwiek mi w życiu ułatwić. Mimo to postanowiłem list napisać i wysłać. Narzucając sobie ów przymus kierowałem się przekonaniem, że brak reakcji na bezprawie oznacza przyzwolenie. Jeżeli przemilczą te dwa fakty, utwierdzą i pogłębią społeczną bierność, z jaką przyjmuje się nadużycia władzy. Często używamy słowa sowietyzacja, mając na myśli brak towarów, tępy autokratyzm urzędów, niechlujność i splugawienie codziennego bytu. Wymawiając to słowo ze wstrętem i pogardą, odnosimy je do rzeczywistości zewnętrznej; sowietyzuje się sklepy, związki zawodowe, uczelnie i gazety, ale my pozostaliśmy wewnętrznie nietknięci, o czym świadczy nasza pogarda i wstręt.

Obawiam się, że jest inaczej. "Sowietyzm" budzi odrazę jako zjawisko duchowe; to nie tylko machina produkująca masę, to przede wszystkim nasza ludzka utrata pamięci o sobie samych, o tym, kim chcieliśmy być. W naszych

głowach trwają jeszcze - postrzępione i wiotkie - pojęcia godności i sprawiedliwości, lecz jeśli spotka nas niesprawiedliwość lub gdy poniża się nasza godność, czy doprawdy wstępuje w nas święty gniew? Czy nie myślimy wówczas: trudno, w takim ustroju żyjemy, taka jest rzeczywistość... Ta myśl stanowi nasz udział w systemie, a zarazem tymi myślami sowietyzujemy się indywidualnie, od wewnątrz. Na takie nasze myśli system liczy, one go cementują. My sami milionami podobnych reakcji codziennie umacniamy piramidę, która budzi naszą nienawiść, i w końcu zatrze się granica dzieląca nas od tego, czego nienawidzimy. Być może nie spostrzeżemy, że ów moment nastąpił, i nadal będziemy twierdzić, że hitleryzm tkwił w duszy niemieckiej, a Rosjanie rodzą się niewolnikami. Potrafiemy się jeszcze pocieszać lepszą połową naszej świadomości, opatrując słowem o n i absurd, który w nas wrosta, dopóki pewnego dnia nie zrozumiemy, że o n i są już nami, a my jesteśmy n i m i. Nie wiem, czy wtedy dalej się nienawidzi. Nie mam pojęcia, co dzisiaj się dzieje w duszy człowieka, który dał się wszystkiego pozbawić, człowieka ze stotalizowaną głową. Czy taki człowiek ma jeszcze własne odruchy i poglądy? Wnosząc z moich ubiegłych doświadczeń sądzę, że ma, ale się z nimi nie zgadza.

Można by mi odpowiedzieć: to żarty, minęły lata, dawna choroba już nie grozi. Nie jestem tego pewien. Po trzydziestu latach choroba, nazwana przez poetę "zniewoleniem umysłu", dziś występuje w mniej gwałtownych objawach, lecz rozprzestrzenia się szerzej. W nieustrej, zlagodzonej postaci zaraziła większą ilość ludzi. Znam również pacjentów, którzy przeżywają jej ukryty nawrót. Obserwując różne sceny z życia i rozglądając się wokół, widzę niejednokrotnie przecieranie się w ludziach psychospołecznej materii, zwątlenie przegród między odczuciami dobra i zła. Mówiłem tu o naszych zwietrzałych strzępach idei i pojęć, które ludzkość nazwała wolnością, szczęściem, braterstwem... Zapewne są jej pięknymi fikcjami, jej "muzyką sfer" - odbłaskiem niebiańskiej harmonii. Bez takich złudzeń świat musiałby skamienić, stać się minerałem i mimo iż nie potrafi przekształcać ich w życie, nie chce ich utracić. Inaczej żyć nie umie. Odarty ze swoich wyobrażeń, zaczyna chorować. Nadchodzą wtedy "ciemne wieki". Historycy nazwali tak okres między V a VIII stuleciem naszej ery. Czym była ówa ciemność, czyżby ludzie tej epoki byli psychicznie chorzy? - nie, ale w każdym człowieku upadł Rzym i zgasły światła Uniwersum. Nie będzie grą słów, jeśli powiemy, że dekadenski Zachód sam się stoczył pod nogi barbarzyńców. Longobardowie i Goci wtargnęli przez zawałone ściany pojęć, które runęły w ludziach.

Pisząc to widzę uśmiechnięte pobłażliwie twarze czytelników, a wśród nich kilku moich przyjaciół: "Ależ drogi panie Kazimierzu, jest akurat na odwrót. To właśnie pojęcia i idee, o których pan opowiada, ściągają ciemność na ziemię, to przez szaleństwa afiszowanych uniwersalistów świat o jakis czas pogrąża się we krwi i niewoli. Ileż się o tym pisało!"

No tak, pisało się wiele. Mimo że waszą świadomość stworzyły idee Bożesza, Platona i Chrystusa, wszyscy pochodzicie od Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela i zdaje wam się tylko, że wyrzuciliście z siebie Marksa, on także jest w waszym myśleniu. Te idee były energią i ruchem ludzkości, wola przeobrażenia się człowieka. Dopiero gdy się je narzuca jako obowiązujące systemy wierzeń, urządzeń i praw, zaczynają przeczyć samym sobie. I wówczas nie są już ideami.

Christopher Dawson w swojej książce "Religia i powstanie kultury w średnio-wieku" zadaje sobie pytanie: "Jak to się stało, że spośród wszystkich cywilizacji świata jedynie Europa nieustannie była wstrząsana i przekształcana przez jakąś energię, która ma swe źródła w duchowym niepokoju i której nie zadowala niezmiennie prawo tradycji społecznej rządzącej kulturami wscho-? Dzieje się tak dlatego, iż ideałem religijnym Europy nie jest oddawanie się ponadczasowej i niezmiennej doskonałości, lecz duch, który usiłuje się zrealizować w ludzkość i przeobrazić świat".

W trakcie lektury Dawsona przeczytałem wywiad Andrzeja Siniawskiego, udzielony francuskim dziennikarzom /mam go drukować w ZAPIS-ie/. Siniawski mówi o zdumiewającej trwałości, jaką go uderzyła w strukturze życia zachod-

kiej Europy: "Zrozumiałem ją zwłaszcza na przykładzie Włoch, które przed dwoma laty zostały przez wszystkich pogrzebane, a żyją nadal mimo terroryzmu, mimo strajków. Nagle odkryłem kulturę pracy, zainteresowanie, jakie się pracy poświęca. Z tego punktu widzenia Europa Zachodnia jest dużo bliższa Średniowieczu, cechowości, przekazywania zawodu z ojca na syna, niż dzisiejsza Rosja. Ma się rozumieć, wszyscy są tu niezadowoleni, ale podstawy są trwałe, nie tak jak w Rosji, gdzie robotnik pracuje tylko po to, by dostać pensję lub wspiać się o parę biurokratycznych stopni. System zachodni budowany jest jak ulw jego plastry miodu wydają się lekkie i kruche, lecz stawiają opór dzięki swej dobrej konstrukcji. /.../ Struktura społeczeństwa zachodniego jest jak worek z piaskiem, który stoi tylko dlatego, że jest mocno związany. Gdy się go przedziurawi - wszystko upadnie, obróci się w pył."

Pomyślałem, że te dwa cytaty przenikają się ze sobą, jakby drugi był dopełnieniem pierwszego. Ale który z nich mówi o nas? Czym jesteśmy, woleńiem się ducha, czy pracowitą konstrukcją ula, czy skrepowanym worekiem piasku? Czy łączą nas jeszcze resztki dawnego spoiwa, czy też rozsypalibyśmy się, gdyby nie supek, który nas dusi od wierzchu?

Wszystko to w jakiś sposób się wiąże z listem, jaki wysłałem do zarządu ZLP. Wymusiłem na sobie - człowiekowi z epoki tkumu - dwie strony maszynopisu, żeby postąpić jak człowiek indywidualny, który nie stracił swoich odruchów. Jeżeli one skabną już we mnie, to jednak zachowałem ich pamięć i staram się je przynajmniej naśladować.

A równocześnie od góry czuję zacisk supła. Z wielu stron doszły mnie wprowadzić odgłosy po fragmentach "Miesiący" wydrukowanych w ZAPIS-ie - ogólnie biorąc pokrzepiające - ale nad ranem budzę się nieraz z myślą, którą sam wykląłem: jak długo to jeszcze potrwa? ZAPIS, Niezależna Oficyna, drukarenki powielające nasze książki w ilu... w dwóch czy pięciu tysiącach egzemplarzy, wszystko wisi na cieniutkim włosie. Wieczorem dowiaduję się przez podstępnie warty telefon o aresztowaniu któregoś z organizatorów KOWEJ, a rano zbieram siły, żeby tę wiadomość odpędzić od siebie przed godziną pisania. Mam na to jeden tylko sposób: wciąż przywoływać ułatwiającą się pewność, że nawet jeśli wszystko się rozpadnie, dalej będą pisać i sam wystukam na maszynie tekst z trzema kopiami. Cztery egzemplarze przeczyta kilkadziesiąt osób, jeden czy dwa ktoś przechowa. Przecież kiedy skończyłem "Nierzęczywistość", nic jeszcze nie istniało, nie było ZAPIS-u i innych wydawnictw, maszynopis wypożyczałem na tydzień znajomym - w sumie pięćdziesięciu czytelnikom. Taka myśl podtrzymuje siły do pisania. Wczoraj dzwonił Marion i zawiadomił mnie, że pewna znana mi osobiście czytelniczka ZAPIS-u po przeczytaniu "Miesiący" złożyła na jego ręce tysiąc złotych - dla mnie. Prawdopodobnie doszła do wniosku, że jako pisarz obciążony zakażeniem publikacji muszę poprosić w kłopoty materialne. Nigdy dotąd nie spotkałem się z tak prostym i ładnym gestem w stosunku do autora. O nie, z nikim bym się nie zamienił na wydanie masowe.

Więc nie na Zachód pojechaliśmy wiosną, lecz w kierunku wschodnio-południowym: do Obór. Znowu do Obór, jak co roku, kiedy w Warszawie nie mogę pracować, bo pod moimi oknami zaczynają grać katarynki i przeciągać grupy turystyczne, gdy z ulicy dochodzą śpiewy Szwedów i Holendrów, a przed "boutique'u" wrzask pijanych mołojców z Kobyłki. Mieszkamy na rogu Siczy i Saint-Germain, przyszło mi kiedyś na myśl i powiedziałem to M.

Wiosna zimna, podszyta wiatrem, drzewa jeszcze gołe i czarne. W jadalni pustawo, sporo osób odwołało pobyty wskutek chłódów i deszczów. Codziennie po kolacji zbieramy się przed telewizorem, żeby posłuchać wiadomości dziennika, a po obiedzie wyruszamy do pobliskiej Jeziorny. Po co? Po gazetę. Nad światem kłębią się furie, szaleje ponury czarownik w Iranie, któremu się opiera filigranowy prezydent Stanów Zjednoczonych, drobny mężczyzna o coraz smutniej uśmiechającej się twarzy. Gdy kilka lat temu zobaczyłem po raz pierwszy jego zdjęcie, pomyślałem niepokojnie, że nowy kandydat na prezydenta USA wygląda jak skrzyżowanie babci z wnuczkiem, i ogarnęła mnie troska, czy ów mały prezydent udźwignie na swoich ramionach odpowiedzialność za dwie półkule rozsadzane nienawiścią i pychą, czy uda mu się powstrzymać świat przed orgazmem samozniszczenia.

Trzy razy dziennie łapię komunikaty zagranicznych radiostacji o losach amerykańskich zakładników uwięzionych w Teheranie i o zapowiedzianym bojkocie Olimpiady w Moskwie. Około 3-ej do kiosku w Jeziornie przywożą "Express", który czyta M. Na pół godziny wcześniej przed kioskiem ustawia się ogonek. O tej porze kolejki po "Express" można także zobaczyć w Warszawie. Ograniczenie nakładów prasy i książek oficjalnie tłumaczy się brakiem papieru, mimo iż papieru nie brakuje na drukowanie broszur propagandowych, lokalnych dzienników o fikcyjnym żywocie, piasek wydawanych przez instytucje i liczne rozgałęzienia aparatu, periodyków, których nikt nie czyta. Ale "Express" się czyta. Przez lata patrzę z rozdrażnieniem na ogonki ustawiające się przed kioskami po gazetę, w której nie ma prawdziwych informacji o tym, co się dzieje w kraju i na świecie. Z "Expressu" można się dowiedzieć, że w zagranicznym Zoo przyszło na świat pięć małych kangurów. Poza tym wszystko jest w nim tak samo zakłamane, jak w całej reżimowej prasie.

W Jeziornie ogonek po "Express" wygląda bardziej przynębiająco niż w Warszawie. Trzeba znać Jeziornę i miejsce, w którym znajduje się nasz kiosk. W sobotę czekałem tam na M. stojącą w czterdziestoosobowej kolejce. Dokoła brzydkie, źle otynkowane bloki na zaśmieconych klepiskach-projektach trawników, naprzeciw parterowa buda o nieunytych szybach, gdzie kupuje się jarzyny i owoce, z tyłu sklepy z artykułami pierwszej potrzeby: samoobsługowa spółdzielnia o ciemnym, brudnym wnętrzu robi wrażenie kantyny w koszarach, na zewnątrz u wejścia stoją piętrowe blaszanki z pustymi butelkami po piwie. Pijani mężczyźni chwieją się nad asfalten z zwisłymi głowami albo przegięci do tyłu. Po rogach grupki młodych ludzi w kurteczkach i swetrach, którzy na coś wyczekują z nieprzyjaznym zautuzowaniem. To jest nowa Jeziorna. Stara Jeziorna ciągnie się nieco dalej wzdłuż asfaltowej szosy w kierunku Warszawy.

W sobotę autobusik z gazetami nie przyjeżdżał. W ogonku przybywało ludzi, siąpił deszczyk. Czekając w odległości dwudziestu kroków, widziałem M. wciśniętą między kobietę z torbą wypchaną kartoflami a mężczyznę bez nogi; za nim stał reżyser filmowy Rybkowski, który zapewne przyszedł z Konstancji.

Tego dnia wskutek wilgoci dokuczał mi ból w kręgosłupie. Patrząc na ogonek nasiąkający deszczem, pomyślałem: dlaczego? Dlaczego tym ludziom opłaca się czekać na gazetę z jałowymi lub przekabaconymi informacjami i dlaczego nie mogą jej kupić w przejściu, od ręki, tak jak się kupuje gazetę w normalnie urządzonym kraju. Wytkumaczyłem sobie: chcą przeczytać "Express", bo przyzwyczaili się do popołudniówki redagowanej w żywszy sposób niż inne dzienniki i nie przekładowanej materiałami ze zjazdów czy komentarzami do uchwał sejmowych /"Express" drukuje je często w skrócie/. Przyzwyczaili się również do czekania. Nie przyjdzie im do głowy, że czekanie przed kioskiem jest czynem niedorzecznym, nawykli już do codzienności złożonej z drobnych żmudnych uciemiężeń. Ale dlaczego muszą czekać - dlaczego "Express" nie ukazuje się w większym nakładzie?

Dlatego że ogromna część papieru idzie na druk prasy, której się nie czyta. Po co? Po to, żeby w kraju mogło istnieć jak najwięcej redakcji, zatrudniających posłusznych dziennikarzy. Bo kim są dziennikarze nie czytanej prasy, "Trybun Mazowieckich" i "Głosów Pocztańca"? Są aktywnym wykonującym propagandowe instrukcje w terenie, są funkcjonariuszami wojewódzkiego aparatu. Ma być mniej prasy centralnej, bo trzeba więcej papieru dla propagandowych kadr lokalnych. Wobec czego do kiosków ustawiają się kolejki po "Express", żeby się dowiedzieć o pięciu kangurkach w budapesztańskim Zoo.

Prasa centralna i prowincjonalna oparta jest na tym samym założeniu - naginania rzeczywistości do kłamstwa, a po to, by owo założenie fachowo wypełnić, potrzebni są zawodowcy. I to są od lat ci sami ludzie, albo ich odnrodzone reprodukcje. Nie żadne wielkie lucyfery. To są małe, pospolite koczodaje przyssane do wymion. Zmieniają się hasła, linie polityczne, ekipy kierownicze, ale oni są zawsze obecni, z ozorami wysmarowanymi tłuszczeniem, gotowi do usług nowym szefom pod aktualnymi hasłami. Przymydlają się do narodu, do klasy robotniczej, do patriotyzmu, antysyjonizmu i internacjonalizmu, do martyrologii, do posad i akcji policyjnych. Zawsze na posterunku, w prasie, w telewizji... "Kłamanie jak telewizor!" - krzyknęła niedawno Ewa R.

opowiadając o kimś ze wzburzeniem. To już zabrzmiało jak przysłowie /daw-
nia "Łże jak najęty"/. Tak: byli, są, będą, muszą być. Po to kupujemy ga-
zety.

Kiedy sobie to uświadomiłem, kolejka przed kioskiem w Jeziornie nagle
wydała mi się czynić rozpaczliwym, upokarzającym. Podbiegłem i zacząłem wy-
ciągać z niej M., krzyząc, że to ohyda, bezsens. M. przestraszona wówała:
- Przecież dziś będzie program telewizyjny na cały tydzień! - a ja wykrzyki-
wałem, że muszą jej bronić przed sowietyzacją. Ogonek wytrzeszczył na mnie
oczy z przerażeniem, jak na człowieka ukąszonego przez żmiję. I wtedy właś-
nie nadjechał autobusik z "Expressem".

Och, zachowałem się głupio!

Ale -

Przedwczoraj urwałem na początku zdanie i dziś nie mogę już sobie od-
tworzyć dalszego ciągu myśli. Zacząłem od nowego wiersza, napisałem: Ale,
gdy ktoś zastukał do pokoju z wiadomością o nieudanym desancie amerykańskim
w Iranie. Akcja, która miała uwolnić 50 Amerykanów więzionych w gmachu amba-
sady USA, skończyła się fiaskiem. Komandosi nie dotarli do Teheranu. Odle-
cieli zostawiając na pustyni swoich ośmiu zabitych i szczątki dwóch maszyn,
które zderzyły się ze sobą w chwili startu do powrotnego lotu. Nie ma jesz-
cze szczegółowych wyjaśnień, dlaczego akcja się nie powiodła. Wiadomo tylko,
że nastąpił defekt trzech helikopterów. Podobno plan operacji był przygoto-
wany od kilku miesięcy.

W telewizji ukazały się zdjęcia filmowe z Teheranu. Zwłoki amerykańs-
kich "marines" wystawiono na widok publiczny. W zamian za ich wydanie rząd
domaga się zwrotu irańskich dolarów zablokowanych w bankach USA. Zwolnienia
zakładników nadal się odmawia, żądając ekstradycji zdetronizowanego szacha.
Szach rządził okrutnie, jego policja stosowała tortury. Krew za krew.

Od dwóch dni radiostacje całego świata nadają wiadomości i komentarze
o próbie odbicia zakładników. Będąc wczoraj w Warszawie usłyszałem od paru
znajomych jednobrzmiące zwierzenie: przyjęli tę wieść ze ściśniętym sercem,
tak jak w 1940 komunikat o upadku Paryża.

Na początku stała się rzecz oszupiająca. Z woli rządu zajęto ekstery-
torialny budynek ambasady i uwięziono w nim przedstawicieli dyplomatycznych
obcego kraju, grożąc im zamordowaniem. Użyłem tu słów "rzecz oszupiająca",
bo taki fakt wprawia w stan oszupienia. Nie tylko przez złamanie międzynaro-
dowych praw, lecz nade wszystko swoją pogańską dzikością, grozą anachroniz-
mu. Wiem, że pięćset lat temu w Państwie Ottomańskim brano w jasyr posłów
cudzoziemskich i nieraz ścinano im głowy. Przywykłem jednak myśleć o tych
czasach jak o epoce bezpowrotnej. Nasze wyobrażenia o dawnej historycznej
przeszłości powstają również z makabrycznych baśni, ale życie w cywilizacji
sprawia, iż uważamy owe epoki za fantazję, która mogła być rzeczywistością
dla naszych przaszczurów, nas wszakże nie dotyczy.

Jakaż omyłka! Czarownik z Teheranu wyrwał nas ze złudzeń. Mściwy Islam
jest teraźniejszością, jest blisko, podchodzi ku nam z wielu stron. W Me-
diolanach na murze kościoła, gdzie mieści się "Ostatnia Wieczerza", zobaczy-
łem przed kilku laty namalowany czarną farbą ten sam półksiężyc, jaki wid-
niał na zielonym sztandarze Proroka, gdy zdobywano Bizancjum.

Złe wróżby? Nie, ale ciężkie myśli -

Trudno się oprzeć przygnębieniu na wieść, że wskutek niepomyślnego
przebiegu wypadków akcja podjęta w sprawiedliwym celu zakończyła się poraż-
ką. Wymoczeni latami rozkładu wartości, mieliśmy prawo do chwilowego zadość-
uczynienia, przynajmniej tym razem należała się nam dobra nowina. Zdawałoby
się, że tak jaskrawego triumfu zła Opatrzność nie poprze. Stało się inaczej.
Burza piaskowa, nieprecyzyjne przygotowanie, może czyjeś niedbalstwo, a może
po prostu nieobliczalny przypadek. (I oto wyjący tłum złorzecząc potrzasa
kijami, by pohańbić ciała zabitych. "Jak mogli je zostawić i odlecieć, nie
zabrać ich ze sobą?" Nie wiem, co się do tego przyczyniło, że zostawiono na
pustyni nie pogrzebane trupy żołnierzy. Nie umiem też odpowiedzieć na wiele
innych pytań. Krążą domysły o sabotażu /z ośmiu helikopterów trzy uległy
awarii?/, mówi się o niedoświadczeniu amerykańskiego dowództwa i słabości amery-

kańskiej demokracji wobec czelnego chamstwa totalizmów. Przemawia teraz gorczy rozczarowania po klęsce. Podobnie wyklina się reprezentacyjną jedenastkę piłkarzy, która przegrała mecz o puchar. Gdyby wygrali, obrzucono by ich kwiatami na lotnisku, teraz obarcza się ich winą za porażkę. Nie lubimy rozwinanych nitów, czujemy się wówczas oszukani. A jednak to my je tworzymy.

Amerykańska cywilizacja... amerykańska technika... amerykańska wynalazczość. To są rzeczy stwierdzone. Naturalnie, można mieć wątpliwości, czy cywilizacja amerykańska jest społecznym ideałem. Można zastanawiać się nad tym, jaka w ogóle powinna być cywilizacja. Zapamiętatem pogląd wyrażony przez Baudelaire'a; sądził, że oznaką prawdziwej cywilizacji nie jest para ani elektryczność, lecz zmniejszenie skutków grzechu pierworodnego. Zapewne autor "Kwiatów zła", gdyby żył dzisiaj, chciałby niechęć do technologicznej cywilizacji, jaką stworzyli Amerykanie. Europejski Zachód korzysta z niej i zarazem dostrzega jej niebezpieczeństwa. Ale w Polsce - i to jest z wielu przyczyn zrozumiałe - z perspektywy zagroźonej polskiej biedy nabiera ona kształtu doskonałości. Idealizuje się ją przez oddalenie i oczekiwanie. Czym się różni życie na Zachodzie od naszego życia - ach, tysiącem rzeczy! Lecz przede wszystkim jedną; że oni nie żyją w oczekaniu, że swego życia nie przeżyją w poczuciu istnienia za oceanem innej, lepszej rzeczywistości, która może kiedyś do nich przyjdzie. Oni po prostu żyją. Mają swoje życiowe cele i kłopoty, światopoglądy i religie, jeżdżą za granicę nie dlatego, żeby zobaczyć, jak wygląda prawdziwe ludzkie życie, tylko w interesach, albo jako turysty. Pracują, zarabiają, kupują. Tak żyją na co dzień. Nie w oczekiwaniu: w egzystencji. Pamiętam, że kiedy Janusz Minkiewicz wkrótce po wojnie wrócił z kilkutygodniowej podróży na Zachód i w Warszawie zarzucono go pytaniami, jak tam jest, odpowiedział: - Tam jest normalnie. - Wtedy jeszcze nie rozumiałem, jaka mądra to była odpowiedź.

Przyzwyczajam się /chyba od dzieciństwa?/ cywilizację amerykańską uważać za precyzyjną maszynę, która nie robi błędów. Częścią tej maszyny jest armia. Mimo przegranej wojny w Wietnamie zdawało mi się, że ekspedycja w celu odbicia zakładników, wyposażona w najnowocześniejszy sprzęt techniczny i opracowana przez wojskowych naukowców - jeśli nastąpi - nie może się nie udać. Dlaczego tak sądziłem? Czytatem przecież pamiętniki z II wojny światowej, których autorzy widzieli armię USA z bliska w czasie wielkich operacji i desantów na Sycylii, w Tunisie, w Normandii. Przedstawiają tę armię jako ogromną, racjonalnie zorganizowaną fabrykę ognia, najpotężniejsze przedsięwzięcie techniczno-transportowe. Ofensywę rozpoczynali dopiero przy dziesięciokrotnej przewadze materiału i paliw. Nie mając jej, cofali się natychmiast. Prawie nie ponosili strat w ludziach. Piechota amerykańska - tłumaczył mi stary dowódca wojskowy z dwoma krzyżami Virtuti au klapy ~~od~~ owej marynarki - kiedy szła na przód, nie miała już nic do roboty. Wchodziła w nieżywy teren, wszystko było przedtem załatwione przez koncentrację artylerii i bombowców. Widzi pan, to nie była armia wyczynowa. Zwyciężyła tony wyprodukowanej stali i skuteczność organizacyjna.

Dlaczego więc byłem zawiodziony i zdumiony, że wyczynić się nie udało? Co mnie skłoniło do przypuszczeń o sabotażu, o agentach obcego wywiadu w Pentagonie i dlatego okazałem taką wiarę w amerykańską zdolność bojową, skoro nieraz twierdziłem, że Stany Zjednoczone nie są krajem utalentowanym do wojny, jak Niemcy i Japonia?

Tak silnie pragnąłem, żeby się spełniła choć cząstka mego oczekiwania.

Chciałem dobrej nowiny, potwierdzenia mojej ufności w gwiazdzisty sztandar Ameryki Północnej, w armię boy-scoutów, ładującą na brzegu naszej półkuli, aby nas ocalić z potopy, w Amerykanów, którzy na swoją półkulę od dwóch stuleci przyjmują ludzi z naszej ziemi, uciekających przed nędzą i strachem. Ameryka... Amerykanie... Do dzisiaj jeszcze wymawiając te słowa widzę je spowite w romantyczną mgiełkę. Barki desantowe, które przybijały do normandzkich plaż także widzę w mgle świtu, i tych biegnących chłopców w hełmach. Wydaje mi się, że w owym upatrywaniu pojęcia, wizji Stanów Zjednoczonych jestem podobny do wielu ludzi w Polsce, łączą z tym krajem wniosłe przeświadczenia, mimo że zachowali pamięć, iż ten sam kraj przed

trzydziestu pięciu laty zdecydował o oddaniu Polaków pod dominację rosyjską. Mimo to.

Bo w duszy polskiej /nie tylko rosyjskiej!/ współżycia cechy sprzeczne, jakkolwiek nie jest to dusza opętana przez demony, a swoich rozdwojeń przeważnie bywa nieświadoma. Kiedy Wilek Mach wrócił z USA po dwóch miesiącach spędzonych w Detroit u sióstr, chłopskich emigrantek z Rzeszowszczyzny, kiedy przyjechał do Warszawy i opowiadał kręcąc dużą głową, że nie mógłby tam żyć, Słonimski zgromił go wzrokiem. Uznał to za przejaw komunistycznej propagandy. Nie rozumiał, że Wilek przeraził się napięciem wytwarzanego przez nowoczesną cywilizację, że nie zniósł psychicznie wyprzedzenia w czasie: poczuł się w Metropolis z science fiction i pod koniec pobytu bał się wychodzić z domu. Dobrze czuł się w Indiach.

Antoni nie wybaczył mu tych słów, które godziły w jego kodeks zasad. Był racjonalistą, walczącym liberałem, tepik wszelkie skrzywienia unyksowe i fałszywe wbijane do głów przez totalizm. Nie odstępował od swego kodeksu. Wady miał osobiste, ale zalety publiczne. Różnił się od Iwaszkiewicza, który potrzebę takiego kodeksu w ogóle nie odczuwał, zwłaszcza w swoim przyrodniczym, jak mówiono: "prawosławny" stosunku do władzy. Przypuszczam, że tu leżało źródło ich skłócenia, tak zacieklego i nieprzejednanego. Do śmierci nie pogodzili się ze sobą, tworząc jedną z antagonistycznych par /może nie ostatnią/ w polskiej literaturze, po Mickiewiczu i Słowackim, Prusie i Sienkiewiczu.

Czego nie mógł wybaczyć Machowi? Krytycznych słów, braku entuzjazmu dla cywilizacji amerykańskiej. Odtąd już nie chciał o nim słyszeć. Nie chciał też słyszeć, gdy mówiono o dyskryminowaniu Murzynów w USA, lub o tym, że prezydenta Kennedy'ego nie zamordował szaleniec Oswald, lecz zabili go Amerykanie. On, Antoni, który napisał piękny wiersz o polskim Prezydencie zamordowanym przez Polaków.

Rozmawiałem z nim o śmierci Kennedy'ego po moim powrocie ze Stanów w 1966. Będąc w Dallas chodziłem pięć razy na miejsce zamachu, między tunclem a budynkiem księżnicy. Miejsce przypominało odcinek trasy W-Z między Hipoteką a wiaduktem. Opowiadałem Antoniemu, jak nieznanymi przechodnie, nieszkanczy Dallas, wskazywali mi zieleniec za żywopłotem, twierdząc że stamtąd padły strzały, nie z okna księżnicy, w którym podobno widziano Oswalda. - Złotko - przerwał mi - to są brednie rozsiewane z Moskwy. Przeczytaj w New York Times raport komisji Warren'a. - Zrozumiałem, że naruszam zwartą całość jego przekonań, budowlę niewzruszoną, w której pewność, że demokracja amerykańska nie ma ciemnych szczelin, jest elementem konstrukcyjnym.

Pamiętam, że wtedy przez chwilę ogarnęła mnie zniecierpliwienie. Więc tak ma już być, zawsze w Warszawie trzeba wierzyć w doskonałość Zachodu, który o nas nie myśli, i przeczyć temu, o czym myśli naprawdę? Jak długo można dać się sobie samemu oszukiwać?

A jednak... równocześnie gdzieś pod spodem rozumu ja także wierzyłem. No tak, wierzymy głupio, że w społeczeństwie amerykańskim przetrwały kwakierskie zasady, które czuwają nad światem i co kilkadziesiąt lat ratują go od stoczenia się w otchłań. Ich usymbolizowaniem są postacie szlachetnych prezydentów. Taką postacią był Woodrow Wilson, takim prezydentem jest Jimmy Carter.

W dzienniku telewizyjnym pokazano go, kiedy przemawiał w Kongresie. Miał zmartwioną, postarzałą twarz. Jutro wyjeżdża do Texasu, by odwiedzić w szpitalu swoich żołnierzy rannych w zderzeniu się samolotów. Sekretarz stanu, jeden z jego głównych doradców, przeciwny akcji odbicia zakładników, podał się do dymisji. Przyglądając się twarzy prezydenta na ekranie TV pomyślałem, że musi być człowiekiem pewnym trochę naiwnym. Tacy Amerykanie, synowie purytańskich kaznodziej i kaznodziejów, mają głęboko wpojone przeświadczenie o zdrowej naturze człowieka i wynikających z niej cnotach społecznych. Stojąc się politykami i mężami stanu sądzą, że ich antagoniści lub partnerzy na drugim krańcu świata są do nich podobni w tym względzie. Po czym doznają szoku w zetknięciu z ich moralnym nihilizmem. Dla nas to jest naiwność. Myślimy wówczas: nic nie rozumieją, bo nie mają naszych doświadczeń, nie wiedzą, czym jest człowiek, bo oszczędzone im były najcięższe próby, jakim go

poddawano. W głębi duszy czujemy wyższość i uważamy ich za głupszych od nas, nie uświadamiając sobie, że powinniśmy tę naszą nieszczęsną wyższość czym prędzej usunąć z myśli. To oni mają wyższość nad nami - właśnie dlatego, że nie przeżyli naszych piekieł. Właśnie dlatego. W tym są lepsi od nas, że nie poznali zła, któremu my podlegamy. U nich dla udowodnienia prawdy wystarczą świadkowie, u nas, by udowodnić prawdę, trzeba ofiar. Oni żyją od wieków w demokracji. Demokracja znaczy między innymi to, że oszczędza się człowiekowi najekrutniejszych prób. Słusznie zakładając, iż są one ludziom niepotrzebne, a wiedza o nich poniżająca, demokracja unika starych rzeczy, w którym człowiek byłby na nie wystawiony. Póki nie zatriumfuje cynizm barbarzyńców.

Pod jednym względem mamy bądź co bądź przewagę nad nimi. Oni u siebie zdobyli tyle wolności /nie wiedzą o tym!/, że mogą ją zamienić jedynie na niewolę. My natomiast, nam wolność zawsze prześwituje w marzeniach, my jej pragniemy, czekamy na nią, i w tym nasze górowanie, i może tylko to czyni nas lepszymi od nich. Nie uświadamiamy sobie tego - ani oni, ani my.

Patrzę w telewizor i zastanawiam się, czy ten prezydent o małych stopach i chłopcym uśmiechu będzie w historii USA dobrym prezydentem. Pocięszam się: z pewnością nie stacza go grono złych współpracowników. Któryś z dawnych myślicieli napisał przed wiekami: "Lepszy zły władca otoczony przez dobrych współpracowników, niż dobry otoczony przez złych. Dobrzy współpracownicy mogą uczynić złego władcę dobrym. Zli - dobrego mogą uczynić złym."

Ale kto to napisał, gdzie i kiedy? Cytat znalazłem na luźnej kartce między stronicami brulionu. Machiavelli?... Tacyt?... Nie zanotowałem.

Wczorajszej nocy sen: że Jarosław po śmierci żyje w Nieborowie, w parku, gdzie kazano mu być jedną z tantejszych "bab" kamiennych, przywiezionych z Ukrainy. We śnie Nieborów był poplątany ze Stawiskiem.

maj

Piątek. Dziewiąty maja. Trzecia zbiorowa głodówka. W Leśnej Podkowie, w kościele, na znak solidarności z głodującym w więzieniu mokotowskim założycielem NOWEJ Mirosławem Chojeckim i - w więzieniu gdańskim - Dariuszem Kobzdejem, ciężko pobitym przez milicję. Głoduje trzynastu osób, w tym członkowie KOR-u i Ruchu Obrony Praw.

Przed dwiema godzinami podała tę wiadomość radiostacja WE. Jest 10 rano. Trzydzieści pięć lat temu skończyła się wojna. Zaczęłam dziś od nowej kartki w bloku.

Co robiłem, co się działo przez sto pięć dni, odkąd ukończyłem pierwszy tom "Miesiący" - nie wszystko zapisywałem. Wymieniam od końca:

25 marca. Aresztowanie Chojeckiego. Przed tygodniem omawiał ze mną sprawę wydania "Miesiący". Spokojny, z uśmiechniętą czujnością w oczach. Okolona płowym zarostem twarz, mizerna, znękana. "Za sześć tygodni prześlemy panu maszynopis do korekty". Niewiarygodna uprzejmość i elegancja człowieka szczonego od lat przez policję. Zaniedbany wygląd, ręce poplamione jakąś farbą.

19 marca. Ekstrakcja siedmiu zębów w przychodni stomatologicznej na Freta. Bez zastrzyku. Wyrwano mi je o 8-ej. o 12-ej zwrócono co do jednego. Prawie identyczne. Dentystka: - Dzielny pacjent. - Mądre niebieskie oczy i palce delikatne, silne.

Marzec, bez daty. Przedśmierty dziennik Stachury w "Twórczości". To, co o Stachurze wcześniej pisałem w "Miesiącach" - jeżeli z pobłażaniem czy lekceważeniem - cofam wszystko. W pokorze i strachu, lewą ręką kroślił ókówkiem swoje zapiski przed drugim samobójstwem. I w nich pełen miłości obraz cudowny jego matki, pisany z taką skruchą. Chory ptak boży, męczennik. Czyta się te kartki jakby łamiąc dyskrecję, nakaz milczenia w obliczu śmierci. Miałem uczucie, że podsłuchuję spowiedź umierającego.

12 marca. Podpisałem list grona pisarzy do Akademii w Sztokholmie, wysuwający kandydaturę Czesława Miłosza do nagrody Nobla.

1 - 10 marca. Lektura "Dziennika" Gide'a. O starości napisał: "Trudniej podnieść szklankę do ust, ale też ma się mniejsze pragnienie". A nieco dalej

opisuje swoją noc mikołajską z piętnastolletnim Arabem. Miał wtedy 70 lat.

2 marca. Telefon od Andrzeja Kijowskiego z wiadomością o śmierci Jarosława. Na dzień przedtem, leżąc w nowej, złocistej piżamie, powiedział do córki: "Ładny będzie ze mnie aniołek, prawda, tak?"

Luty. "The Fifth Business" Roberta Daviesa. Jedna z ostatnich prawdziwych powieści. Przysłał mi ją Hilary Koprowski z Filadelfii, mój kolega szkolny, biolog, pianista, współwynalazca szczepionki przeciw chorobie polio. W gimnazjum tłumaczył Rilkego. Powieść Daviesa ukazała się podobno kilka lat temu w polskim wydaniu, recenzenci prawie jej nie dostrzegli. W tym samym czasie: "Kościół wczesnego średniowiecza" Daniel-Ropsa, gdzie autor przytacza słowa św. Augustyna: "Noverim me, noverim te" / "Jeśli poznam siebie, poznaj ciebie". Półtora tysiąca lat temu rozumiano już etycznie-poznawcze znaczenie samoświadomości. A mnie się roiło, że dopiero ja w sobie je odkrywam. Często o tym mówiłem i pisałem.

Także w lutym. Powiedzenie taksówkarza urągającego mu rząd, kiedy jechałem do stacji obsługi Renault na ulicę Bema: "Proszę pana, Hitler mordował, zabijał, ale dawał życie". Gdybym na własne uszy nie posłyszał, wziąłbym to za makabryczną anegdotkę.

W sobotę /luty, nie pamiętam dnia/ na przyjęciu u Wiktorów z recytacją mi Haliny poznałem wnuczkę Piłsudskiego.

Styczeń. Ponowny wysiłek przeczytania "Ulissesa" Joyce'a. Nie przebrałem. Czy kiedy się nie okaże, że ten arcynowator jest dziełem powstałym z wynaturzeń zachodniej kultury, wielkim polipem literackim. Smakosze kulinarne uwielbiają polipy. Przeczytałem także "Dziennik" Anais Nin, wraz z entuzjastyczną przedmową Zbigniewa Biedkowskiego. Nie pojmuję. Jak to się dzieje, że egocentryczkę o wysztuczonych krygach przecieusy inteligentni ludzie stawiają w rzędzie klasyków literatury.

20 stycznia. Całkowicie pewna informacja dotycząca sprowadzenia zwłok Witkacego ze wsi Jeziory, obecnie na terytorium ZSRR. Iwaszkiewiczowi po wielokrotnych staraniach zakomunikowano kategoryczne "nie" sowieckiej ambasady. Opowiadał o tym mojej informatrice. Chodził przypuszczalnie o datę śmierci: Witkacy podciął sobie żyły 17 września 1939. Przekazałem wiadomość Gustawowi Cz., który prosił mnie o to jeszcze przed nowym rokiem będąc w Warszawie.

Styczeń, początek miesiąca. Cytat z Szekspira: "Hardness ever of hardness is mother". Można by to przełożyć: "Surowość jest matką dzielności". Wolaliby jednak: "Odwaga jest matką odwagi".

Powinienem jeszcze się cofnąć z powrotem do lutego. Nie umiem sobie przypomnieć ścisłej daty, ale chyba pod koniec lutego odbył się mój wieczór literacki w Towarzystwie Kursów Naukowych. Odbył się w sposób niebanalny. Przez wiele lat unikałem spotkań z czytelnikami w klubach Prasy i Książki lub Domach Kultury /teraz już mnie nie zapraszają/, tych spotkań organizowanych, będących w istocie formą zastępczą, namiastką prawdziwej dyskusji między społeczeństwem a pisarzem. Z góry można wszystko przewidzieć: zagajenie, treść pytań i wiązkę goździków wręczoną przez kulturalną i oświatową panią. Ale mój wieczór na Latającym Uniwersytecie odbiegł od zwykłego rytuału.

Już rano, kiedy wyszedłem z domu, od razu poczułem na sobie wzrok moich czytelników. Poczułem go na plecach. Szli za mną przeciwnym chodnikiem, trzymając się blisko ukraińskiej wycieczki zwiedzającej najstarszą dzielnicę Warszawy. Kiedy zwolniłem kroku, oni także zaczęli iść wolniej. Było ich trzech, jeden w pikowanej fufajce, z wesoło zadartym nosem, uśmiechał się do mnie. Przystanąłem, oni też przystanęli. Oglądali witrynę sklepu z paletkami, rzucając mi porozumiewawcze, życzliwe spojrzenia. Zrozumiałem, że chcą, a tym ich spostrzegł - że mam się domyślić, po co za mną idą. Mój wieczór był wyznaczony na godzinę 17-tą. Powinienem od rana mieć pewność, że moi czytelnicy są o nim uprzedzeni i przyjdą niezawodnie.

M. była w sklepie na rogu Długiej. Wstąpiłem po nią, mieliśmy przed południem jeszcze pojechać na Żoliborz. W pobliżu Świętojerskiej obajrzaliśmy się nieznacząco ze siebie. Moich czytelników było teraz pięciu. Zerkając na mnie szli tuż za kołchozową wycieczką. W swych kurtkach i paletkach, z go-

zymi głowami /jeden długowłosey, z dzinsową torbą na ekler/, odróżniali się wyglądem od krótkonogich radzieckich chłopów w ogromnych futrzanych czapach. Kiedy M. skręciła w Bonifraterską do "Delikatesów" po zakupy, a ja zostałem czekając na rogu, moja piątka rozdzieliła się. Dwóch poszło za M., trzech przystało niedaleko mnie po drugiej stronie jezdnii.

W kwadrans później wsiedliśmy do samochodu. Nikt nie pojechał za nami.

Wieczór miał się odbyć w mieszkaniu państwa B. na ulicy Bednarskiej, w dole, przy rynku Mariensztackim. M. postanowiła mi towarzyszyć. Denerwowała się o mnie. - Jeżeli cię zatrzymają, wolę być przy tym. - Jest wpół do 5-ej. Idziemy, trzymam w ręku zwinięte w rulon kartki. Dwóch czytelników oczekuje nas przy schodach pod spisem lokatorów. Na nasz widok zaczynają głośno rozmawiać o czyjejs kuzynce. Wychodzą za nami. Nie oglądam się, idziemy Piwną, później Krakowskim Przedmieściem koło św. Anny i Res Sacra Miser. Ruch po godzinach biurowych, dużo ludzi na przystankach, tłok w sklepach. Opowiadam M. o Anais Nin i jej dziwacznych związkach z pisarzem Henry Millerem. Skręcamy w Bednarską. Przed bramą, za okazałym budynkiem dawnego zamku, grupa mężczyzn o wyglądzie bokserów wytacza się na chodnik bluzgając ściankami. Wśród nich krępy, pakawaty blondyn, twarz cała w szramach i krostach, jakby czerwonoskóry, z alzackim owczarkiem na smyczy. Trzeba ich obejść jezdnią.

Z odległości stu kroków widzę w dole ulicy naryżny dom, obstawiony przez wielbicieli mojego talentu. Przyjechali. Dwa osobowe Fiaty i Nysa z białym znakiem MO. Przed domem stoją między ludziami z nadawczo-odbiorczymi radyjkami, chyba podchorążowie służby bezpieczeństwa, ubrani w konfekcję z "Juniora"; między nimi kręcą się ukosmetykowane dziewczyny w czapeczkach zsuniętych na oczy. Zbliżamy się powoli. Spostrzegam profesorów Amsterdamskiego i Geremka, idących ku nam od placu. Dowiaduję się od nich, że u państwa B. jest milicja. Równocześnie nadchodzi Wiktor z Ryszardem Krynickim. Wiktor w berecie, pobladły ze wzburzenia. Woła do mnie: - My jesteśmy już p o! w mieszkaniu rewizja! - Przybywa jeszcze małżeństwo naukowców, państwo Sławińscy, i Jacek Bocheński z nieśmiałym poetą, Andrzejem Szmidtem, który o moim wieczorze dowiedział się na obiedzie w Klubie. Pojawia się też długi, wąski historyk w okularach, docent Jedlicki.

Decydujemy, iż mimo wszystko pójść trzeba. Jest za parę minut 5-ta. Dwie osoby zostają, by ostrzec i zawrócić studentów. Przechodzimy obok policyjnych samochodów, między ludziami nas nie zatrzymują. Idziemy całą grupką. Na schodach M. wzięła ode mnie rękopis i schowała do torby.

Na górze u państwa B. dowody osobiste zbierał od nas trzydziestoletni cywil o szczupłych rękach z meszkiem /granatowy golf pod dobrze skrojoną pielatą marynarką/, z wależjańską smugą puchu wokół twarzy i jasnoszarymi oczami, nieco skośnie osadzonymi blisko nosa. Miał zawieszony u boku radioaparat z antenką. Poruszał się cicho, sprawnie. Obserwując go przypomniałem sobie opis męskiej postaci "z twarzą lisa, który zdradził swój gatunek i poluje z ludźmi".

Rewizja - w języku Urzędu p r z e s z u k a n i e - trwała już w sąsiednim pokoju. Nas trzymano w większym, podobnym do obszernej mansardy. Ładne stare meble, pod ścianą stół owalny, teraz zasłany papierami. Przy nim urzędniczka Rady Narodowej spisująca nasze personalia. Miejsce pracy, zawód. W odpowiedzi padają nazwy uczelni i instytucji: Uniwersytet Warszawski, Akademia Nauk, Instytut Badań Literackich, oraz stopnie naukowe: profesor, docent, adiunkt. Dwie kobiety z tytułami profesorów, wylegitymowane przed naszym przybyciem, funkcjonariusz kierujący akcją prosi o opuszczenie lokalu. Gospodarze, dwoje niemłodych ludzi z dawnej inteligencji, odprowadzają je do drzwi, przy których stoi milicjant w czapce z rzenykiem pod brodą. Ktoś pyta, czy można zatelefonować. Nie, to nie dozwolone. Gospodarz, siwiejący pan, głęboko zażenowany, częstuje nas papierosami z domowej szkatułki. Co jakiś czas w radiodziurkach brzęczą głosy nadawane przez obstawę z dołu.

Mężczyźni z radioaparatem u boku wręczamy oboje z M. nasze dowody. Przy stole chwila wahania, jak gdyby namysłu. Kierownik akcji podchodzi do mnie. Oznajmia, iż przeszukanie lokalu zarządzono z nakazu prokuratora i je-

śli życzą sobie, mogą być nadal obecny w charakterze świadka. Wtedy odzywa się protokołująca urzędniczka, wskazując na kogoś z wasami, siedzącego pod ścianą za stołem: świadkiem zgodził się być sąsiad państwa B. Pytam, czy ma na się zapoznać z uzasadnieniem i celem rewizji. Na co kierownik, oficer Komendy Stołecznej MO /tak mi się przedstawił/, oświadcza, że nie jest to możliwe. Mówiąc spogląda na mnie uważnie, z niejaką ciekawością i leciutkim pół- a może ówieraćusniechem w ostrobłkitych tęczówkach. Nie mógłbym go określić jako człowieka odpychającego. - Skoro przybyli tu państwo z wizytą towarzyską, możecie państwo wrócić po zakończeniu przeszukania. To mnie zdziwiło. - Pytam, czy dobrze zrozumiałem. - No, to są żarciki... - mruknął stojący obok mnie docent Geremek.

Zwrócono nam dowody, wychodziny. W przedpokoju żegnają nas gospodarze, pan i pani B.

Prawie cały czas tych formalności czułem wpity we mnie wzrok milicjanta postawionego koło drzwi. Był to zupełnie młodziutki milicjant. Wyglądał no wiejskiego chłopca: cienki, wysoki, mocno rumiane policzki i ciemne oczka jakby znieruchomiłe w wysiłku rozumienia. Nie spuszczał ich ze mnie. Opowiedziano mi później, że dr Sławińska, wychodząc przed nami, gdy już zapisało jej dane personalne, spytała go, czy wie, że miał się tutaj odbyć mój wieczór literacki i czy zna moje książki. Wtedy milicjant jeszcze bardziej spąsowiał: - A pani myśli, że milicja nie czyta? Na szkole było mówienie o książkach pana Brandysa. - No i widzi pan, przeszkodziliście mu dziś w spotkaniu z czytelnikami. - Proszę pani - zdenerwował się milicjant - ja tu jestem służbowo z dzielnicy. A musi pani przyznać, że zachowuję się grzecznie.

Na dole obstawa nas przepuszcza, markując całkowitą obojętność. Również tu burczą głosy w odbiorniczkach. Czekamy na placu, aż zwolni innych po wylegitymowaniu. Nadchodzi Jacek Bocheński, za nim Andrzej Celiński z rady programowej TKN-u, wreszcie ironicznie skrzywiony dr Jedlicki. Brak jeszcze doktora Geremka. Wyłania się po dłuższej chwili zza milicyjnej Nysy, krocząc lekko, z jasną bródką wysuniętą do przodu. Miał ze sobą oficjalny skrypt uniwersytecki, nie zgodził się go okazać, chciano go poddać osobistej rewizji. Kiedy zażądał sporządzenia oddzielnego protokołu, urzędniczka krzyknęła z rozpaczą: - Panie profesze, ile będą miała pisaniny! Niechże pan da spokój, bardzo proszę! - Wtedy profesor Geremek ulitował się i okazał skrypt.

Wracamy o zaroku Krakowskim. Zapalają się światła autobusów. Fala pieszego ruchu zdąża w stronę kawiarni i kin. W "Warsie" idzie francuski dramat psychologiczny, na Starym Mieście przeblyskują czerwone wnętrza knajpek. Dopiero teraz poczuję zmęczenie. Po drodze M. wyciągnęła mój rękopis z torbki. - Masz, chyba się nie pogniótł.

W domu wypijamy z Jackiem cztery koniaki i - rozmowa o tym, co się nam przydarzyło. Można by nawet użyć epitetu "jeszcze jedna z naszych wspólnych przygód"... Mówię, że zapadł mi w pamięć milicjancik stojący przy drzwiach, ten z oczkami utkwionymi w nas jak para gwoździ. Musiał przeżywać trudne chwile, bo ujrzał rzecz niepojętą: ludzi, którzy wiedząc, że dom obstawiło bezpieczeństwo, a w mieszkaniu odbywa się rewizja, weszli zamiast się cofnąć. Pewnie strasznie go zdumiał ów dziwaczny, odrośny, wręcz anormalny refleks docentów i profesorów. /Nazajutrz dowiedziałem się, że identyczny od-ruch przejawili spóźnione o pół godziny panie profesor Janion i Żmigrodzka; weszły na Górę/.

Zastanawiam się: co on teraz myśli, albo co jutro pomyśli, ten chłopak w sztywnej czapce, który tak usilnie wbijał w nas spojrzenie. Tak, wbijał w nas spojrzenie, ale w niego wbijali instrukcje na odprawie. Ile lat był "na szkole"? Rok, dwa? Dwa lata wbijania policyjnej nowomowy w mózg.

Nowomowa -

Rozważając działalność TKN-u, a właściwie jej dławienie i paraliżowanie, opowiadam o zeszłorocznym konwersatorium TKN, z ciekawą dyskusją, którą później opublikowano - konwersatorium czy seminarium w dwupokojowym mieszkaniu profesorskim, gdzieś w blokach na dalekim osiedlu, dokąd zawiózł mnie Andrzej Kijowski w zimny, mokry wieczór. Dwadzieścia kilka osób i magnetofon obsługiwany przez studenta przykucniętego ze słuchawkami na uszach. Tematem był

język propagandy. Nie zabrakłem wtedy głosu, czułem się do dyskusji słabo przygotowany - wolałem słuchać niż przemawiać. Ale teraz, kiedy streszczam ją M. i Jackowi, dopiero teraz sobie uświadamiam, dlaczego nie wziąłem w niej udziału.

Dyskusja była interesująca, chwilami - jak piszą dziennikarze - błyskotliwa, lecz poszła w jednym kierunku: analizy lingwistycznej. Naturalnie, z odgałęzzeniami w stronę polityki i socjologii; np. któryś z mówców przytoczył zdanie Szestowa, że komunizm jest "władztwem" słów. Niektórzy z przemawiających usiłowali wyjaśnić związki pomiędzy nowomową a myśleniem i odpowiedzieć sobie na pytanie, czym jest w istocie ów język urzędów, działaczy partyjnych, środków masowego przekazu: językiem władzy? żargonem totalizmów? powielanym zбочeniem umysłowym? Dyskusję ubarwiły absurdalne cytaty z gazet i przemówień, często też brzmiał w niej pogłos lektur "Języka Trzeciej Rzeszy" Klemperera.

Czego mi w niej zabrakło - refleksji historycznej? Powiedzmy inaczej: próby diagnozy porównawczej w celu ustalenia, czym jest nie tylko ów język, lecz system, który go wytwarza. Twierdząc, że jest częścią systemu imperium, i przedstawiam moją teorię, według której imperia militarne dzielą się na teokracje oraz biurokracje. Proszę, by obydwą wyrazy umieścić w cudzysłowie i wyłączyć z mojego podziału Stany Zjednoczone czy dawną Wielką Brytanię, jako imperia cywilne /także w cudzysłowie/. Teokracją był Egipt faraonów, Islam Średniowiecza, Cesarstwo Bizantyńskie, Biurokracjami - Rzym cesarów, monarchia Habsburgów czy Francja Ludwika XIV. Trzecia Rzesza Hitlera, Chiny Mao Tse-Tunga i leninowsko-stalinowskie imperium sowieckie były według mnie teokracjami. Każda z owych machin imperialnych, mówię, posługiwała się swoim językiem władzy, umownym, zrutynizowanym. Jakkolwiek dla nas dzisiaj pozbawione sensu lub niekomunikatywne, wszystkie te "staro- i nowomowy" były oparte na jakimś sakralnym pojęciu: Boga, Dynastii, Rasy, Proletariatu... Warto by więc sobie przypomnieć, w jakim stylu pisane były orędzia do wiernych narodów Cesarsko-Królewskiej Austrii, lub - o ile przetrwały - dokumenty rzymskich kancelarii cesariańskich. I zbadać ich język, porównać go z matrycami dzisiejszej "nowomowy". Należy i w końcu powiedzieć sobie, czym jest obecne imperium radzieckie, któremu podlegamy, jak kraj żydowski za Herodów podlegał Rzymowi - czym jest więc ZSRR Leonida Breżniewa i jego politbiura, supermocarstwo, którego językiem urzędowym przemawiają ministrowie, prasa i telewizja w Polsce. Teokracją na pewno już nie jest. Upieram się, że odpowiedź na takie pytanie byłaby rzeczą ważną, bo po pierwsze zawsze lepiej wiedzieć, gdzie się żyje, a po drugie - i tu rozwijam teorię - owe dwa rodzaje imperiów wstrząsane są odmiennymi katastrofami i każde w inny sposób upada. W moim przekonaniu teokracje powala cios zadany z zewnątrz, biurokracje zaś umierają z wewnętrznego gnicia. Warto by więc, powtarzam, zasiąść do językowych badań porównawczych, albowiem -

Tak rozmawiamy. Niestety, przede wszystkim pamiętam to, o czym sam mówiłem, wpadłem zresztą w monolog; widocznie moje spotkanie z czytelnikami ożywiło mnie intelektualnie. Około 9-ej dzwoniły na Bednarską. Telefon przyjął gospodyni, pani B. Właśnie przed chwilą zakończona rewizją. Oczywiście rewizja była tylko pretekstem.

Co do tego żadnych wątpliwości. Rewizję zaprzędzono po to, aby nie dopuścić do sesji latającego Uniwersytetu. Kolejne posunięcie w celu udaremnienia pracy samokształceniowej TKN. "Skoro przyszli tu państwo z wizytą towarzyską..." To, że mój wieczór miał się odbyć, i kiedy, dzień, miejsce, godzina, wszystko było wiadome, mówiło się o tym na Uniwersytecie, w IBL, i w Klubie. Nowa metoda utrzymuje pozory praworządności i obraca przeciw TKN zasadę jego działania: jawność. Metoda - przyznajmy - ofiarna. Zmobilizowano spory oddział ludzi, samochody, wyposażenie techniczne, więcej - operację z pewnością musiano przemyśleć. Komenda Stołeczna, Prokuratura, Rada Narodowa... Ile godzin, kosztów i energii zużyto, by stawić czoła garstce naukowców i studentów. Kiedy przeprowadzono u mnie rewizję przed wojną, był tylko jeden tajniak i jeden policjant plus dozorca. Nie tylko my zdobywamy doświadczenia i uczymy się nowych sposobów życia. Nasza policja także.

W kwadrans po wyjściu Jacka krótki dzwonek u drzwi do mieszkania. Oboje z M. zrywamy się od stołu. - To ciekawe - mówię idąc otworzyć.

W sieni przed drzwiami stał wysoki chłopak. Wymienia moje nazwisko. Czarnymi oczami przygląda mi się pilnie i raptem widzę: ależ to mój mili-ejantik z Bednarskiej... przebrał się w kożuszek i dżinsy! Dopiero gdy mi podałam owinięte w celofan kwiaty, zwątpiłem, czy tanten potrafiłby się uśmiechać z tak inteligentnym błyskiem oczu. Ale naprawdę był niezwykle podobny. Student historii - może jeden z ostrzeżonych przed wejściem na górę. Do celofanu przypięte trzy wizytówki od trojga wykładowców. Irysy, gerbery i kilka skreślonych słów: "Na pamiątkę niedoszłego wieczoru..."

Opisuję wstecz, z opóźnieniem dwóch i pół miesięcy. Gdybym był pisarką na żywo, w trakcie jak się działo, pewnie krócej by wyszło.

Z kwietniowego pobytu w Oborach najlepiej zapamiętałem popołudnie, kiedy odwiedzili nas Iza i Bohdan Tomaszewscy z dwoma Minkiewiczami, Januszem i Władkiem. A zwłaszcza opowiadanie o wagarach na procesie brzeskim.

Była to swobodna, zupełnie odprężona rozmowa w naszym dużym pokoju, przy otwartych oknach pełnych światła, jak gdyby luźna tkanina, w której spleły się wątki Dwudziestolecia, wojny i pierwszych lat po wojnie. Twarze młodych kobiet, dzisiaj umarłych albo dożywających starości gdzieś za Oceanem, i kolegów szkolnych, którzy zginęli lub stali się uczonymi, politykami, managerami zagranicznych koncernów, nazwy przedwojennych kawiarni, ulic, sklepów i letnie przedpołudnia na basenie "Legii" - wszystko nagle i razem wyłoniło się z zaświatów przedpamięci. Obaj Minkiewiczowie, bracia stryjeczni, byli uczniami gimnazjum Ziemi Mazowieckiej na ulicy Klonowej. - Pamiętasz - mówi Władek - jak urwaliśmy się z klasy na proces brzeski? Zobaczył nas Rataj, przyszedł zeznawać w obronie posłów, jako marszałek sejmu. Wieczorem zatelefonował do twojego ojca: - "A tak, widziałem obojgu. Wagarowicze! Siedzieli sobie wśród publiczności i na mój widok zasłonili się "Tajnym Detektywem"!"

Ja także ich zobaczyłem. Dwóch krótko ostrzyżonych szóstoklasistów z przedziwkami i niebieskimi patkami na kłapach marynarki, pochylających głowy za płachtą "Tajnego Detektywa", żeby ich nie rozpoznał przyjaciel stryjaka ojca. Szczególnie, dlaczego akurat ten epizod nabrał dla mnie tyle powietrza i barwy, że poprzez niego zobaczyłem tante lata, ich nastrój, światło, zapach? Żaden film w technicolorze nie zdołałby tego osiągnąć. Niekiedy bywa podobnie z płótnami starych mistrzów. Jakaś scenka w głębi, drobny szczegół tła, mówią więcej, oddają prawdę czasu - tworzą obraz.

W tej dwugodzinnej rozmowie sprawiło mi przyjemność coś jeszcze, co uświadomiłem sobie dopiero nazajutrz. Sposób mówienia, dykcja. Był to inny od dzisiejszego rodzaj akcentacji i wymawiania głosek. Te fonetykę polszczyzny ubiegłych epok zachowała dziś tylko część inteligencji. Cechuje ją chyba staranniejszy dotyk języka do podniebienia i zębów przy spółgłoskach. Różnice między cz, sz, ż a ć, ś, ź nie są zacierane, podobnie jak między i - y oraz l - ł. Ktoś użył na to określenia "luźniejszy munsztuk", określenie aktorskie. Ale ma się rozumieć wchodzi też w grę odmienna melodyka, głębiej umieszczone źródło głosu, a prócz tego bogatszy zasób słów i rozbudowana składnia.

W sobotę wypuszczono z aresztu Chojeckiego. Nastąpiło to w kilka dni po walnym zebraniu warszawskim Związku Literatów, na którym większość mówców domagała się jego uwolnienia. Stu kilkunastu pisarzy skierowało list do Zarządu Głównego z żądaniem niezwłocznego wszczęcia kroków u władz. Prezydium Zarządu na mocy jednomyślnej uchwały takie kroki podjęło. Zwolnienie Chojeckiego było niewątpliwie bezpośrednim skutkiem listu, zebrania oraz narastającej fali protestów w innych środowiskach. W sobotę przed południem do Obór przyjechał młody filozof z wiadomością o dwustu kilkadziesiąciu podpisach złożonych pod protestem naukowców w sprawie Chojeckiego. Zgodziłem się - w wypadku gdyby nie znaleziono lepszego kandydata - opatrzyć ich tekst tzw. listem przewodnim i wysłać do Sejmu, Rady Państwa oraz Prokuratury Generalnej. Po godzinie w czasie kolacji wzywają mnie do telefonu. Słyszę głos filozofa, który dzwoni już z miasta: - Sprawa nieaktualna, chłopak jest w domu! - Wzruszenie, ulga.

Ale dotychczas nie wypuszczono innych, którzy siedzą w Warszawie i Gdańsku. W Podkowie Leśnej liczba głosujących w kościele powiększyła się do 24 osób. Wraz z innymi dołączył się krytyk literacki Tomasz Burek i Ryszard Krynicki, poeta. Burka widziałem ostatnio pod koniec zeszłego miesiąca w Klubie przy szatni /na nowo zapuścił długie włosy/, a Krynickiego w lutym, przed moim występem na Bednarskiej. W małych kościele głośnia przy dźwiękach gitar i śpiewów - "nabożne tanga", jak mówi Halina - z chóru śpiewa im pieśni uczestniczka głódówki Róża Woźniakowska, córka pisarza.

Cztery, pięć lat temu dziennikarze zagraniczni stawiali mi nieodmiennie pytanie: jaki program i jaki cel i jakie szanse ma ruch wolnościowy w Polsce - do czego politycznie zmierza? Nie syciły ich moje odpowiedzi. To było wkrótce po założeniu KOR-u, w dniach zbierania składek dla rodzin więzionych i bitych robotników z Ursusa i Radomia. Nie istniały jeszcze Studenckie Komitety Solidarności, TKN ani NOWA. Przypominam sobie, że na jakiś czas przedtem w mieszkaniu prof. Lipińskiego zeszło się kilkanaście osób. Radzono, co czynić dalej. Nie byłem zwolennikiem utworzenia stałego komitetu, sądziłem, że bardziej skuteczne będą akcje inicjowane doraźnie, zależnie od zmiennych sytuacji - działania o charakterze niejako partyzanckim. Tak jak prowadzono je dotąd w środowisku literackim. Natrafiłem jednak na opór paru młodych ludzi, wśród nich Chojeckiego. Pierwszy raz go widziałem. Profesor Edward Lipiński od lat jest kolekcjonerem zabytków i dzieł sztuki. W pokoju zabezpieczonym antycznymi meblami, pucharami i szyszakami Chojecki uzasadniał swój sprzeciw. Obstawał przy stworzeniu ciała organizacyjnego, twierdził, że apele i podpisy nie wystarczą. Dlaczego - zapytałem. Wstał i wytłumaczył. Żony i matki aresztowanych robotników boją się przyjmować zasiłki z niewiadomych źródeł, ich nieufność można by jednak rozprószyć powołaniem się na założony w tym celu komitet społeczny, z nazwą, z pieczęcią. Nie przekonał mnie wówczas. Ale zjednał. Tym mianowicie, że przeciwstawiając się mojej opinii /podzielała ją zresztą więcej osób, Andrzejewski, Kijowski/, że występując zdecydowanie i twardo, przez cały czas patrzył na mnie żartobliwym spojrzeniem, jakby nieco figlarnie, i mówił ścisłym, miękkim głosem, z pewnego rodzaju kurtuazją. W trzy dni później dowiedziałem się, że powstał KOR.

Jakiej odpowiedzi mogłem lub powinienem być udzielić norweskim i angielskim dziennikarzom? Program, cel polityczny... szanse! W ogóle nie miałem takich odpowiedzi w głowie. Szusniej byłoby wrzucić ramionami - podobnie zrobił to Jerzy Andrzejewski - albo wyjaśnić, że studenci uganiający się za pieniędzmi dla rodzin aresztowanych, to chłopcy, którym milicja groziła skrytobójstwem, że właśnie oni stanowią naszą szansę. Nie, nie miałem żadnego programu. Widziałem jednak, co się dzieje w mojej dziedzinie, jak ją utrudnia cenzura i administracja. Czuję, że nie potrafię być głępszym od siebie, pisać i myśleć połową świadomości, tę dozwoloną przez Urząd Kontroli. A to już należy do opozycji. Zdaje się, że nazwę "dysydenci" wymyślili paryscy dziennikarze. Byłem więc dysydentem i chcąc nie chcąc dowładywałem się, jak dysydentem się żyje.

Były to pierwsze miesiące po powstaniu KOR-u, okres anonimów i pogroźek. Tajniacy i konfidenci zabrali się do roboty. U Marianów nie ustawały telefony: "Podobno pani Mikołajskiej płacą w dolarach, chętnie bym odkupił..." Wsypywano metalowe opilki do zamków u drzwi, przez okno do pokoju Mariana wrzucono zgniłe jajka, a któregoś dnia wtargnęła do mieszkania gromada mężczyzn, podających się za delegację klasy robotniczej; stojąc nad kółkiem wygrażali Halinie, chorej tego dnia.

O, metody były nader urozmaicone! Prezerwatywa w przesyłce pocztowej, nadanej na adres starej, czcigodnej pani, anonimy z obscenicznymi rysunkami, zarobaczone kachy w paczce z wetkniętym świstkiem: "Jedzieź dla rodzin z Ursusa"; życzliwy list od pułkownika z Warszawy, który - pełen uznania dla moich książek - przekonywał mnie, iż nie powinienem ufać agentom pokroju Adama Michnika, uciekającym na Zachód po to, aby bezcześcić imię Polski. Nadejście listu zbiegło się w czasie z powrotem Adama, który przyleciał z Paryża wiedząc, że grozi mu aresztowanie. Lotnisko było pełne służby bezpieczeństwa, aresztowano go niedługo później. I jeszcze inny list, z Sosnowca:

"Panie Brandys, u nas pod Sosnowcem w 1942 roku polski policjant zastrzelił niejakiego żydka Icka Brandysa. To może być pana krewny?"

Tak opracowywano mi program. Przyznaję, że moje zdumienie było wielkie. Widocznie mimo wszystko, pomimo marcowych doświadczeń 68, wciąż jeszcze nie domyślałem się, ile plugastwa i gnoju leży pod spodem gmachu budowanego przez trzydzieści lat. Nie sądziłem. To, co od progu stulecia wieszczą intelektualności na Zachodzie - moralna samodegradacja, niszczenie ludzkich wartości, zerwanie umowy społecznej - i co chętniej odnosiłem do ich części świata, znowu sprawdzało się w naszej. Na szczęście nie byłem sam. Ale gdyby nie garstka ludzi, którzy wtedy, nie czekając na mnie, założyli KOR, i ci, którzy dzisiaj głodują w więzieniach i kościołach, gdyby nie oni, nadal tkwiłbym w beznadziej jak w lochu.

Program dziakania... szanse... Zachodni korespondenci nie rozumieją, co to jest polskie "być albo nie być". Nie wiedzą, czym jest kraj, w którym sto lat temu sprawą narodowej wolności zajmowało się czynnie nie więcej niż kilkadziesiąt osób, z niezbyt jasnymi programami i bez praktycznych szans. Nazwano to później walką o niepodległość. Z opowiadań mojego brata pamiętam jego wspomnienie o rozmowie z francuskim majorem, arystokratą, którego poznał w obozie Hammerstein. Francuz wychwalał Pétaina, mówił o nim jak o zbawcy ojczyzny. Marian zachnął się i wymienił Polskę, gdzie Niemcom nie udało się znaleźć ani jednego kolaborcjonisty na miarę państwową. - Tak, ale między Francją a Polską - uśmiechnął się Francuz - jest różnica. Po przegranej wojnie Polska przestaje istnieć, a Francja istnieje dalej. - Tego, w jaki sposób Polska mimo przegranej wojny również dalej istnieje, z pewnością ani rusz nie umiałby pojąć. Doprawdy trudno zrozumieć dzieje narodu, który przez niemal 300 lat do dni obecnych /licząc skromnie od Piotra Wielkiego/ znajduje się w położeniu bez wyjścia, kiedy jedyną szansą jest upór ludzi ratujących go od duchowej śmierci.

Mówiąc lub pisząc o podobnych sprawach łatwo wpaść w egzaltację i patos, a to zawsze grozi śmiesznością. Nie więc ryzykuję, że komuś wydam się śmieszny. Niech będzie. Niech wyda się śmieszne, że w dzisiejszym świecie można jeszcze uwierzyć w czyjąś prawotę. Czy nie mówiono mi: znów dajesz się nabierać, jeden raz nie wystarczy? Na co także nie miałem odpowiedzi. Mogłem najwyżej zapewnić, że nikt mnie nie agituje i do niczego nie namawia. W tych sceptycznych pytaniach wyczuwałem jednak niepokój. Nie tak dawno ktoś dobrze mi znany i bliski powiedział o kimś innym, nie mniej bliskim: "Nawet jeśli grozi jej więzienie, ona wie, że w ten sposób opłaca sobie wejście do historii". Zauważyłem, że taki osąd nie wydaje mi się sprawiedliwy, bo wejście do historii jest dla każdego otwarte, jakkolwiek wygórowana byłaby cena wstępu. W oczach mojego rozmówcy drgnął wtedy ów znajomy niepokój i przyszło mi na myśl, że to jest zaniepokojenie sobą, najgłębszy, ukryty lęk przed wyjściem z obszaru cienia w smugę światła.

Niemal każdy przeżył chwilę takiego niepokoj. Kto go nie zna? Może tylko policja. Ale, jak mówię, policja ma swoją antropologię i ugruntowaną wiarę w mroczne cienie duszy. My natomiast, mniej pewni triumfu ciemności, stale żyjemy w zagrożeniu światłem.

Nowy premier spotkał się z filmowcami. W trakcie rozmowy wypowiedział następującą myśl: "Nie znam się na historii, nie jestem specjalistą w tej dziedzinie. Ale czytam książki historyczne. Niedawno przeczytałem w jednej z nich, że w okresie poprzedzającym rozbiory spadła w Polsce produkcja zboża i liczba pogłowia..."

Po czym, nawiązując do obecnej sytuacji gospodarczej, premier oświadczył, że naród powinien się skupić w solidarnym wysiłku i pracy dla dobra Ojczyzny.

Druga połowa maja. Wciąż chłodno mimo słońca, wiosny w tym roku już nie będzie. Lada dzień pewnie buchną upały. W Oborach karmiłem ptaki rano po śniadaniu. Wysypywałem na parapet okruchy chleba i sera, resztki wędlin. Przylatywały kosi, wróble, sikorki, czasem dzięcioł. Chleb jedzą tylko rozmoczony w mleku. Ptaki w Oborach nie boją się ludzi. Niedawno w wąwozie o parę kroków przede mną wzlatywał spacerkiem mały szczygieł, podobny do ka-

nonka w prążki, a w zeszłym tygodniu mąż pewnej literatki znalazł pod poduszką dziecięcą-kowalika, który szukał ciepła w jego kółku.

Karmikiem ptaszki w dniach lepszego samopoczucia. W gorszych nie mogłem się na to zdobyć, po śniadaniu wystawiałem tacę na korytarz. Wróble i kosy stukają dziobkami w parapet, zdumione: co się stało? Odwracałem od nich wzrok jak kapryśna opatrność i chwilami smuła mi się myśl po głowie, że moje losy także zależą od zmiennych nastrojów istoty niepojętej i nieobliczalnej: raz smaczny kasek, a innym razem zimna blacha. Nie ma rady, trzeba wierzyć, że gdzieś czy kiedyś wszystko się wyjaśni i nabierze sensu.

Lecz z innych okien syją się okruszki. Od lat istnieje tu współzycie między ptakami i ludźmi. Dziwne miejsce te Obory, na które się wyrzeka i skąd często odjeżdża się z ulgą, by wrócić z tęsknotą po trzech miesiącach. "Nie mama, w jakim domu ja pracuję? - pochwaliła się oborska kucharka - tam są tacy uprzejmi ludzie, że człowiek nie zdąży się pierwszy uklonić". Mniej więcej co dziesięć dni przepala się motor w sąsiedniej stacji doświadczalnej. Nie ma wówczas światła i wody. Potem z kranów leci rdzawa ciecz. I mniej więcej co dwa tygodnie przychodzi dzień, kiedy postanawiam spacerować naokoło klombu tylko po cienku, żeby nie widzieć ciągle tych samych twarzy, którym trzeba uprzejmie się kłaniać. A po dwóch, trzech dniach znowu się do nich uśmiecham, bo znowu ich potrzebuję. Bardzo szczególne miejsce.

Wracałem w słoneczny dzień Aleją Sobieskiego. Mijając Stegny lubię się przysłuchiwać szaropiaszkowym budynkom z zieloncami i rzędami zaparkowanych samochodów. Przypomina to wylot z Paryża w kierunku Saclay i Rambouillet, tam są podobne osiedla wybudowane po wojnie. Tym razem uprzytomniłem sobie, że nie mogę wyjechać, bo odmówiono mi paszportu. Po moim odwołaniu nadeszła powtórna odmowa. Nie przejąłem się wprowadzić, dość łatwo usunąłem z głowy tego ówceka, ale teraz nagle poczułem zacisk serca. Przez chwilę tylko. Akurat M. opowiadała o czyjejs chorobie. Andrzej Nowicki, jeden z naszych przyjaciół najbliższych i bliskich, leży w szpitalu, ma się poddać ciężkiej operacji. Przypuszczalnie tętniak na aorcie.

I nieoczekiwanie wybucha sprzeczka. Przerywam, mówię, że nie chcę dalej słuchać, i nie dlatego, żeby mi było obojętne, odwrotnie, jest mi nieobojętne tak dalece, że proszę, aby mnie nie wtajemniczać w szczegóły. Tętniak, dorta, na litość Boską, czy muszę wiedzieć aż tak dokładnie, przecież to nie dyskrecja w stosunku do cudzych wewnątrzności!

Jedna z owych kłótni eksplodujących przez jakieś słowo czy zdanie, które trafiło w złą chwilę i powoduje odpowiedź źle ustawionym głosem. Można by jeszcze jej zapobiec, ale nie, za późno, trzeba było liczyć do dziesięciu. Teraz poruszają się warstwy utajonych, niedotykalnych przeżyć, celujemy w nie, chcąc się nawzajem zranić: jak najbardziej, w prawdziwym gniewie. Nie chodzi ci o dyskrecję, to sublimacja twoich lęków przed śmiercią, dlatego nie lubisz słuchać o chorobach. - Na co wołam: bzdura, każdy ma prawo nie wiedzieć o tym, co może go spotkać i w jaki sposób go dopadnie! czy muszę znać cały przebieg, pełen rejestr możliwości i objawów, skoro i tak wiem, że się nie wynigam? Ale właśnie wtedy nie życzyłbym sobie, żeby znajomi babrali się w moich trzewiach!

Słyszę mój za wysoki, nateżony głos, przez co wpadam w jeszcze silniejsze rozdrażnienie. - Uważaj - mówi M. - masz czerwone światło. - Hamuję, stoję na pasach. Po chwili znowu się odzywa: - Od dwóch lat interesuje cię wyłącznie to, że ktoś umarł albo zechorował.

Wypowiadałem tę nieprawdę, aby nawiązać do moich dawnych posadzeń. Hipochondria! Hipochondria według mnie polega na tym, że widzi się i nieustannie bada swój organizm. Hipochondrycy to niedoszli lekarze z powołania. Zamiast historii sztuki trzeba było studiować medycynę. Wiem, że strzał jest chybił. Za sekundę usłyszę, że kiedy chorowałem na tarczycę, ona nieprowadziła lekarzy do właściwej diagnozy, może właśnie dzięki owemu interesowaniu się ludzkim organizmem, które ja nazywam hipochondrią. Posłyszę jeszcze: gdzie jest twoja filozofia; ile razy mówiłeś i pisałeś, że człowiek nie może wychowywać "od końca", z perspektywy śmierci, zamiast go uczyć, że życie jest drogą od urodzenia do szczęścia, i przemilczać śmierć. - To zupełnie inny

tenat - odpowiadam - uderzasz poniżej pasa. - Chcę jeszcze dorzucić, że w Krakowie Ewa Otwinowska każe swoim znajomym płacić 20 złotych kary za skierowanie rozmowy na nowotwory i zawały. Oboje jesteście bladzi, widzę kątem oka jej profil z brwią ściągniętą nad krótkim nosem i włosami zakrywającymi bliźnię na lewej skroni.

Wtedy milknę. Myślę o chorobach, jakie przechodziła od dzieciństwa, o tyfusie, z którego ledwie wyszła z życiem będąc małą dziewczynką /w kresowym mieście odprawiano modły za jej wyzdrowienie w kościele, synagodze i cerkwi/, o bliźnię na skroni po operacji w czasie wojny, kiedy prof. Meissner czterokrotnie krajał jej twarz i gdy dawała założyć sobie maskę pod warunkiem, że będę trzymał ją za rękę do chwili usnięcia, po czym wyrzucano mnie na korytarz: "Narzęczony, proszę opuścić salę operacyjną!" - przypomniałam sobie jej niedawne choroby w Paryżu i Berlinie. Teraz już chciałbym cofnąć wszystko, co powiedziałem. W gruncie chodziło mi o rzecz inną, której wolałbym nie tłumaczyć. Z pewnych chorób zdrowieje się przez zapomnienie, należy o nich nie myśleć, uznać je za niebyłe - pamięć i lęk mogą je przywołać i tylko wyjście z ich psychicznego kręgu jest skuteczną metodą leczniczą. O tym jednak nie powinienem jej mówić, mogę zresztą przewidzieć odpowiedź, że właśnie lęk jest znanym objawem choroby serca.

Scena małżeńska w samochodzie. Nie jesteście parą wyjątkową. - Powinien pan napisać książkę o małżeństwie, temat nie ruszony w naszej literaturze - powiedział mi ktoś po przeczytaniu fragmentów "Miesiący". Odpowiedziałem, że się zastanowię. I zastanowiłem się. Doszedłem do wniosku, że takiej książki nie napiszę, bo nie ma uniwersalnego małżeństwa, każde jest wypadkiem pojedynczym, nawet jeśli nie można go uznać za wyjątek. Mógłbym, owszem, napisać książkę, powieść o nas dwojgu - o naszym wychowaniu, rodzicach, domach, tak niepodobnych do siebie. U źródła wszystkich naszych sporów i konfliktów leży przeszłość, która nas wyhodowała. Kiedy pierwszy raz zetknąłem się z jej rodzinnym otoczeniem, wpadłem w popłoch. Nie śniło mi się, że tak dziwni ludzie istnieją na świecie...

Jak to - dopytywałem się - więc naprawdę twój ojciec może spać tylko przy zapalonym świetle, leżąc owinięty kocem i przepasany w nogach rzemie-niem? I to prawda, że gdy przychodziły do ciebie koleżanki szkolne, twoi rodzice kazali im w przedpokoju myć ręczki spirytusem, zanim się z tobą przywitają? A te ukosmetykowane staruszki, które u was spotykam, te zaciągające z rosyjska i wspominające bale dworskie w Petersburgu, skąd one się wzięły i dlaczego wszystkiemu się dziwią?

Z początku nic nie pojmowałem. Najtrudniej było mi rozwiązać jedną zagadkę: w jaki sposób doszło w tej rodzinie do oczywistego pomylenia czasów, miejsc i obyczajów. Żyli jak gdyby nie wiedząc, co się stało, jakby nie dostrzegając przemiany własnej egzystencji. Było w tym zdziwienie i nieświadoma pańskość gestu. Ojciec M. chodził do pracy na biurowej posadzie jak na polowanie - w zielonej myśliwskiej kurcie; samochodowe rękawice sprzedawało się od ręki, żeby pójść do teatru; zachowano wszelkie konwenanse i rytuały z przeszłości, traktując jej ruinę jako rzecz naturalną, a nawet humorystyczną. Nigdy ani słowa o genealogiach. Wspominano czasem "babunię" niezwykle małego wzrostu i źle mówiącą po polsku, ale dopiero w kilka lat później, przy okazji odwiedzin rodzinnego grobu na Powązkach, odkryłem, że babunia Osten-Sacken miała panięńskie nazwisko de Rohan. Chętniej i częściej mówiono o Chaimie Czernomordziku, który zawiadywał interesami w cegielni, kiedy ojciec M. budował strażnice KOP-u na Wołyniu.

Było to jeszcze w latach dwudziestych, przed kryzysem. Zastój gospodarczy ^{pochołował} resztki dawnej zamożności. Zenowiczowie po przyjeździe do Warszawy przeprowadzali się do coraz ciasniejszych mieszkań. Szczęśliwokojuwe w Alei Szucha, pięciorokojowe na Raszyńskiej, później Topolowa - już tylko trzy pokoje, wreszcie Ordynacka róg Nowego Świata - sublokatorskie dwupokojowe pomieszczenie, u właściciela mydlarni, nad trzeciorzędną restauracją. Nie zauważali pogarszających się warunków, nigdy słowo o tym nie padło, nawet między mną a M., pomimo zupełnej szczerości naszych rozmów. Odgadywałem, że gdybym o to spytał lub wyraził zaniepokojenie, popełniłbym ciężką niezrę-

czność. Co się zmieniło? W istocie, nic. Brzydsze tapety, węższe schody? Wdrapywałem się po nich z kwiatami, M. śmiejąc się otwierała mi drzwi i przechodziłem przez ciemny korytarzyk do pokoju, gdzie prócz jej rodziców siedzieli goście, ci sami, co dawniej: staruszka o uczernionych brwiach, z córką i pekińczykiem, który umiał śpiewać romanse cygańskie, czasami też pułkownik, były zagończyk kresowy, podobny do rosyjskiego aktora Mozżuchina. Panie witały mnie okrzykami i nieodmiennym: "Kochaneczek, jaki dziś bledziutki!", a ojciec M. wstawał z fotela i podchodził do mnie. Następowало powitanie.

Nikt już tak się nie wita. Kilnaktroty ukłon z usztywnionym karkiem, lewą ręką na piersi i zsuniętymi stopami, ze spojrzeniem o wyrazie niemal bolesnej serdeczności i uwagi, zatopionym głęboko w oczach witanego gościa, którego dłońmią potrzasa się około minuty, przetrzymując ją i ponawiając uścisk, przy czym głowa witającego jest nieco odgięta w bok, a witany powinien swoją również lekko odgiąć, lecz w drugą stronę, jak odbicie w lustrze.

Pozostało mi w pamięci wiele takich scen, z mądrą, wysoką panną stojącą po środku w zarzuconym na ramiona serdaku i z papierosem w ręku. Wymienialiśmy ze sobą spojrzenia, jak dwoje ludzi dorosłych, którzy muszą pobyc chwilę w dzieciennym pokoju. Byliśmy już starsi o lata, które dopiero miały nadejść; sądzę, że mieliśmy wyobraźnię i instynkty lepiej przygotowane do epoki. Zaledwie spadły pierwsze bomby, od razu wzięliśmy na siebie wszystkie decyzje i odpowiedzialność. Tak się stało z dnia na dzień. Mimo iż nasi rodzice przeżyli swoją wojnę i swoją rewolucję /"Wacia balszewicy na Kaukazie trzy razy stawiali pod ścianą!" - wspominała nie bez rozrzewnienia piękna i otyła matka M./, my wiedzieliśmy więcej o tym, czym będzie wojna w naszym życiu i co po niej nastąpi. A oni, jak gdyby pojmując nieprzydatność własnych doświadczeń, słuchali nas bez sprzeciwu. Co najwyżej z drobnymi poprawkami. Kiedy w czasie Powstania wywieziono nas do obozu w Pruszkowle, gdzie rozdzielano ludność według wieku i płci - zanim nastąpiła się okazja do sfakszowania przepustki z podpisem Stabsarata, wpadłem na pomysł, który miał nam ułatwić odnalezienie się po wojnie: każdy z nas, jeśli przeżyje i wróci do Warszawy, będzie codziennie o godzinie 2-giej po południu czekał przed domem Zenowiczów. Zapropnowałem to w pustoszejącej hali obozowej, z której Niemcy wygarniali ludzi do transportów, siedzieliśmy z tobołkami na drewnianej przyczepie. - Przednia myśl! - uściśnił mi dłoń pan Wacław Zenowicz - tylko... pozwól pan, panie Kazimierz, może o wpół do 3-ej?

W kwadrans później zdobyłem przepustkę lekarską, wpisałem nasze cztery nazwiska i wyszliśmy przez wachę z górką chorych, konwojowani przez pracowników Czerwonego Krzyża. Kiedy przechodziliśmy obok baraków, w których trzymano kobiety przeznaczone do wyszki, rozległo się wołanie zza drutów. Na walizce siedziała staruszka o uczernionych brwiach, przy niej stała córka w męskim kapeluszu. Machały do nas rączkami, wykrzykując nasze zdrobniące i imiona. Zatrzymaliśmy się, by wysłuchać opowieści o pekińczyku Kiangu, który został na Mokotowie pod opieką niemieckiego oficera. - Jak nam kazali z matką wyjść z domu, Kiang usiadł przed nią i zaśpiewał. To świetnie wychowany człowiek, urodził się w Darpacie i był w tym samym gimnazjum, co nasz Olik!

- Do dzisiaj nie wiem, dokąd ja wywieźli i co się z nimi stało.

W sobotę na MDM scena uliczna, dwoje kłócących się, przeklinających ludzi. Chyba rozżalenie alkoholików. Ona o kałnych jeszcze rysach, zniszczonych przez wódkę, obczękre, z tłustymi pasmami włosów. Mężczyzna drobny, w letnim paletku na rozchłestanej koszuli, widać było gołą pierś. Kobieta wyła, puchła z krzyku, on odchodził bluzgając wymyskami, ale nie mógł odejść, trzymało go coś przy niej. Ludzie się przyglądali. - Ty skurwysynu! - Ty kurwo! - Naraz przestawali sobie wymyślać, ona mówiła cicho do niego, mężczyzna potakiwał. Potem znowu ją odpychał, przeklinał i odchodził. Nieszczęśliwi, pełni nienawiści i połączeni ze sobą, szarpiący się w swoim nierozważnym związku.

Staliśmy na chodniku, patrzyliśmy jak zahipnotyzowani.

czérewiec

Psychiczne trzęsawiska z wyskakującymi babelkami otuchy /przeważnie wieczorem/, kilkakrotne zmiany samopoczucia w ciągu dnia. Czasem bez uchwytnej przyczyny - może skoki ciśnienia - ale na ogół w związku z przypływem lub odpływem treści i możliwości pisania. Falująca, chybotliwa racja egzystencji. Wraz z jej histeriami zmienia się widzenie samego siebie, własnej przeszłości, sensu lat przeżytych i pozostałych do przeżycia. Chwilami całkowity upadek wiary, świadomość przesłonięta niską, gęstą chmurą - wtedy robi się zimno i ciemno. Samobójcze porównanie na swoją niekorzyść, a równocześnie zapadnięcie się podstawowej wiedzy o sobie i wykopywanie najgorszych mniemań, wątpliwności, podejrzeń. Wszystko to sprawia nieustanną męczarnię i powoduje myśli bez godności: nie wstać z barłogu, nie golić się, przeleżeć do końca... Do końca!... A co z jedzeniem? Nie spotkałem nikogo, kto by ogłosił głodówkę protestacyjną przeciw sobie. Co za udręka.

Przebudziłem się w środku nocy i zacząłem po ciemku sporządzać mój bilans wewnętrzny. Paląc papierosa stawiałem sobie pytania, których nie chciałbym od nikogo usłyszeć. Czułem ożywione skupienie, jakie daje ruch umysłu w ciemności.

Dążyłem do formuły ogólnej, która by wyjaśniła źródło moich upośledzeń spowodowanych przez mnie samego i niekoniecznie zawartych w ludzkiej kondycji powszechnej. A więc nie myśl o śmierci lub grozie istnienia. Nie o tym. Pytałem: co zrobiłeś ze sobą?

W ciemności odpowiedź była jasna: zamieniłem życie na pisanie.

Od kiedy? Od pierwszych napisanych zdań. A chyba nawet przed nimi. To nie do wiary, jak wcześnie zacząłem płacić wyrzeczeniem się naturalnej codzienności w zamian za pół strony rękopisu. Płaciłem tę cenę bezwiednie, jak gdyby z nakazu organizmu, i - powtarzam - płaciłem ją zanim jeszcze zdecydowałem się pisać. Wszystko, co w późniejszych latach nabierało cech literackiej egzystencji z jej dziwactwami i maniami, co odgradzało mnie od ludzi, by strzec mojego sam na sam ze sobą, i co drażniło we mnie najbliższych przyjaciół, wszystko było gotowe na długo przed pierwszą napisaną linią prozy.

Powołanie... Właściwie rodzaj próżni wewnętrznej, psychologicznej dziury - miejsce bez przeznaczenia. Byłem studentem prawa, czytelnikiem powieści, działaczem antyfaszystowskim, kochałem się, byłem zazdrosny, ale... ale jednocześnie we mnie i ze mną żył jakiś niewypełniony kształt, z którym współistniałem w sennym, trochę bezmyślnym zagapieniu. Ciągnęło mnie do niego. Każdą nowo poznaną twarz, rozmowę, wszelki fakt zawsze przeżywałem dopiero wstecz i z opóźnieniem, w chwilach gdy nareszcie mogłem wyłączyć się z życia. Leżąc na wznak wpatrywałem się w kontur owej niewyraźnej istoty, która - o czym nie wiedziałem jeszcze - wkrótce mną zawładnie i będzie moim losem. Do dzisiaj nie lubię oddalać się od niej i zawracam w połowie spaceru, kiedy wydaje mi się, że odległość między nami ^{nie} jest niebezpiecznie duża, bo zapuściłem się za daleko w krajobraz i mogę trafić z powrotem do miejsca będącego moim prawdziwym istnieniem - moim życiem zamienionym w rękopis. "Dlaczego wciąż leżysz na tapczanie - dziwka się Agnieszka Słonimska - życie to jest ruch! ruch!" Odpowiedziałem jej, że niemal wszystko, co w życiu zrobiłem, wynikało z leżenia na tapczanie albo z siedzenia w fotelu, a ruch, o to jest ten spokojny, w ruch tak czy owak mnie wpędzą, choćbym nie wiem jak się bronił.

Więc tak czy siak, w ruchu czy bezruchu, nadzwyczaj wcześnie poczułem, że jestem winien - nie w znaczeniu winy, lecz długu - to jest zobowiązany i skłonny do zapłaty, bądź wypełnienia niejasnej powinności. Człowiek uprawiający sztukę pisania /"piękną sztuką pisania" nazwał ją Adalf Rudnicki zanim odfrunął w symbolikę uniwersalną/, czy taki człowiek może nie czuć się dłużnikiem ludzi? Ależ zaciągnął swój dług właśnie po to, aby się zobowiązać do spłacania, do łuszczenia się z niego, taki wybrał sposób na życie, lub taki sposób życia mu wybrano.

Na wierzyciela z pewnością nie byłem stworzony. Ludzie zajmujący się sztuką pisania nie są ofiarnikami, ale też nigdy nie mieli despotycznych

roszczeń w stosunku do świata. Ci zaś, co uważają, że świat powinien się wobec nich uiszczać, być może pracują ciężiej niż ja, na ogół jednak w innym materiale, pisanie jest dla nich zajęciem pobocznym. Nie jest tak, jak nie-raz zarzucała mi M., że zbyt wiele żądam, za mało dając z siebie. Daję o tyle mniej, ile wkładam w moje książki, ściśle o tyle mniej. Konfabulanci, fikcyjnerzy i bazarze spłakają swoje zadłużenie pośrednio, nie wprost. Ileż razy muszę odmówić drobnych usług życzliwości, by ofiarować się na kartce papieru ludziom zupełnie nieznanym. Nie mogą liczyć na zrozumienie przyjaciela, sami nie będąc zawsze i w pełni gotowi do przyjaźni. A jednak wywiązują się z niej. Okólną drogą, poprzez swoją egocentryczną samotność. Jak można posądzać mnie o obojętność - broniłem się - skoro nie jestem obojętny matym, co piszę? Zamiast śledzić wyraz mojej twarzy, niech przeczytają moje książki.

Więc tym się bronię. Książkami. W książkach - mówię - nadrabiam moje codzienne zaniedbania. Wiele miejsca poświęcam w nich ludziom i mówny szczerze: moje fikcyjne postacie nie są nacechowane beznadziejną nizerią, ani wyszydzane jako istoty upadłe, ani hipnotyzowane kieszmarami bezsensu, ani... Nie jestem awangardowym niszczytelem, ani pionierem końca świata, ani wachaczem śmietników. Nie jestem też odkrywcą intelektualnym ani wynalazcą nowych technik. Ani... Zwierzęcość? biologia? To także nie jest przedmiotem moich zastanowień. To są prawa gatunku, prawa gatunku dyktowane przez naturę. W człowieku - twierdzą - prawdziwie obchodzi mnie jego zdolność do wznoszenia się powyżej naturalnych praw gatunku, ludzkie biografie przejmują mnie najsilniej wtedy, gdy sięgają do punktów wyostzonych i spotęgowanych w porównaniu z życiową przeciętną czy średnią - kiedy uzyskują wymiar losu. To chyba wolno mi pomyśleć: że wiem, czyn chcę płacić. Ponadto sądzą, że uwaga i sympatia, jakimi obdarzam moje zmyślane figury, również świadczą o zobowiązaniu.

Bravo, znakomicie - dopowiadał po cieniu drugi głos - zobowiązanie, ale wobec kogo i czego? Czy aby nie w stosunku do siebie, do swoich ambicji i miłości własnej?

W tych chwilach traciłem równowagę. O czymkolwiek pomyśleć, wszystko staje się kuliste, nie wiadomo gdzie spód, a gdzie wierzch!

A jednak... zobowiązanie. Nie tylko w stosunku do siebie. Powiedziabym, że cauję się zadłużony na sumę zła, jakiego nie doznałem, na liczbę przypadków, które mnie ocaliły, i ludzkich skojarzeń, które mnie dostrzegły. Rewanżuję się magicznej cyfrze mojego przeznaczenia, muszę się jej wywdzięczyć za to, że oszczędziła mi prób najstraszniejszych, jakie innym nie były oszczędzone. I za to, że nigdy nie przestałem w nią wierzyć. Stąd wzięła się we mnie ta nierozumna wiara, dlaczego od początku miałem pewność, że prze-trwam, nawet wówczas, gdy chwytają mnie zęby wielkich ludożerców, dwóch mon-strów, co nienal pochłonęły trzecią część mego życia? Dzięki czemu, jakim zryślen wiedziałem, że nie dam się pożreć obłąkanemu klaunowi z doklejonym wąsikiem, ani duchowo unicestwić górskiemu mordercy, który mnie zwiędł swoją manką dialektycznego myśliciela?

Najpewniej dzięki moim pojęciom o człowieku, wyobrażeniom przekazany mi równocześnie z pierwszymi słowami, z obrazem nieba i ziemi i rozróżnieniem między prawdą a kłamstwem. Później znajdowałem ich odbicia w książkach, w legendach, jeszcze później w ludzkich życiorysach, na kartach historii. Otrzymałem je od ludzi, którzy byli moimi rodzicami i nauczycielami, od poetów i od bohaterów powieści, także stworzonych przez ludzi na ludzkie podobieństwo. Wszystko, co mam i czym jestem, powstało z ludzi. Razem z dążeniem, myśleniem i gramatyką i miłością własną, którą tak nałogowo i usilnie nasycam pisaniem, że gdy nie zaspokajam jej przez tydzień, jęcząc skarżąc się na niezasłużoną karę boską.

A czy nie odgrażałem się, że wydam tom prozy z białą obwolutą, gdzie nazwisko autora i tytuł będą identyczne? "Kazimierz Brandys: KAZIMIERZ BRANDYS". Cóż za nieopamiętane pragnienia.

Stąd twoje diabły, mój kochany - mówiło do mnie po cieniu - te, które w domowym języku nazywasz cęma, smuchem, przygnębą. Ale pociesz się, jesteś pisarzem szczególnym w twoich czasach, nieskłonny do wiary w człowieczeństwo, i również w twój kraj, bo darzysz go miłością ironiczną, co na tej

ziemi jest rzadkie niesłychanie. Polacy będą cię czytali.
Z taką krzepiącą myślą rozgniotłem w popielniczkę tytoniowy węgiel
zarzający się w ciemności; gdyż mój wewnętrzny obrachunek nie trwał dłużej niż
wypalenie papierosa.

Owszem, Sopot. Jak zawsze w czerwcu. W kilka dni po nas przyjechał tu
profesor Edward Lipiński i kiedy zapytałem go na schodach o zdrowie, wykrzy-
knął: - Fatalnie! Czuje się na 92 lata!

Ma dokładnie tyle. W zeszłym tygodniu przyleciał samolotem z Paryża,
przepakował w Warszawie neseser i wsiadł w samolot do Gdańska. Rano okaza-
ło się, że profesor ma gorączkę, źle wyglądał i kaszlał. Zatelefonowaliśmy
do lekarki, dr. Wojeńskiej. Przyszła wieczorem, przepisała rano, zale-
cając spokój i dłuższe leżenie rano. Podobno nie groźnego, bronchit po os-
krzelowej infekcji przebytej w Paryżu. Profesor trochę się buntował, od lat
przywykł do codziennych dwunastokilometrowych spacerów nad morzem, i to wła-
śnie w czerwcu w Sopocie. Po wizycie lekarki odwiedziłem go z Janką Zakrzew-
ską. Przywitał nas z zacięciem: - Nie chcę teraz umrzeć, bo pokrzyżowałoby mi
te moje plany! - O umieraniu nie ma mowy - zapewniłem - tylko przez parę dni
będzie profesor mniej hulał po świecie. - Profesor uśmiechnął się, fald-
ki powiek i kąciki ust podwinęły się w górę, co na chwilę zrobiło go podob-
nym do siwego mandaryna z ksiąg mądrości. Zażądał gazet i słodyczy. Naza-
jutrz gorączka spadła. Janka przyniosła "Literaturę", keks, "Życie Warszawy"
i numer "Monda'a", ale profesorowi nie smakowały pierożki na obiad. - Pa-
cjent jest wybredny kulinarnie, martwiła się Janka. - Jak to? - zdziwił się
profesor - ja lubię najprostsze potrawy. Lososia z wody, polędwicę z rusztu,
a na przekąskę zwykły szary kawior!

Wieczorem telefonowałem z recepcji stojąc w przeciagu między szeroko ot-
wartymi drzwiami, a w kwadrans później zobaczyłem go w salce telewizyjnej.
Podczas dziennika kilkakrotnie wybiegał i wracał lekkim, szybkim krokiem, po
czym zasiadł w pierwszym rzędzie i obejrzał godzinny odcinek amerykańskiego
serialu "Pogoda dla bogaczy".

Dziś zezwolono profesorowi na krótki spacer w parku. Przed obiadem wstą-
piłem do niego z czerwcowym zeszytem "Time'a", ofiarowanym mi przez J. St.,
który przybył z Wenezueli i zamieszkał w hotelu "Posejdon" ze swą angielską
żoną Patrycją. Profesora zastałem w fotelu przy oknie z numerem "Literatury",
z długopisem w ręku, którym gęsto podkreślał fragmenty wywiadu z Sartrem.
- Straszne osłabienie - oznajmił, wyraźnie zagniewany - co to jest, zupeł-
nie jak w ciężkiej chorobie! - No jednak, profesorze, była wirusowa infekcja,
nawet po zwyczajnej grypie człowiek jest bardzo osłabiony... - Co pan mówi?
- zainteresował się profesor - to ciekawe. Ale ja dotychczas ani razu nie
chorowałem! - Przeszedłem do spraw krajowych. Reprezentant amerykańskich ba-
nków, który przebywał w Warszawie dla zapoznania się z polską ekonomią, po
powrocie do USA oświadczył dziennikarzom, że stan naszej gospodarki jest
krytyczny. - Ma rację - kiwnął głową profesor - nie tylko gospodarka, wszy-
tko gnije. - Zacząłem rozważać sposoby wydobycia się z katastrofy: czy zda-
niem profesora istnieją możliwości naprawy, jakichś rozsądnych zarządzeń,
które doprowadziłyby do polepszenia. Profesor, jak mi się wydało, zmuszony,
przestał słuchać i chyba zapadł w drzemkę. Powiedziałem jeszcze, że system
komunistyczny stanął przed koniecznością zmian. A kto wie, dorzuciłem, czy
poniekąd już się nie zmienia. - Im bardziej się zmienia, tym bardziej jest
taki sam! - huknął drzemiący senior KOR-u. Faldy i kąciki nagle zagięły się
w dół, spod powiek strzelił wojowniczy błysk. W jednej chwili przedzierzgnął
się w samuraja!

Strach mnie bierze, kiedy sobie uświadamiam jednostajne obroty mojego
bytowania, tę nudną powtarzalność i nieodmienność rytmu. Myślę, czy się na
mnie nie zemści mój reprodukujący się co roku kalendarz. Podobnie daty w tych
samych miejscach, te same trasy. Dwa, trzy krajobrazy i jedno miasto. Jak
długo taką egzystencję można przetrwać na pisaniu.

Z roku na rok konfiskują mi jakąś część życia. Po kawalku: wznowienia
dawnych książek, od "Miasta niepokonanego" począwszy, potem odgłosy krytyki,
później współpracę z filmem, wreszcie prawo do druku, a teraz dokument zez-

walający na przekroczenie granicy. W końcu co pozostanie oprócz widoku z okna i powieści wypożyczonej z biblioteki. Chwilami mam uczucie, że codziennie się zmniejszam i kurczę, jakby ubywało mi tkanki. Na tym poltku wysychają fikcje. Czy to także jest cena wolności -

Chcę powiedzieć, że w takim kierunku zmierzam od dawna z własnego wyboru. W ciągu dwudziestu pięciu lat przebyłem dystans od "Obywateli" do "Miejsięcy", zostawiając po drodze zdarte z siebie kawałki nieprawdziwej skóry. Między rokiem 1954 a 1966 porzuciłem kolejno: funkcję przewodniczącego w stożecznym Komitecie Frontu Jedności Narodu, następnie członka komitetu warszawskiego PZPR /byłem nim na krótko przed i po październiku 56/ i egzekutywy partyjnej w Związku Literatów. W tym samym czasie nie udzieliłem zgody na proponowaną mi przez wydawnictwo masową - reedycję "Obywateli", odmówiłem udziału w jury nagród państwowych i w komisji ideologicznej przy KC, wejścia do prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Pokoju oraz złożenia podpisu pod jego apelem. Również odmownie potraktowałem życzenie jednego z sekretarzy KC, abym wycofał moją książkę "Matka królów" z firm wydawniczych na Zachodzie. Na dwóch kolejnych zjazdach ZLP i rozszerzonym plenum zarządu głównego ostrzegąłem przed nawrotem administracyjnych presji w stosunku do kultury. Trzykrotnie byłem wzywany do Komitetu Centralnego pod zarzutem antypartyjnej działalności, w tym raz telefonicznie przez członka biur politycznego /twarz, na której uśmiech wydawał się czymś tak nienaturalnym, jak trel słowika dobywający się z gardzieli sepa/. W rok później zwróciłem legitymację partyjną.

Nie wszystko przyszło mi łatwo i nie zawsze myślałem konsekwentnie. Sądzikiem jeszcze, że partia zdoła się oczyścić, wierzyłem w możliwość odkupienia zbrodni. Wiosną 56 w górskim uzdrowisku spotkałem generała z niewykonanym wyrokiem śmierci i publicystę o wykręconych stawach. Pierwszy z więzienia powrócił do armii, drugi po wyjściu z celi zażądał zwrotu legitymacji partyjnej, odebranej mu przy aresztowaniu. Obydwaj nie poskąpili mi nader żywych wspomnień o swoich przygodach. Dalej jednak - wraz z publicystą o przetrąconych kościach - ufałem, że partia wydobędzie się z błota i krwi. Kiedy mówiono przy mnie, że nie mogą naprawiać maszyny ci, którzy ją zepsuli, dowiedziałem, że właśnie ci, co maszynę zbudowali, powinni ją naprawić.

Równocześnie pewne zjawiska widziałem za ostro. Nowe i stare męty wyłaziły na wierzch. W irytacji ogłosiłem wtedy niewyszukaną fraszkę prozą o dwóch kłajnach leżących na skraju jezdni, z których jedno mówi do drugiego: "Czujesz? Odwilż. Teraz dopiero będziemy mogły śmierdzieć". Fraszka wywołała oburzenie. Była w niej część racji, którą czas potwierdził, zasadnicza racja była jednak inna. Pisane przeze mnie w tych latach opowiadania, takie jak "Hotel Rzymski", "Nim będzie zapomniany", stanowiły mieszaninę wstrząśniętej świadomości i resztek dawnych przekonań; wymierzam też niesprawiedliwe ciosy ludziom, którzy dostrzegali zło wcześniej niż ja i wyciągnęli śmielsze wnioski.

Ale w końcu, kiedy uczyniłem ostatni, decydujący krok, poczułem ulgę. Byłem wolny. Tym bardziej wolny, że nie miałem złudzeń co do rozkoszy płynących z tej wolności. Zdażyłem się przygotować na milczenie wokół moich książek, drukowanych oddat w skromnych nakładach, na usunięcie ich z lektur szkolnych, pomijanie mego nazwiska w prasie, audycjach radiowych czy telewizyjnych. Później - nauczyłem się znosić napaści recenzentów. Wytrzymałem to raz gorzej, raz lepiej. Po roku 1970. wyszły dwie moje powieści. Wkrótce jednak zaczęło mnie niepokoić odsuwanie się moich fikcji od teraźniejszości. Oporniej i trudniej konstruowałem fabuły, jak gdyby coraz dalsze od doświadczeń i wreszcie nadszedł czas, aby się zastanowić, czy fabuła dziejąca się wokół mnie nie jest ciekawsza niż moje zmyślenia. Pewnego dnia urwałem w pół zdania nową powieść.

Widzenia są zmienne. Cały świat dzisiejszy wydaje mi się nieraz pustym brzegiem, od którego odpłynęła wielka fala życia, unosząc ze sobą idee, bohaterów i dzieła wyobraźni - w mule pozostał brud i szczątki rozumnych form. Kiedy indziej zaś nędza i ogołocenie zdają mi się pozorne, w obrazie martwego brzegu widzę zarysy kształtów i połączeń. Wtedy myślę, że z tego błota znowu powstaje życie.

Od paru lat nie tworzę fabułek, ale może nigdy dotąd nie czułem tak wyraźnie, że jestem w Fabule. I może nie zacząłbym pisać "Miesiący", gdybym nie był się znalazł w toku akcji układanej z prawdziwych zdarzeń i postaci, gdybym tak silnie nie dał się w nią wciągnąć. Teraz jednak - myślę - znowu czas zadać sobie pytanie, czy sam porzuciłem moje fikcje, by kiedyś jeszcze do nich wrócić, czy też bezpowrotnie zostałem przez nie opuszczony.

Tak, a przy opisie Zenowiczów utknąłem, bo zaczął mi powieściowo okragleć. Tę scenę za drutami w Pruszkowie trochę obrobiłem. Wychodząc spotkał się tylko córkę uszmiłkowaną staruszką, Wandeczką. I nie była w męskim kapeluszu, miała chustkę na głowie. Historię z pekińczykiem i niemieckim oficerem chyba upiększyłem dla efektu. Pekinczyk śpiewał istotnie, ale czy romanse cygańskie... i czy naprawdę usiadł przed Niemcem, żeby mu zaśpiewać..? Zdaje się, że należał do pani Kazi Szwajcer, nie zaś do matki z córką, które się nazywały Wieliczko-Wielickie. Ponadto u Zenowiczów nie bywali wyłącznie kresowi dziwacy i dawne frejliny dworu, lecz również ludzie z prawdziwego zdarzenia, jak choćby mecenas Adam Landy i sędzia wojskowy Roman Sumowski, jak Wacław Koźniewski, ojciec Kazimierza, Witold Gerulewicz, dowódca pułku ułanów w Suwałkach, czy wreszcie polityk i mistyk, Ryszard Świętochowski. Często chwytam się na tym, że wątlejącą materię teraźniejszego życia chcę zastąpić przeszłością. I wtenczas bezwiednie wchodzę w rytm starego zegara: tykam, kukam, gawędzę. Wydzwaniam pointy.

Ale "Miesiące" mają być czymś innym. Gdyby porównać realistyczną powieść do zegara z cyferblatem, wskazówkami, sprężynami i wahadłem, to chciałbym go rozmontować, wyjąć sprężyny, wahadło, cyferblat, wskazówki, położyć je rzędem obok siebie - i żeby zegar chodził, żeby wybił godziny.

Więc tak: dekompozycja zakomponowana albo zdekomponowana kompozycja. Z uwzględnieniem osoby zegarmistrza i poszanowaniem miary czasu. Która godzina? Jedenasta.

W czwartek o 11 wieczór do naszego pokoju zastukała Julia. Lekko wsuwnęszy przez drzwi swą twarz białej Annamitki powiadomiła nas o wyrokach, jakie zapadły w warszawskim procesie NOWEJ. Chojecki: półtora roku, Grzesiak: półtora roku; inni po roku, wszyscy z trzyletnim zawieszeniem. Wiadomość przetelefonował Artur po powrocie z sądu, gdzie spędził kilkanaście godzin.

W piątek radio WE nadało w wieczornej audycji przemówienie Chojeckiego wygłoszone na procesie. Tekst pełen godności, właściwie orędzie o stanie moralnym społeczeństwa. Występując z taką deklaracją musiał się liczyć z najwyższym wymiarem kary. Przed miesiącem głodował jeszcze w więzieniu mokotawskim, od warszawskiego zebrania Związku Literatów minęło zaledwie pięć tygodni. W kilka dni po zebraniu Chojeckiego wypuszczono z aresztu, na procesie bronił się z wolnej stopy. W odczuciu publicznym było to widocznym następstwem wygłoszonych przemówień oraz listu podpisanego przez stu szesnastu członków Związku. Po zwolnieniu Chojecki podziękował sygnatariuszom w rezeknianych stu szesnastu listach, prosząc w nich o pomoc dla Bhdana Grzesiaka nadal trzymanego w areszcie.

Jeśli listopadowy wieczór w PEN-Clubie półtora roku temu był oczekiwaniem na cud, to 5 maja w sali ZAKS-u spodziewano się próby sił z prowokacją włącznie. Dla milczącej większości literackiej istnienie ruchu wolnościowego w Polsce jest zagadką. Władza przyryka oczy, ale gdyby tylko zechciała? Zagadki niepokoją: dlaczego przyryka oczy, skoro mogłaby w jeden dzień zamknąć całą opozycję? Dwie trzecie literackich X-ów od pięciu lat zadaje sobie to pytanie.

Odpowiedzi nazbyt skrupulatne i złożone nużą pytających, rozpraszając ich uwagę zanim cokolwiek wyjaśnią. Lepiej wtedy użyć przykładu, utartego pojęcia, faktu z życia, a nawet sloganu. Nauczył mnie tego powien mój czytelnik, były duchowny katolicki. Często go pytano, jakie przyczyny sprawiły, że porzucił stan kapłański. Ilekroć sumienie tłumaczył moralne komplikacje wynikające z obowiązku posłuszeństwa i podporządkowania się hierarchii, słuchano go z niedowierzającym roztergnięciem. Któregoś dnia postanowił odpowiedzieć inaczej: "W moim życiu pojawiła się kobieta, chciałem założyć ro-

dzinę". I natychmiast w oczach pytającego dostrzegł błysk zrozumienia; "A, naturalnie, to jasne..." Otóż na pytanie, dlaczego władza toleruje opozycję, skoro może ją wyaresztować, byłoby lepiej - zamiast roztrząsać zawikłe okoliczności gospodarcze, wewnątrzpolityczne i międzynarodowe - lepiej i słuszniej byłoby odpowiedzieć: "Może, ale widocznie ma powody, aby tego nie robić. Podobnie Ameryka może w jeden dzień zająć Kubę, lecz również ma powody, aby tego nie robić". Taka odpowiedź nie zauszi pytającego, odwrotnie, wywoła w nim niespokojne refleksje.

Jestem pewien, że są pytania, których zadawać sobie nie trzeba i nie warto. Wątpię, czy Dawid stojąc naprzeciw Goliata obliczał dzielącą ich różnicę wzrostu. Myślał o tym, żeby dobrze wycelować procę. Wycelował i trafił w oko. Zbiorowa pamięć do dzisiaj podziwia śmiałego młodzieńca, który nie zadawał sobie zbędnych pytań.

Zebrań literatów odbyło się w tej samej sali ZAIKS-u, gdzie dwanaście lat temu pisarze uchwalili rezolucję potępiającą zawieszenie "Dziadów" w Teatrze Narodowym. W ciągu dwunastu lat zaszło sporo wydarzeń, przybyło też wielu literatów. Dopiero nazajutrz uprzytomniłem sobie, że nie znałem połowy obecnych. Sala była szczelnie wypełniona. Ile: czterysta, trzysta, sześćset osób? Nie potrafię odróżnić wzrokowo trzystu osób od sześciuset, myślę jednak, że pięćset było na pewno. Zanim wszedłem do budynku, idąc od strony Nike natknąłem się na grupkę młodych ludzi z Niezależnej Oficyny. Adam Michnik z daleka pomachał mi ręką, obok stał Konrad Bieliński z nieznaną ładną brunetką i ogromnym bredaczem. Wręczyli mi folder NOWEJ, podobny na oko do reklamy zagranicznych lekarstw. W tekście zdjęcie Chojeckiego. - Trzymajcie się - umocniał mnie Michnik. Miał na sobie wiatrówkę, a pod nią czerwona koszulka z nadrukiem n, znakiem NOWEJ. Może dlatego tak dokładnie pamiętam tę scenę, że wydali mi się samotniejsi i poczuliem niepokój, czy lada chwila nie zgarną ich tajniacy. A może po prostu dlatego, że stali w końcu.

Sala, gremium... Kilkaśset osób, które można rozmaicie sortować - choćby według roczników urodzenia. Odczytano listę zmarłych bardzo długą. Z pisarzy urodzonych przed rokiem 1900 nie został prawie nikt. Lata przed 1914 i 1918 mogą wspominać już tylko nieliczni.

W każdej sali zebrania jest pewna liczba chętnych, którą zazwyczaj określa się terminem "milcząca większość". To nie są działacze ani mówcy, w ciągu zebrania nie wpływają czynnie na jego przebieg. Ale decydują o jego wyniku. W warszawskim środowisku literackim milcząca większość niejednokrotnie ratowała godność całego Związku. Czasem w okolicznościach dramatycznych, jak na zebraniu nadzwyczajnym w lutym 1968. Ostre potępienie zdjęcia "Dziadów" ze sceny warszawskiej zostało uchwalone dzięki jej dwustu głosom.

Na mejowym zebraniu w sali ZAIKS-u w sprawie Chojeckiego był głównym tematem obrad. Czuję, że większość jest znerwicowana i obawia się momentu, w którym będzie zmuszona do jawnego zajęcia stanowiska. Dwieście, trzysta osób, każda ze swoim lękiem i uzależnieniem. Nauczyłem się nie gardzić ludzkim strachem, widzieć w nim jedno z cierpień zasługujących na poszanowanie. Bohaterowie i tchórze, takim podziakom nie zanadto ufam. Nie znoszę też dzielenia ludzi na tych, którzy podpisują zbiorowe protesty, i na tych, co nie podpisują. Zwrócono się kiedyś do podpisu do dwóch intelektualistów, do naukowca i reżysera. Jeden odmówił: "Nie mogę podpisać, mam syna". Drugi odkręcił długopis: "Muszę podpisać, bo mam syna". Te dwie odpowiedzi wyraziły w skrócie starą alternatywę, dwa wątki snujące się przez dzieje wielu kultur. Koncepcja przetrwania - nakaz buntu. Chronienie egzystencji - dziedzictwo honoru. Myślę, że na warszawskich zebraniach literackich dwie trzecie obecnych nieraz przeżywało tę alternatywę. W końcu jednak krzydy musi sam zdecydować, czego się więcej boi: życia czy siebie. Każdy może się bać utraty i każdy ma powody, by się obawiać utraty wewnętrznego spokoju. Można przeklinać takie sytuacje, ale one są banalnie odwieczne.

Kiedyś znałem tę salę lepiej. Dzisiaj najczęściej rozpoznaję twarze starsze i kłaniam się osobom, które spotykam na obiadach w Klubie. Ale o wielu z nich także nie wiem, kim są i co myślą. Czasami popełniam omyłki. Ukłoniłem się jaskrawo ubranej pani biorąc ją za pisarkę, która przecież

nie tak znowu dawno mówiła do mnie w kawiarni: "Wie pan, ta pierwsza wojna była jakoś bardziej euhopejska..." W chwilę później zorientowałem się, że mój ukłen przeznaczony był dla osoby nieżyjącej, pisarką kilka lat temu umarłą.

Rzadko ostatnio uczestniczę w zebraniach i zjazdach, nie potrafiłbym dziś określić tej sali, przewidzieć jej reakcji i odczuć. Zastanawiałem się, jak nowa większość literacka osądza list wystosowany do zarządu Związku, aresztowanie Chojeckiego, kolejne przemówienia. Przemówienia... było ich chyba kilkanaście, może więcej. Przemówienia trzeźwe, przemówienia piękne, przemówienia śmiałe. Niemal wszystkie w obronie Chojeckiego. Mówcy jeden po drugim schodzili z trybuny wśród oklasków. Co prawda nie bez wyjątków. W trakcie pewnego wystąpienia zaczęto opuszczać salę, w innym przykapano rękę na fałszu. Pamiętam Jacka Bocheńskiego na trybunie z numerem ZAPIS-u w ręku, a później rozumny, wzruszający głos Mariana. Sala klaskała. Coraz wyraźniej czułem, jak rozgrzewa się nastrój. Gdyby ułożono projekt rezolucji i gdyby przyszło głosować z a lub p r z e c i w, większość obecnych w sali poparłaby dobrą sprawę. Milcząca większość zawsze popierała dobrą sprawę w tajnym głosowaniu.

W końcu - co obiecywał socjalizm oprócz dobrobytu i wolności? Oświatę i kulturę. Książki! Ta sala ma gnębiącą świadomość niszczenia kultury. Książki... Wydrukowanie tomu prozy trwa dzisiaj nieraz trzy lata, w witrynach księgarni piętrzą się cegły współczesnych klasyków reżimu, po czym idą na przemiał. Sala zdaje sobie jasno sprawę z tego, że wyobraźnia i twórczość, że osobowość społeczeństwa jest niepotrzebna rządzącym. Masa towarowa i ludzka, to jest potrzebne. Literatura? Przykra dysfunkcja zawadzająca w produkcji. Wystarczy utrzymać pozory lub szczątki jej istnienia i dobrze płacić za piosenki żołnierskie. Sprawdziło się, pamiętam. Kiedy w Łódzkiej "Kuźnicy" zabawialiśmy się socjologicznymi konstrukcjami losu i marksizowaniem i intelektualnym w klubie "Pickwick", Stefan Żółkiewski - miłośnik Dickensa, wielki, cudowny mister Pickwick w krainie ideologii - wracał z Warszawy po rozmowach w KC i grzmiał znad redaktorskiego biurka: - Mówię im, tłumacząc, że socjalizmu nie da się robić bez kultury! - Wtedy już bał się o nas.

Sprawdziło się! Pokazali, jak łatwo się robi socjalizm bez kultury. Ta sala wszystko rozumie. Czuje się poniżona. W istocie przeżywa uczucia klasowe. Czyż nie jest reprezentacją polskiej inteligencji, która stała się klasą wyzyskiwaną?/i zgodnie z nauką marksowsko-leninowską wykonała swój bojowy oddział/, czy nie jest proletariatem w totalizmie? Ta sala chce się bronić. Wspaniała sala. Chwilami mogło się przysnić, że w budynku ZAIKS-u obraża literacka konstytuanta Polski niepodległej.

Wyszedłem na papierosa i przystanąłem obok grupki kilku rozmawiających. Wymieniano wrażenia, ktoś powiedział: - Tu wieje historią... - Kiedy wróciłem na salę, w drzwiach doszły mi słowa wygłaszane z trybuny przez jednego z mówców: - Władza toleruje istnienie opozycji nie dlatego, że jest silna. Władza jest słaba i dlatego musi tolerować opozycję!

Władza jest słaba... Jest dostatecznie silna, by puścić w ruch swoje pałki. Takie zdania budzą niepokój sali. Sala wie po czyjej stronie jest racja, lecz również wie, co jej grozi ze strony, która tę rację dźwawi. Większość zebranych w sali niechętnie słucha takich zdań. Większość przyszła tu w sprawie człowieka więzionego pod fałszywym zarzutem, gotowa jest ująć się za nim, ale do politycznej rozgrywki, do generalnej bitwy z władzą nie jest gotowa. Jeśli by ją pchać w tym kierunku, przerazi się. Zrzuci z siebie odpowiedzialność. Obarczy nią tych, o których racji nie wątpi, na nich właśnie przerzuci odpowiedzialność za swój strach i z niespokojnym sumieniem będzie szukać argumentów, żeby się usprawiedliwić przed sobą.

W sali ZAIKS-u nie siedziałem w rzędach, lecz pod ścianą, obok pań profesor Janion i Żmigrodzkiej. Trzy krzeselka były zestawione między oknami wzdłuż przejścia, tak że mogłem obserwować salę. Blisko mnie, w jednym z środkowych rzędów siedział mężczyzna o gęstej, białej czuprynie, który, jak mi się zdawało, nie słuchał przemówień. Z ociężałe pochyloną głową i przym-

kniętymi oczami najwyraźniej posypiał. Profil chyba znajemy, widywany... ale kiedy i gdzie? Może na filmie: przypominał amerykańskich senatorów z Midwestu, starych, krzepkich farmerów i hodowców bydła; wygląd, chciałoby się rzec, sportowo-chłopski. Przez cały czas nie odemknął torebkowatych powiek. W jednej tylko chwili drgnął i położył głowę. Któryś z przemawiających informując o głodówce Chojeckiego powiedział, że władze więzienne podają go sztucznemu odżywianiu za pomocą sondy. Złapałem wówczas to drgnięcie, na pewno znane myśliwym - szybki, czujny ruch głowy. Pan z białą czupryną wychylił się z krzesła i nadstawił uszu: słuchał. Wtedy go poznałem. Pamiętam, jak opowiadał, że po sześciu tygodniach głodówki, gdy wciąż uparcie wypływał zapuszczoną sondą, raz płyn oblał sukienkę pielęgniarki, która się rozplakała. "Co pan zrobił, w czym ja teraz pójdę na randkę z moim chłopcem?" Przyjrzał jej się, pomyślał, że zepsuł żadnej dziewczynie letnie popołudnie w Łazienkach czy nad Wisłą, i wzruszył ramionami. Ugodził się przerwać głodówkę. Był to generał z niewykonanym wyrokiem śmierci, którego spotkałem w górskim uzdrowisku wiosną 56. Niedawno wydał tom wspomnień, przyjęto go do Związku Literatów.

Bodaj ostatnim na liście mówców był Jan Józef Lipski. Lipski w okularach, z przedziakim blisko ucha i odgarniętymi na bok włosami, zwykle przywodzi mi na myśl pewnego chłopca w naszym gimnazjum, który - mimo iż o klasę niżej - budził moją cichą i pełną respektu sympatię. Podobnie się czesał, także nosił okulary i często widywałem go w bluzie z krzyżem harcerskim. Czasami, kiedy Lipski pojawiał się w Klubie na Krakowskim, na z tyłu za przedziakiem koguta i wtedy się wzruszałem, bo tamten chłopiec przychodził rano do szkoły z takim samym przyspanym kogutkiem na ciemieniu. Jana Józefa Lipskiego znałem z widzenia jako studenta pierwszego roku polonistyki, później spotykaliśmy się w klubie Krzywego Koła. Niekiedy ze mną polemizował, zawsze uczciwie i lojalnie, czym również przypominał mego kolegę-harcera z młodszej klasy. Raz po dłuższej przerwie zobaczyłem go idącego ulicą Miodową i zrozumiałem się: był szpakowaty. W ZAIKS-ie, kiedy wszedł na mównicę, znowu się zdziwiłem, bo jego włosy z przedziakiem miały tę samą biel, co czupryna generała. Ja też jestem siwy. Nie do pojęcia, jak płynące lata upodobniły do siebie nasze głowy.

Otóż Lipski, współzałożyciel KOR-u, w swym krótkim przemówieniu zwrócił uwagę zebranych na to, że nie jest jeszcze za późno, by ująć się za niewinnie oskarżonych człowiekiem. Chciał ostrzec salę przed milczeniem: protestować należy już teraz, póki nie jest za późno. - Bo proszę państwa - powiedział - może znów nadejść czas, gdy ludzie będą się bali mówić. - Poczynamy do... i kiedy ja także będę milczał.

Z całego zebrania ten moment najsilniej utkwił mi w pamięci. Przeżyłem również inny epizod, nie mający związku z dyskusją. Siedząc w przeszłości nie mogłem uniknąć zetknięć z osobami, których widoku nie pożądam. Kiedy pewien działacz, ex-minister, stanął przede mną z wyciągniętą ręką, odczułem nagły wstręt. W swych wspominkach rozdrukowywanych w prasie wypisuje rzeczy tak odrażające, że było mi trudno się przemoc, aby uściśnić tę dłoń. Dość długo patrzyłem w powietrze ponad jego ramieniem. Wreszcie, gdy zapytał, czy nie chcę podać mu ręki, odpowiedziałem: - Nie. - Wtedy odszedł. Ale taką chwilą nie jest katwa i zostawia po sobie wątpliwość, czy nie istnieją mniej brutalne sposoby zerwania znajomości. Zapewne mógłby wnieść sprawę przed sąd koleżeński. Nie za bi jednak tego, będzie się lękał oszczerstwa. Nie jest to człowiek wyzarty zmysłu humoru. Wie, że przypominałoby to proces o zgwałcenie wytoczony przez sędziwą prostytutkę. Siedząca obok mnie prof. Janion i Żmigrodzką przeprosił za ten incydent.

- Sto szesnaście podpisów - mówił ktoś po zebraniu - to dużo i mało. To więcej niż liczba delegatów, których oddział warszawski wybiera na Walny Zjazd, a jednocześnie to tylko pięć procent wszystkich członków Związku. Zebranie trwało sześć godzin. Po wyjściu z budynku, chcąc się przedostać do Starego Miasta, zgubiłem się w ciemnościach placu koło Nike i Andrzeja Braun, z którym wyszedłem, prowadził mnie pod rękę, jak ślepego. Po ciemku źle widzę od dawna, podczas okupacji w godzinach zaciemnienia wlażyłem na ludzi, konie i latarnie. Dwanaście lat temu, kiedy opuszczaliśmy gmach

ZAKS-u, także było ciemno. Po koniec zebrania w sprawie "Dziadów" nagle narodziła się wiadomość, że budy są w drodze, warszawski aktyw miał pałkami nauczyć rozum literatów. Wychodziłem razem z kilkunastu osobami, był wśród nich Paweł Jasienica. W progu zawahaliśmy się przed ciemnością, budy mogły już czekać. Wyszliśmy, placyk był pusty. Aktyw partyjny wykonał swoje zadanie dopiero w dziesięć dni później, gdy na Uniwersytecie Warszawskim pałkami uczone studentów. Jednym z nich był Chojecki.

Wtorek. Artur opowiadał po przyjeździe, że w czasie rozprawy, kiedy wprowadzono oskarżonych, Adam Michnik nagle przyskoczył do zakutego w kajdanki Grzesiaka i pocałował go. Milicjant się oburzył: - Uprzedzałem, żeby z oskarżonymi nie nawiązywać kontaktów! - A... ale o tym nie było mowy! - zająknął się Adaś w najwyższym stopniu podenerwowany.

W tutejszej bibliotece pani wypożyczająca książki zwróciła mi dowód osobisty mówiąc: - Od pana nie weźmiemy kaucji. - Uśmiechnęła się do mnie. Proszę, co to znaczy być u siebie. I pomyśleć, gdyby mi dali paszport, wyjechałbym za granicę. Gdzież by mi się przydarzyła taka ciepła chwila. Być u siebie... Na Starym Mieście poznają mnie nawet pijacy: "Dzień dobry, panie B.!" Wracając z biblioteki przypomniałem sobie ostatni wyjazd, kiedy na dworcu żegnali nas Kijowscy, Artur i Wajdowie. M. w szarej pelerynie i głębokiej futrzanej czapce, pod którą schowała włosy jakoś z francuska po tatarsku, ja z parasolem, w nowym, sztywnym kapeluszu ze Szpitalnej /sklep w podwórzu/ i s niedoleczoną tarczycą. W nocy dostałem ataku klaustrofobii. Obudziłem się w ciemnym puale sypialnym i zacząłem krzyzczeć, że jadę w tramwaju. Nazajutrz Agnieszka z Jołem zapakowali nas z walizkami, parasolami i kożachami do samochodu na Gare de l'Est i kiedy weszliśmy do Piotrów w Gif, Hania zapytała: - Wyglądają jak z Telesioja!

Tramaj nie wyglądał jak z Telesioja. Koło Grand Hotelu młodzi waluciarze w ciemnych okularach przemawiają do mnie w języku Buddenbrooków. Tkumaczą się, że mam tylko złotówki.

Wczoraj zapisałem na kartec wszystko, co smuło mi się po głowie w czasie godzinnego spaceru wzdłuż plaży. Notowałem - w skrótach - na ławce przy samym morzu, mając jeszcze świeżo w pamięci ciąg następujących po sobie tematów. To się rzadko udaje.

Na kartec zaznaczyłem tylko skrótowe hasła. Każde z nich przenoszę tu w cudzysłowie, to zaś, co wyjaśniam i rozwijam między nimi, jest omówieniem, względnie streszczeniem /nie: odtworzeniem/ moich przemyśleń w czasie spaceru. Pojdą kolejno:

"Willys. Nauka angielskiego".

Idąc przytapałem się na tym, że układałem angielskie zdania. Chyba ślad po wizycie J.St. z żoną, kiedy musieliśmy rozmawiać w jej języku. Potem zacząłem myśleć o Stephanie Willysię, moim nauczycielu angielskiego w czasie okupacji, rozstrzelanym przez Niemców w 1943. Przypuszczałem, że z pochodzenia Żydem. Myślałem, w jaki sposób mógł się Willyś uratować. Zginął dlatego, że nie żył w ukryciu. Musiał zarabiać lekcjami, ogłaszał się w gazecie. Miał jedno wyjście: zwrócić się o pomoc do którejś ze swych uczennic, były wśród nich młode osoby spokrewnione z ziemiaństwem. Gdyby dobrze wybrał, przesiedziałyby wojnę w jakimś majątku. Uczyłby panią angielskiego. Ale czy wtedy mógł wiedzieć, że oprócz cudownego przypadku nie miał innych sposobów ocalenia? Spośród ukrywających się wpałali przede wszystkim ci, co musieli zarabować. Mnie uratowała biżuteria u Eki. To i te pieniądze, które ojciec w samym początku okupacji dał bez pokwitowania Balaremu. Na założenie firmy bieliźniarskiej... Balary do końca wojny uczciwie je spłacał. To ojciec wyczytał w gazecie ogłoszenie Willysa. Chciał, żebym się nauczył angielskiego, po wojnie miałem jeździć do Londynu w interesach firmy. Właściwie wszystko mu się sprawdziło, tylko inaczej niż przewidywał. On pierwszy namawiał mnie do pisania. Dzięki niemu tak łatwo przeżyłem wojnę. Był potężną częścią mojej opatrności.

Przez kilka sekund widziałem nadzwyczaj dokładnie smutnego, nerwowego Stephana Willysa i jego matkę, którą zastrzelono razem z nim. A potem znowu myślałem o ojcu, o jego śmierci w więzieniu. W czasopiśmie lekarskim, które

dał mi Marian, znalazł się opis jego ostatnich chwil. W szpitalu na Pawisku zaprzyjaźnił się z młodym Łkowcem, aresztowanym w grudniu 1940. Dzielił się z nim swoją racją żywnościową, opowiadał mu o żonie i synach /"których bardzo kochał..."/, autor - czułem to - był pod jego urokiem. Uściskali się serdecznie, kiedy ojciec jechał na ostatnie przesłuchanie. Wrócił z niego szczęśliwy, nazajutrz miał wyjść na wolność. Tej nocy nie przetrzymał ataku serca, umarł z radości.

Później zaczęły mnie napastować poszczególne zwroty z rękopisu "Miesiący", napisane poprzedniego dnia. Zdaje się, że poprawiałem je w pamięci do chwili, kiedy zobaczyłem M. z ręką wyciągniętą ku foksterierkowi w rybackiej łodzi.

"Kamea. Foksterier".

Spostrzegłem pierścionek z kameą na jej palcu. Ten sam, co zgubił się w piasku podczas naszych studenckich wakacji w Orłowie trzy lata przed wojną. Znalazła go przypadkiem, kiedy już zrezygnowałem z przesypywania plaży. Teraz nosi go razem z obrączką, pierścionek nie może zsunąć się z palca. Obliczyłem na oko wiek foksterierka. Cztery, pięć miesięcy. Stał w łodzi zakotwiczonej przy brzegu, obwachuując zwinięte liny. M. przemawiała do niego, foksterierek mrudził ślepką. Nie był rasowy. Kiedy dotknęła blaszki wiszącej u obroży, warknął obnażając zębki z podejrzliwą nieufnością plebejusza. Musiał go ktoś nauczyć, żeby nie dał tknąć blaszki. Przypomniał mi się nasz obkrzym, bokser Albin. Pewnego dnia wrócił bez obroży i leżał na derce zawstydzony. M. mówiła: "Głupka, powiedzieli ci: wyskakuj pan z palta, a ty uszuchasz?" Ona tworzy życie z takiego zagadywania do psów i do ludzi. Raz, kiedy jechałiśmy taksówką, zaczęła rozmawiać z szoferem. Denerwowałem się, że tak go wypytuje, o pracę, o żonę i dzieci. Odpowiadał jakby niechętnie, z pewnością był zmęczony. Potem, gdy wysiadaliśmy, obrócił się ku niej: "Z panią to się przyjemnie jeździ. Inni pasażerowie albo przewoźnie się kłócą albo nic nie mówią. Tak jak ten pan". Ze swoich gubionych i odnajdywanych pierścionków, z tysiąca nieuważnych gestów, słów i uśmiechów ona tworzy wokół siebie życie, to są jej sposoby zaklinania losu. A w istocie jest bardziej zatrwożona i mniej skłonna do złudzeń niż ja.

Potem znów ulepszałem w myśli kilka zdań rękopisu. Mijaliśmy kosze i opalających się ludzi.

"Szczęśliwi nieszczęśliwi"

Chodziło mi o kobiety i mężczyzn w plażowych koscach. Krótce przed wyjazdem do Sopotu ktoś w jakiejś rozmowie dowodził, że nowa klasa w Polsce czuje się szczęśliwa. Ma świadomość klasowego zwycięstwa i zbiera jego owoce. Powiedziałem na to: ale równocześnie ma świadomość choroby społecznej i nie uważa swego życia za normalne. Szczęśliwi? nieszczęśliwi? O tym, jak się czuje poszczególne człowiek, rozstrzyga także zbiorowe odczucie rzutujące na indywidualną kondycję. Odczucie normalności albo nienormalności życia ogółu doznawane przez ogół. Robotnik grzejący się na plaży w Sopocie, tak, być może przeżywa klasową satysfakcję. Ale pamięta też o tym, czego się boi i czego nienawidzi. Boi się i nienawidzi tęgie serce, co ja. Od sprasowanych ogonków w sklepach bez powietrza do prywaty i publicznie głoszonej nieprawdy. /"Kto pani dziś powie prawdę - mówił przy mnie zataczający się czkowieczek do właścicielki wagi ulicznej - pijany albo Cyganka!"/ Górniczy, chłopi, włókniarze... Ludź przestaczy Żeromskiego na plaży przez Grand Hotelem... Klasa wyzwolona z jarzma wyzysku i upewniana przez rząd, że lubi żyć w marksizm-leninizmie. Myślę: "Kaczka lubi być upieczona z jabłkami". I zaraz się koryguję: "awans, socjalne wyrównanie, postęp..." Postęp! To chyba w Szwecji do XVII wieku nie wolno było poddawać torturom osób ze stanu szlacheckiego. W wieku XVII zniesiono ów niesłuszny przywilej i odtąd wszyscy obywatele bez wyjątku mogli być torturowani. Zgodnie z postępem.

Myślałem jeszcze o tym, że wiara w postępanie rodzi się w głowach filozofów. To, że ja piszę, a inni budują domki, również wynika z wiary w postęp. Wszyscy jesteśmy utopistami. Ci, którzy płodzą dzieci, i ci, co wynaleźli gilotynę.

"Dwa anioły"

Przelotna myśl o książce JM Ra i o Słowackim, który zobaczył na ramionach Towiańskiego dwa anioły, Miłości i Prawdy /tak zapamiętałem/. Przystąpienie do sekty w języku mistycyzmu tłumaczyło się angelologicznie. A jaki krzyk i śmiech dzisiaj by się podniósł, gdybym oświadczył, że na ramionach Stalina widziałem siedzące anioły Historii i Postępu...

"Wdowa"

Mówiłem półgłosem: - De Gaulle est mort... La France est veuve... - Zdanie z przemówienia Pompidou po śmierci de Gaulle'a. Dosłownie tłumaczyłoby się: "De Gaulle umarł. Francja jest wdową". Takiej metafory polski język by nie zniósł. Dałoby się napisać: "Piłsudski nie żyje. Polska okryła się żałobą /wzgl. została osierocona/. W Polsce bohatera albo głowę państwa można porównać do syna, z biedą do ojca narodu, w żadnym razie do małżonka. Naród jako wdowa, nie, to wykluczone. Nasza literatura miała do wdów stosunek krotchwilny. I to na długo przed Fredrą, a z pewnością jeszcze długo po nim. Sienkiewicz: kosmopolityczna wdówka, pani Elzenowa /z noweli "Na Jasnym Brzegu", po której przestałem czytać "Trylogię"/. Prus był nieco kaskawszy, pikantna wdówka pani Wąsowska ma przynajmniej sympatyczne cechy. Ale czy Telimena także nie była wdówką? Bo na to mi wygląda. Cóż to - myślę - za dziwna kultura z tak schematycznie zaklepanym stosunkiem do kobiecości. Albo święte dziewice, albo puchy marne. Po cichu klasycy pisali obsceniczne freszki... To, że romantycy nie stworzyli uczłowieczonej postaci kobiecej /czyżby Idalia w "Fantazym"?/, to w końcu można by pojąć, obchodziły ich całkiem inne sprawy. Ale później, później! Ani mądry, zacny Prus, ani męska i odważna Zapolska. Panna Łęcka, Pani Latter, pani Dulcka, hm, trochę to mało w porównaniu z kobietami Stendhala, Flauberta, Tokstoję, Strindberga, Dostojewskiego, Czechowa... A prawda: Żeromski. Wkrótce jednak przyszły literackie panie Dwudziestolecia i zaczęły podglądać psychologię przez feministyczną dziurkę. Subtelnie, a niekiedy z talentem - trzeba im to przyznać - dzięrgały swoje powieści o kobietach niezrozumianych. Szanuję. Podziwiam. Ale nie został już podjęty wielki i poroniony zamysł nieustanowionej wyobraźni autora "Dziejów grzechu": ukazania kobiecości absolutnej. Pacieszam się, że nie tylko w polskiej - w całej literaturze naszego stulecia.

Dalej zanotowałem: "Sypanie piaskiem".

Idąc brzegiem spostrzegłem dwóch małych chłopców. Uklękli jeden naprzeciw drugiego i obsypywali się piaskiem wyrzucając go rękami spod siebie. Tuman, szupy piasku wzbijały się jak fontanna. Przystanąłem, bo nagle mnie olśniło. Przecież tym samym piaskiem dokładnie w taki sam sposób obsypywaliśmy się z Marianem podczas wakacji nad morzem. Tutaj, w Sapocie. Jak mogłem o tym nie pamiętać przez tyle lat? Teraz przypomniałem sobie w jednej sekundzie wszystko. Rozgrzana skóra pokryta kłującymi ziarenkami, zgrzytanie w zębach, słone wargi i piasek zalepiający oczy. A potem wilgotna, szorstka dłoń Mariana, kiedy mnie ciągnął za rękę do wody. Ile to lat minęło? Zaraz... to było w trzy czy cztery lata po... Po Verdun! Przez ten czas dorosli wymyślili sporo nowych zabaw. Tylko chłopcy na plażach wciąż lepią takie same fortece z mułu i kłęcząc naprzeciw siebie obsypują się piaskiem. Bez zmian. Ileż spokoju w tym widoku -

"Twarz namalowana na zatokę"

Zacząłem bez powodu myśleć o kimś, kogo od dawna nie widuję. Obraz wyraźny, utrwalony w matowych kolorach. Jasnoblond rozsypujące się włosy, biała, wysoka szyja z małą głową odgiętą lekko w tył. I oczy spoglądające gdzieś za mnie, jak na fotografii, którą zachowałem. Przez dłuższą chwilę twarz utrzymywała się w powietrzu ponad horyzontem, między pasemkiem orłowskiego moła a sylwetkami dwóch okrętów na redzie. Takie wyobrażone ucieleśnienia podobne są do surrealistycznych kompozycji. Nie zasłaniają krajobrazu. Widać czyjąś twarz, a poprzez nią daleki żagiel i linię morza. Przy okazji uświadomiłem sobie, że myślę przede wszystkim twarzami. Np. myśląc o literaturze, z reguły widzę twarze /co zresztą naturalne: autorzy, postacie/. Ale także każde pomyślane słowo najpierw widzę graficznie, a równocześnie czy w chwilę później ono mi się prze-twarza. Nawet s t ó ł ma twarz. W snach to jest zu-

pełnie oczywiste. I nie chodziło tu o podobieństwo rzeczy do człowieka. Raczej o wygląd słów. Można by to nazwać językową fizjognomistyką myślenia.

Ostatnie hasło zanotowałem u dołu kartki. „padł mi do głowy tytuł książki o małżeństwie, której nie napiszę. Ale gdybym miał ją napisać, dałbym jej właśnie taki tytuł:

„Poważna różnica płci”.

W środę, kiedy szedłem przez Monte Cassino do biblioteki na Wybickiego, po drugiej stronie ulicy rozległ się krzyk i wrzawa. W długim ogonku przed sklepem mięsnym nagle wybuchł tumult. Ludzie wrzasnęli, zbili się ze sobą napierając na drzwi, zobaczyłem poczerwieniałe twarze, otwarte usta, wytrzeszczone oczy. Przyszło mi na myśl, że coś się tu zawaliło czy eksplodowało. Ale nie. Ogonek spostrzegł tylko radjeżdżający furgon. To była chwila dowiezienia mięsa.

Niedawno opowiadała Ewa Fiszer, że wracając o 2 w nocy z brydża u przyjacideł na Mokotowie doszła wreszcie do postoju taksówek. Postój znajdował się przed sklepem mięsnym. W przyległej bramie siedziało już dwadzieścia parę osób na składanych krzeselkach i poduszkach. Zaproszono ją do bramy, uewnijając, że na taksówkę długo przyjdzie czekać. Były różne gatunki alkoholu, ponadto kanapki i ciasteczka. Ewa F., poetka, a przy tym towarzyska i dobrze wychowana pani, zaproszenie przyjęła. Spędziła pół godziny w gościnnej, rozmownej atmosferze przy smacznym poczęstunku. - Pełnia życia... - wspominała nie bez rozmarzenia.

Podejrzenie o nadużycia i oszukawcze machinacje najwidoczniej mam w korze mózgowej. Wsiadłem ra przystanku do zatłoczonego autobusu. Od razu wydało mi się dziwne, że przy wejściu siedzi konduktor i żąda ode mnie zapłaty za przejazd. Miałem dziesięciocentówkę, daję mu ją, a on zamiast mi wręczyć bilet i resztę, wsuwa ukradkiem monetę któregoś ze stojących pasażerów, ten zaś zręcznie przesyła ją dalej kierowcy autobusu. Powtarza się to na następnym przystanku, gdy wsiadają inni. Kęś: gang, klika... Na trzecim przystanku, widząc tę samą kombinację, rzucam się do przodu, roztrącam pasażerów i łapię kierowcę za rękę, w której schował pieniądze. Kierowca wrywa mi się i w biegu wyskakuje z autobusu. Wóz nabiera prędkości, jesteśmy na spadku, za chwilę roztrzaskamy się. W strachu siadam za kierownicą, próbuję hamować, ale nie sięgam nogą do pedału. Autobus coraz bardziej się rozpędza, jeszcze sekunda i koniec. Na zegarze przy kierownicy widzę godzinę: wpół do 6-tej... Wykonuję rozpaczliwy manewr: z wysiłkiem obracam koła skośnie w stronę chodnika, tak aby zaczęły się ocierać o krawężnik oponami. W ten sposób chcę zahamować. Udało się! Czuję, jak zleń mi zimny pot. Siedzę się obudziłem z łomoczącym sercem, mój zegarek na nocnym stoliku wskazywał dokładnie wpół do 6-tej.

lipiec

Z Sopotu wracałem cztery i pół godziny, około 3-ciej byliśmy w Warszawie. Miałem przepustkę uprawniającą do wjazdu na Stare Miasto, by wyładować bagaż z samochodu. Taką przepustkę z datą i godziną załatwiam od dziesięciu lat w wydziale komunikacji Urzędu Dzielnicowego /ul. Żurawia 43/ przed każdą podróżą z większym obciążeniem. Bez przepustki nie wolno dojechać przed dom na Nowomiejskiej.

W niedzielę między Ryńkiem a Barbakanem odbywa się rodzaj kiermaszu czy odpustu połączonego z promenadą. Wzdłuż zarośniętych spacerowiczów. Na chodnikach artyści-malarze wystawiają swoje zachody słońca, przed którymi tłoczą się wycieczki. Trudno się przecisnąć. Jechałem bardzo powoli na pierwszym biegu, hamując co pół metra i nie używając klaksonu. Spacerowicze rozstępowali się niechętnie, słyszałem wokół urąganie, że łamię zakaz wjazdu. Grupa wycieczkowa z przewodnikiem zastawiła mi drogę, musiałem wyłączyć silnik, bo rozległy się utyskiwania, że truję spalinami i przejeżdżam ludzi. Opuściłem szybko pokazując przepustkę. Wyjaśniłem, że chcę dojechać z bagażem przed bramę domu o kilkanaście metrów dalej. W tym samym momencie tuż przed maską samochodu stanął okazały mężczyzna w jasnym garniturze i kapeluszu z rudej słonki,

bardzo wysoki, o gęstych brwiach. Wskazując palcem na mój samochód zawołał: - Verboten! - Niemiecki turysta, z pewnością po sznapsie w "Dazylishku". Machnąłem ręką. Ale zanim się odsunął, dosłyszałem to, co mruknął w odpowiedzi na mój gest. Szarpnąłem klamkę i łokciem pchnąłem drzwiczki, żeby się wydobyć z samochodu. M. usiłowała mnie zatrzymać, podobno zbladłem. Niemiecki turysta był już przy Barbakanie. Dogoniłem go i złapałem za ramię. Krzyknąłem po-niemiecku: - Was haben sie gesagt? Wiederholen! - Miał różową koszulę z popielatą muszką w niebieskie paseczki. Żądałem, aby powtórzył to, co przed chwilą powiedział. Gdyby powtórzył - nie wiem - rzuciłbym się na niego, zerwałbym mu kapelusz, może plunął w twarz. Ale nie powtórzył, oniemiał. Policjanci mu zwisyli jak u doga. Widząc, że ludzie zatrzymują się wokół, cofnął się o krok, po czym szybko odszedł.

Scena zaciekawiła przechodniów, wiele osób przystanąło. - Czy on coś panu ukradł? - zagadnęło małżeństwo z dzieckiem w wózku. Grupa żołnierzy-lotników także się zatrzymała. Pytali, czy to był Niemiec. Szli za mną, kiedy wracałem do samochodu. - Warto by przyłożyć szkopowi... - Wiadomość się rozniosła. Starsza pani w tlenionej peruce podeszła do mnie mówiąc, że w Zgorzelcu jakiś Niemiec nazwał jej siostrę "polnische Schwein". Artysty-malarze przyglądali się z chodnika, jak wynosiłem rzeczy z samochodu. Jeden, siedzący na składanym krzeszku, obserwował mnie przyskániając sobie ręką oko. Jego kolega z twarzą podobną do Grottgera, szczupły brunecik w spodniach z teksasu, przeszedł do mnie na drugą stronę jezdni. - Ten Niemiec obraził Polaków? - Tak - Wzawiałem do siebie walizki, torby, paczki z książkami i maszynę do pisania. M. weszła na górę z płaszczami. Grottgerek wypytywał mnie o stan silnika. - Przepraszam, że mimo konfliktu zadam nietypowe pytanie: czy Pan płacił w dolarach? - Byłem zdyszany i spocony, nie mogłem się go pozbyć. Ciągłe przystawali jacyś ludzie patrząc na mnie i informując się nawzajem, że niemiecki turysta lżył Polaków od świni.

Miałem w oczach tę idiotyczną scenę: siebie w wygniecionych spodniach i rozchłostanej koszuli, biegnącego za wysokim Niemcem... jego kapelusz, rękaw, za który go złapałem, muszkę i wodniste oczy pod grubymi brwiami... - Może trzeba było doprowadzić na komisariat - mówił ktoś za mną. Grottgerek lustrował opony. - Kupiłbym od pana ten wózek, mam książeczkę na Fiata 125. - Artysta-malarz siedzący naprzeciw pod ścianą wciąż przyglądał mi się przez rozsunięte palce.

Dlaczego nie powiedziałem im prawdy - wiem dlaczego. Prawdy nie powiedziałbym również, gdyby mi się to zdarzyło w Paryżu albo w Nowym Jorku. Bałbym się, że usłyszę śmiech. Bałbym się też obojętności i milczenia. Nie wiem, czy potrafiłbym je znieść i jak bym się wtedy zachował.

Kiedy wtoczyłem rzeczy do pokoju i ściągnąłem z siebie pomiętą koszulę M. wyszła z łazienki. Leżąc na tapczanie z papierosem gapilem się w sufit. Myślałem: człowiek o siwych potarganych włosach gonił kogoś i wywołał uliczne zbiegowisko. M. patrzyła na mnie zaszepiona: - Ale właściwie co on takiego powiedział, że w jednej chwili zbladł?

Nie odczuwałem się, byłem zanadto zmęczony. M. poszła do kuchni nalać herbatę. Kiedy podała mi filiżankę, zgasilem papierosa. - Wiesz, co powiedział? Powiedział: verfluchte Juden.

Mszę za dusze Antoniego i Janki Słonimskich odprawiono u św. Krzyża w bocznej kaplicy. Od śmierci Antoniego upłynęło cztery lata. Janka umarła na rok przed nim, w czerwcu. W czerwcu 1975 telefonowałem z Sopotu do Artura M. dowiedzieć się o zdrowie Janki, które przed naszym wyjazdem miało się nieco polepszyć. Artur przez chwilę jakby coś przeżywał, a potem szybko odpowiedział: - Wiesz, Janka nie żyje. - Rano wsiedliśmy w samochód. Na pogrzebie w Łaskach, kiedy trumnę pokrywano ziemią i Antoni został sam na ławeczce koło grobu, staliśmy za nim trochę niepewni, co robić. Zapytałem wtedy stojącego przy mnie Adama Michnika, jego sekretarza, jak sądzi, czy Antoniemu nie sprawiłoby przykrości, gdyby do niego teraz podejść. - Koniecznie... - szepnął Adaś - właśnie teraz. - Podeszedłem pierwszy i uściskałem Antoniego. Obejmując go wyczułem ptasią kruchość i lekkość jego ramienia. Powiedział: - Dziękuję ci, złotko. - Zapach "after shaving" Williamsa i kosteczki ptaka.

Nabożeństwo żałobne odprawiał wówczas ksiądz Jan Twardowski, poeta, mój kolega z "Kuźni Młodych".

Teraz kropił deszcz. Po pięciu latach w bocznej kaplicy zgromadziło się około stu osób. Widziałem Lipskich, Tomasza Burka /z krótko ostrzyżonymi włosami/ i aktorkę Maję Komorowską w jasnej nieprzemakalnej pelerynie. Burak przyszedł z ojcem, również pisarzem. Dużo starszych ludzi zajęło miejsca w ławkach. Zjawił się pan Adam Nagórski o lasce, nisko przygarbiony, z piękną srebrną głową. Kiedyś w Nałęczowie pokazał mi fotografię zrobioną w willi Nagórskich przed rokiem 1914, przedstawiającą grupę kobiet i mężczyzn. Nałkowska, Osterwina, Zeromski, Nowaczyński... Po bokach dwaj wytworni ciemnowłosi chłopcy w sztywnych koźnierzykach. - To jest Władzio Tatarkiewicz, a to ja. - Na ścianie kaplicy widniały prostokątne tablice pamiątkowych z nazwiskami ich rówieśników, zmarłych generałów, dowódców w kampanii wrześniowej. W kościelnych wnętrzach starość, śmierć i historia tworzą naturalny związek, mają tylko miejsca osobne - ławkę, katafalk lub ścianę. Mszę odprawił nieznajomy ksiądz. W chwili, gdy wezwał zgromadzonych: - Pomódlmy się za dusze Janiny i Antoniego! - z głównej nawy dobiegły radosne dźwięki marsza weselnego Mendelssóna. Na twarzach starców dostrzegłem ożywienie, siwi panowie rozejrzeli się, ciekawie nadśluchując, i wydało mi się, że nie opodal pan Roman Jasiński zerknął ku mnie porozumiewawczo zza okularów w czarnej oprawie. Rozumie się, to Antoni wymyślił swój najnowszy kawał! M. rzuciła mi szeptem: - Oni z Janką brali przed wojną ślub w tej samej kaplicy...

Kiedy zmarł Antoni, byliśmy w Gif u Piotrów Słonimskich. Piotr był przywiązany do starca, Antoni był dumny z Piotra. Lubił opowiadać o jego pracach naukowych. W pierwszym okresie po wojnie będąc w Polsce - jeszcze z wizytą tylko, jako gość z Londynu - dzięki swym wpływom dopomógł w zwolnieniu Piotra, który siedział w Montelupich w Krakowie, aresztowany za udział w AK. Pewnego dnia z celi przywieziono go do Urzędu Bezpieczeństwa, w pokoju zobaczył szczerą pana z białą chusteczką w kieszonce. - Co za radość! Stój Antoni! - ucieszył się Piotr. Po czym wyraził życzenie, by pójść do cukierni "Maurenia". Zjadł sześć ciastek z kremem.

We Francji byliśmy wtedy parę tygodni, załatwiałem sprawę wydawniczą. Po kolacji u przyjaciół wróciliśmy późno do Gif. Piotrowie nie przyjechali jeszcze ze swojej farmy w Chante-Mêlé. Podniosłem słuchawkę, kiedy zadzwonił telefon. Artur z początku nie poznał mojego głosu, wziął mnie za Piotra. Po chwili zaczął mówić o wypadku samochodowym, jakiemu Antoni uległ na drodze do Obr. - Czy jest ranny? - pytałem - jak się teraz czuje? - Artur zastanowił się przez moment, po czym odezwał się stłumionym głosem: - Słuchaj, Antoni, nie tyje.

Nocowaliśmy w Kassel, do Warszawy przyjechałem nocą. Nabożeństwo żałobne odbyło się w głównej nawie kościoła św. Krzyża. Z plafonu nad trumną Antoniego zwieszał się biało-czerwony sztandar. Po mszy cały kościół odśpiewał "Boże, coś Polskę". Kiedy wnosiliśmy trumnę środkiem nawy, po obu stronach stał zbity tłum ludzi, milicja wstrzymywała ruch przed kościołem. Dwukrotnie niosłem czarną trumnę. Przed jędrastu laty na Powązkach nieśliśmy Wilka Macha. Teraz z Arturem, Andrzejem Kijowskim, Michnikiem, Lipskim i innymi dźwigaliśmy ciężką trumnę Antoniego. Dosłyszałem, jak powiedział ktoś na ulicy przy schodach kościoła: - To Słonimskiego niosą...

Po wypadku na asfalcie w Jeziornie, kiedy wezwano Pogotowie, Antoni sam wsiadł do karetki. W lecznicy poprosił o aparacik do golenia, który mu zaraz przywieziono z domu. Dopiero w parę godzin później rzekł z łóżka do Artura: - Zdaje się, że umieram. - Opowiadał któryś ze znajomych, że przed wieczorem jadąc taksówką przez Pożą zobaczył Artura stojącego na rogu. Trzymał w ręku kapelusz. Znałszy mówił: było widoczne, że to nie jest jego kapelusz. Wtedy jeszcze nie wiadano o wypadku.

Antoni spoczął na cmentarzu w Łaskach obok Janki. Po przyjeździe do Warszawy Piotrowie rozdzielili wśród przyjaciół drobne pamiątki. Ja dostałem trzy krawaty i parasol Antoniego.

W piątek siedzę w fotelu nad pustą kartką i szukam w myśli pierwszego zdania. Pusta kartka straszy bardziej niż zwykle po dziewiętnastu pustych dniach. Otóż nie, to nie były puste dni. Widywałem się z ludźmi, chodziłem do kina, czytałem. Ale nie były to dni czyste. Czyste dni przeżywam w czasie pisania. Lepiej może powiedzieć: czyste stany. Odgrózenie się od wszystkiego, co zbędne, obmycie się z trwóg i podjęrzeń nanoszonych przez siebie i innych /mój inwentarz żywy/ i z tego, co nazywam inwentarzem martwym, czyli z rzeczy, które posiadam i których zużywanie się, niszczenie, naprawianie zabiera mi sporą część życia. Przed miesiącem wskutek pęknięcia rury rozlał się zaciek na ścianie w mniejszym pokoju. Naprawiając rurę odkuto tynk do cegły, przez co w ścianie powstał rodzaj małej pieczary. Umówiony malarz nie przyszedł. Szczerbaty wyłom w żółtawej otoczce po zacieku był trochę przerażającą. Umieściłem w nim zdjęcie kolorowe wykonane parę lat temu podczas spaceru w Oborach: Kropka Mirkiewiczowa i M. pod parasolem z małą Klarą i Wawrzkiem Rymkiewiczem idą od pałacu w stronę bramy. Wysznięte plamki wilgoci na ścianie tworzą iluzję deszczowego dnia.

Inwentarz martwy... Martwy? Ależ on żyje, przepuszcza przez siebie czas i jest nieustającą miarą mojego czasu. Moja skóra zmienia się razem z obiciami mebli, dywanami, powierzchnią sekretarzy. Z obiciami! ba, a co się dzieje wewnątrz, czy w materacu włosie także nie siwieje? To się kiedyś okaże. Tymczasem siedzę w fotelu z wytartą poręczą - wytartą dniami i godzinami pracy, "Wariacjami pocztowymi", "Pomysłem", "Nierzeczywistością" - i czekam aż przyjdą mi na myśl pierwsze słowa, którymi odgródzę się od różkutej ściany, przecierających się obić, i od czasu, który mnie zbliża do śmierci.

Nie: o starości nie zamierzam pisać, to sobie przyrzekłem. Wyznania dotyczące wieku podeszłego nudzą mnie we wszystkich pamiętnikach. Zawszeopuszczam rozwlekłe opisy stygnięcia pragnień i oddalania się od światła: wydają mi się jakowe. Starość wymyka się opisowi - jest pointą. O tej niespodziance da się tylko powiedzieć, że napełnia zdumieniem. Ale opisać, przeanalizować... nie, to bezwzględnie. Tu trzeba skrót. Przypominam sobie pobyt w domu starych aktorów w Łokimowie, gdzie moje okno wychodziło na werandę o piętro niżej i o zmroku słyszałem rozmowy prowadzone przez bezzębne solistki warszawskiej opery ze zgrzybiałymi gwiazdami "Rozmaitości". Pewnego dnia zaczęły wspominać. Opowiadały o swych dawnych triumfach, o wyprzęganych powozach, brylantach, koszach kwiatów. Mówiły jedna przez drugą, tylko drobniutka starszuszka w fotelu na kółkach przez cały czas milczała, zamyślona i półśmiechnięta. Gdy zmęczyły się wreszcie i przuciły, ona właśnie, ta dotychczas milcząca, rzekła kresowym akcentem: - A ja pochowałam w życiu siedemnaście psów... - O tak, to było celne, to rozumiem. Właściwy skrót. W odpowiedniej chwili wyraziła cechę starości, zjawiska, które odbywa się nie w nas, lecz na zewnątrz nas. To nie my odchodzimy, to wzdłuż naszego życia trwa ruch w przeciwnym kierunku.

Ale nie o tym chciałem mówić. Chciałem dziś pisać o moim inwentarzu żywym, o niespokojnych myślach, które obkoczyły mnie ze wszystkich stron, jakby wypuszczone z klatek. Osaczają mnie, nawołują się złymi głosami. Trzeba się położyć w środku tego stada.

Kazimierz Brandys

Jarosław Marek Rymkiewicz

MOGIŁA ORDONA

Patrz jakie to lejtnanty jakie kapitany
Patrz kto to przy Ordonie leży pochowany

Patrz kto to Ordonowi teraz salutuje
Kto się w tych grobach śmieje kto to w twarz nam pluje

Patrz jak te czarne liście poprzez cmentarz wieją
Jeśli jesteś Polakiem żegnaj się z nadzieją

Patrz jakie generały jakie to sztabs-wracze
Pod tym kamieniem - słyszysz - tam ktoś jeszcze płacze

Tam jeszcze - słyszysz - mówią nasi bracia mili:
Polaku powiedz Polsce żeśmy tutaj zgnili

Że tutaj na reducie gdzieście nas chowali
Czekamy na tę chwilę gdy się lont zapali

Patrz jak te czarne liście biją o mogiłę
Jak się kruszą jak gniją nasze kości miłe

Jak się kruszą pękają nasze orły szare
Te czaszki które Bóg miał przyjąć jak ofiarę

Jeśli jesteś Polakiem nie mów ani słowa
Patrz toczy się wśród liści twoja ścięta głowa

Patrz wśród tych czarnych liści, twoje serce gnije
A kto by wieniec wleć chciał to niech z czaszek wije

Z tych skrzydeł które orły nasze pogubiły
Z krzyży co choć złamane strzegą nam mogiły

Aż przyjdzie dzień Te groby znowu się otworzą
Wejdziemy na ten cmentarz pod ojczyzną zorzą

I Ordon weźmie w dłonie szablę pokamaną
A z tych grobów to wtedy czyi zmarli wstaną?

Konstanty Ordon popełnił samobójstwo we Florencji, w końcu lat osiemdziesią-
tych minionego wieku, i tam też, o ile mi wiadomo, został pochowany. Na cme-
ntarzu Łyczakowskim we Lwowie - o tym właśnie cmentarzu mówi mój wiersz -
znajduje się, pod pomnikiem wystawionym przez mieszkańców Lwowa, serce Ordo-
na.

ZBARAŻ 1979

Biały księżyc oświetla nasze białe kości
Nie ma dla nas ratunku i nie ma litości

Buldożer nas rozdiera i pług posnas orze
Nasza dola niewola pewnie z woli Bożej

Pewnie z Bożej niełaski pewnie kara Boża
Na te czaszki płaczące od morza do morza

Na te suche piaszczele co się w ziemię wryły
 Na te - biały księżycu - gdzie są te mogiły

Zaorane worane w kołchozowe pola
 A ile to stuleci ma trwać ta niewola

A ile to stuleci - o księżycu białe -
 Będziemy czekać w próchnie na pośmiertną chwałę

A cośmy zbudowali oto jest w ruinach
 Zgniłe czaszki: to Polsko masz po twoich synach

Nie ma dla nas litości ani przebaczenia
 I tylko biały księżyc w krwawy się zamienia

A gdy już księżyc zajdzie gdy już śpią sowieci
 Widzimy: czyjś duch biały nad tym wzgórzem leci

Odłamki gwiazd i czaszek biją o pancerze
 A ten duch nas w ramiona jako ojciec bierze

Zgniły już nasze kości naszych serc już nie ma
 A on czego chce- od nas ten we krwi Jarema?

KSIEŻYC NAD WIGRAMI

Biały księżyc od Wilna nad Wigrami świeci
 A pod nim czarny obłok krwawa szmata leci

Nocny wiatr od księżycu od sosen i buków
 Tak samo będziesz kiedyś kochał to mój wnuku

Nocny wiatr poprzez puszcę księżyc nad Wigrami
 Tak samo będziesz kiedyś spał zatruty snami

Biały księżyc od Wilna od białych cmentarzy
 Jest taka Polska która zmarłym wciąż się marzy

Taka Polska co dla nas jest jak sen cmentarny
 Biały księżyc od Wilna pod nim obłok czarny

Wiatr i księżyc nad puszcza od Wilna do Grodna
 Polska jak gorzki napój i wypij to do dna

Polska jak gorzki napój W ustach smak truciźny
 Bo otruto nas wnuku nadzieją ojczyzny

Bo otruto nas wnuku po czwartym rozbiorze
 Je nie wiem gdzie te kości poczerniałe złożę

Bóg nam obiecał wnuku lecz Bóg nie ma siły
 Toczy się biały księżyc przez nasze mogiły

Bo mieliśmy ojczyznę ale jest zabrana
 Od Wilna biały księżyc jak krwawiąca ściana

Wiatr od białych cmentarzy od białych kościołów
 Sny nasze jak kopalnie w których świeci ołów

Jarosław Marek Rymkiewicz

Janina Jankowska

GDAŃSK, 18 SIERPNIĄ 1980, WIECZOREM

Tekst ten jest przeniesionym z taśmy magnetofonowej zapisem wypowiedzi strajkujących stoczniowców, którzy otoczyli mnie, dziennikarkę-reporterkę radiową za bramą stoczni im. Lenina w Gdańsku, wieczorem 18 sierpnia. Rozmowa miała charakter przypadkowy, ale wypowiedzi - wiernie spisane z taśmy - mówią o atmosferze strajku i determinacji stoczniowców.

Przyp. autorki

Szósta noc strajku. Chłopak i dziewczyna z biało-czerwonymi przepaskami na ramieniu sprawdzają nam dokumenty. Kontrola lotna, już po przekroczeniu bramy.

- Prasa, dziennikarze, w porządku. Sami zobaczycie. A co z tego napisiecie? Jeśli macie kłamać czy przeinaczać, lepiej nie piszcie nic. /Nie protestują przeciwko otwartemu mikrofonowi. Wokół nas zbiera się grupka stoczniowców/.

- Ludzie z nami się solidaryzują. Ci za bramą. Kobiety stoją całe dni, od godziny piątej rano do dwunastej w nocy, z dziećmi. W większości to osoby obce. Rzucają nam chleb, papierosy, wszystko co można, żeby nas podtrzymać. Dlaczego tego prasa nie napisze? Dlaczego tego telewizja nie poda? Pokazują porty, stocznie, tyle a tyle strat. Ale z czyjej winy są te straty? Myśmy chcieli już dawno z władzami rozmawiać. Od lat. Czy władze chciały z nami rozmawiać, jak myśmy pracowali? Nigdy. Wreszcie znalazł się sposób: przerwać pracę, strajk. Przecież Fiszbach powiedział dzisiaj, nie? Fala strajków szła przez całą Polskę i wreszcie na wybrzeżu kulminacja. Wylało się. To musiało pęknąć. I pękło.

- Żeby władze centralne albo wojewódzkie chciały z nami wcześniej rozmawiać. Przecież te sprawy, przysięgam pod Bogiem, w czwartek, piątek, a ostatecznie w sobotę można było zakatwić! Tylko nie było stanowczej decyzji.

- Gdzie jest I sekretarz Komitetu Zakładowego? Czy on wyszedł do ludzi? Czy przemówił do nas? Gdzie jest szef produkcji? Zastępca szefa produkcji? Zastępca dyrektora? Żaden buzi nie otworzył. Nie wiem, gdzie oni są. I teraz oni z niepodpisanych ulotek chcą do nas apelować?

- Pracuję 22 lata w stoczni. To samo było w 70 roku. Tylko w grudniu myśmy stoczniowcy popełnili błąd, bo wyszliśmy na ulicę, porządkiem, równo, ale co z tego. Byli nieodpowiedzialni ludzie - do nas strzelali. I zaczęło się... My wtedy też byliśmy nieuświadomieni, jak to robić. A teraz nie opuścimy stoczni. To jest n a s z e miejsce. Stocznia jest tak własnością państwa, jak naszą. Pilnujemy maszyn, zabezpieczamy n a s z ą stocznię. I będziemy jej bronić aż do skutku. Aż swoje wywalczymy.

- Nie tylko my. Już 200 zakładów dołączyło. Jeśli będziemy jeszcze stać dwa dni, jestem przekonany, że dojdzie co najmniej 50 nowych zakładów.

- Jeśli liczą się ze stratami, muszą coś konkretnie i w krótkim czasie zdecydować. My wszyscy są zgrani. Trzymamy się równo.

- 6 dni mija i czym nas można zastraszyć? W milicji i wojsku, tam też są nasi bracia i synowie. Mamy serca otwarte, proszę panią. Ten, kto użyje pięści, nigdy nie wygra. Jego pograży ktoś inny. Po tym, co miałyby taką odwagę, spłynie krew. A po nas przyjdą drudzy, bo samo się nie polepszy w kraju. Dzisiaj zginie 20, 30 osób, a jutro powstanie na ich miejsce 50, bo jeszcze więcej zrozumieją niż tych 20, co zginęło. Nasza świadomość, bo my też mamy świadomość, można powiedzieć społeczną + ta świadomość rośnie w nas. Chcemy tylko spokoju i życia. Nie egzystencji, ale życia. Słyszeliśmy z przemówień

telewizyjnych, że nasz kraj nie był przygotowany do wejścia w lata osiemdziesiąte. Przecież ci, co to mówili, byli u steru władzy. Nie my, proszę pani. Więc kto winien?

- Myśmy im zaufali w 70 roku...

- W 70 roku ja prowadziłem strajk. Byłem przewodniczącym. Zrobiliśmy błędy, ale tych błędów już nie powtórzymy. Mamy tak zorganizowane społeczeństwo stoczniowców i poparcie wszystkich ludzi na Wybrzeżu, że już nie damy się złamać.

- Czy komuś jest tu frajdą nocą pilnować maszyny, a w dzień spać na maszynie? Przecież ludzie by spokojnie poszli do domu, do żon, zjedli kolację, położyli się spać. Po co by im był ten strajk? To, o co walczymy, jest naprawdę duże i większe niż stocznia. Nie zrezygnujemy.

- Tu w MKS jest przedstawicielstwo 200 zakładów. Dlaczego Komisja Rządowa nie rozmawia z nimi, tylko jeździ po mniejszych zakładach? Przekonują: damy wam to, damy wam tamto, odstąpcie od strajku. Do czego to ma doprowadzić? Do rozwalenia sprawy od wewnątrz. Na ten numer raz mogliśmy się dać nabrać i daliśmy się... ale drugi raz... Już trzy zakłady odmówiły pertraktacji oddzielnie. Ludzie wracają do nas. W tej chwili myślę, że jest 80% załoga. Myją się, jedzą, bo zaraz będzie czas zmiany wart na płotach, przy bramach. Tak musi być. Spimy na halach, na ławkach, gdzie można. Tu każdy, kto chce wyjść, może wyjść. Jeśli ktoś się zakamuje psychicznie, niech powie otwarcie. Trudniej by takiemu było przejść między ludźmi, tam za bramą.

- A jednak w sobotę, 16 sierpnia, Komitet już podpisał porozumienie z dyrekcją.

- To był jeszcze Komitet Strajkowy Stoczni im. Lenina. Delegaci z różnych wydziałów byli częściowo nasłani przez dyrekcję. A Leszek powiedział, że wszystko będzie demokratycznie, większością głosów zatwierdzamy postulaty. Więc oni przegłosowali. Ale zaraz po tym podpisaniu zaprotestowały komitety strajkowe innych zakładów, pierwszy z WPK. Oni wcześniej do nas dołączyli. - To wy, stoczniowcy - mówią - chcecie sami podpisywać, sami załatwiać własne sprawy, a nas, mniejsze zakłady, zostawić? żeby zgnetli nas jak pluskwy? Wtedy powstał MKS i dlatego umowa Komitetu Strajkowego samej Stoczni Gdańskiej straciła ważność. MKS nie zabraniał komitetom mniejszych przedsiębiorstw pertraktować ze swoimi dyrekcjami, bo każdy zakład ma swoje wewnętrzne problemy. Ale ostateczną decyzję zakończenia strajku może tylko podjąć w imieniu nas wszystkich MKS. Oni od nas postulaty otrzymali i muszą decydować. My jesteśmy teraz jednością, 21 punktów, a najważniejszy niezależny, samorządny związek zawodowy. Niestety, skończyły się obietnice. U nas w tej chwili musi być już konkretna rzecz wykonalna. I a piśmie. Musimy to widzieć i czuć. Dopiero uwierzmy.

- Ludzie są zmęczeni. Mają prawo, to już szósta noc. A siedzi na stoczni dużo starszych, poważnych pracowników. Oni orali jak rolnik w ciężkiej ziemi. A teraz sześć dni na tych pryczach, na tych stołach, na tych ławkach, to nie jest żadna przyjemność, ale wytrzymamy. Na czworakach. Dwie godziny się prześpię w dzień, na trawie czy ławce. Wytrzymamy, choćbyśmy padli. Do końca.

- A jedzenia mamy dosyć. O, pełną siatkę znów przysłali z miasta. O tym napiszcie.

- I jeszcze jedno napiszcie: już więcej nie chcemy się oszukiwać, żeby tylko to zrozumieli. U nas słowo się liczy. Żądamy tylko spełnienia naszych postulatów. Nic więcej. Ludzie rozejdą się i wezmą do uczciwej

pracy. A teraz każda godzina potęguje nienawiść do Nien. Mówmy uczciwie, nie do ustroju czy do rządu. Do Nien osobiście. Ustrój jest piękny, tylko żeby był wykonawca aktualny. Statut partii jest piękny, sam go czytałem. Tylko wykonawca musi się znaleźć. Po co nam obłuda, proszę panią? My jeźśczone umiemy liczyć do stu. To jest cały ich błąd, nauczyli nas, proszę panią. My r o z u m i e m y, jak tu ktoś powiedział, że sprawa, o którą walczymy, jest większa od stoczni.

Tomasz Jastrun

POLSKA

Podobno była wszędzie
Na ulicach w codziennych gazetach
I w haśle że Polak potrafi
Podobno mówiła bez przerwy śpiewała
Ale ja nie mogłem
Nigdzie jej dostrzec
Ani usłyszeć

Znalazłem ją dopiero tutaj
Nie miała skrzydeł jak Nike
Butelki wódki pod pachą
Ani urzędowego stempla

Była powietrzem którym się oddycha
I muzyką której nie słychać

Sierpień 1980 - Stocznia Gdańsk

POD BRAMĄ NR 2

Z krwi zabitych stoczniowców
Wyrósł nagle krzyż
Jak bolesne musiało być ziarno
Które tak długo czekało

Sierpień 1980 - Stocznia Gdańska

NA BRAMIE

Te kwiaty zwiędną
Ale nigdy nie umrą
Widać odcisk ręki
Która je kładła
Zastygły w powietrzu

Sierpień 1980 - Stocznia Gdańska

JESZCZE JEDNA DELEGACJA

Przyjechała delegacja z Krosna
Czternastu ludzi
W ciemnych garniturach
Stoją teraz na podium w słońcu lamp
I dziwią się
Że tak łatwo było ruszyć
Z posad
Brykę świata

Sierpień 1980 - Stocznia Gdańska

W MIEŚCIE

Nie zmieniło się nic
Te same zmęczone domy i ulice
Tylko ludzie chodzą inaczej
Jakby bali się
Żu upuszczają
Dopiero co nabytą godność

Sierpień 1980 -

LOS

Wzięli w ręce

Swój los

I przestraszyli się

Pył tak spekany

I wyschnięty na kamień

Jak z niego teraz lepić

Nowy dom

Zrzesień 1980

Tomasz Jastrun

Lech Bądkowski

PRZYPISY DNIA

/z dzienników gdańskich 14 VIII - 1 IX 1980/

14 sierpnia /czwartek/ '80. Dziś zastrajkowali robotnicy Stoczni Gdańskiej, już od rana. Obok żądań ekonomicznych postawili też polityczne: zbudowania dawno obiecanego pomnika ku czci poległych w grudniu 1970 r. przy bramie stoczni - w miejscu gdzie padły pierwsze ofiary, a gdzie obecnie buduje się sklep - i przywrócenie do pracy robotników stoczniowych represyjnie zwolnionych, wśród nich suwnicowej Anny Walentynowicz, działaczki Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża. Wyłoniono 20-osobowy komitet strajkowy. Władza jakoby zwróciła się do stoczniowców o odroczenie strajku - chyba dla zyskania czasu na pertraktacje i rozmycie akcji strajkowej.

Na poniedziałek 18 bm. zapowiedziany jest jakoby strajk powszechny, jedni mówią, że w Gdańsku /Trójmieście/, inni że w całej Polsce.

Powiedziano mi, że dziś w dzienniku telewizyjnym /nie oglądałem go/ podano wiadomość o strajku stoczniowym /przerwie w pracy/ w Gdańsku i komunikacyjnym w Warszawie. Koniec blokady informacyjnej? Na pewno nie, bez wątpienia informacja będzie w możliwie największym stopniu ograniczona, ale jest to wielki wyłom, który może się okazać wyłomem potężnym. Zobaczymy, co jutro będzie w gdańskiej prasie.

15 sierpnia /piątek/ '80. Dziś od rana strajk komunikacji miejskiej, tramwajów i autobusów. Niejasna dla mnie sytuacja elektrycznej kolei miejskiej. Brak chleba, zapewne z braku dowozu mąki do piekarni. Przed sklepami z pieczywem wielkie ogony czekające na dostawę.

Dziś w "Dzienniku Bałtyckim" i "Głosie Wybrzeża" jednobrzmiące noty niepodpisane pt. "Zakłócenia w rytmie pracy", gdzie mowa o tym, że takie "przerwy" wystąpiły także "na wydziałach Stoczni Gdańskiej" i komentarz, że "napawają troską, utrudniają bowiem i tak już niełatwą sytuację gospodarczą" itd., że "forum dyskusji o usprawnieniach w gospodarce /.../ powinny stanowić i w wielu zakładach stanowią zebrania kolektywów pracowniczych, KSR, zebrania organizacji partyjnych".

Między 13.00 i 14.00 byłem przy Stoczni Gdańskiej pod bramami nr 1 /Lisia Grobla/ i nr 2 /Doki/. Pod tą drugą spotkałem dziennikarza Edmunda Szczesiaka. Tłum strajkujących robotników za bramami, od strony miasta - przechodniów. Podawano paczki z żywnością. Nigdzie ani jednego policjanta czy wozu policyjnego. Przy bramach straż robotnicza z czerwonymi opaskami na lewym ramieniu. Na sztachetach wiązanki kwiatów, przy bramie chorągiew biało-czerwona. Co chwila przez głośniki podawano wewnętrzne komunikaty. M.in. przypomniano, że stocznię mogą opuszczać tylko kobiety.

Atmosfera zupełnie swobodna, a przy tym ład i spokój zachowane. Krążą wieści, że władza - w osobie dyrektora naczelnego Stoczni Gdańskiej Klemensa Gniecha - zgodziła się na część żądań, więc podwyżkę płac jakoby o 1200 zł /żądania są wyższe i obejmują zwiększenie dodatków rodzinnych do poziomu policji i bezpieczeństwa/, powrotu do pracy robotników zwolnionych z przyczyn politycznych od 1976 r., budowy pomnika stoczniowców poległych w grudniu '70. Strajkujący jakoby domagają się przyjazdu kogoś spośród naczelnych władz partii. Pogłoski, że ma przyjechać Gierek, w co nie wierzę. Także pogłoski o strajku powszechnym 18 bm. bez precyzowania: w Gdańsku, w Trójmieście, czy w Polsce.

W południowym dzienniku radiowym warszawskim podano o powrocie Gierka z urlopu w Związku Radzieckim. Nic o sytuacji wewnętrznej.

O 18.00 w kościele NMPanny msza z okazji Wniebowzięcia NMPanny. Kazanie wygłosił ordynariusz gdański K. Lech Kaczmarek, religijno-democyjne, ani słowa o 60 rocznicy zwycięstwa pod Warszawą i sytuacji w mieście i w Polsce.

Zresztą w kościele dużo wolnego miejsca, mimo pompy liturgicznej.

Wieczorem z Zosią u Antków Faców. Byli też Janina i Wiktor Woroszyłscy oraz Stach Załuski. Antek w Stoczni, razem z załogą. Rozmawialiśmy z nim telefonicznie.

Przemówienie telewizyjne premiera Babiucha. Wygłoszone bardzo spokojnie i w sumie bardzo złe. Same ogólniki plus dętwa mowa oraz wzmianka o /cytuje z pamięci/ "naszych przyjaciółach", którzy "mają nadzieję, że sami rozwiążemy nasze kłopoty". Powiedział, że obecne ceny mięsa zostaną utrzymane i nie obiecywał podwyżek płac. Oświadczył, że osiągnęliśmy pułap pożyczek zagranicznych, którego przekroczyć już nie możemy; ale i on nie powiedział, ile konkretnie nasze długi wynoszą. Pogróżek w przemówieniu nie było. Po dawnemu słowo "strajk" partyjnemu dygnitarzowi nie przechodzi przez usta. Babiuch nie sprawia wrażenia polityka, który by potrafił skutecznie odwołać się do społeczeństwa; zresztą który z nich sprawia takie wrażenie?

Po 22.00 pojechaliśmy wszyscy do stoczni. Majka zawiozła Antkowi sweter itd. Strajk trwa.

O ile rozumiem, na czoło komitetu strajkowego wysunął się Lech Wałęsa. Aktywna także Anna Walentynowicz. Dziś w stoczni byli i przemawiali do robotników Dariusz Kobzdej i Tadeusz Szczudłowski. Ocena przemówień podobno dobra.

Wczoraj szukał mnie telefonicznie Aleksander Hall, ale nie spotkaliśmy się.

Dziwne, że sklepy monopolowe otwarte. W grudniu '70 były zamknięte i w lokalach nie sprzedawano alkoholu. Tak powinno być też teraz. Zresztą pijanych nie widać.

Po rozmowie z Antkiem przy bramie nr 3 poszliśmy pod bramę nr 2, główną. Sytuacja ta sama, tylko dużo więcej ludzi. I tu i tam rozmowy przez żelazne płotki; bramy zamknięte.

W drodze powrotnej do dworca Gdańsk Główny odprowadziłem z Zosią resztę uczestników rekonfesansu. W okolicach dworca pokazała się jedna nysa policyjna i na Frackiej patrol dwóch policjantów. Cisza, spokój. Pod stocznia Wiktor zrobił naдер trafną uwagę, że policja okazała się całkiem zbędna, ludzie umieją zachować porządek także w tak napiętej sytuacji /myślę, że w ł a ś n i e w tak napiętej, póki nie ma policyjnej prowokacji/. Zawsze utrzymywałem, że społeczeństwo okaże rozwagę i dyscyplinę, jeżeli tylko będzie mogło się zorganizować bez przeszkód. Oczywiście proces reedukacji społeczeństwa na zasadach demokratycznych będzie długi i trudny.

O północy słuchałem jeszcze ostatniej wiadomości W.E. i o 01.00 BBC World Service /23.00 GMT/. Icadyn na pierwszym miejscu podał depeszę z Polski, wysuwając na czoło strajk gdańskich stoczniowców. Według oceny warszawskiego korespondenta /BBC albo Reuters, nie pochyciłem/ "na wybrzeżu bałtyckim Polska" strajkuje około 50 000 ludzi. Relacjonowano też przemówienie Babiucha. /Nazwisko speaker wymawiał całkiem poprawnie, tylko z akcentem na drugiej głosce/. Z przemówienia wypuklono brak obietnic szybkiej poprawy, utrzymanie cen i "nadzieje przyjaciół Polski", że Polacy sami rozwiążą swoje problemy.

16 sierpnia /sobota/ '80. Dziś wyszedł "Głos Wybrzeża", chociaż od kilku tygodni prasa ukazuje się tylko pięć razy w tygodniu i wczorajszy numer był datowany na piątek, sobotę i niedzielę. Dzisiejszy zawiera tekst przemówienia premiera Babiucha, skąd przepisuje dosłownie: "Świat przygląda się, jak radzimy sobie w chwilach trudnych. Mamy niezawodnych sojuszników, którzy martwią się również naszymi kłopotami, wierzę, że sami zdołamy im sprostać i życzą nam tego z całego serca".

Poza tym dość obszerna informacja "Aktualna sytuacja w zakładach pracy Gdańska i Gdyni" /cały czas piszę o wydaniach gdańskich "Głosu Wybrzeża" i "Dziennika Bałtyckiego", nie wiem, co jest w wydaniach poza gdańskich/. Informacja jest względnie spokojna i rzeczowa, chociaż oczywiście stara się umniejszyć rozmiary konfliktu. Mówi się w niej już /i nareszcie/ o postulatach "różnej treści społeczno-gospodarczej". Słowo "polityczne" jeszcze nie prze-

chodzi przez usta i ręce oficjalnych czynników. Jest też taki fragment:

"Czwartkowe wydarzenia w Stoczni Gdańskiej nie były ośosobnione. Wystąpiły przerwy w pracy w kilkunastu zakładach Gdańska i Gdyni. Nie pojawiły się też na trasach autobusy WPK, stopniowo zjeżdżały do zajezdni tramwaje, które uprzednio wyjechały na miasto. Jednym z motywów tych zbiorowych decyzji był fakt, że stoczniowcy gdańscy, już obecnie zarabiający w odczuciu innych dość dużo, domagają się istotnej podwyżki płac".

Jeszcze wracam do mowy Babiucha. Może najbardziej charakterystyczny dla bezradności i, jak się wydaje, bezprogramowości władzy jest fragment: "Zdaje sobie w pełni sprawę z tego, że społeczeństwo oczekuje na jasną odpowiedź, co zamierza czynić rząd, aby wyprowadzić kraj z gospodarczych trudności i usunąć przyczynę napięć społecznych".

Po czym następują ogólniki i zakłęcia. Brak natomiast tej "jasnej odpowiedzi". Z rozmów wynika, że przemówienie Babiucha przyjęte zostało źle, może gorzej niż zasługiwało, uwzględniając oczywiście właściwą przywódcom komunistycznym treść i formę publicznych wystąpień, z reguły pustawych lub całkiem pustych, wielosłownych, omownych, asekurenckich, unikających konkretów. Kolega przypomniał mi dowcip z czerwca 1976 r. Co słychać w Warszawie? Głośny śmiech Gomułki.

Po południu wiadomość, że w Stoczni Gdańskiej osiągnięto porozumienie między komitetami strajkowymi i dyrekcją; jednocześnie informacja, że część robotników kontynuuje strajk i że "coś się dzieje" przy bramie głównej. Poszliśmy tam, Stach Żeluski i ja. Istotnie coś się działo. Przed bramą tłum kilkuset osób /500 do 700/, gdzieś za bramą przemówienia dalej strajkujących, podawane przez głośniki. Poznałem głos Bogdana Borusewicza, mówił, żeby się nie bać, że to policja boi się podejmować akcję. Potem przemawiał ktoś ze Stoczni Północnej, apelując o solidarność robotników Stoczni Gdańskiej z robotnikami Stoczni Północnej.

Apel do ludzi zza bramy o dostarczenie żywności. Informacja, że jutro o 9.00 odbędzie się msza przy tej bramie.

Sytuacja niejasna. Jakoby większość komitetu strajkowego z Lechem Wałęsą na czele zgodziła się na porozumienie z władzą, mniejszość - nie. Nie jest to dobry bieg wydarzeń. Niedobre także to, że jedni strajk kończą, inni kontynuują lub zaczynają. Dzisiaj np. stanęła gdańska Państwowa Komunikacja Samochodowa. Poszliśmy jeszcze ze Stachem pod Elmor nad Mokłąwą, tam strajk trwał, zresztą zupełnie spokojnie.

Telefony Trójmiasta odcięte od kraju. Próbowałem dzwonić do Warszawy, Krakowa, Torunia, Gliwic - aparat głuchy. Rozmawiałem telefonicznie ze Zbyszkiem Sz. w Gdyni. Tam też strajki w Stoczni Gdyni i w innych zakładach, komunikacja miejska stoi. I w Gdańsku i w Gdyni kolejki przed piekarniami. Czeka się na dostawę godzinami.

Jarmark Dominikański robi bokami. Małe zainteresowanie, słabe obroty. Ale wszędzie spokój. W ogóle nie widać pijanych.

Wolna Europa podała wieczorem, że w Warszawie jakoby nie sprzedaje się biletów lotniczych i kolejowych do Gdańska. Do Warszawy podobno przybyła 7-osobowa delegacja Stoczni Gdańskiej.

17 sierpnia /niedziela/ '80. Godz. 8.10. Właśnie słuchałem dziennika BBC /world service/. Na pierwszym miejscu podali, że wiadomości o sytuacji w Gdańsku, Gdyni i Sopocie są pogmatwane /confusing/ i sprzeczne, ale ogólnie różne strajki trwają i życie w Trójmieście jest bardzo utrudnione. Podobno w Stoczni Gdańskiej strajk wczoraj przerwano na cztery godziny, po czym go podjęto. Po dzienniku były komentarze, znów na pierwszym miejscu ich korespondenta w Warszawie, który poszerzał te informacje i mówił o komunikacyjnej blokadzie Gdańska.

Istotnie, jak podkreśla W.E., Polska i obecnie zwłaszcza Gdańsk znajdują się w centrum uwagi w Europie.

Za chwilę wychodzę pod Stocznię Gdańską.

Godz. 11.25. Właśnie wróciłem spod głównej bramy Stoczni Gdańskiej, gdzie się znalazłem przed 9.00. Ilu stoczniowców za bramą - nie wiem, ludzi

z miasta przed bramą z początku około tysiąca, potem tłum rósł i trudno go było ogarnąć wśród drzew, wykopów fundamentowych, płotów; mogło być 3-5 tysięcy. Gdy podchodziłem, słyszałem już głos przez głośnik; okazało się później, że mówił proboszcz parafii św. Brygidy, do której należy obszar przystosczniowy, ks. Jankowski. Brama udekorowana chorągwiami biało-czerwonymi i jedną w poziome pasy: biały-niebieski-biały /Stoczni Gdańskiej?/, kwiatami i obrazami, patrząc od lewej: Matki Boskiej, Jana Pawła II, Matki Boskiej Częstochowskiej, przy czym ten ostatni, w dekoracyjnych ramach, zawieszony był na czas mszy, potem go zdjęto. U bramy wznosił się nad nią krzyż drewniany około czterometrowy.

Ksiądz zapowiedział, że po mszy ten krzyż zostanie przeniesiony na miejsce tuż przed płotem zewnętrznym stoczni, gdzie ma stanąć pomnik poległych w 1970 r. Potem zaintonował "Jeszcze Polska nie zginęła" i "Boże, coś Polskę". Refren "Boże, coś Polskę" wszyscy już śpiewają "ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie".

Zacząła się msza z kazaniem, które trwało trochę długo. Niemal całe ksiądz poświęcił pracy, bez której człowiek nie może żyć, ale musi wykonywać ją w godnych warunkach. Na wstępie powiedział, że tę mszę połową odprawia na polecenie biskupa ordynariusza gdańskiego. Na zakończenie wezwał do rozchodzenia się w spokoju.

Po mszy krzyż rzeczywiście przeniesiono wśród oklasków na wybrane miejsce, znów odśpiewano hymn narodowy i "Boże, coś Polskę", spod krzyża, podniesiony na rękach, przemówił jakiś mężczyzna, nie wiem kto i nie słyszałem słów, bo stałem zbyt daleko. Krzyż wpuszczono w beton. Podano komunikat, że żądania robotników Stoczni Gdańskiej zostały spełnione i że trwa strajk solidarnościowy, aż będą spełnione żądania innych strajkujących zakładów. Oświadczone też, że w Stoczni Gdańskiej powstał międzyzakładowy komitet strajkowy.

Z dachu portierni ekipa telewizyjna, niewątpliwie zagraniczna filmowała tłum robotników strajkujących i tłum przed bramą. W pobliskim gmachu mieszkalnym, zajęty przez radzieckich specjalistów z rodzinami, zaledwie parę głów. Ale podobno ktoś stamtąd chciał robić zdjęcia /zresztą od tyłu/, podniósł się okrzyki protestu i wzniosły się zaciśnięte pięści; okno zamknięto. Mógł to być także jakiś zwykły Rosjanin, który chciał zdjąć dla siebie i bliskich znajomych.

Nigdzie ani jednego policjanta mundurowego /na pewno byli ubeccy/ i dowodnie okazuje się, że w podobnych sytuacjach, gdzie się tysiącami zbierają ludzie świadomi, policjanci w ogóle nie są potrzebni, a i policjanci, mimo napięcia. Ktoś w tłumie zasłabł, przygodni mężczyźni go wynieśli. Niech tylko nie będzie prowokacji.

Dzisiejsza manifestacja miała charakter już niemal wyłącznie patriotyczny. Żądania ekonomiczne zeszły na drugi plan. Sądzę, że gdyby nastąpiły istotne zmiany polityczne w kierunku demokratycznym, z rzeczywistym uczestnictwem społeczeństwa w sprawowaniu władzy w państwie, żądania płacowe dałoby się zmniejszyć i również dałoby się spowodować Polaków do prawdziwego zwiększenia wysiłku pracy.

Srodki finansowe można zaoszczędzić na przykład w trzech dziedzinach: bezpieczeństwo, pomoc dla coraz to innych tak zwanych sił postępowych za granicą, nadmierne zbrojenia; poza tym, oczywiście, rozbuchana administracja i propaganda.

Czy jest to możliwe? Chyba nie, bez swoistej "finlandyzacji" Polski.

Godz. 22.00. Stach Załuski i ja o 17.30 poszliśmy do Stoczni Gdańskiej, do środka. Pertraktacje przy bramie głównej /nr 2/ nie trwały długo, obejrzało nasze legitymacje ELP i młody stoczniowiec zaprowadził nas do posiedzeń komitetu strajkowego, który zajął budynek BHP. Rozmawialiśmy tam z kilkoma osobami, najwięcej z Bogdanem Borusewiczem. Lech Wałęsa, główna sprężyna komitetu, spał przemęczony dniami i nocami strajku. W fotelu zwinęła się też do spania Anna Walentynowicz, zamieniliśmy z nią ledwo kilka słów. Bogdan Borusewicz również był bardzo zmęczony, ale wytrzymał z nami przez większą część półtoragodzinnego pobytu, co prawda często odrywany do spraw bieżących.

Wyjaśniła się sprawa wczorajszego zamieszania. W komitecie strajkowym

była spora liczba delegatów wydziałów, którzy przychyliłi się do zakończenia strajku. Pod ich naciskiem Wałęsa ustąpił i ogłosił koniec strajku. Później perswazję pozostałych członków komitetu oraz przedstawiciele innych zakładów, które były się opuszczone przez robotników Stoczni Gdańskiej, spowodowały zmianę jego stanowiska. Bogdan B. ocenił, że w Stoczni Gdańskiej pozostało dwa do trzech tysięcy robotników. Podobno dyrekcję na przykład Stoczni Gdynińskiej i MZK początkowo wcale nie chciały rozmawiać z załogami. Chodziło o likwidację strajku w Stoczni Gdańskiej, wtedy łatwiej byłoby załatwić się z innymi. Później zaś Stocznia Gdynińska z kolei nie chciała już rozmawiać z dyrekcją i żądała przybycia przedstawicieli rządu z Warszawy.

Sprawa mszy miała wyglądać tak. Komitet zwrócił się do proboszcza parafii św. Brygidy o tę mszę w niedzielę. Ks. Jankowski się zgodził, ale uzależnił jej odprawienie od zgody ordynariusza gdańskiego biskupa Kaczmarska. Ten z kolei uzależnił swoją sankcję od zezwolenia wojewody gdańskiego Jerzego Kołodziejewskiego. Wobec tego do wojewody udała się delegacja komitetu strajkowego. Ten zaś bardzo chętnie przystał na żądanie strajkujących /pewnie zadowolony, że tylko tyle/ i zadzwonił do biskupa, że nie ma nic przeciwko.

Jutro o 6.00 gdy zjedzie się tłum robotników do pracy, nastąpi decydująca chwila w Stoczni Gdańskiej. Członkowie komitetu są zdania, że przeważająca większość załogi postanowi kontynuować strajk, solidarnościowo.

Zdażyłem wrócić ze stoczni na telewizyjne przemówienie Tadeusza Fiszbacha, I sekretarza KW w Gdańsku, członka KC, posła na sejm, w programie lokalnym. Było ono puste, zawierało same apele.

W dzienniku telewizyjnym podano wiadomość o powołaniu przez Biuro Polityczne KC i rząd komisji dla "rozpatrzenia postulatów załóg i problemów wybrzeża gdańskiego". Na jej czele stanął zastępca członka Biura Politycznego i wicepremier Tadeusz Pyka. W Komitecie strajkowym w stoczni mówiono już o przyjeździe do Gdańska komisji wysokiego szczebla następnego dnia rano.

W stoczni spotkałem dziennikarza z holenderskiej "Handelsbleed". Robił zdjęcia sprzącej Anny Walentynowicz i szereg innych ilustrujących atmosferę. Pokazywał mi swoją gazetę z soboty /chyba przywiózł ją ze sobą/ z wiadomościami z Gdańska na czołowym miejscu.

W stoczni widziałem szereg młodych działaczy gdańskich ośrodków niezależnych. Większość nie wchodzi w skład komitetu strajkowego, przebywa tu solidarnościowo, dla więzi młodej inteligencji z robotnikami.

W Komitecie imprezacja, odnosiłem wrażenie chaosu, zresztą nie do uniknięcia w okolicznościach, w jakich strajk powstawał, bez możliwości dostatecznego przygotowania organizacyjnego całości.

18 sierpnia /poniedziałek/ '80. O godz. 10.40 przybył do mnie Zbyszek Szymański, przyniósł ulotkę rozrzucałą po mieście przeciw strajkowi, podpisaną przez Wojewódzki Komitet Frontu Jedności Narodowej. Ktoś sobie przypomniał, że takie ciało rzekomo istnieje.

Około 11.40 przybył Krzysztof Wyszowski w poszukiwaniu maszyny do pisania.

Około 17.00 informacja prywatna o rzekomych przygotowaniach władz do mocnego wkroczenia w nocy z dziś na jutro. Podobne na obrzeżach miast grupowane są siły policji i wojska.

Kolej elektryczna między Gdańskiem a Wrzeszczem nie chodzi. Błokada śródmieścia /zespołu stoczni gdańskich/ jako wstęp do ostrej akcji?

Sklepy alkoholowe nareszcie zamknięte. Powinno to być nastąpić trzy dni wcześniej. Napis na nich: z powodu braku perszalu.

Godz. 23.25. W telewizji o 20.05 wystąpił Cieniek. Ogólne wrażenie: mówił lepiej niż Babiuch, w sumie jednak dialog głuchoy i zabawa pozorami trwa. Jutro w gazecie będzie tekst, tu tylko notuję garść wrażeń.

Przyznał, że obok trudności obiektywnych wystąpiły błędy w polityce gospodarczej. Coś opowiadał o konsekwentnym realizowaniu uchwał VI zjazdu partii /czy o powrocie do nich/ i że uchwały VIII zjazdu były właśnie krokiem w tym kierunku. Rzecz w tym, że prócz partyjnych cadyków nikt nie pamięta, jakie były uchwały tego czy innego zjazdu i nikogo to nie obchodzi. Oni żyją złudzeniami.

- Rozumie zmęczenie ludzi ogonkami, wzrostem kosztów utrzymania, różnymi trudnościami, ale strajki nie poprawiają itd. Jedyną drogą: lepsze gospodarowanie, lepsza praca itd., co słyszymy jak dawno PRL istnieje.

Biuro Polityczne podjęło decyzję: 1. przeprowadzić rzetelną analizę zmian w kosztach utrzymania ludności; będą podwyżki płac itd., ale zorganizowane /więc nie wymuszone/, 2. do jesieni '81 zamrozić obecne ceny mięsa i wyrobów mięsnych, 3. Zamrozić ceny podstawowych artykułów; lista tych artykułów będzie ustalona, 4. Od '81 stopniowa podwyżka dodatków na dzieci.

Trudności zaopatrzeniowe będą nadal, ale nastąpi dodatkowy import mięsa. Rozsądna centralizacja i znaczne rozszerzenie uprawnień władz lokalnych. PRL będzie nadal konsekwentnie wypełniała zobowiązania międzynarodowe.

Dyskusja, dialog, kompromis, porozumienia - tak. Ale na wybrzeżu gdańskim niebezpieczne zjawisko politycznego wykorzystywania przerw w pracy przez grupy anarchiczne. Żadne działania godzące w ustrój PRL /tu mówił grzmiąco/ nie mogą być i nie będą tolerowane. Z takimi tendencjami żadnych kompromisów. Ustrój socjalistyczny jest nierozzerwalnie związany z polską racją stanu. Układ Europy wyłoniony po II wojnie światowej jest trwały.

Nasze życie cechuje tolerancja i otwarcie na świat. Coraz lepsze stosunki państwa z Kościołem. Są siły wrogie itd. Pilna potrzeba poszerzenia demokracji robotniczej. Będą popierane samodzielność i inicjatywa organizacji społecznych. Prawo musi być bezwzględnie przestrzegane przez wszystkich i wobec wszystkich /że niby taka praworządność/. "W obliczu poważnej sytuacji kraju" - tu do towarzyszy, do "całej naszej partii" - jednolite działanie, jedność partii.

Wolna Europa donosi, że wizyta Gierka w RFN, która miała się zacząć 20 bm, została odwołana. Ma on jednak tam się udać przed jesiennymi wyborami w RFN.

19 sierpnia /wtorek/ '80. Wczoraj odbyło się plenum KW PZPR w Gdańsku. Uczestniczyli Henryk Jabłoński, Stanisław Kania /sekretarz KC/ i wicepremier Tadeusz Ryka, który przewodniczył komisji partyjno-rządowej dla spraw wybrzeża gdańskiego. Przytomnie przemówienie wygłosił Tadeusz Fiszbach, tutejszy I sekretarz. Podobno admirał Jamozyszyn miał dać do zrozumienia, że wojsko /marynarka/ nie pójdzie przeciw społeczeństwu.

Stach Zakuski był w Stoczni Gdańskiej. Ograniczono sprzedaż benzyny, to jest dla wozów z rejestracją gdańską całkiem wstrzymano, z wyjątkami. Niedawno Stoczni Gdańskiej widziałem ciężarówkę z napisem "zaopatrzenie szpitali"; mimo strajku powszechnego i unieruchomienia transportu, wozy specjalnego przeznaczenia mają spełniać swe obowiązki, tak zarządził Międzypartyjowy Komitet Strajkowy /powstał 16 sierpnia/.

Ogłoszono, że rozpoczęcie roku szkolnego w szkołach podstawowych woj. gdańskiego zostaje wstrzymane do podania nowego terminu.

Wiadomość, że podobno śrularze przyłączyli się do strajku.

Rozmowa z Aleksandrem Hallem, Dariuszem Kobzdejem i gościem z Wrocławia /moczulskoidem, członkiem Konfederacji Polski Niepodległej/. Pytają o ocenę sytuacji i prawdopodobne poczynania władz. Mówię, że w końcu wszystko jest możliwe, bo chyba nikt już nie kontroluje sytuacji, sądzę jednak, że strajkujący nie popadną w ekstremizm, a władza w obłąd. Nadal krążą pogłoski o skupianiu wojska i M.O. wokół Gdańska.

Powstała inicjatywa zwołania zebrania Oddziału Gdańskiego Związku Literatów Polskich dla zajęcia stanowiska wobec wydarzeń. Od 18.20 spotkanie na Długiej. Są: Stach Zakuski, Wojciech Kiedrowski, Szczepan Lewna, S. i S.K., Majka oraz z Warszawy /przebywający na wypoczynku w Sopocie/ Wiktor Woroszyński i Julian Strykowski.

Ulotki z samolotu z wezwaniem do spokoju podpisane przez prezydentów Trójmiasta.

Z trudem znajduję czas na robienie najważniejszych zapisów.

20 sierpnia /środa/ '80. Gazety są, ale w ograniczonej ilości, część kiosków ich nie otrzymuje; albo jeszcze zmniejszony nakład, albo brak transportu.

Podobno strajk w Instytucie Maszyn Przepływowych PAN i jakieś oświadczenie pracowników naukowych i administracyjnych.

Prałat ks. Hilary Jastak od Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni odprawił w niedzielę mszę dla strajkujących stoczniowców gdyńskich, bardzo uroczystą. Według "Strajkowego Biuletynu Informacyjnego" drukowanego przez "Wolną Drukarnię Stoczni Gdynia", w kazaniu powiedział m.in.:

"Mszą dzisiejszą służbę Bożą dopełniamy w przedziwnych okolicznościach - na zwykłym, prostym stole ofiarnym u bramy Stoczni Gdyńskiej. /.../ Uważam sobie za łaskę Opatrzności Boskiej, że mogę dzisiaj sprawować Ofiarę Najświętszą wśród was, ukochani Bracia i Siostry, którzy tak rozważnie, dostojnie i spokojnie bronicie prawdy i niezbywalnego prawa człowieka - o czym głosił Ojciec św. Jan Paweł II w Warszawie pod krzyżem na Placu Zwycięstwa w roku ubiegłym w czasie swojej pielgrzymki w Ojczyźnie. Za chwilę usłyszymy teksty Pisma św. przeznaczone na dzisiejszą niedzielę. Mówią one nam, ludzie którzy służą prawdzie, narażeni są na prześladowania. /.../ W moim przekonaniu kapłańskim Wasza formacja duchowa jest w tej sytuacji tak gorąca i dostojna, że możecie po spowiedzi powszechnej przystąpić do Stołu Pańskiego. Jeżeli zaś ktoś będzie miał wątpliwości, może potem odbyć spowiedź indywidualną w kościele ze swoich grzechów".

Dziś otrzymałem listę żądań strajkujących, składającą się z 21 punktów. Otrzymałem też na dziś datowane "Oświadczenie Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego" z siedzibą w Stoczni Gdańskiej; przepisuję:

"W poniedziałek dn. 18 sierpnia 1980 r. do MKS dołączyło ponad 120 nowych zakładów i przedsiębiorstw. Obecnie MKS reprezentuje 260 zakładów i liczba ta wciąż wzrasta. Zasięg działania MKS wyszedł już poza teren Trójmiasta i obejmuje również zakłady Pruszcza Gdańskiego, Starogardu Gdańskiego, Elbląga i Tożewia. We wszystkich prawie zakładach trwa strajk okupacyjny. Wyjątek stanowią te przedsiębiorstwa, których funkcjonowanie jest społecznie niezbędne. W szczególności MKS zabezpiecza pracę Służby Zdrowia, wodociągów, gazowni oraz przedsiębiorstw wytwarzających żywność.

Możemy śmiało powiedzieć, że jesteście pierwszym autentycznym i wolnym przedstawicielstwem rzesz pracowniczych w naszym kraju. Nakłada to na nas wielką odpowiedzialność wobec całego społeczeństwa. Naszym głównym celem jest utworzenie Wolnych Związków Zawodowych niezależnych od PZPR i pracodawców, bowiem tylko wówczas prawa i interesy pracowników mogą być skutecznie broniące. Dopóki nie będziemy mieli Wolnych Związków Zawodowych, jedyną metodą obrony interesów pozostanie strajk, a jest to najbardziej kosztowna społecznie forma pertraktacji. /.../

Pierwszym krokiem na drodze do powstania Wolnych Związków Zawodowych jest oficjalne uznanie przez władze centralne Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego poprzez przybycie władz do Stoczni Gdańskiej i podjęcie z nim pertraktacji. /.../

Oczekujemy więc na przyjazd władz centralnych. Każdy dzień zwłoki będzie dowodem, że władza nie chce przystąpić do autentycznego przedstawicielstwa ludzi pracy w Polsce. W imieniu reprezentowanych zakładów oświadczamy, że pragniemy jak najszybciej podjąć pracę, ale jako pełnoprawni obywatele będący rzeczywistymi współgospodarzami zakładów pracy. Każdy dzień zwłoki to miliardowe straty dla naszej gospodarki ogarniętej kryzysem z winy kierownictwa. /.../ Apelujemy jeszcze raz o rozwagę i odpowiedzialność".

Wspólnie ze Stachem Zakuskin przygotowałem tekst projektu apelu literatów gdańskich.

21 sierpnia /czwartek/ '80. Gołz. 6.45. Od wczoraj chmurno i popołudniu trochę popadawał deszcz. Dziś ranek znów chmurny. Dla strajkujących jest to bardzo niekorzystne, rośnie zmęczenie fizyczne i zwłaszcza psychiczne. Ja też zaczynam odczuwać zmęczenie z powodu niedocpania.

W nocy wiadomości radiowe ze świata. Oświadczenia polityków, bardzo powściągliwe; prawdopodobnie ze strony Zachodu czynione są naciski kanałami dyplomatycznymi na władzę PRL i ZSRR o maksymalny umiar. Podobno władze NRD i Czechosłowacji z kolei naciskają na władzę PRL o zdecydowane działanie przeciw strajkującym, z obawy przed wpływem na ich społeczeństwa.

Strajki w Starogardzie, Tczewie, Kartuzach, Pucku, Co w Nowej Hucie? Dziennik radiowy warszawski o 7.05. W Gdańsku Pyka rozmawia z poszczególnymi komitetami strajkowymi. Wobec "korowców" nie będzie ustępstw. W Szczecinie strajk trwa. Głosy z Zachodu. Stabilna Polska "wspólnym interesem Wschodu i Zachodu" - bodaj tak.

Godz. 8.30. Przed chwilą rozmawiałem z kioskarzem, około 30-ki, z umiarkowaną brodą... Dziennik radiowy: elementy antysocjalistyczne w Trójmieście utrudniają rozmowy z załogami; w Elblągu stanęła komunikacja miejska; rzecznik Departamentu Stanu USA powiedział, że obecne trudności Polski są sprawą społeczeństwa polskiego i rządu; kanclerz Schmidt na łamach "Frankfurter Rundschau" oświadczył, że rząd RFN i rządy innych państw zachodnich są głęboko zainteresowane rozwiązaniem problemów wewnętrznych /lub podobnie/ Polski i że trudności gospodarcze Polski zostały "w większości" spowodowane "niesłychanymi trudnościami" gospodarki światowej. Relacje dziennika podane spokojnie, nawet fragmencik o "elementach antysocjalistycznych" dość umiarkowany w treści i tonie.

Wczoraj rozpoczął się w Sopocie festiwal piosenkarski Interwizji! Taka mała bomba informacyjna. Pomysł żdziebko surrealistyczny, obliczony najpewniej na okazanie zupełnego spokoju, "business as usual" - według hasła w Wielkiej Brytanii czasu wojny. Swoją drogą podziwiam w tym miejscu władzę.

Wracając do kioskarza... Powiedział, że był w Stoczni Gdańskiej, bodaj dziś. Stoczniowcy "są kłębkim nerwów", ale walczą o przetrzymanie. Jest wśród nich kilku takich, co gotowi są zginąć, żeby inni zwyciężyli. Powiedział - mówiczo o tym w stoczni - że w 1970 r. "Moczar, Kliszko chcieli zrównać Stocznię Gdańską z ziemią", bo "Polska dość bogata i wybuduje nową". Gazety wyszły, ale z powodu braku transportu roznoszone są ręcznie do kiosków najbliższych drukarni, dalsze dotąd ich nie otrzymały. Ja też nie dostałem.

22 sierpnia /piątek/ '80. Godz. 10.45, Targ Rybny. Wczoraj, przygotowany ostentacyjnie projekt oświadczenia grona literatów, poszedłem na spotkanie w naszym klubie przy Mariackiej. /Zapomniałem odnotować, że poprzedniego dnia w siedem osób omówiliśmy projekt/. Większość obecnych poparła projekt. Byli też przeciwni. Jacek Kotlica powiedział, że pisarze nigdy nie zabierali głosu w konkretnych sprawach politycznych; jest przeciw nowym związkom zawodowym; niektóre twierdzenia oświadczenia przeczą sobie; ten dokument nie uspokoi strajkujących, lecz rozdrażni. Edmund Kosiarz utrzymywał, że postulaty polityczne strajkujących nie są wysuwane przez nich, lecz przez innych ludzi, również przybyłych spoza Wybrzeża; po oświadczeniu nie podpisał się, bo ono dzieli, a nie łączy. Podobnie mówił Lesław Parnaga. Wszyscyy trzej partyjni.

Stach Dąbrowski, który wiele myśli włożył w projekt, i ja odeszliśmy, aby nadać mu ostentacyjne brzmienie. Podpisali się pod nim tego dnia /w kolejności/: Lech Bądkowski, Stanisław Załuski, Stanisław Dąbrowski, Zbigniew Jankowski, Mieczysław Czychowski, Kazimierz Nowosielski, Mirosław Stecewicz, Bolesław Pac, Zbigniew Szymański, Teresa Ferenc, Zbigniew Żakiewicz, Maria Boduszyńska-Dorowikowa oraz z Koła Młodych: Bożena Ptak, Grzegorz Boros, Stanisław Rosiak, Władysław Zawistowski, Zbigniew Joachim, Marek Bienkowski, Andrzej Dorniak, Marian Terleski, Stanisław Esden-Tempski, Maciej Krański, A. Jurewicz, W. Chyliński, L. Kopeć, Andrzej Grzyb, J. E. Kamrowski, K. Kasprzyk, L. Topp, S. Chasbijewicz.

Stach Załuski zaniósł jeden egzemplarz do KW PZPR /dla Komisji Radowej/, drugi dał Wiktorowi Woroszyłskiemu, który następnego dnia miał jechać do Warszawy, celem dostarczenia tekstu Prezydium ZG ZII /telekomunikacja była już zaplanowana/, a my - w tym gronie Stanisław Dąbrowski, Zbigniew Szymański, Kazimierz Nowosielski, Mieczysław Czychowski - poszliśmy do Stoczni Gdańskiej.

Przez bramę główną i do sali konferencyjnej dostaliśmy się bez przepus-

* Tekst oświadczenia literatów gdańskich z 21 IX 1980 zamieszczamy w Kronice - Redakcja.

tek, tylko na legitymacje ZLP. W sali konferencyjnej, gdzie obradowały setki delegatów, od razu poproszone nas na podium i Lech Wałęsa, przewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego, podał mi mikrofon, abym odczytał nasze oświadczenie.

Było ono kilkakrotnie przerywane oklaskami, po odczytaniu delegaci urządzili owację i odśpiewali "Sto lat" i "Jeszcze Polska nie zginęła". Wałęsę zaproponował dokooptowanie mnie do Prezydium MKS, jako przedstawiciela literatów. Zostało to przyjęte przez aklamację.

Tak gorące i spontaniczne powitanie naszej grupy było dla nas, a w każdym razie dla mnie, pięknym zaskoczeniem. Reakcję delegatów tłumacząc sobie tym, że byli już zmęczeni oczekiwaniem na pozytywną decyzję Komisji Rządowej i nawiązanie przez nią rozmów z MKS-em, toteż fakt poparcia ich przez grono pisarzy i dołączenie do nich miał dla nich duże znaczenie.

Początkowo nie wiedziałem, co konkretnie mam robić. Siedziałem za stołem prezydialnym mając za sobą i nieco w lewo posąg Lenina, któremu nikt żadnej krzywdy nie zrobił, tylko ktoś wsunął w lewą spuszczoną rękę pret stalowy. Okazyjnie przewodniczyłem obredom i witałem nową delegację. Otrzymałem spis członków Prezydium według stanu na dzień 21 sierpnia '80, który tu wierze przepisuję:

LISTA CZŁONKÓW PREZYDIUM
MIĘDZYZAKŁADOWEGO KOMITETU STRAJKOWEGO

1. Lech Wałęsa - Stocznia Gdańska - ZREMB - ELEKTROMONTAŻ - elektryk
 2. Joanna Duda-Gwiazda - CELO - techn. okrętowy inżynier
 3. Bogdan Lis - ELMOR - pracownik fizyczny
 4. Anna Walentynowicz - Stocznia Gdańska - spawacz
 5. Florian Wiśniewski - ELEKTROMONTAŻ - elektryk
 6. Lech Jendruszewski - Stocznia Komuny Paryskiej - monter
 7. Stefan Izdebski - Zarząd Portu Gdynia
 8. Henryka Krzywonos - WPK - motorniczka
 9. Tadeusz Stanny - Rafineria - technik obrabiania
 10. Stefan Lewandowski - Port Gdański
 11. Lech Sobiszek - ślusarz - Siarkopol
 12. Józef Przybylski - Budimor - ślusarz
 13. Zdzisław Kobylński - EKS G/Łosąsk - magazynier
 14. Andrzej Gwiazda - ELMOR - inżynier
 15. Jerzy Sikorski - Stocznia Demontowa - monter
 16. Jerzy Kniecik - Stocznia Północna - kodukowicz
- oraz:
17. Wojciech Gruszewski - Politechnika Gdańska
 18. Lech Łądkowski - literat.

Tego dnia na zlecenie Prezydium opracowałem i przekazałem delegatom oraz prasie komunikat o takim brzmieniu:

"22 VII 1980, g. 23.50

Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego podaje do wiadomości: Dnia 22 bm. w godzinach wieczornych delegacja Prezydium MKS udała się do przewodniczącego Komisji Rządowej, Ob. wiceprezesa Rady Ministrów Mieczysława Jagielskiego i doręczyła mu oświadczenie treści następującej:

"Międzyzakładowy Komitet Strajkowy raz jeszcze powiadamia delegację rządową pod przewodnictwem Wiceprezesa Rady Ministrów, że jest gotów do podjęcia rozmów na temat postulatów ujętych w naszej 21-o punktowej liście - mogących doprowadzić do zakończenia strajku".

Obywatel Wiceprezes Rady Ministrów przyjął delegację i na piśmie potwierdził odbiór oświadczenia Prezydium MKS".

W skład delegacji weszli: Wojciech Gruszewski, Józef Przybylski i Florian Wiśniewski.

Komunikat nasz proponowałem zakończyć zdaniem dodatkowym: "W odpowiedzi powiadomił on delegację, że w dniu 23 bm. zostanie ze strony delegacji rządowej nawiązana łączność z Prezydium MKS celem podjęcia rozmów wstępnych". Zostało to odrzucone 18 głosami przeciw 5; argument: nie wiadomo je-

szcze, czy łączność zostanie rzeczywiście nawiązana, lepiej na to poczekać.

23 sierpnia /sobota/ '80. Wobec faktów zatrzymywania na mieście noc z wczoraj na dziś spędziłem w Stoczni Gdańskiej, spałem w sumie około godziny w noclegowni tamtejszej straży pożarnej. Po 6.00 wyszedłem do siebie na Targ Rybny ogolić się, wykapać, zmienić bieliznę. Dużo osób, zwłaszcza młodych działaczy ośrodków niezależnych, nocuje w stoczni.

Godz. 9.50. Otwarcie plenum delegatów MKS, przewodniczy Lech Wałęsa. Operatorzy telewizyjni i filmowi, fotoreporterzy, dziennikarze, tłum. Nadają. Wpływają pieniądze. Wczoraj było ok. 700 000 zł.

Godz. 10.20. Prezydium zbiera się w małej sali, którą od sali delegatów oddziela hall.

Florian Wisniewski relacjonuje rozmowę telefoniczną z wojewodą gdańskim, prof. Jerzym Kołodziejskim, który powiedział mu: "Nawiązuję z wami kontakt roboczy". Chodzi o warunki spotkania z Komisją Rządową. Prezydium postanawia, że ja mam podjąć rozmowy wstępne z Kołodziejskim. Godzę się, ale żądam kogoś z Prezydium do współudziału. Dodało aż trzy osoby: Andrzej Gwiazdę, Zdzisława Kobylińskiego i Bogdana Lisa.

Tego dnia do godz. 10.50 na furdusz MKS-u wpłynęło ok. 1,5 mln zł.

Przybyli z Warszawy samochodem okreśną drogą Tadeusz Mazowiecki i Bronisław Geremek. Przyjęto ich bardzo życzliwie, jako "ekspertów", którzy będą pomagali Prezydium.

Uchwaliliśmy punkty dla naszej delegacji do rozmów z wojewodą Kołodziejskim /ma mu towarzyszyć dyrektor naczelny Stoczni Gdańskiej Klemens Gniech/
Treść:

1. Odblokowanie telekomunikacji z całym krajem.
2. Bezpieczne poruszanie się strajkujących i osób towarzyszących po mieście.
3. Odblokowanie stacji CPN /przynajmniej dla kluczowych przedsiębiorstw/
4. Możliwość dojeżdżania do Gdańska ekspertów /listę ich zaproponował Tadeusz Mazowiecki/.
5. Wystąpienie przedstawiciela Prezydium MKS w telewizji, ewentualnie podanie komunikatu w prasie i telewizji z wyraźnym wymienieniem Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego /chodzi o publiczne uznanie MKS-u/.
6. Fakt podjęcia rozmów z Komisją Rządową nie oznacza przerwania strajku.
7. Zakończenie strajku ogłasza przewodniczący MKS-u, Lech Wałęsa.
8. Odnośnie uzgodnień techniczno-administracyjnych dalsze kwestie będą wnoszone w toku rozmowy z wojewodą.

Podałem nam zażądać, aby Andrzej Kołodziej, przewodniczący Komitetu Strajkowego Stoczni Gdańskiej, mógł dojechać do MS-u, gdzie powinien być od kilku godzin. Żądamy także, aby rozmowy z Komisją Rządową były nadawane przez radiostację gdańską.

Ustaliśmy, że rozmowę z wojewodą Kołodziejskim rozpoczniemy o godz. 14.00; przy braniu głównej powita go Lech Wałęsa.

O godz. 12.40 przemówił Tadeusz Mazowiecki, apelując o powagę i solidarność. O godz. 12.45 Lech Radkowski podał publicznie komunikat Prezydium MKS-u o powołaniu komisji czterech i o zaproszeniu woj. Kołodziejskiego na godz. 14.00; zaproszenie zostało przyjęte.

Kołodziejski przybył punktualnie pod bramę główną, miał trudności z przejazdem przez tłum, który demonstrował niechęć. Od bramy szedł pieszo, poprzedzony przez tłum fotoreporterów i otaczany przez nas. Tu już było spokojnie, zaledwie kilka okrzyków pod adresem władzy.

Rozmową rozpoczęła się o godz. 14.05. W imieniu Jagielskiego wojewoda oświadczył pełną gotowość do podjęcia rozmów na podstawie 21-punktowej listy żądań. Do spraw podanych powyżej Kołodziejski ustosunkował się następująco:

ad. 1. O 11.30 nastąpiło odblokowanie telekomunikacji ze Szczecinem. Dalsze odblokowywanie Gdańska będzie postępowało w miarę poprawy sytuacji w Gdańsku. Władza sama jest zainteresowana przywracaniem łączności, ponieważ wskutek jej braku pojawił się chaos na rynku, panika żywnościowa, dramaty rodzinne /np. dzieci przebywające na wakacjach odcięte od rodzin/.

ad. 2. Kontrolę osób stosuje się jedynie w niektórych miejscach. Jest to podyktowane koniecznością, ponieważ milicja obserwuje grupowanie się elementów kryminalnych w poszczególnych punktach, zwłaszcza w okolicach Stoczni Gdańskiej i Stoczni Komuny Paryskiej /gdyńskiej/. Na wypadek zatrzymywania osób z MKS-u uruchomiony zostanie telefon interwencyjny i na jego numer Prezydium MKS będzie mogło zgłaszać takie fakty celem niezwłocznego ich wyjaśnienia /"staramy się zabezpieczyć swobodę poruszania się strajkujących po mieście"/.

ad. 3. Dostawy benzyny dla województwa wynoszą zaledwie 100 000 litrów dziennie, co wystarcza na mniej niż minimum i obecnie po prostu nie ma możliwości ich zwiększenia.

ad. 4. Żadnych przeszkód, prosi tylko o imienną listę, żeby osobom zaproszonym przez Prezydium MKS-u rzeczywiście można było zapewnić swobodny dojazd.

ad. 5. W dzisiejszej "Panoramie" telewizyjnej będzie mógł pójść tekst uzgodniony przez obie strony, zaś odpowiedni komunikat prasowy zostanie oddany do publikacji z chwilą rozpoczęcia rozmów przez Komisję Rządową i Prezydium MKS-u.

ad. 6. Oświadczenie przyjął do przekazania Komisji Rządowej.

ad. 7. Wolałby raczej wspólny komunikat, ale zgadza się, że "fizycznie" w imieniu MKS-u zakończenie strajku ogłosi L. Wałęsa.

ad. 8. Przyjął do wiadomości.

Ponadto: o ewentualnym zatrzymaniu Andrzeja Kołodzieja nic nie wie, sprawę zapisuje, zrobi wszystko, żeby rzecz załatwić pozytywnie; nadawanie przez rozgłośnie gdańską rozmowy Prezydium MKS-u z Komisją Rządową na żywo byłoby bardzo trudne, jeżeli w ogóle możliwe, ale można by uzgodnić nadanie obszernego wyboru w czasie nieco /kilka godzin/ późniejszym.

Obsługając przy żądaniu natychmiastowego przywrócenia połączeń telekomunikacyjnych przynajmniej z Warszawą, ustaliliśmy, że rozmowy Komisji Rządowej i Prezydium MKS-u będą prowadzone w małej sali konferencyjnej /gdzie była prowadzona ta rozmowa/, wystarczającej dla kilkudziesięciu osób. Prezydium MKS-u musi zapewnić Komisji Rządowej bezpieczeństwo i spokój. Ze strony Komisji będą: przewodniczący M. Jagielski oraz Zieliński, członek sekretariatu KC, Tadeusz Fiszbach, I sekretarz KW PZPR w Gdańsku, min. Jedynek, wice-min. przemysłu maszynowego Kuczyński, woj. Kołodziejowski, wicemin. handlu wewnętrznego Bielski, wicemin. administracji Zubelewicz, wicemin. handlu zagranicznego Żytkowski.

Ze strony MKS-u całe Prezydium pod przewodnictwem Lecha Wałęsy. Rozmowa będzie nadawana przez głośniki na dużą salę konferencyjną /delegatów/ i na stocznię. Klemens Gniech proponował, żeby nagłośnienie nie szło na stocznia, co zostało odrzucone.

Godz. 16.20. Zebranie Prezydium MKS-u, prowadzi Wojciech Gruszewski. Komisji do prowadzenia rozmów z wojewodą jednogłośnie udzielono absolutorium. Mazowiecki zaproponował: ponieważ MKS już przedstawił swoje stanowisko w 21-punktowej liście, na samym początku rozmów prosić Komisję Rządową o ustosunkowanie się do tej listy, najpierw generalnie, następnie punkt po punkcie; z niezależności nowych związków zawodowych MKS zrezygnować nie może.

Kołodziejowski oświadczył, że Jagielski z Komisją gotów jest przyjechać do Stoczni Gdańskiej dziś o każdej godzinie, ale trochę nie chciałby uczestniczyć, bo musi być w Warszawie. Wobec tego zaproponowaliśmy telefonicznie rozpoczęcie rozmów o godz. 20.00, co zostało przyjęte.

I sesja rozmów Komisji Rządowej i Prezydium MKS

Po powitaniu Komisji Lech Wałęsa poprosił Jagielskiego o ustosunkowanie się do naszej listy żądań.

Jagielski zabrał głos mówiąc wolno, głośno, dobitnie.

Do punktu 1. Odczytuję ten postulat tak, że chodzi tu o faktyczne związki zawodowe /niezależne od rządu i partii/. Jest to sprawa samych związków. Przystąpiono do pracy nad projektem nowej ustawy o związkach zawodowych. Rozbudowana struktura dawnych związków zawodowych się przeżyła. Jest rzeczą do omówienia, jak tę strukturę uzupełnić nowymi ludźmi. Nad projektem nowej us-

tawy o związkach zawodowych będzie szeroka dyskusja przed jej uchwaleniem przez sejm. Związki zawodowe będą prowadziły analizę cen i kosztów niezależnie od rządu. Będzie również zmieniona ustawa o samorządzie robotniczym, jej projekt znajduje się w końcowym etapie opracowania.

Do punktu 2. Czy dziś podejmować dyskusję o prawie do strajku? W ogóle problem pozostaje otwarty dla dyskusji. Udział w strajku i wspomaganie go nie jest karane. Sprawę należy ewentualnie przedstawić do nowelizacji kodeksu pracy.

Do punktu 3. Trzeba się zająć sprawą cenzury. Niezbędne jest jasne i precyzyjne określenie uprawnień cenzury - w możliwie krótkim czasie. Jeśli chodzi o wydawnictwa tzw. niezależne - przedstawiają one szeroki wachlarz od bardzo krytycznych, ale pozostających na gruncie ustroju socjalistycznego, do jawnie wręcz socjalizmowi.

Dostęp wyznań do publikatorów - problemy te mogą być podjęte między stronami zainteresowanymi, tzn. między rządem a poszczególnymi związkami wyznaniowymi. Prasa katolicka ma ponad 800 000 egzemplarzy jednorazowego nakładu.

/Tu moje zapiski na marginesie. Obecnie strajkuje 382 zakłady zrzeszone w gdańskim MKS-ie. Członkowie Prezydium i delegaci MKS-u pamiętają o położeniu geopolitycznym i ewentualności interwencji radzieckiej. Jagielski właśnie pozostaje w kręgu mowy Gierka i materiałów aktualnie zamieszczanych w prasie, nie wnosi nic nowego/.

Do punktu 4. Nie ma obecnie w Polsce więźniów skazanych za przekonania polityczne. Wyroki wydane są przez sądy niezawisłe. Ewentualnie można sprawy jeszcze raz rozpatrzyć i górze trzeba, zrewidować wyroki.

Do punktu 5. O 19.00 był w radiu komunikat, że Komisja Rządowa z Jagielskim jedzie do gdańskiego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Była to forma informacji o jego utworzeniu. Sprawę opublikowania żądań MKS-u wyjaśni w porozumieniu z władzami centralnymi. Proponuje dać mu możliwość zrobienia tego.

/Ktoś ze strony Prezydium MKS-u pyta, co z załatwieniem naszego żądania przywrócenia telekomunikacji z krajem, głównie z Warszawą. Zieliński z sekretariatu KC mówi, że zeszłej nocy nad Warszawą przeszła "trąba powietrzna, która "punktowo zniszczyła całe obszary miasta", toteż natychmiastowe przywrócenie telekomunikacji może być po prostu techniczną niemożliwością. Nikt po naszej stronie tej bredni nie bierze poważnie. Jagielski: "Kam proponuję, te problemy chwilowo odłożymy, a teraz omawiamy następne problemy". Ktoś proponuje, żeby jutrzejsze rozmowy transmitować przez radio i telewizję, skoro takie kłopoty z telekomunikacją, a chodzi o to, żeby kraj wiedział, co się tu dzieje. Jagielski - nie wiedział, że waga telekomunikacji jest dla nas tak wielka, następne spotkanie może być radiofonizowane, on nie ma nic przeciw temu/.

Do punktu 6. Uważa, że żądanie powiedzenia prawdy o sytuacji gospodarczej Polski jest słuszne.

Do punktu 7. Komisja uważa, że wynagrodzenie za okres strajku powinno być wypłacone, ale w związku z odrabianiem zaległości powstałych w tym czasie.

Do punktu 8. Uważa, że niesłuszna byłaby jednakowa podwyżka dla wszystkich /o 2000 zł/. Wynosiłoby to łącznie 240 miliardów zł, czyli 1/4 obecnego funduszu płac. Ten postulat jest nie do zrealizowania. Obecne podwyżki wynoszą około 6% dotychczasowych zarobków.

Do punktu 9. Co do automatycznego wzrostu płac: "koszyk towarów i usług" - powinny być 2 instytucje, nawet 3 - łącznie z instytutem naukowym - obliczające wzrost cen.

Do punktu 10. Eksport mięsa w tym roku wynosi 150 000 ton. Jeśli raz zejdzie się z rynku mięsnego za granicą, można już nań nie wrócić, a dewizy są niezbędne. Przywieziemy w tym roku 50 do 60 000 t. mięsa. Musimy też w tym roku importować 6 mln t. zboża plus pasze. Łączny koszt importu żywnościowego sięgnie 2,5 mld dolarów.

Do punktu 11. Czy wszyscy zaakceptują kartki żywnościowe?. Koszt systemu kartkowego.

* Do punktu 12. Co dałoby obecnie zniesienie cen komercyjnych? Nie przybyłoby przez to mięsa. Z Pewexu artykuły żywnościowe są już wycofane, pozostaje tylko wódka.

Do punktu 13. W doborze kadry kierowniczej postulat kwalifikacji jest słuszny, "co do tego jesteśmy zgodni". Dodatki rodzinne dla funkcjonariuszy M.O. i S.B. są wyższe, ale tam nie ma normowanych godzin pracy, obowiązuje pełna dyspozycyjność, nieraz rodziny muszą się przemieszczać do miejscowości gdzie np. dla żony nie ma zatrudnienia według jej kwalifikacji. Dodatkowo Zieliński wtrąca, że ktoś przechodzący z aparatu zarządzania gospodarczego do aparatu partyjnego traci nawet 1/3 dotychczasowego uposażenia, partia tak źle płaci swoim ludziom.

Do punktu 14 i 15. Jagielski nie wie, czy ludzie starsi zaakceptowali by tak drastyczne obniżenie wieku emerytalnego. Wiek emerytalny kobiet - 50 lat i mężczyzn - 55 lat byłby najniższy na świecie. Straty materialne. Stopniowe zrównywanie starego portfela z nowym w toku przygotowania.

Do punktu 16. Jagielski emocjonalnie mówi o sobie, jak był katowany przez Gestapo i - "Nę tak powiem" - bandy. Stąd potrzeby służby zdrowia są mu szczególnie bliskie. Oczywiście słuszne, że trzeba poprawić jej warunki pracy i wyposażenia /sądzę, że on korzysta z klinik rządowych/.

Do punktów 17, 18 i 19. Postulat płatnego urlopu macierzyńskiego przez trzy lata - słuszny, ale potrzeba na to czasu. Należy koniecznie skrócić czas oczekiwania na mieszkanie. Jeśli chodzi o rojen gdański, jest już decyzja o zbudowaniu 2 nowych fabryk domów.

Do punktu 20. Podwyżka diet podróżnych będzie rozpatrywana.

Do punktu 21. Opracowuje się program w sprawie wolnych sobót.

Jagielski, na zakończenie: zreferował punkt widzenia na poszczególne sprawy; zrobił to w sposób taki, aby nikt mu nie zarzucił, że obiecywał więcej niż mógł; podziękował za udzielenie mu uwagi.

Wałęsa - jesteśmy znów w tym samym punkcie, co przed 10 laty. Obietnica. Czeka, co konkretnie powie wicepremier, żebyśmy znów nie musieli uciekać się do strajków, których nie chcemy.

Jagielski:- w najbliższych dniach odbędzie się plenum KC, które zajmie się całokształtem spraw.

Wałęsa - jeżeli zostanie osiągnięte porozumienie, świat się zadziwi rezultatami naszej pracy. Proponuje teraz odłożyć rozmowę, opracować wspólny komunikat i określić czas następnej rozmowy.

Jagielski - zgoda na wspólny komunikat, proponuje powołać do napisania go kilka osób z obu stron.

Piszbach prosi, żeby jutro uruchomić komunikację miejską, bo jej brak ogromnie utrudnia mieszkańcom życie.

Wałęsa - żaden zakaz nie może wyłączyć się ze strajku, dotyczy to także tramwajów, autobusów, trolejbusów; pracują tylko te, którym MKS polecił pracować i które funkcjonują normalnie /służba zdrowia, transport żywności itp./.

O godz. 22.35 opracowano wspólny komunikat, którego rękopis podpisali: ze strony rządowej Jerzy Kołodziejcki, ze strony MKS-u Lech Bądkowski.

Treść:

"Dnia 23 sierpnia w godzinach wieczornych odbyło się w Stoczni Gdańskiej spotkanie Komisji Rządowej pod przewodnictwem wicepremiera Mieczysława Jagielskiego z Prezydium MKS w Gdańsku pod przewodnictwem Lecha Wałęsy. Na posiedzeniu wicepremier M. Jagielski przedstawił stanowisko Komisji Rządowej wobec listy żądań załóg. Przedstawiciele Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego przedstawili uzasadnienie żądań strajkujących załóg. Rozmowy mają być kontynuowane".

Jutro wojewoda ma dać telefonicznie wiadomość o terminie wznowienia rozmów.

24 sierpnia /niedziela/ 1980. Godz. 18.40. Zebranie Prezydium MKS-u i Komisji Ekspertów, współprzewodniczą Tadeusz Mazowiecki i Lech Bądkowski. Komisja Ekspertów zajęła się p. 1 listy żądań, tj. utworzeniem wolnych związków zawodowych. Komisja proponuje przyjęcie nazwy "Samorządne Związki Za-

wodowe", aby było to do przyjęcia dla władzy /dostaje gęsiej skórki od słowa "wolne"/. Po strajku MKS przekształcił się w Międzyzakładowy Komitet "Założycielski Samorządnych Związków Zawodowych. Do kodeksu pracy powinien być wprowadzony paragraf, który będzie wyraźnie mówił o prawie do strajku i jego warunkowaniach. W stosunku do uczestników obecnych strajków nie mogą być zastosowane paragrafy kodeksu pracy, na których podstawie władza mogłaby podjąć próbę represjonowania robotników - tę sprawę należy wyraźnie postawić przed zakończeniem rozmów likwidujących obecny strajk.

Zapytałem Mazowieckiego, do kiedy możemy liczyć na ich tu obecność i pomoc /niepokoiliem się, co będzie, jeśli wkrótce wyjadą; wnosili oni kąd i rozważę i tym samym zwiększali siłę MKS-u/. Mazowiecki spokojnym, jak zawsze, głosem, powiedział: "będziemy wam towarzyszyli do końca". Prezydium przyjęło to oświadczenie gorącymi oklaskami.

Po dłuższej dyskusji Prezydium zleciło rzeczoznawcom opracowanie "wariantu B", to jest wymóg, jakie musielibyśmy postawić, gdyby żadną miarą nie udało się zrealizować żądania utworzenia Samorządnych Związków Zawodowych i trzeba by się wciskać w strukturę jednolitych związków. "Wariant B" z góry został potraktowany jako element posiłkowy, na zupełną ostateczność, przy mocnym obstawaniu przy związkach samorządnych.

Wciąż wpływają pieniądze i różne dary. Z Pogotowia Ratunkowego gdańskiego przynieśli nam, oprócz pośpiesznie zebranych pieniędzy, 10 paczek kawy.

Już szereg dni temu powinienem był przyjąć comiesięczny zastrzyk. Przez Alinę Pienkowską /pielegniarkę/ podałem do stocznioowego szpitalika fiolkę z zastrzykiem i drugą z towarzyszącym mu płynem, mając zamiar udać się tam później. Tymczasem młody lekarz /Grochulski, jeśli dobrze pamiętam/ przyszedł w białym kitlu i z gotową strzykawką do sali obrad delegatów, żeby mnie upolować. Gonik mnie jeszcze bodej godzinę, aż udało nam się złapać chwilę wolną i zabieg odbył się w pomieszczeniu powielaczy za małą salą konferencyjną, przy nasych drukarzach, stanąłem pod ścianą, opuściłem spodnie i zakątwione.

Dzisiaj powierzono mi obowiązki rzecznika prasowego, zarówno dla prasy polskiej, jak i zagranicznej. Kuk dodatkowych zajęć, ciągłe pytania i interwencje dziennikarzy, którzy nareszcie znaleźli ofiarę obowiązaną do udzielania im chociaż najmniejszej pomocy. Tego zaraz dnia wypadek wręcz przeciwny: na teren stoczni przedostało się paru młodych trockistów hiszpańskich, którzy zgłosili gotowość założenia tu komórki trockistowskiej. Moja decyzja: wyprowadzić ich za bramę. Możliwe są różne prowokacje, a także działania grupców, którzy mogą wpakować nas w bardzo trudne położenie.

Zaprosiłem grono młodych literatów do współpracy w "biurze prasowym", które zainstalowała się na korytarzu na piętrze tego budynku, przed stoczniową salą tradycji. Działali już tłumacze, zebrani głównie z przedsiębiorstw morskich oraz ochotnicy z miasta.

25 sierpnia /poniedziałek/ '80. Godz. 6.35. Położyłem się około 2.30, wstałem o 5.40. To mniej więcej moja robowa porcja snu. Diabli biorą te przepisy. Mam podręczne notatki plus materiały i dokumenty, gdy się nieco uspokoi, będę odtwarzał w oparciu o to.

Godz. 10.15. Ustalamy, że w najbliższej rozmowie z wojewodą przedstawimy trzy punkty:

1. Żądamy natychmiastowego odblokowania telekomunikacji z Warszawą i Szczecinem i w najbliższym czasie z resztą kraju. Jeżeli to nie nastąpi, wstrzymujemy się z dalszymi rozmowami do tego czasu.

2. Żądamy, aby następna sesja rozmów Komisje Rządowa - Prezydium MKS-u była nadawana przynajmniej przez Rozgłośnie Gdańską. W ostateczności, na mój wniosek, możemy się zgodzić, że pierwsze 20 minut będą nadawane na żywo, następnie zaś zrobi się godzinny wybór wypowiedzi, ściśle uzgodniony z przedstawicielami MKS-u. Ale to ostateczność.

3. Zwrócenie uwagi, że w "Trybunie Ludu" nie było uzgodnionego komunikatu o pierwszej rozmowie Komisji Rządowej i Prezydium MKS-u.

O godz. 12.30 przybył, zamiast wojewody, jego współpracownik Tadeusz Bruski. Oświadczył, że stawia się z upoważnienia Komisji Rządowej dla ustalenia dalszej procedury kontaktowania się Komisji Rządowej i MKS-u. Nie po-

dobąło mi się to obniżenie rangi i kompetencji, ale przedstawiłem mu powyższe trzy punkty. Odpowiedział, że warunek zawarty w p. 1 osobiście przedłoży wicepremierowi. Pp. 2 i 3 przyjął do wiadomości. Ustaliliśmy najwcześniejszą instalację dwu telefonów w naszej siedzibie (dotąd był tylko jeden/ i że co do podjęcia rozmów zadzwoni do nas albo Bruski, albo wojewoda. Bruski jeszcze powiedział, że przyłot Jagielskiego z Warszawy spodziewany jest między g. 14.00 i 14.30.

O godz. 15.00 miałem konferencję prasową z dziennikarzami krajowymi i zagranicznymi. Początkowo z krajowymi były incydenty ze względu na niechętną lub jawnie wrogą postawę prasy wobec nas /"elementy antysocjalistyczne i anarchiczne"/, byli nawet tacy zagubieni w czasie cwaniacy, którzy teraz powoływali się na demokrację, którą rzekomo głosimy, a dyskryminujemy ich. Postawiłem sprawę jasno, że nie dyskryminujemy nawet wrogów, ale oczywiście bronimy się i będziemy się bronili, w czym pomagają nam także obecność prasy zachodniej; wschodnia też byłaby dopuszczona, gdyby się pojawiła.

Część dziennikarzy polskich po dłuższych dyskusjach uchwaliła i podpisała pismo-protest (bodaż do ZG Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich albo do zwierzchnictwa RSW "Prasy"/, że uniemożliwia się im zamieszczanie w prasie prawdziwych informacji i sprawozdań z gdańskich wydarzeń sierpniowych. Inni uchylili się od podpisywania; ci będą chyłkiem przemycali na tę stronę, jeśli okaże się, że warto.

Ktoś /chyba jakieś zakłady tytoniowe/ przysłał masę papierosów. Całe paki leżą na stole do brania w dużej sali delegatów. Przysłano nam także większy transport winogron bułgarskich. Przyniesiono nam, w czasie posiedzenia Prezydium, dostałem piękną książkę. W dużej sali delegatów pod ścianą blisko wejścia kilka zestawionych stołów. Tam omal bez przerwy 8-10 pań pracuje robiąc kanapki i gotując herbatę lub kawę. Po przeciwnej stronie blisko podium prezydiального też kilka stołów, tam bateria maszyn do pisania i również panie ochotniczki pracujące od rana do nocy; przy tym stanowisku najczęściej spotykam Krzysztofa Wyszczkowski, kierującego przepisywaniem i małą poligrafia.

Godz. 15.45. Znowu spotkanie Prezydium MKS z zespołem ekspertów. Otworzył i prowadził Zbigniew Lis z komitetu strajkowego Stoczni Gdańskiej, gospodarz siedziby. Referuje Tadeusz Mazowiecki.

Należy uparcie walczyć o samorządne /wolne/ związki zawodowe, toteż "wariant B" traktujemy jedynie informacyjnie. Jeżeli okoliczności zmusiłyby nas - czemu będziemy się sprzeciwiać do ostatka - do przyjęcia formuły jednolitych związków zawodowych, trzeba: 1. znieść dotychczasową ordynację wyborczą i wprowadzić nową, demokratyczną; 2. w ciągu 2 tygodni od podpisania porozumienia przeprowadzić wybory na terenie objętym działalnością Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego; 3. wtedy dotychczasowe komitety strajkowe staną się "grupami kontroli robotniczej", a MKS wejdzie w miejsce WRZZ; określić wyraźnie zakres zadań Centralnej Rady Związków Zawodowych. Ponadto musi być uchylona ustawa o Konferencjach Samorządu Robotniczego /chodzi o uniezależnienie ich od partii/.

Długa dyskusja o KSR-ach w "wariantcie B". Długa dyskusja o zasadniczej linii postępowania, więc "wariant A" czy "wariant B". Rola naszych ekspertów, dzięki nim ogromne poszerzenie horyzontów i perspektyw.

O godz. 18.35 moja rozmowa telefoniczna z wojewodą. Dochodzę do wniosku, że strona rządowa gra na zwłokę, liczy na zmęczenie przede wszystkim psychiczne strajkujących. Ponawiam żądanie przywrócenia telekomunikacji Gdańska z resztą kraju. Powtarzam mu całe stanowisko Prezydium MKS przedstawione Bruskiemu. Pyta, czy ta telekomunikacja to conditio sine qua non, mówię coś o eskalacji naszych żądań, odpowiadam, że nie myśmy zablokowali Gdańsk i stanowczo żądamy odblokowania przed podjęciem rozmów. Informuję, że wkrótce raz jeszcze do niego zadzwonię.

Przekazuję rozmowę Prezydium, tu postanowienie, że sprawę ewentualnego podjęcia rozmów mimo niespełnienia warunku przenosimy na Plenum delegatów. Wszystko odbywa się szybko i o g. 19.25 przekazuję wojewodzie wiadomość;

"Plenum o godzinie 18.35 jednogłównie zatwierdziło znane Panu oświadczenie Prezydium, że Międzyzakładowy Komitet Strajkowy gotów jest do podjęcia rozmów z Komisją Rządową, jeśli będzie odblokowana telekomunikacja z resztą kraju".

Znów konferencja prasowa.

Wszystkie wejścia i drzwi całą dobę obstawione są przez naszych bramkarzy, którzy niestrudzenie sprawdzają przepustki i bez nich wpuszczają tylko tych, których już dobrze poznali.

Godz. 22.05. Spotkanie: wojewoda Kołodziejski, Tadeusz Bruski - Bądkowski, Bogdan Lis /członek Prezydium, nie mylić ze Zbigniewem/; rozmowa odbywa się w budynku dyrekcji, paręset metrów od siedziby MKS-u.

Wojewoda - łączność z Warszawą już jest. W miarę postępu rozmów będą odblokowywane dalsze poszczególne kierunki.

Bogdan Lis - ma być cały kraj.

Wojewoda - w kraju sytuacja jest nienormalna, wymaga to zatem także nienormalnych działań.

Bogdan Lis - kraj jest jednostronnie informowany o wydarzeniach u nas, dlatego obstajemy przy przywróceniu łączności.

Lech Bądkowski - nie myśmy stworzyli sytuację nienormalną, lecz władza, i teraz władza ją przeciąga i pogłębia.

Wojewoda - jeżeli wznowione zostaną rozmowy Komisji Rządowej i Prezydium MKS-u, wicepremier na początku najbliższej ich sesji złoży informację o postępie i perspektywach odblokowywania kraju; czy zgoda na to.

Proponuję przerwę, w czasie której B. Lis zwróci się do Prezydium o decyzję. Lis wychodzi. Próbujemy rozmawiać wo trzech, znamy się od dawna, rozmowa za nic nam nie wychodzi, na szczęście Kołodziejskiego odwołują do innego pokoju, wicepremier na linii. Bruski zagaduje w tonie poufny i przyjaznym, żeby już kończyć ten strajk, wszyscy są zmęczeni i chcą do domu. Odpowiadam, że wytrzymamy.

Godz. 23.07. Wracają Lis i Kołodziejski, podejmujemy pracę.

Lis - Prezydium zgadza się na wznowienie rozmów w dniu 26 VIII o godz. 10.00. Czekuje na samym początku informacji wicepremiera o przywróceniu telekomunikacji. Sesja może trwać do godz. 18.00, ponieważ o 19.00 mamy mszę przy bramie, ludzie będą się gromadzili wcześniej. Warunki: będą wspólne komunikaty prasowe na cały kraj, a z sesji transmisja 20 min. na żywo w programie ogólnopolskim, następnie godzina uzgodnionego montażu w programie lokalnym; owe 20 minut pół na pół, z tym, że najpierw wypowiedź Jagielskiego o telekomunikacji.

Wojewoda - jutro między 10.00 a 10.30 dostaniemy telefon od Bruskiego, czy żądanie 20 minut na żywo zostało przyjęte; rozumie, że od tego zależy, czy rozmowy będą wznowione.

Bądkowski, Lis - dobrze zrozumieli.

Wojewoda - stawia warunek porządku i bezpieczeństwa. W czasie sobotniego /23 bm./ przyjazdu były gorszące zajścia, tumult, epitety, uderzenia dłońmi o karoserie samochodów /po miejskiej stronie bramy/. Chodzi wręcz o fizyczne bezpieczeństwo delegacji, szczególnie przy wysiadaniu przed bramą. Jagielski oświadczył, że może ryzykować sam, nie może narażać innych.

Rozważamy kwestię: albo duży oddział Straży Robotniczej wyjdzie przed bramę i zapewni względnie spokojny podjazd pod bramę, albo wpuścimy delegację inną bramą.

Wojewoda Kołodziejski - wicepremier powiadomił go, że wszystkie warunki spełnił, wypuszczono zatrzymanych, odblokował połączenie ze Szczecinem i Warszawą, do odblokowania całego kraju nie zobowiązywał się. Owe 20 minut tylko w programie lokalnym, nie było mowy o godzinnym montażu. Nie jest w stanie spełnić coraz nowych warunków, traci wiarę w dobrą wolę MKS-u. Ma dwa dni na prowadzenie rozmów. Informację o funkcjonowaniu łączności złoży ekspert, nie on, bo się na tym nie zna.

My - o godzinnym montażu mowa była. Nie stawiamy coraz nowych warunków - żądamy tylko stopniowej normalizacji. Na prowadzenie rozmów musimy mieć tyle czasu, ile będzie trzeba, nie myśmy zwlekali z ich rozpoczęciem.

Kołodziejski - w czasie I sesji rozmów na sali byli nasi eksperci, sympatycy KOR-u, nie powinni być. Komisja Rządowa ma najlepszą wolę prowadzenia rozmów, ale nie może działać pod dyktandem.

My - od lat żyjemy pod dyktandem, ale tu nie o dyktandę chodzi, z naszych doradców nie zrezygnujemy.

W końcu ustaliliśmy, że przed 10.00 zadzwonimy pod numer 31-11-70, żeby się dowiedzieć, przyjeżdżają czy nie.

Gdańska grupa współpracowników KOR-u /wzmocniona kilku przybyłymi z Warszawy/ była nadal solą w oku władzy. Od 23 sierpnia wydawali biuletyn strajkowy "Solidarność"; ukazało się 13 jego numerów plus dodatek nadzwyczajny z projektem statutu Niezależnych i Samorządnych Związków Zawodowych. KOR-owcy trzymają się raczej osobno. Nasi eksperci albo po prostu nie są KOR-owcami, albo sympatyzują z działaniami KOR-u, ale bynajmniej nie są od niego uzależnieni, zresztą KOR nie jest ciałem politycznie jednolitym i pretensje wojewody pod ich adresem nie miały sensu.

Liczną grupą stawili się tu uczestnicy Ruchu Młodej Polski, w Gdańsku szczególnie silnego, z Aleksandrem Hallem, Arkadiuszem Rybickim, Janem Samsonowiczem na czele. Byli czynni przy wspieraniu MKS-u, ale nie mieszały się do jego poczynań. Była wreszcie grupa Konfederacji Niepodległej Moczulskiego, dość hałaśliwa, ale mało wpływowa.

26 sierpnia /wtorek/ '80. Godz. 10.55. Przybyła Komisja Rządowa, spokojnie, bez ekscesów. Wozy zostały skierowane do bramy nr 1, gdzie zazwyczaj ludzi w ogóle nie było, natomiast przed bramą główną /nr 2/ wyczedł oddział stoczniowców, aby pozorować, że tędy delegacja wjedzie na teren stoczni. Szczęśliwie nikt tego wybiegu nie spostrzegł.

Najpierw atak dziennikarzy, zwłaszcza filmowców, istny cyrk. Sala Prezydium. Upał. Podniecenie. Czekaliśmy nadaremnie przez niedzielę i poniedziałek.

III sesja rozmów

Godz. 11.05. Zbigniew Lis z grupą stoczniowców energicznie wyprasza /czasem wyprowadza pod rękę/ opornych sprawozdawców cudzoziemskich. Zostaje telewizja polska i bodaj grupa dokumentalistów Bohdana Kosińskiego. Tłum delegatów na dużej sali wszystko odbiera przez głośniki, tak samo cała stocznia i tłumy przy bramach 2 i 3.

Wałęsa - wita przemówieniem, że nowa sytuacja polityczna, więc może i Komisja Rządowa ma coś nowego do powiedzenia. Nie chcemy zmiany ustroju socjalistycznego, chcemy tylko być gospodarzami we własnym kraju.

Jagielski - /prosi o zgaszenie jupitera/ wyraża zadowolenie z faktu, że się ponownie spotykamy. Otrzymał informację, że kolportowano ulotki poddające w wątpliwość jego słowa. Do większości postulatów, najbardziej żywotnych dla załóg, Komisja ma stosunek pozytywny. Okres strajku może być opłacony, ale pod warunkiem odrobienia zaległości, z funduszu płac stoczni /i chyba, jak rozumiem, to samo we wszystkich zakładach/. Załatwiono sprawy płacowe załóg. Import mięsa w tym roku wzrośnie do 60 000 t. Kartki żywnościowe - jak to zrobić? Przedstawia propozycje /o ile zrozumiałem, chodzi o propozycję przedstawienia propozycji/. Do końca listopada zostanie podany do wiadomości program podwyżki dodatków rodzinnych.

Bądkowski - połączenie z Warszawą miało być dziś przed 10.00, na krótko było, znów nie ma, musi być przywrócone natychmiast.

Wiceminister Łączności Wyłupek - run na telefony spowodował awarie /tzw. mylenie się/ centrali.

Wojciech Gruszecki - dziwne, że telefony wysiadają. Gdyby dawać pełną informację o tym, co tu się odbywa, przez radio ogólnopolskie i telewizję, nie byłoby takiego nacisku na telefony. Pan premier musi być świadom głodu wiadomości.

Andrzej Gwiazda - część miast była zablokowana, część nie.

Wałęsa - najpierw załatwić punkt 4 listy żądań, następne same poleca. Nie chcemy co 10 lat wracać do strajków. Nie chodzi o polityczne sprawy.

Jagielski - jesteśmy zadowoleni, że możemy rozmawiać.

/Powtarza w skrócie co powiedział poprzednio, bo była chwilowa przerwa w działaniu głośników. Kontynuuje:/

Sprawa związków zawodowych stała na plenum CRZZ; odnowa związków pilnym zadaniem. Nastąpi radykalna poprawa, chodzi o klasowy charakter i autorytet tych związków. Proponuje wybory nowych rad zakładowych na terenie Trójmiasta, demokratyczne. Warunki i tryb przerw w pracy powinny być określone w nowej ustawie o związkach zawodowych.

Przychodzą trzech eksperci rządowi, nazwisk nie znam.

Andrzej Gwiazda - Spotykamy się w warunkach kryzysu społecznego i gospodarczego. Dotychczasowe związki zawodowe są zdominowane przez administrację. Realizuje się ślepe wskaźniki. Powstanie wolnych związków zawodowych jest koniecznością. Niewątpliwie wystąpi sporo kłopotów, ale z czasem to się uładzi. Wolne związki zawodowe muszą mieć swoje wydawnictwa, w których będzie się pisało prawdę. Polacy mają dość słuchania o błędach i wypaczeniach, cyklicznie. Robotnicy muszą mieć możliwość zabierania głosu, czy mają rację, czy nie. Kto może z góry określać, który głos jest słuszny, a który nie? Oczekujemy deklaracji rządu, że nasze nowe związki zawodowe nie będą dyskryminowane.

Wałęsa - która strona ma się wpiery wypowiedzieć, nasza czy rządowa?

Jagielski - wpiery członkowie Prezydium MKS.

Bogdan Lis - stare związki zawodowe są zupełnie skompromitowane. Jesteśmy gotowi istniejące zakładowe komitety strajkowe zamienić na nowe rady zakładowe.

Florian Wiśniewski - tylko wolne związki zawodowe nas zadowolą.

Lech Sobieszek - żeby się nie powtórzył incydent z telefonami. Gdybyśmy się teraz tu nie spotkali, lecz dopiero później, rozmawialiśmy z Komisją Rządową na tamtej dużej sali, wobec wszystkich setek delegatów. Wolne związki zawodowe mają być nie tylko dla Trójmiasta, ale dla całej Polski. Możemy spowodować strajk w całej Polsce.

Jagielski - ubodło go, co Sobieszek powiedział. Przyjechał rozmawiać o sprawach wybrzeża gdańskiego. Proponuje 10 minut przerwy.

Wałęsa - jeszcze jeden głos i przerwa.

Zdzisław Kobylński - fabryka domów w Gdyni pracuje na 30% swej mocy, fabryka w Kokoszkach na 50%. Po co budować 2 nowe fabryki, po co wydawać pieniądze i materiały? Trzeba zrobić tak, żeby te istniejące produkowały jak należy.

Przerwa

Wałęsa i Jagielski uzgadniają, że o wspólnym komunikacie będzie mowa później.

Jagielski - wszyscy mówcy MKS poddali ostrej krytyce związki zawodowe. Z tą krytyką jesteśmy całkowicie zgodni /zrobił krótką przerwę, jakby czekał na oklaski delegatów, ale ich nie było/. Kierujemy się tym samym dążeniem do roli związków zawodowych.

Wałęsa - chodzi o jasne postawienie sprawy ze strony Komisji Rządowej. Przyznaje nam wolne związki, czy stoi na gruncie starych odnowionych?

Jagielski - rzecz do rozpatrzenia.

II sesja dobiega końca. Komisja Rządowa wyjechała bramą nr 3.

Poszedłem ze Stachem Załuskim do Antka Faca, tkwiącego w bibliotece przy bramie nr 3. Zrobił kawę, przysłała Majka, jego żona, przyniosła jakiś placek domowy, także lekarstwa dla stoczniovców.

Co pewien czas do stoczni przychodzą kaledzy literaci, którzy podpisali nasze oświadczenie z 21 sierpnia. Edmund Puzdrowski, nie mogąc dostać naszego tekstu, napisał własny, solidaryzujący się, przyszedł z nim i w sali delegatów odczytał go do mikrofonu. Także dotarło do nas pismo solidarnościowe grona intelektualistów poznańskich z 22 sierpnia, wśród nich grupy literatów z Egonem Naganowskim. Zarząd Główny ZLP milczy, chociaż Wiktor Woroszyński na pewno dostarczył nasz tekst w dniu 23 bm. Telefony już są, mogliby przynajmniej zadzwonić do biura Oddziału Gdańskiego, żeby się czegoś dowiedzieć.

Literaci z naszego Koła Młodych próbują montować pierwszy numer pisma "Naprzeciw".

Ks. Hilary Jabstak z Gdyni przysłał dla członków Prezydium krzyżyki z wrytą na odwrocie datą 3 VI 1979 - datą przyjazdu do Polski Jana Pawła II; podobno przez niego poświęcone.

Przy bramie głównej, sporadycznie także na terenie stoczni, handel zdjęciami ze strajku. Straż Robotnicza tępi handlarzy, którzy biorą po 20-30 zł za zdjęcie i robią interesy.

Opracowaliśmy komunikat, uzgodniony o 15.30. Treść:

"Dnia 26 bm. w Stoczni Gdańskiej kontynuowane były rozmowy Komisji Rządowej pod przewodnictwem wicepremiera Mieczysława Jagielskiego i Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego pod przewodnictwem Lecha Wałęsy. W czasie rozmów przedstawiono propozycje w sprawie pierwszego postulatu dotyczącego związków zawodowych. Powołany został zespół ekspertów z udziałem przedstawicieli Komisji Rządowej i Prezydium MKS dla opracowania materiału w celu sprecyzowania poglądu w sprawie postulatu pierwszego. Rozmowy mają być kontynuowane w dniu dzisiejszym."

Początek pracy zespołu - godz. 16.30 lub później. Skład komisji naszych ekspertów: Mazowiecki, Kowalik, Jadwiga Staniszkis; rządowych: Pajestka, Rajkiewicz, Jackowiak.

Kolejny komunikat, tym razem rzecznika prasowego Prezydium MKS:

"Dnia 26 bm. w godzinach wieczornych odbyło się spotkanie grupy roboczej, na którym byli przedstawiciele Komisji Rządowej pod przewodnictwem wojewody gdańskiego Jerzego Kołodziejewskiego i Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego pod przewodnictwem Andrzeja Gwiazdy z udziałem ekspertów obu stron, poświęcone omówieniu problemów związanych z punktem pierwszym naszych żądań. Dyskusja będzie prowadzona dalej.

Wyniki pracy grupy roboczej mają być przedmiotem obrad Komisji Rządowej i Prezydium MKS-u. Spotkanie to, zapowiedziane pierwotnie na godz. 22.45 dnia dzisiejszego, zostało przełożone na dzień jutrzejszy /27 bm./, z powodu wyjazdu wicepremiera M. Jagielskiego na posiedzenie Biura Politycznego KC PZPR w Warszawie".

27 sierpnia /środa/ '80. Godz. 9.50. Komisja ekspertów, p. 3 naszych żądań: informacja, dostęp do publikatorów, cenzura.

Z ich strony: Pajestka, Jackowiak, min. Jedynak. Z naszej: A. Gwiazda, B. Lis, Wiśniewski oraz Tadeusz Mazowiecki, Jadwiga Staniszkis, Tadeusz Kowalik.

/Nasi eksperci wolą nie prowadzić rozmów bez udziału "robotniczych" członków Prezydium, sam na sam z tą samą stroną. Niezależnie od naszych ekspertów od początku przyjąłem identyczny tryb postępowania. Chodzi o to, żeby uniknąć podejrzeń o dogadywanie się. W Prezydium, i poza nim, są ludzie skłonni do tego rodzaju podejrzeń; o ile orientuję się, nie należy do nich Wałęsa/.

Godz. 19.10. Cały dzień pozornie nic się nie dzieje. Przygotowałem się do zasadniczego przemówienia o p. 3 na przyszłej /III/ sesji Komisji Rządowej i naszego Prezydium.

Sesja ta stale się odsuwa. W końcu doszło tylko do spotkania grupy roboczej dla p. 3. Niedawno się skończyło. Zaraz posiedzenie Prezydium.

Tymczasem pogłoski, że w Warszawie nowe zmiany. Na miejsce Gierka miałyby przyjść Olszowski, na miejsce Pińkowskiego - Grabski. Czekamy.

Godz. 19.20. Posiedzenie Prezydium z udziałem ekspertów. Na komisji do p. 1 "rządowcy" postawili 6 problemów:

1. Stosunek ewentualnych samorządnych związków zawodowych do partii.
2. Formuła akceptacji zasad ustroju socjalistycznego.
3. Polityczne rozbięcie ruchu związkowego.
4. Przedyskutować p. 7 /?/.
5. Gwarancje realizacji umowy, jakich oczekujemy od rządu.
6. Problem rejestracji nowych związków.

W dyskusji nad tymi sprawami ktoś podniósł, że Jagielski poczuł się dotknięty prześmiewczym tekstem o nim w nr 6 "Solidarności".

Gruszecki - "Solidarność" nie jest organem Prezydium MKS-u,
Wiśniewski - głosimy wolność pracy.

Odczytano tekst.

Stembrowicz - ton materiałów zamieszczanych w "Solidarności" powinien być poważny, a redaktor naczelny powinien zasiadać w Prezydium.

Sobieszek - trzeba jeszcze bardziej ośmięczać.

Bądkowski - nie prowadzić polityki mocarstwowej, bo to z naszej strony śmieszne, trzymać się realiów, w których żyjemy.

Długa oraz niesborna dyskusja nad deklaracją /naszą, przyszłą/ w sprawie "apolityczności" oraz stosunku do partii komunistycznej.

Godz. 21.30. Eksperti do p. 21 /wolne soboty/ wyszli na obrady szczegółowe. Reszta Prezydium obraduje dalej. Koniec o godz. 23.30.

28 sierpnia /czwartek/ '80. Godz. 8.55. Czekamy. Obawy, że delegaci zmęczą się czekaniem, to samo załogi. Poprosiliśmy aktorów o występy. Dają je. Spałem we własnym łóżku, ale ruszam się dopiero po wypiciu dwóch kaw.

Godz. 10.00. Zebranie Prezydium z ekspertami nad 1 i pochodnymi. Koniec o godz. 10.40, bo zaraz ma przyjechać Komisja Rządowa.

III sesja rozmów plenarnych Komisji Rządowej i Prezydium MKS-u:

Początek godz. 11.00. Jak poprzednio, siedzimy po obu stronach długiego, wąskiego i niskiego stołu. Przekleństwo ta moda niskich stołów, trzeba do notowania zginać się w pałak, chociaż siedzi się w także niskich fotelach. Stronę rządową ma niejako przewagę /obserwacyjną/, bo od swojego drugiego rzędu siedzi na podwyższeniu /podium/, ale główni negocjatorzy z obu stron znajdują się na tym samym poziomie. Jestem po lewej ręce Wałęsy.

Liczebnie /Prezydium/ jest nas więcej. Ponadto z tyłu sali siedzą nasi eksperci: Tadeusz Mazowiecki, Tadeusz Kowalik, Bronisław Geremek. Intellectualnego wsparcia siły robotniczej z ich strony nie sposób przecenić.

Najpierw cyrk operatorów filmowych i telewizyjnych, fotoreporterów.

Godz. 11.07. Zagaja, witając, Wałęsa.

Wałęsa - czy Komisja Rządowa ma nam do powiedzenia coś nowego na temat punktu

Jagielski - jest to nasze trzecie spotkanie, oby ostatecznie w dyskusji konstruktywno-robotczej /o ile dobrze zrozumiałem: odnośnie pp. 1 i 2 zarysowało się zasadnicze porozumienie/. Przejdźmy do p. 3.

Wałęsa oddaje głos mnie.

Bądkowski - w dalszym ciągu trwają surowe restrykcje informacji, które sprawiają, że kraj wie bardzo niewiele o głębokich dyskusjach, o wielostronnym traktowaniu spraw przez robotników, samorzutnie zrzeszonych w Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym z siedzibą w Stoczni Gdańskiej.

Cytuję fragmenty z przemówienia Władysława Gomułki na VIII Plenum KC PZPR w październiku 1956:

"Wiele zła było w tych latach. Spuścizna, jaką ten okres pozostawił po sobie partii, klasie robotniczej i narodowi, jest w niektórych dziedzinach życia więcej niż zatrważająca.

Robotnicy Poznania chwytają za oręż strajku i wychodząc manifestacyjnie na ulicę w czarny czwartek zawokali wielkim głosem. Dosyć! Tak dalej nie można! Zawrócić z fałszywej drogi! /.../ Najwidoczniej przebrała się miara. A miary nie można nigdy przebierać bezkarnie. /.../ Wielką naiwnością polityczną była nieudolna próba przedstawienia bolesnej tragedii poznańskiej jako dzieła agentów imperialistycznych i prowokatorów. /.../ Przyczyny tragedii poznańskiej i głębokiego niezadowolenia całej klasy robotniczej tkwią w nas, w kierownictwie partii, w rządzie. Materiał palny zbierał się całe lata. /.../ Wybory zostaną przeprowadzone w oparciu o nową ordynację wyborczą, która pozwala ludziom wybierać, a nie tylko głosować. Jest to zmiana bardzo ważna. /.../

Před prawem uciec nie można. Jeśli się je skrywa, wypływa ono w groźnej postaci widma, które straszy, niepokoi, buntuje się i wścieka". /Cytowałem więcej/.

Cały tekst ówczesnego przemówienia Gomułki, z odpowiednim uaktualnieniem, można by wygłosić dzisiaj. Wciąż i wciąż wracamy do tego samego punktu.

Robotników spycha się do dyskusji czysto płacowo-bytowych. Ale są oni

pełnoprawnymi obywatelami - tak zresztą, jak wszystkie inne warstwy obywateli - i wielkim głosem domagają się tych pełnych praw. Stąd żądanie prawdziwych, samorządnych związków zawodowych. Stąd także żądanie prawnej, autentycznej regulacji kontroli prasy itd., po prostu zwanej cenzurą. U nas jest ona cenzurą prewencyjną, policją myśli.

O stopniu dojrzałości i odpowiedzialności robotników świadczy, że zwrócili się do grona wybitnych ludzi nauki i kultury z prośbą o udzielenie im pomocy w uściśleniu żywnionych przez nich przekonań. Jest to dobitny i piękny przykład autentycznej żywotności zasady /tak często sprowadzanej do propagandowego frazesu/ więzi wewnątrzspołecznej między robotnikami i inteligencją. W tych trudnych dniach cieszymy się z tego bijącego w oczy faktu.

Regulacja cenzury ma być rozważana. Będzie się ona mieścić w systemie prawnym PRL i przestrzegać dwóch kardynalnych zasad: 1. ochrony fundamentalnego bezpieczeństwa państwa, 2/ miejsca Polski w układzie międzynarodowym. Szczegółowiej będzie o tym mowa w toku dyskusji odpowiedniej komisji problemowej, tu tylko podkreślam z całym naciskiem, że my, ludzie zrzeszeni w Gdańskim Międzyzakładowym Komitecie Strajkowym, w pełni rozumiemy interesy bezpieczeństwa Polski i jej sojuszników, a więc i siły obronnej Układu Warszawskiego.

Problem cenzury w PRL, opartej o dekret z 1946 r., unaocznia jaskrawą sprzeczność między konstytucją PRL a ustawami szczegółowymi, które powinny wychodzić z zasad konstytucyjnych.

Tutaj trzeba postawić zagadnienie wydawnictw określanych jako niezależne lub ukazujące się poza zasięgiem cenzury. Chodzi nam o to, abyśmy znaleźli sposób wykonywania konstytucyjnie gwarantowanego prawa obywateli PRL zarówno do czynienia publicznymi swoich poglądów, jak i do wydawania książek i czasopism.

Spółeczeństwo polskie jest w przeważającej większości wierzące, katolickie. Tymczasem w PRL wierzący zostali zepchnięci na pozycję obywateli II kategorii. Należą im się pełne prawa, w tym również dostęp do publikatorów.

Jagielski - w generalnych liniach zgadza się z przedmową. Wnioski z "październikowego" przemówienia Gomułki zostały wyciągnięte, nie widzi powodu powracania do niego. Nie wie, jaki jest stosunek prymasa Wyszyńskiego i biskupa /gdańskiego/ Kaczmarska np. do nabożeństw w telewizji. MKS nie może przemawiać w imieniu episkopatu; są też inne wyznania, są i niewierzący. Istotne zagadnienie to cenzura.

Wałęsa - to, czego żądamy w odniesieniu do Kościoła, to minimum jego uprawnień.

Zieliński - na IV plenum KC już zajęte stanowisko. Totalna negacja 35 lat PRL byłaby błędem.

/Nie wiem, o jakie plenum chodziło. Oni zawsze tak mówią, jakby ludzie żyli ich plenami, które nam się zlewają w jeden szum/.

Jagielski - /coś o potrzebie zaufania/.

Wiśniewski - mamy pełne zaufanie do władz partyjnych.

/Tak zapisałem i nie popełniłem błędu. On nieraz mówił od rzeczy/.

Piszbach - pierwszy okres strajku w Gdańsku był niełatwy do określenia; uczestniczące w nim czynniki polityczne.

Bądkowski - widziałem powód cytatów z Gomułki: cykliczność dramatycznych wydarzeń w Polsce, chodzimy w fatalnym kręgu, chcemy wreszcie z niego wyjść. Oczywiście, że reprezentujemy problematykę daleko wychodzącą poza sprawy bytowe, mówiłem o pełni praw obywatelskich robotników zrzeszonych w MKS-ie. Ludzie niewierzący znajdują się także po stronie stołu, ale mówimy o społeczeństwie polskim, które ukształtowało się w kręgu kultury śródziemnomorsko-chrześcijańskiej. Najważniejszą sprawą gwarancja wykonywania konstytucji, a więc zgodności ustaw z konstytucją. Jeżeli ustawy krzamią konstytucji, to taka konstytucja jest świstkiem papieru. Dekret o cenzurze jest sprzeczny z konstytucją. Rozumiem, że teraz przystąpimy do opracowania dokumentu o cenzurze, który będzie publikowany.

Gwiazda - o represjach politycznych stosowanych pod płaszczykiem ścigania przestępstw politycznych. Może w przyszłości dojdzie do tego, że MKS zostanie przedstawiony jako banda kryminalistów.

Jagielski - coś w tym sensie /pół żartem/, że Gwiazda ich obraża, przecież rokują z nami, skąd więc "banda kryminalistów"? Odnosnie do skazanych, których uważamy za politycznych - jeżeli okaże się, że są nowe okoliczności, możliwa jest rewizja sądowa.

Anna Walentynowicz - czyta tekst na temat bezradności obywatela wobec organów władzy.

Gwiazda - czyta komunikat episkopatu, że przemówienie prymasa z 26 bm. zostało przez cenzurę pocięte i nie było autoryzowane /w publikatorach/.

Wniosek o przerwę. Jagielski podnosi sprawę obecności dziennikarzy zagranicznych, że dyskutujemy "sprawy Polaków" pod okiem obcych. Dajemy wyrażenie do zrozumienia, że uwaga opinii światowej stanowi dla nas tarczę ochronną i przecież wszędzie na świecie /demokratycznym/, jeśli dzieje się coś interesującego, ciągną tam dziennikarze ze wszystkich stron.

Postanawiamy razem, że pp. 2, 3 i 4 mają być wspólnie opracowane do godz. 17.00, a wtedy IV sesja rozmów.

Wznowienie rozmów odwleka się, częściowo z powodu trudności uzgodnienia formuł, częściowo z powodu przesunięć na szczycie politycznym i wyjazdu Jagielskiego do Warszawy. Wobec tego opracowujemy

"Komunikat Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego
28 sierpnia 1980. godz. 19.00

W dniu dzisiejszym do godz. 16.00 były prowadzone obrady w powołanej przez Komisję Rządową i Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego grupie roboczej z udziałem ekspertów obu stron, dotyczące punktów 2 i 3 żądań robotniczych, a mianowicie zagwarantowania prawa do strajku oraz bezpieczeństwa strajkujących i osób wspomagających i w sprawie cenzury, informacji, dostępu do środków masowego przekazu.

Dyskusja na temat punktu 1 /niezależnych związków zawodowych/ w grupie roboczej będzie kontynuowana w dniu dzisiejszym w godzinach wieczornych.

Dyskusja plenarna na temat punktu 1 będzie wznowiona jutro po zakończeniu prac w grupie roboczej".

Na nalegania strony rządowej przygotowaliśmy projekt oświadczenia w sprawie aktów solidarnościowych w kraju, odrzuciwszy uprzednio projekt rzecznika rządowego. Mój projekt wyraża "podziękowanie załogom robotniczym w kraju za przesłane słowa i dowody solidarności z MKS. W duchu poczucia obywatelskiej odpowiedzialności za losy naszego kraju i jego miejsca w układzie międzynarodowym zwracamy się do załóg o dalsze wyrażanie solidarności z MKS i o niepodejście nowych strajków, gdyż pogłębiłyby one istniejące trudności i mogłyby stanowić poważne zagrożenie kraju". Zapowiedzieliśmy podawanie komunikatów "za pośrednictwem dostępnych nam środków rozpowszechniania".

Zaniepokoiła nas zwłaszcza pogłoska, jakoby w hucie "Katowice" zamierzano wygasić piece, co oznaczałoby ruinę huty. W takim wypadku "zagrożenie kraju" to oczywiście zagrożenie sowieckie.

29 sierpnia /piątek/ '80. Pod tym dniem nie mam żadnej zapiski prócz "Zebranie Prezydium, 11.40". Pamiętam duże napięcie z powodu wazenia się losów naszej pertraktacji oraz wiadomości z kraju, które wskazywały na możliwość wybuchu strajku generalnego. Ktoś powiedział, że "wtedy wyjdzie na nasze". Ładne mi nasze, z czołgami sowieckimi na ulicach.

Brałem dalej udział w pracach nad p. 3. Mam tu jeszcze taką zapiskę mojego wniosku do uzgodnionego z Komisją Rządową punktu 3:

a/ Dla zapewnienia realizacji wymienionych zasad rząd spowoduje anulowanie dekretu z czerwca 1946 r. o urzędzie kontroli prasy, publikacji i widowskich oraz wniesienie do sejmu i uchwalenie ustawy ograniczającej cenzurę do ochrony najistotniejszych elementów bezpieczeństwa państwa i jego miejsca w układzie międzynarodowym.

b/ Środki rozpowszechniania dostępne są wszystkim osobom o właściwych kwalifikacjach dla korzystania z nich.

/Kłopot z lepszym sformułowaniem niż "właściwe kwalifikacje", bo to rozległe pole interpretacji /.

Bodaj byłem u Antka Faca przy bramie nr 3.

30 sierpnia /sobota/ '80. Godz. 10.00. Posiedzenie zespołu roboczego Komisji Rządowej i Prezydium MKS-u na temat p. 3.

Kołodziejwski, Bruski i ktoś jeszcze. Z naszej strony Gwiazda, Bogdan Lis, Kobyliński, Mazowiecki, Bądkowski, Kowalik, Greremek, Któryś z "rządowców" powiada, że "X Jastak wygłosił kazanie stymulujące nastroje podniecenia".

IV sesja rozmów Komisji Rządowej i Prezydium MKS, pocz. godz. 10.35.

Gwiazda - odczytał "Ustalenia do protokołu odnoszące się do postulatu nr 1".

Jagielski /wprowadza jakby nieco lżejszy ton/. Zbliżyliśmy się do prac finalnych. MKS stać będzie na gruncie zasad ustrojowych, kierowniczej roli PZPR i istniejących sojuszy. Trudności porozumienia odnośnie do tego punktu leżały w tym, że nowe instytucjonalne rozwiązania /samorządne związki/ powodują konsekwencje polityczne, prawne, organizacyjne itd. Dzisiaj plenum KC, właśnie te sprawy będą omawiane. Był wczoraj w Warszawie.

Wałęsa - porusza sprawę aresztowań. Żąda zwolnienia zatrzymanych.

Jagielski - uchyla się od zajęcia stanowiska, ale daje do zrozumienia, że jest to możliwe.

/Notatka na boku: "Nie wiem, co dziś o mnie napisze pan Rawicz". Powiedział to Jagielski. Ja z kolei nie wiem, do czego nawiązywał/.

Godz. 11.09. Jagielski i Wałęsa składają podpisy pod ostatecznymi sformułowaniami punktów 1 i 2 /"niezależne, samorządne związki zawodowe" - naraz, aza, obok ograniczeń cenzury, główna zdobycz/.

Zamknięcie sesji o godz. 11.30. Pozostanie grupa robocza dwustronna dla dopracowania pozostałych punktów.

Rzecznik prasowy Komisji Rządowej Andrzej Maślankiewicz przedyktowuje mi /nie miał maszynopisu/ projekt /rządowy/ wspólnego komunikatu końcowego.

Tekst:

"Komunikat końcowy"

o rozmowach Komisji Rządowej dla Rozpatrzenia Postulatów Załóg i Problemów Wybrzeża Gdańskiego z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym.

1. W wyniku przeprowadzonych rozmów Komisji Rządowej z Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego dokonano uzgodnień i osiągnięto pełne porozumienie w sprawach żywotnie interesujących załogi pracownicze zakładów pracy.

2. Żądania przedstawione w 21 punktach zgłoszonych przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, a stanowiące przedmiot rozmów i dokonanych uzgodnień, będą spełnione z uwzględnieniem postanowień Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i możliwości ekonomicznych kraju.

3. Powołane samorządne niezależne związki zawodowe, stojące na platformie socjalistycznej, zapewnią rzeczywistą reprezentację i ochronę interesów ludzi pracy.

4. Uzgodnione w czasie rozmów problemy płacowe i socjalne zostaną przekazane Rządowi, który do dnia 30 września 1980 r. ustali zakres i tryb ich załatwiania stosownie do określonych możliwości.

5. W celu ustalenia szczegółowych metod i warunków realizacji podjętych uzgodnień oraz problemów, które wymagają dalszych postanowień, powoła się mieszana komisja, w skład której wejdą przedstawiciele Rządu, władz wojewódzkich i Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego.

6. Uwzględniając powyższe uznaje się strajk na Wybrzeżu Gdańskim za zakończony.

Komisja Rządowa i Międzyzakładowy Komitet Strajkowy wzywają załogi wszystkich zakładów pracy, które podjęły strajk, do jego niezwłocznego zakończenia i przystąpienia do pracy.

7. Komisja Rządowa i Międzyzakładowy Komitet Strajkowy zgodne są co do tego, że w chwili obecnej najważniejszymi sprawami są: spokój, przywrócenie normalnego rytmu życia i pracy, jedność całego społeczeństwa oraz powszechna świadomość, że należy uczynić wszystko dla dobra ojczyzny.

8. Jesteśmy przekonani, że każdy na swoim stanowisku pracy i wszyscy

razem, jako społeczność, uczynimy wszystko co niezbędne dla stworzenia pomyślnych warunków życia.

9. Niech osiągnięte porozumienie będzie trwałą wartością dla naszych rodzin i bliskich, niech stanie się wyrazem dążeń do utrwalenia i rozwoju socjalistycznych zasad naszego życia społeczno-politycznego".

Odpowiadam, że muszę porozumieć się z innymi, już widzę szereg miejsc wymagających zmiany lub uzupełnienia, a ostatnie trzy punkty to akty strzeliste, niepotrzebnie rozbudowane. Uzgodniamy, że będziemy się komunikowali, aby doprowadzić do wydania komunikatu wspólnego. Dodałem jeszcze, że wezwania do zakończenia strajku i powrotu do pracy należy do przewodniczącego MKS-u, bo nie Komisja Rządowa proklamowała strajk i nie do niej należy zamknięcie go.

Tymczasem zebranie plenum delegatów MKS-u, w którym nie uczestniczyłem, ale wiem, że powstały kłopoty, głównie na temat zasięgu terytorialnego nowych związków, kierowniczej roli partii, uzgodnienia sprawy cenzury, uwolnienia wszystkich aresztowanych, również tych z sankcją prokuratorską oraz więźniów skazanych pod zarzutami pospolitymi, a uznawanymi za politycznych /Zadrożyński, dwaj Kozłowski/.

Podobno pojawiły się ulotki przeciw osiągniętemu porozumieniu. Wewnątrz stoczeni mocna akcja "sekciarzy". Kryzys. Dodatkowe duże napięcie, żeby ta akcja nie spowodowała zerwania ugody.

Późnym popołudniem siedzę w pokoju ekspertów przy stoliku blisko drzwi z Tadeuszem Mazowieckim. Omawiamy komunikat końcowy. Dalej siedzą inni. Jak burza wpada Halina S., klęka przed nami, wznosi ręce i woła, żebyśmy się zastanowili nad tym co robimy, że cały wysiłek idzie na marne itd. Mazowiecki spokojnie, ja mniej, nakłaniamy ją do wyjścia z pokoju, bo przeszkadza nam w pracy. Trwa to całą chwilę, wreszcie zostawia nas samych.

Kryzys trwa. O godz. 20.45 zebranie Prezydium. Telefon od Bruskiego, że Jagielski pyta, kiedy Komisja Rządowa może przyjść. Musimy jeszcze sprawy dopracować, zapraszamy więc Komisję na jutro godz. 10.30. Gruszecki idzie z tym do telefonu.

Bardzo burzliwa dyskusja, raczej już kłótnia, Gruszecki rzuca legitymację MKS-u, jakos nakłaniamy go, żeby został. Wojna toczy się o ten punkt 3. Gruszecki raz jeszcze czyta tekst.

Sobieszek - mam tu młodego eksperta, nie wiem jak się nazywa, ale on nam powie o cenzurze i o tym, co my tu robimy,

Wprowadza na salę Prezydium, ku mojemu zdziwieniu, Stanisława Esden-Tempskiego, młodego literata, który dołączył tu do grupy moich współpracowników.

Tempski powiada, że nieobalenie cenzury prewencyjnej to w ogóle dno i że nie warto było robić strajku, jeśli tego się nie uzyska. Cenzura powoduje olbrzymie straty w kulturze polskiej, setki najwartościowszych dzieł literatury nie mogą się u nas ukazać, z polskich pisarzy nie ma np. Miłosza i Gombrowicza.

Powiedział i wyszedł. Ktoś zwrócił uwagę, że wśród nas jest literat i żeby się wypowiedział. Mówię więc, że oczywiście cenzura prewencyjna jest złem, ale musimy pamiętać, na jakim świecie żyjemy, co da się uzyskać, a co nie.

Chyba najbardziej przekonująco... przemówił Tadeusz Kowalik - wśród ekspertów warszawskich tu obecnych nie ma ani jednego, który by na sobie nie doświadczył działania cenzury. Jeżeli opowiadają się za przyjęciem wynegocjowanego uzgodnienia p. 3, to nie z przyjemności, lecz z konieczności, a stanowi on wielki krok naprzód /zdefiniowanie zakresu cenzury, jej zaskarżalność/ wobec stanu obecnego.

Jeżeli długa dyskusja za i przeciw, wreszcie głosowanie, wynik za przemian uzgodnienia - 12 głosów, wstrzymujący się 1 głos. Nie odnotowałem, czy było 13 członków Prezydium, czy inni także się wstrzymali; raczej to drugie, ale nie podnieśli ręki.

Potem punkt 4 żądań o przywróceniu do poprzednich praw zwolnionych represyjnie z pracy po strajkach 1970 i 1976 oraz studentów, a także więźniów:

E. Zadrożyńskiego, Jana Kozłowskiego i Marka Kozłowskiego. Jesteśmy zgodni, że przy tym obstawiamy.

Zwolnikiem się ze stoczni o 23.20 i poszedłem na Targ Rybny.

Znalazłem nie wykorzystaną kartkę na obiad w stołówce. W ogóle z obiadów w stołówce korzystałem dwa albo trzy razy, jadłem kanapki, poza tym kawa i papierosy. Poszedłem spać o 1.50 wysłuchawszy wszelkich możliwych rozgłosni. Wszędzie o Polsce, czułówki.

31 sierpnia /niedziela/ '80. godz. 11.10

V sesja rozmów Komisji Rządowej i Prezydium MKS

Najpierw szła fotoreporterów i operatorów filmowych.

Potem dość długie rozmowy "poboczne" o ostatnich nie dopiętych sprawach. Dzieje się to w sali Prezydium.

Początek godz. 11.30.

Wałęsa - mamy nadzieję, że teraz już sprawy zostaną wcześniej załatwione. Co do zatrzymań i aresztowań /sankcji prokuratorskich/ - chodzi o wyjaśnienie wicepremiera, podpisanie dalszych punktów nastąpi potem.

Jagielski - dotrzymał obietnicy i wrócił do Gdańska wczoraj o 19.30. Ostateczne podpisanie porozumienia /protokołu/ nastąpiłoby po południu.

Czytanie punktów. B. Lis czyta p. 3.

Jagielski - "zgodę, podpisujemy ten punkt".

Czyta p. 4.

Jagielski - "w duchu rozumienia podpisuję ten punkt".

Wraca sprawa zatrzymań i aresztowań.

Jagielski - do tej sprawy ustosunkuję się na końcu.

Podnosimy sprawę ogłoszenia tekstu porozumienia w środkach masowego przekazu i obstawiamy przy sprawie aresztowanych.

Jagielski - aresztowania są sprawą Generalnego Prokuratora. Dziś jedzie do Warszawy i rzecz przedstawi "w duchu rozumienia".

Alina Pięnkowska - "w imieniu Stoczni Gdańskiej" domaga się uwolnienia aresztowanych, którzy pomagali robotnikom w 1976 r.

Andrzej Gwiazda - to samo.

Podpisywanie wszystkich punktów do godz. 12.30. Przed nami jeszcze podpisanie dokumentu końcowego. Przerwa na dokończenie przepisywania tekstów.

Kraję gorączkowo ze wspólnym komunikatem prasowym, wreszcie go uzgadniamy w formie znacznie zwięźlejszej od proponowanej przez rzecznika rządowego.

Godz. 16.20. W sali Prezydium.

Wałęsa - żeby Jagielski ustosunkował się do sprawy zwolnienia aresztowanych

Jagielski - 1. nikt za udział w strajku i pomoc w jego prowadzeniu nie będzie karany; 2. władze prokuratorskie zwolnią wszystkich aresztowanych /politycznych/ do godz. 12.00 dnia 1 września 1980.

Oklaski. Przechodzimy do wielkiej sali delegatów. Przemówienia Jagielskiego i Wałęsy; ten ostatni: "Pracownicy, jak chcą, mogą się zawsze porozumieć", apel Wałęsy - wracamy do pracy 1 września.

x x x

Ostatni akt gdańskiego dramatu znany jest z prasy, radia i telewizji. Zresztą notatek już nie robiłem, byłem zmęczony. Podaję jeszcze tekst uzgodnionego komunikatu:

1. W wyniku przeprowadzonych rozmów Komisji Rządowej z Prezydium Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego dokonano uzgodnień i osiągnięto porozumienie w sprawach żywotnie interesujących załogi pracownicze zakładów pracy.

2. Żądania przedstawione w 21 punktach, zgłoszonych przez Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, a stanowiące przedmiot rozmów i dokonanych uzgodnień, będą spełniane, jak stanowi protokół porozumienia.

3. Protokół porozumienia ogłasza się jednocześnie z niniejszym komunikatem.

4. Szczegółowa realizacja postanowień zawartych w protokole będzie przedmiotem dalszych uzgodnień pomiędzy Komisją Rządową a Prezydium MKS,

który przekształcił się w międzyzakładowy komitet założycielski samorządnych niezależnych związków zawodowych.

5. W wyniku powyższego Międzyzakładowy Komitet Strajkowy ogłosił strajk na wybrzeżu gdańskim za zakończony, wzywając załogi wszystkich zakładów, które w nim się zrzeszyły, do przystąpienia do pracy.

6. Komisja Rządowa i Międzyzakładowy Komitet Strajkowy zgodne są co do tego, że w chwili obecnej najważniejszymi sprawami są: spokój, przywrócenie normalnego rytmu pracy i życia, jedność całego społeczeństwa oraz powszechna świadomość, że należy uczynić wszystko dla dobra Ojczyzny".

KONIEC. Zapiska: "jestem jak przekłuty balon".

1 września /poniedziałek/ '80.

POCZĄTEK. Mamy tymczasową siedzibę we Wrzeszczu przy ul. Marchlewskiego /Dworcowej/ 13, w mieszkaniu po jakimś lekarzu, który podobno emigrował. Mieszkanie bardzo wielkie, ale w stosunku do potrzeb siedziby małe i niefunkcjonalne, pokoje przeważnie przejściowe. Tłum wali i kłębi się - tłumek także na ulicy.

Godz. 16.30. Zebranie plenum delegatów MKZ-u w szkole przy Topolowej /"topolówce"/. Przemówienia, interwencje, dziesiątki spraw, chaos.

Godz. 19.15. Pierwsze zebranie Prezydium przy Marchlewskiego. Żadnych przemówień, najpierw sprawa informacji dla pytających. Ale chaos nie mniejszy. Trzeba odczekać, aż się trochę ustoi, a nadgorliwcy - zmczą.

P.S. Notowałem a następnie przepisywałem na maszynie w warunkach przeciążenia i w gorącej atmosferze. Powstał więc obraz ogromnie niepełny i pobawiony potrzebnego dystansu. Widziałem, słyszałem, mówiłem wiele więcej, lecz przelewało się to jak woda nad studzienką deszczową w czasie oberwania chmury. Poza tym w moich "przypisach" widzę wyraźny przechył na stronę rękawic Komisji Rządowej i Prezydium gdańskiego MKS. Wynika to z prostego faktu, że w nich uczestniczyłem i bardzo mnie absorbowwały. Z małej reszty czasu większą część musiałem poświęcić dziennikarzom krajowym i zagranicznym.

Na uzupełnienia i rekonstrukcje przyjdzie jeszcze czas, zresztą na pewno odezwą się inni świadkowie i obserwatorzy. A w ogóle jako tako pełny obraz "Wielkiego Strajku na Pomorzu" i całego polskiego "długiego gorącego lata" powstanie dopiero w przyszłości.

Lech Bądkowski

Kazimierz Orłowski

NOTATKI GDAŃSKIE

26 sierpnia - wtorek

Pusty ekspres piąta czterdzieści z Dworca Centralnego. Przyjazd do Gdańska po dziesiątej. Wcześniej patrzę z okna na miasta województwa: Malbork, Tczew, Pruszcz Gdański. Chyba w Tczewie trzepoczą na kominie fabrycznym cztery biało-czerwone flagi. Nastrój święta. To samo wrażenie po przyjeździe do Gdańska: odświętne miasto.

Idę wśród ludzi w stronę stoczni. Brama numer dwa. Przed skrzyżowaniem, już blisko, patrole milicji drogowej zatrzymują samochody. Słychać megafony. Przed bramą tłum gęstnieje. Ludzie stoją, jakby w oczekiwaniu na wielkie wydarzenie. Dużo uśmiechniętych twarzy. Radość.

Na metalowych prętach pęki kwiatów. Portret Jana Pawła Drugiego. Z lewej strony rozkopany placik, pośrodku krzyż - duży, drewniany. Także kwiaty. Płoną świeczki. Klęczy kobieta. To w tym miejscu w grudniu 1970 roku zginęło pierwszych czterech stoczniovców. Później dowiem się, że upadło sześciu - dwóch zdołało się doczekać do portierni.

Krótkie rozmowa ze strażą przy bramie. Wpuszczają na teren stoczni tylko za przepustkami. Mówię, że przyjechałem z Warszawy: Związek Literatów, pismo niezależne. Dostają przewodnika.

Szukające wrażenie: tłum mężczyzn w ubraniach roboczych. Wszędzie szaroniebieskie dreluchy. Stoją w grupach, idą, siedzą na belkach i deskach wzdłuż szerokiej alei.

W hallu budynku, w którym obraduje Międzyzakładowy Komitet Strajkowy, dostają przepustkę jednodniową. Później - dzięki pomocy przyjaciół z Koła Młodych ZLP - mam stałą. Ten hall - między dużą salą /gdzie siedzą przedstawiciele strajkujących zakładów/ a małą /gdzie zasiada prezydium MKS, obradują eksperci i toczą się obrady plenarne/ - jest teraz miejscem gorączkowych przygotowań kamerzystów i fotoreporterów przed przybyciem delegacji rządowej. Nastrój oczekiwania. O godzinie jedenastej rozpoczyna się po raz drugi rozmowy z komisją rządową.

Siedzę na skrzynce po butelkach z wodą sodową. - w wielkim ścisku, na końcu dużej sali. Rozmowy są transmitowane przez megafony; także na zewnątrz - na teren stoczni.

Wielka sala: cztery rzędy stołów, na których widać tabliczki z nazwami zakładów. Gęsty dym papierosowy. Dużo osób stoi. Dla wielu delegacji nie ma już miejsca przy stołach - siedzą na krzesłach pod ścianami, przy oknach. Uświadamiam sobie, że ci wszyscy ludzie, którzy tu przyjechali wbrew atakom propagandy, presji dyrektorów i sekretarzy, wbrew protestom aparatu władzy - są tutaj już od wielu dni. Powinni być zmęczeni, ale nie widać zmęczonych twarzy. Po nastroju niepewności, lęków i plotek, jakie panują w Warszawie - wiem, że tu jest inaczej.

Patrzę ponad głowami na statuę Lenina na drugim końcu sali. On jeden, jakby obojętnie, spogląda w okno. Po środku, nad stołem prezydiąlnym, biały orzeł na czerwonym tle, dalej duży krzyż i dwie flagi: czerwona i biało-czerwona.

Rozmowy rozpoczyna Lech Wałęsa /nie widziałem go jeszcze - słyszę mocny, męski głos/: "Nasze zakłady są własnością narodu polskiego. Wiale nam obiecywano. Musimy mieć cierpliwość i dobrą wolę. W związku z nową sytuacją - może pan premier coś przedstawi?"

Zabiera głos Jagielski. Ta i dalsze wypowiedzi wicepremiera nie są przyjmowane dobrze. Sala często reaguje śmiechem. Krótkie wypowiedzi przedstawi-

cieli MKS, proste pytania Wałęsy - a tu jeszcze mówi się językiem zbliżonym do nowo-mowy. Długo i niejasno. Omijając sedno sprawy. Często padają stwierdzenia: "tego nie wiem", "o tym nie mogę decydować" lub "przekracza to moje kompetencje" itp. Czasem wicepremier pyta: "czy mnie słycać?". Sala odpowiada oklaskami. W pewnej chwili notuję rzucone mimochodem zdanie: "z okresu więzienia mam chore oczy". W pierwszym wystąpieniu Jagielski omawia punkty dalsze: "Trzynasty i czternasty postulat, słuszne. Szesnasty, siedemnasty i osiemnasty - przyjmujemy do realizacji". Itd.

Wałęsa proponuje zaakceptowanie pierwszego postulatu: "Akceptacja niezależnych od partii i pracodawców wolnych związków zawodowych..." Ta sprawa jest najważniejsza. Dalsze punkty "polecają szybko". "Zaakceptujmy sprawę związków, żeby co dziesięć lat nie strajkować".

Wicepremier nie chce omawiać tego punktu. Mówi o strajkach: w ustawie o związkach zawodowych będzie punkt o przerwach pracy - "strajk jako ostateczna obrona interesów robotniczych".

W stylu wypowiedzania się, w języku jakim obie strony mówią - wyraźny kontrast. Jakby ludzie zasiadający po dwóch stronach stołu używali dwóch różnych dialektów /ktoś mi później powiedział: rolę tłumaczy pełnił eksperci/. Z upływem dni - przy trzeciej i czwartej bytności delegacji rządowej - zły wrażliwość zatarły się. Nowo-mowa ustąpiła miejsca konkretom, ale wtedy - wtorek - słuchając wystąpienia wicepremiera, można było upewnić się, że delegację rządową obowiązuje taktyka gry na zwłokę.

Kilka wypowiedzi przedstawicieli Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Andrzej Gwiazda, inżynier elektronik. Mówi o kryzysach, o skracających się cyklach. "Polacy mają już dość słuchania o błędach i wypaczeniach". "Tylko 1/4 dochodu narodowego przeznaczają się dla społeczeństwa". "Panie premierze, jeszcze niedawno bułka za pięćdziesiąt groszy była większa od pięści. Teraz bułka za dziewięćdziesiąt groszy zmieści się w dłoni". "Po dwudziestu latach pracy dostają pieniądze o mniejszej sile nabywczej niż te, które dostawałem na początku pracy". Aby zdobyć zaufanie społeczeństwa konieczne jest powołanie nowych związków. Te związki muszą mieć swoje wydawnictwa, aby pisać prawdę, niezależnie czy będzie to wygodne dla kierownictwa czy nie. Muszą mieć prawo zgłaszania projektów ustaw. Społeczeństwo oczekuje od rządu obietnicy, że nowe związki nie będą napotykały trudności przy rejestracji. Wolne związki gwarantują ratyfikowane przez Polskę konwencje nr 87 i 98 Międzynarodowej Federacji Pracy.

Florian Wiśniewski, starszy mistrz budowlany. Zaczyna od przypomnienia faktu, że przy podejmowaniu ważnych dla kraju decyzji brak jest reprezentacji ludzi pracy. Ludzie nie decydują o podziale dochodu narodowego. Plany są narzucane. Marnowane pożytki. Brak energii, transportu - ogromne straty powodują stałe przestoje. Pada zdanie, które podkreślam grubą kreską: "złe rządzenie kosztuje więcej, niż strajki". I dalej: konieczna jest reforma gospodarcza. Władza nie ma poparcia wśród robotników. "Wyjście z kryzysu będzie możliwe tylko przy pomocy i udziale wolnych związków zawodowych".

Lech Sobieszek z "Siarkopola". Mówi o zaniepokojeniu jakie budzą sugestie zawarte w wypowiedziach przedstawicieli rządu, że rozmowy ograniczone są do terenu województwa gdańskiego. "Apeluję do panów serc, tu chodzi nie o dobro panów /podkreślam słowo "panów"/, ale dobro Polski, wszystkich Polaków". I zdanie-ostrzeżenie: "Możemy doprowadzić do strajków w całej Polsce".

Zdzisław Kobyliński, przedstawiciel Państwowej Komunikacji Samochodowej. Mówi o fabrykach domów pracujących na wybrzeżu gdańskim: fabryka w Gdyni pracuje na jedną trzecią możliwości, Kokoszkki na pięćdziesiąt procent. Fabryki te mogą pracować na dwóch różnych rodzajach cementu, a pracują na czterdziestu jeden. Nikt na te fakty nie zwracał uwagi.

Po przerwie nowe spięcie między przewodniczącymi delegacji. Lech Wałęsa demaga się męskiej odpowiedzi: "będą wolne związki, czy nie?" Po raz pierwszy wicepremier wypowiada zdanie, które być może znaczy dużo: "ja wcale nie obstałem przy starych związkach".

Ustalenia: sprawa punktu pierwszego będzie omawiana przez ekspertów. Zostanie sprecyzowane wstępnie /niezobowiązująco/ wspólne stanowisko, które

następnie zostanie poddane dyskusji na spotkaniu plenarnym. Na tym obrady zostają przerwane. Wałęsa prosi "o kontynuowanie rozmów w dniu dzisiejszym". Delegacja rządowa opuszcza budynek wśród szpaleru stoczniowców. Odjeżdża wielkim autobusem w kierunku pierwszej bramy - tej, przed którą nie gromadzi się tłum.

Tego dnia notuje jeszcze kilka wrażeń.

Wystąpienie przedstawicieli francuskich i norweskich związków zawodowych. Gości przedstawia delegatowi Lech Wałęsa. Chyba wtedy po raz pierwszy widzę przewodniczącego Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego. Jest niewysoki, w szarym ubraniu - energiczne ruchy. Charakterystyczne wąsy, ciemne oczy. Francuz wygłasza krótkie przemówienie tłumaczone na żywo: "Walka, którą prowadzicie, jest wspaniała i cała Francja się nią interesuje". Kończy okrzykiem: "Niech żyje walka polskich robotników!" To wystąpienie wywołuje owację, wszyscy wstają z miejsc. Wałęsa i przedstawiciel francuskich związków zawodowych unoszą w górę złożone ręce.

Po południu słucham wypowiedzi grupy stoczniowców - przypomina to zbiorowy wywiad. Nie ma tylko pytań /może były na początku rozmowy?/. Podchodzę do dużej grupy - ludzie stoją stłoczeni. Szaroniebieskie ubrania robocze, opalone twarze. Mówią nie pytani - jeden kończy, drugi zaczyna. Ten zbiorowy wywiad nagrywany jest przez ekipę polskiego filmu dokumentalnego. Kamerzysta filmuje twarze. Powtarzający się motyw: nie ma powrotu do starego. Nie ustąpimy. Ile razy można zaufać? Słowa - obietniczki dla naiwnych. Musimy mieć pewność, musimy mieć gwarancje, że nie powtórzy się to, co było. Pytają: w jakich warunkach żyjemy i pracujemy? Ile lat można czekać na poprawę? Dla kogo wille, samochody, wyjazdy za granicę? Dla nas?

Trochę później notuje niektóre zapamiętane zdania: "Mam trzydzieści dwa lata i trzydzieści procent utraty zdrowia". "Na mieszkanie czekam od dwunastu lat. Przed kilku laty byłem już trzeci na liście, teraz jestem dwudziesty siódmy". Jak to jest: zamiast być bliżej przydziału - cofam się?" "Niedawno wyładowywane ze statku Toyoty. Dla kogo te wozy? Dla nas?" Ci co mają dobre układy, znajomości, koleżków - mają wszystko. A my?"

Kiedy stoję wśród nich i słucham, jak mówią, uświadamiam sobie, że ich protest jest ostateczny: nie cofną się, nie ustąpią.

O szóstej wieczorem msza - dzień święte Matki Boskiej Jasnogórskiej. Ołtarz ustawiono na terenie stoczni blisko głównej bramy. Szeroką aleję wypełnia szary tłum mężczyzn. Kolorowy tłum stoi za bramą - na ulicy, wokół drewnianego krzyża. Przychodzę pod koniec nabożeństwa. Jest kawałek miejsca na platformie wózka dostawczego. Daleki ołtarz wydaje się mały nad głowami tłumy stoczniowców. Wzdłuż alei rząd topoli - kiedy na chwilę cichną głosy modlących się lub milknie śpiew - słychać szum liści. Ksiądz zaczyna odmawiać "Wierzę w Boga", a tłum mężczyzn mówi dalej: "Ojca wszechmogącego, stwórcy nieba i ziemi...". Później śpiewają "Ty nam błogostaw". Na zakończenie długa litania do Matki Boskiej i "Boże coś Polskę" z prośbą "Ojczyźnie wolność racz nam zwrócić Panie!"

Patrzę na dwa wieżowce za bramą - podobno mieszkają tam specjaliści radzieccy, ci, którzy odbierają budowane dla Związku Radzieckiego statki. Przez cały czas trwania nabożeństwa na wszystkich balkonach widać ludzi. Stoją w zapadającym zmierzchu, patrzą. Kilka tysięcy Polaków modli się. Wielki tłum po obu stronach bramy z napisem: "Stocznia imienia Lenina".

Późnym wieczorem - jeszcze oczekiwanie na dalsze rozmowy. Dopiero przed jedenastą komunikat: "Wicepremier Jagielski wyjechał na posiedzenie Biura Politycznego. Rozmowy będą kontynuowane jutro".

Notuję kilka komunikatów: depesza z M/S "Manifest Lipcowy". Marynarze protestują przeciw przetrwaniu łączności z krajem. Powtarzają się komunikaty o wpłatach na fundusz budowy pomnika poległych stoczniowców. Jest także "radosna wiadomość": "Stoczniowiec /tu nazwisko/ został ojcem. Żona urodziła syna. Pyta, czy może dać imię Leszek?" Sala przyjmuje wiadomość oklaskami i śmiechem.

Czytana jest długa lista nazwisk intelektualistów, którzy przyłączyli się do apelu sześćdziesięciu dwóch, w sprawie natychmiastowego przystąpienia

do rozmów z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym. Przyjędym nazwisku okłaski: Andrzej Wajda.

Jeszcze krótko konferencja prasowa, na która udaje mi się cwojsie. Nie ma ciekawych pytań. Odpowiada Lech Radkowski - literat, członek MKS-u. Jedno pytanie po angielsku, kilka po polsku. Wszyscy chyba są zmęczeni.

Wychodzimy na zewnątrz sioeczna przez pierwszą bramę - na pustą ulicę. Teren stoczni oświetlony, idziemy pod murami. Blżej dworce sa patrolu milicji drogowej. Przechodzimy obok wielkiego gmachu - chyba liceum - tu w drzwiach stoi kilku ludzi w polowych mundurach. Ale nie zatrzymuja nas.

27 sierpnia - sroda

Rano brak wiadomosci, czy rozmowy beda kontynuowane. Nikt nie wie, kiedy delegacja rządu przyjedzie. W duzej sali, tak jak wieczorem we wtorek, odczytywane sa listy, komunikaty, oswiadczenia.

Przyjechała przedstawicielka duńskiej stoczni. Czyta z trudnami, ale po polsku, oswiadczenie z wyrazami solidarnosci i poparcia. Wygląda, jak uczennica. Długie okłaski.

List dwunastoletniego chłopca z Warszawy: robotnicy walczą o to, żeby w Polsce można było mówić i pisać swobodnie. Żeby była wolność.

Oswiadczenie dziennikarzy. Później wiele razy w rozmowach ze stoczniowcami i delegatami innych zakładów słyszałem pytania: czy napiszą prawie? Czy dadzą im napisac? "Nie wypuszczaj "Trybuny Ludu"! - ten okrzyk słyszałem ostatniego dnia, kiedy tłum dziennikarzy i fotoreporterów szturmował do drzwi budynku przed podpisaniem porozumienia. "U nas, na zakładzie - prowadziła jedna z delegatek podczas przypadkowej rozmowy - kobiety wychodzą z hali, kiedy nadają te ich radiowe artykuły i dzienniki. Albo krzyczą: zamknąć głosniki! One nie mogą już słuchać tego języka, tej nieprawdy!"

Oswiadczenie /bez wyrazów solidarności z Międzyzakładowym Komitetem/ zawierało zarzuty przeciwko utracianiu rzetelnego informowania społeczeństwa o wydarzeniach. "Solidarność", strajkowy biuletyn informacyjny, skomentował oswiadczenie następująco: "Choć jeszcze ostrożne w formie i treści, mogą być zapowiedzią strajku dziennikarzy polskich". Ironia adresowana zapewne do ludzi, których teksty jeszcze niedawno pisane były w atmosferze konformizmu i serwilizmu. Ktos, kto pisał o wydarzeniach siedemdziesiątego szóstego roku z pozycji policjanta, nie powinien przyjeżdżac do stoczni. Mimo to wszystkich przywołano - nawet "Trybuna Ludu". Słyszałem tylko o jednym wypadku usunięcia człowieka z terenu stoczni. Był to pracownik zajmujący wysokie stanowisko w administracji. Okazał się, podobno, prowokatorem.

Okolo południa występuje przedstawiciel Państwowej Komunikacji Samochodowej ze Sopotu, wymienia osiemnastcie strajkujących przedsiębiorstw. M.in. Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne i "Pomorzankę". Apeluje do prasy, aby podała do publicznej wiadomości nazwy i liczbe przedsiębiorstw strajkujących.

Czytane jest także oswiadczenie komitetu strajkowego niewielkiego zakładu z terenu województwa gdańskiego /niestety, nie zapomniałem nazwy/. Komitet skarży się na szykany ze strony dyrekcji i partii. "Sekretarz POP, w stanie nieatrzejwym, obrzucał strajkujących obelgami i mówił, że jeszcze go będą na kolanach prosic o przyjęcie do pracy".

Do wieczora dzien schodzi na oczekiwanie. Wracam późno do Sopotu /mieszkałam u krewnych/ podziem, którym wracają odwiedzający stocznię. Dużo młodych kobiet, dziewcząt, młodzieży. Nadal to wrazenia swieta. Ale z dziennika telewizyjnego, podobno, powialo chłodem: straszył Ryszard Wojna. "Solidarność", ten doskonałe redagowany i szybko wydawany biuletyn stoczniowców /niemalże zastępną NCW-iej/, skwituje wystąpienie komentarem: "Do czterdziestu jeden postulatów MKS należy dodac dwudziesty drugi: nigdy więcej Wojny".

28 sierpnia - czwartek

Rano dalszy ciąg rozmów. Notuje przebieg dyskusji na okiennym parapiecie, w ścisiku. Obok studentka-tłumaczka mówi po angielsku. Naokoło tłacza się korespondenci zachodnich gazet.

Pytanie Wałęsy: czy komisja rządowa ustosunkowała się do postulatu pierwszego?

Z odpowiedzi Jagielskiego wynika, że nie. Wicepremier proponuje, aby przystąpić do omawiania punktów trzeciego i czwartego. Przedstawiciele MKS wyrażają zgodę.

Punkt trzeci /"Przestrzegać zagwarantowanej w Konstytucji PRL wolności słowa, druku i publikacji, a tym samym nie represjonować niezależnych wydawnictw oraz udostępnić środki masowego przekazu dla przedstawicieli wszystkich wyznań"/ omawia Lech Bądkowski. Zaczyna od kilku cytatów z październikowych przemówienia Gomułki - sprzed dwudziestu czterech lat. Cytaty nie straciły aktualności. Może się wydawać, że są pisane wczoraj lub dziś. Notuje ostatni: "Przed prawdą uciec nie można. Jeżeli się ją skrywa, wypływa ona w groźnej postaci widma, które straszy, niepokoi, buntuje się i wścieka". Do ukrywania prawdy służył wielki aparat cenzury, niekontrolowany, nie podlegający żadnym ograniczeniom ustawowym, powołany do życia dekretem Krajowej Rady Narodowej z 1946 roku /o czym Bądkowski wspomina trochę później/.
Konkluzja wystąpienia: problem cenzury wymaga uregulowania prawnego - ustawy. Od decyzji cenzorów każdy musi mieć prawo odwołania.

Jagielski, a także następni dyskutanci z ekipy rządowej, zgadzają się w zasadzie na takie postawienie sprawy. Cenzura powinna strzec podstaw ustrojowych, nienaruszalności sojuszy, tajemnicy wojskowej, chronić uczucia religijne, także uczucia niewierzących, oraz zapobiegać pornografii.

W tym miejscu notuje na marginesie: "Niestety, zbyt duże uogólnienia. Do takiego worka - 'strzec podstaw ustrojowych' - można wrzucić wszystko. Czy nie należało skonkretyzować zakresu swobodnego wypowiedziania się? Np. Wolno krytykować działaczy partyjnych, milicję, ORMO, straż pożarną i służbę więzienną. Wolno krytykować okres stalinowski oraz błędy i wypaczenia z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych itd. Choć brzmi to humorystycznie, ale przecież dla piszących nieważne, czego ma strzec cenzura - ważne, czego jej strzec nie wolno".

W dalszej dyskusji w sprawie postulatu trzeciego notuje już tylko poszczególne zdania lub krótko sens wypowiedzi.

Wałęsa: "Jedna godzina w radiu na msze święta musi być. Od tego nie odstępamy".

Minister Andrzej Jędrzak: "Popelniano błędy, ale także był rozwój". Trzeba o tym pamiętać, aby nikt nie zarzucił "że myśli się tutaj tak jak nie trzeba".

Wojciech Gruszczyński z MKS: "Jak to się dzieje, że cenzura co pewien czas alienuje się?"

Jagielski: "Będzie odwołalność".

Tadeusz Fiszbach: "Instytucja cenzury i stopień jej ingerencji są pochodną systemu". Notuje obok: "krótko i szczerze".

Punkt czwarty: sprawa więźniów politycznych, przywrócenia do pracy zwolnionych w latach 1970 i 1976 oraz zaprzestania prześladowań za przekonania. Referuje Andrzej Gwiazda. Mówi o Zadrożyńskim, Marku Kozłowskim i Janie Kozłowskim. Przedtem ktoś pokazywał mi dwie ładne dziewczyny - uczennice. Widziałem je codziennie rano i wieczorem. Były to córki Jana Kozłowskiego. "Przyjechały upomnieć się o ojca". Andrzej Gwiazda składa listę zatrzymanych w 1976 roku studentów. Także listę obecnie zatrzymanych. Mówi o strachu, jaki zaszczerpiło społeczeństwu. Ten strach trzeba zlikwidować.

Z odpowiedzi Jagielskiego notuje: "Jeśli zachodzą nowe okoliczności, będzie można przeprowadzić rewizję procesu sądowego". Ale więźniów politycznych nie ma: z punktu widzenia władzy ci, którzy siedzą, to kryminaliści.

O prześladowaniach za przekonania polityczne mówi Anna Walentynowicz. Niewysoka, starsza kobieta - sunnicowa, której zwolnienie dyscyplinarne wywołało protesty studentów. Mówi o sobie, opowiada własną historię. Wielokrotnie zatrzymywana na ulicy, bita w czasie przesłuchań, straszona, szantażowana, zwalniana z pracy itd.

Jagielski: "Jeśli są fakty łamania praworządności - winni ludzie będą pociągnięci do odpowiedzialności".

Dyskusja kończy się około czternastej. Ekspertę obu stron mają ostentacyjnie uzgodnić punkty: drugi, trzeci i czwarty. O siedemnastej ponowne spotkanie i dyskusja nad punktem pierwszym.

Patrzę na odjazd autobusu z Jagielskim. Oprócz wicepremiera przez szpaler stoczniovców przechodzi jeszcze dwóch panów. Fiszbach? Jedynek? Reszta zostaje, aby uzgodnić. Autobus powoli rusza. Stoczniovcy podnoszą ręce - dwa palce tworzą litere "V". Nie ma oklasków, uśmiechów. Wielki "Ikarus" otoczony milczeniem. Tylko te ręce. Patrzę na twarz Jagielskiego - jest skulony. Unosi dłoń gestem pozdrowienia.

Później rozmowy, rozmowy. Na zewnątrz i wewnątrz dużej sali. Zapamiętane zdania: "Nie można doprowadzić do sytuacji, kiedy przeciwnik przewraca się. Z leżącym nie można rozmawiać".

Słuchania dzienników radiowych: BBC, Wolna Europa. Ogólna potrzeba informacji - co dzieje się w kraju? Jak reaguje Zachód i Wschód?

Z poznanym stoczniovcem zwiędzam fragment stoczni. Dziwne wrażenie: ciższa w dokach, w stalowych pudłach statków. Brak ludzi. Nieruchome dźwigi. Puste hale.

Do rozmów popołudniowych nie dochodzi.

29 sierpnia - piątek

Wchodzę na teren stoczni w chwili, kiedy Wałęsa przemawia do tłumu przed bramą. Mówi o dotychczasowych wynikach rozmów, o nadziei na szybkie zakończenie sprawy. Zapewnia: "Nie ustąpimy tym razem. Bądźcie spokojni! Wywalczymy nasze niezależne wolne związki zawodowe". Być może nawiązując do pytania rzuconego z tłumu, mówi o sobie: "Nie jestem przewodniczącym - jestem waszym służącym".

Stoi na platformie, otoczony ludźmi, jego donośny głos dudni w megafonach: "Teraz zaśpiewajmy razem: Jeszcze Polska nie zginęła..." Ludzie podchwytyją słowa hymnu.

Później widzę, jak wraca otoczony grupą stoczniovców /tuż przy nim dwóch młodych ludzi z białoczerwonymi opaskami/.

W sali nastrój mniej optymistyczny. Około jedenastej komunikat prezydium: rozmowy zostały przesunięte przez komisję rządową. Andrzej Gładka mówi o złej woli władz. Jest stosowana taktyka przedłużania rozmów, zmęczenia strajkujących zakładów. Taktyka stosowana wbrew interesom społecznym.

Głośne czytanie projektu uzgodnienia postulatu pierwszego - to, co będzie przedstawione komisji rządowej ze strony MKS. Tu po raz pierwszy użyte sformułowanie: "samorzadne, niezależne związki zawodowe". Podstawa prawna: Konwencja nr 87 Międzynarodowej Organizacji Pracy, ratyfikowana przez PRL w 1952 roku ///. Zwracają uwagę sformułowania o kierowniczej roli PZPR, nienaruszalności sojuszków międzynarodowych i podstaw ustrojowych. Ale sala przyjmuje projekt bez zastrzeżeń.

Notuję ciekawsze wystąpienia delegacji przyjeżdżających z całej Polski. Krótko mówi delegat Zagłębia Miedziowego /który podobno nie mógł dogadać się - miał trudności z dotarciem do prezydium MKS - dopiero kiedy powiedział: "reprezentuję dwadzieścia tysięcy ludzi" - wpuszczono go/. Strajkują: kopalnia Rudna, Sierszowice, Polkowice, przedsiębiorstwa budowy kopalń z Bytomia i Lubina, "Emergomontaż" z Wrocławia i Zakłady Remontowe. Na sali ożywienie i radość. Chyba pierwszy sygnał poparcia i kontaktu z górnikami. Trochę później odczytano telefonogram z kopalni "Jastrzębie" - przystąpili do strajku solidarnościowego.

Ponownie wiadomość o strajkach wielu zakładów we Wrocławiu. Podobno delegacja MKS z Wrocławia wyjechała na Wybrzeże. Dotychczas brak na ten temat pewnej wiadomości.

Szczupły chłopak, robotnik z zakładów budowlanych w Legionowie, odczytuje napisane przez siebie sprawozdanie z zebrania zakłogi. To zebranie zwołane przez dyrekcję i partię w celu skłonienia zakłogi do odcięcia się od strajkującego Wybrzeża, zamieniło się w spontaniczną manifestację poparcia. Wprawdzie nie uchwalono rezolucji ani nie podjęto decyzji o strajku solidarnościowym, ale ludzie mówili prawdę, nie bali się. Sala wysłuchiwała sprawoz-

danila /napisanego żywo, z talentem narracyjnym/ w skupieniu. Później żywio-
łowe oklaski.

O trzeciej obiad w stołówce koło bramy. Biega kolejka przed budynkiem, ale organizacja wewnątrz sprawna - kolejka posuwa się szybko. W środku przy-
pominam sobie stołówki z dawnych lat na budowach: tace, okienka z których
odbiera się dymiące talerze. Stoliki w dużej sali. Czy i tu były osobne dla
dyrekcji? Czy i tu dyrektorom podawały kelnerki? Dziś dyrektorów nie widać.

Znów przypadkowa rozmowa. Starszy człowiek w roboczym ubraniu narzeka
na gorąco - ściera z twarzy pot. "To nic - mówi - można wytrzymać. Dopiero
jak człowiek w taki upał pracuje zamknięty w blachach! Tam czasem nie ma
czym oddychać!"

Pracuje w stoczni od wielu lat - jest już blisko emerytury. Ciężka
praca, trujące farby, brak wentylacji - opowiada. Pytam, ile godzin dzien-
nie pracuje? Okazuje się, że jedenaście. Miesięcznie dziewięćdziesiąt nad-
godzin. "Są tacy co mają i po 110 i 120 miesięcznie". Mówi o tym, jak o re-
gule: ludzie pracują dłużej po to, aby lepiej zarobić. Ale lepszy zarobek
to po prostu konieczny zarobek. Potwierdzają się obserwacje z wielkich bu-
dów: nowa forma wyzysku. Ludzie, którzy zarabiają mało lub bardzo mało w
czasie ustawowego ośmiogodzinnego dnia pracy, będą pracowali dziesięć, je-
denaście i dwanaście godzin po to, aby zarobić więcej. Będą pracowali bez
narzekania, że zmusza się ich do nadmiernej pracy. Nieprawda: nikt nie zmu-
sza.

Godziny popołudniowe: nadal oczekiwanie. Słuchamy dzienników radiowych.
Wieczorem, w dużej sali, nowe wystąpienia. Przemawia przedstawiciel MKS z
Bydgoszczy. Komitet reprezentuje dwadzieścia dwa zakłady. Trochę wcześniej:
występy "Teatru Wybrzeże". Pieśń "Marsz, marsz Polonia" śpiewana chórem,
głośno. Przypomina się dzieciństwo - okres powojenny.

Być może ten jeden dzień - piątek - był tutaj, dla niektórych, dniem
zwątpień. Nie przyjechał Jagielski, nie było wiadomości z Warszawy. Krążące
plotki o komunikacie agencji TASS "o elementach antysocjalistycznych w Pol-
sce", wiadomość o przygotowaniach do manewrów w NRD... itd. Steimy pod da-
szkiem nad tablicą ogłoszeń, chroniąc się przed deszczem /chyba jedyny
deszcz w ciągu tych kilku dni/ i słuchamy dziennika radiowego EBC. Stoję
wśród szaroniebieskich drelichów, obok starsza kobieta /może przyszła od-
wiedzić męża?/, młodzi chłopcy, starsi ludzie - słuchamy Londynu i zdaje mi
się, że widzę na twarzach zątpienie. A może tylko nagłe ochłodzenie, desz-
zcz, brak słońca?

O dziewiętnastej trzydziestej w wielkiej sali uruchamiają telewizor.
Podobno w Warszawie obraduje plenum KC, możliwe zmiany personalne. Może us-
tąpił Gierek? Ale Dziennik Telewizyjny jakby cofnął się o kilka dni. Znów
wywiady na zamówienie, straszenie skutkami strajków /straty wyliczane w do-
larach!/. Ci sami ludzie, o których tutaj mówią: "nie można już na nich pa-
trzeć!" Sala zaczyna reagować gwałtownie. "Zamknąć pudło!"

Późnym wieczorem oglądamy ostatnie wydanie dziennika TV. Spiker odczy-
tuje krótki komunikat: Załoga Zakładów Cegielskiego przeprowadziła 24-godzi-
nny strajk solidarnościowy z zakładami Wybrzeża, domagając się spełnienia
słusznych żądań Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego - "w interesie Pol-
ski Ludowej i socjalizmu".

30 sierpnia = sobota

Rano, w hallu, który jest czynną w rotacji giełdy wymiany wiadomości,
trafiam na atmosferę plotek. Mówi się o komunikacie TASS-a o "dojściu do
głosu elementów antysocjalistycznych w PRL" /co może zapowiadać interwen-
cję/, o masowych aresztowaniach w Warszawie, o braku wiadomości, że rozmowy
będą prowadzone. Znów widmo czolgów radzieckich.

Ale w kilka minut później słuchamy wystąpienia Wałęsy i nastrój niepo-
koju znika: eksperci uzgodnili treść punktu pierwszego - sprawę niezależ-
nych związków zawodowych. Oprócz gwarancji, jakie będą w porozumieniu - mó-
wi Wałęsa - dzień szesnasty grudnia będzie odąd naszym dniem. "Pamiętajcie:
zawsze będziemy spotykać się przy pomniku poległych stoczniowców. Jeśli mnie

tam nie będzie - to wiadomo, gdzie jestem. Pytacie wtedy o mnie. Tam też będziemy pytać o realizację postulatów".

Ten komunikat, o ustanowieniu 16 grudnia dniem pamięci poległych, Wałęsa powtórzy jeszcze raz na sali i później przy bramie, przemawiając po podpisaniu dwóch pierwszych punktów porozumienia. "Pamiętajcie: 16 grudnia spotykamy się przy pomniku. Zawsze wtedy pytacie, gdzie jestem? Ja tam przyjdę nawet na kolanach, a gdyby mnie nie było, to znaczy, że naprawdę nie mogłem".

Oczekiwanie na przyjazd komisji. Atmosfera ogólnego ożywienia. W dużej sali szereg wystąpień, odczytywanie telegramów i komunikatów. Wiadomość z Bielska i Tych: Fabryka Samochodów Małolitrażowych ogłosiła strajk solidarnościowy.

Delegat MKS ze Słupska komunikuje, że pracownicy przedsiębiorstwa Państwowa Komunikacja Samochodowa masowo występują ze starych związków.

Wystąpienie delegacji MKS z Łodzi. Pierwszym przedsiębiorstwem strajkującym były Miejskie Zakłady Komunikacyjne. Przemawia przedstawiciel tych Zakładów. Spontaniczne oklaski.

Komunikat o braku łączności ze Szczecinem. Wiadomo, że pertraktacje są prowadzone /w niedzielę skłyszalem głosy krytyczne: dlaczego skończyli wcześniej? dlaczego nie poczekał na nas?/.

O dziesiątej trzydzięci rozpoczyna się transmisja rozmów. Przez okno widać ruch na zewnątrz - ludzie tłoczą się tworząc długi szpaler. Widać głosy przedstawicieli rządu. Idą gębiego, szybko - w błyskach lamp fotoreporterów.

Wałęsa wita po raz czwarty komisję rządową. Punkt pierwszy, uzgodniony przez ekspertów obu stron, czyta Andrzej Gwiazda. "Działalność związków zawodowych w PRL nie spełniła oczekiwań pracowników..." Itd. Ten tekst znajdzie się w całości w podpisanym w niedzielę porozumieniu. Nowe związki nie wejdą w skład CRZZ.

Jagielski mówi, że negocjacje były trudne, ale dotyczyły spraw zasadniczych. Jest to "kamień węgielny naszego porozumienia". "W zasadzie uznajemy decyzję ekspertów. Chodzi nam o orientację samorządnych związków zawodowych: wyraża się to w przyjęciu zasady, że będą stać na gruncie własności środków produkcji, na gruncie nienaruszalności sojuszy i przewodniej roli PZPR". Notuję także zdanie: "Trudności instytucjonalne wynikały z politycznych aspektów sprawy". Jakie będą gwarancje? Jagielski uważa, że najlepszą gwarancją będzie zajęcie przez partię stanowiska pryncypialnego. "Na dzisiejszym plenum KC". I kończy: proponuję parafować.

Na sali radość.

Komisja przystępuje do omówienia punktu drugiego: prawa do strajku. Jagielski: "Prawo do strajku będzie zagwarantowane w ustawie o związkach zawodowych. Zgoda".

Następuje parafowanie dwóch pierwszych punktów porozumienia. Słyszemy opinie wypowiedziane przy stole w małej sali: "Niezależne związki zawodowe" czy "niezależne i samorządne?" To drugie sformułowanie pozostawiono. Jagielski parafując stawia datę: "trzydziesty, ósmy, osiemdziesiąty".

I jeszcze krótka rozmowa po podpisaniu uzgodnień. Wicepremier proponuje "dać komunikat o przerwaniu strajku". Wałęsa nie godzi się: "Chcemy mieć wszystko czarno na białym. Kilka godzin nie robi różnicy. Poczekamy". Po raz pierwszy zostaje poruszona sprawa aresztowanych. - "Mamy wiadomości o aresztowaniach w Warszawie i innych miastach. To niepotrzebne, zakłóca atmosferę, niepokoi. Trzeba zaprzestać aresztowań" - mówi przewodniczący MKS.

Krótki komunikat końcowy z przebiegu rozmów. Mają być kontynuowane i zakończone wieczorem.

Mimo wszystko odczuwa się wielką ulgę, radość. Wałęsa przemawia do tłumu przed bramą: "Będziemy mieli nasze, niezależne, samorządne związki zawodowe!"

W dużej sali, około czwartej po południu, zaczynają się przy stołach dyskusje. Niektórzy z delegatów nie są zadowoleni z użytych w porozumieniu sformułowań. Dlaczego uznaje się partię za "przewodnią siłę narodu"? "Dość mieliśmy tej przewodniej roli!" "Kto decydował?" Itd. Głosy podniesione, dy-

skusja coraz gorętsze. Porównuje się użyte sformułowania /"Uznając, iż PZPR sprawuje kierowniczą rolę w państwie"/ z tekstem konstytucji. Takich niezadowolonych grup widać kilka w różnych punktach sali. Ich głosy dochodzą do prezydium. Zjawia się Wałęsa.

Rozpoczyna się ogólna dyskusja. Przewodniczący MKS tłumaczy: "Związki będą wolne i niezależne od nikogo. Czy damy sobie narzucić kierowniczą rolę - to się okaże. Ja myślę, że nie damy. A jeśli jakiś związek da sobie narzucić, to jego sprawa. Przed podpisaniem nikt nie protestował, dlaczego teraz? Mimo to głosujemy: kto jest przeciw podpisanym punktom jeden i dwa? Niech podniesie rękę".

Nikt nie podnosi. "Zrozumcie, w sumie więcej nie szłoby zdobyć. Nie damy sobie narzucić żadnej kierowniczej roli. I będziemy mieli własne wydawnictwa. Będziemy drukować, czy to się komu podoba, czy nie. Protokół będzie opublikowany w prasie".

Ktoś pyta o stare związki. "Możecie należeć do dwóch: tam będzie pan klaskał, a tu bił pięścią w stół".

Andrzej Gwiazda mówi, że zgadza się z głosami protestującymi, ale "wynegocjowaliśmy tyle, ile było można. Najważniejsza sprawa: nie stracić więzi!"

W przerwie tej niespodziewanej dyskusji kilka komunikatów. Depesza z Chrześcijańskich Związków Zawodowych z Republiki Federalnej Niemiec: "solidaryzujemy się z wami". Depesza z Zakładów Cegielskiego: "Zakłoga poparła słuszne postulaty Wybrzeża 24-godzinnym strajkiem solidarnościowym". "Związek Zawodowy pracowników Renault popiera strajk". Tak samo Kanadyjski Związek Studentów w New Jersey. Dostaliśmy tyle telegramów - mówi Wałęsa - że nie jesteśmy w stanie czytać wszystkich.

- Kiedy SB przestanie brać? - pytanie z sali. - "Co z aresztowanymi?" "Tak jest - masę ludzi jest zatrzymanych. Wiemy o tym. Nie będziemy rozmawiać, póki oni nie wyjdą".

Sprawa aresztowanych powraca tego wieczoru jeszcze dwukrotnie. Dwie kobiety z Prezydium MKS - Anna Walentynowicz i Henryka Krzywonos - oraz młody człowiek /nazwiska nie zanotowałem/ odczytują projekt rezolucji w sprawie zatrzymanych. Długa lista nazwisk - najwięcej członków KOR-u, a także Ruch Obrony Praw Człowieka, Konfederacji, Polski Niepodległej.

Wystąpienie tej trójki przerywa Lech Wałęsa. Wydaje mi się, że robi to zbyt energicznie /być może w Prezydium MKS były różnice zdań, co do formy załatwienia sprawy/: "Nie będziemy tu mówić o przynależności, ale o praworządności. Jeżeli zatrzymano ludzi niewinnych, muszą być zwolnieni!"

Trochę później mówi o aresztowanych Andrzej Gwiazda: "Listę aresztowanych dostarczymy Wojewodzie, który zobowiązał się przekazać do KC. Gdyby ci ludzie nie wyszli z więzień, byłoby to wielką hańbą dla nas".

Wałęsa ogłasza głosowanie, jak należy postąpić: czy stawić ultimatum /nie podpisujemy porozumienia, póki aresztowani nie wyjdą na wolność/ czy zaufać obietnicy, że po podpisaniu zostaną zwolnieni? Sala przyjmuje wariant drugi: zobowiązania pisemnego.

Dyskusję kończy Henryka Krzywonos: "Od siebie mogę powiedzieć - dopóki nie upewnimy się, że ci ludzie wyszli z więzienia, żaden autobus i tramwaj nie wyjeżdża na miasto".

Późnym wieczorem ogłoszono komunikat, że dalszych rozmów z komisją rządową nie będzie. Zostały przełożone na jutro.

31 sierpnia - niedziela

Rano wielkie trudności przy wejściu do budynku. Przed przyjazdem delegacji rządowej drzwi wejściowe do hallu szturmują tłum dziennikarzy, foto-reporterów, korespondentów itd. Dwie linie kontroli: kilka metrów przed drzwiami i w drzwiach. Podobno wpuszczają tylko korespondentów zagranicznych. Tłok nieprawdopodobny - trzeba energicznie rozpychać się łokciami, aby w tym tłumie przesuwać się kawałek do przodu.

Na parapetach wysokich okien /za którymi wielka sala/ siedzą stocznio-wcy. Przyglądają się tej gorączkowej szarpaninie ludzi pióra, kamer filmo-

wych i aparatów fotograficznych. Komentują z humorem. Słyszę okrzyk: "Miejsce dla ruskiej telewizji!" Śmiech.

Udaje mi się przedrzeć przez pierwszą linię, ale utykam w drzwiach - moje przepustka nie uprawnia do wejścia. Sytuacja dramatyczna: nie mogę wejść i nie mogę cofnąć się /napierający tłum/. Na szczęście działa jeszcze mechanizm protekcji: dzięki interwencji dwóch przyjaznych ludzi /eksperta i członka prezydium MKS/ udaje mi się wejść do środka.

Wkrótca przybywa delegacja rządowa - przechodzą przez hall w nieopisanym ścisłości, wśród błysku lamp i uniesionych w górę aparatów.

Dalszy ciąg trudności: do wejścia na dużą salę uprawniają tylko przepustki z dodatkowym stemplem na odwrocie kartonika. Nie mam takiego stempla, a w hallu nie działa głośnik. Kiedy uruchamiają, okazuje się, że rozmowy rzeczywiście "lecą szybko", jak przewidywał Wałęsa. *Omasiany jest punkt 13mg:*

"Podnieść wynagrodzenie zasadnicze każdego pracownika o 2000 zł". Jagielski wylicza, ile taka podwyżka będzie kosztowała państwo. Wałęsa proponuje zabrać od tych, którzy mają najwięcej i dać tym, którzy mają mniej. Ale idą na kompromis: stopniowe podwyższanie płac wszystkich grup pracowniczych.

Tempo dyskusji duże. Dalej notuję już tylko niektóre zdania, uwagi. Dziś nie ma śpiączki, ostrej polemiki, także uników i niejasnych sformułowań.

W sklepach "Pewexu" nie będzie sprzedaży towarów deficytowych pochodzenia polskiego. Mięso: rząd rozpatrzy sprawę likwidacji cen i sklepów komercyjnych.

Punkt dwunasty: zniesienie przywilejów. Wałęsa mówi, że związki zawodowe powołają komisję, która zbada przywileje partyjne i innych uprzywilejowanych grup. Wyniki badań zostaną udostępnione rządowi.

Punkty od 13 do 21 przyjmowane są właściwie bez zastrzeżeń. Słyszę głos Jagielskiego: "Parafuję punkt 21 i ostatni".

Przedstawiciele MKS wracają do sprawy aresztowanych. Bogdan Lis mówi, że muszą zorientować się, jaka sytuacja jest w Warszawie: czy aresztowani zostali wypuszczeni. Wałęsa proponuje dwadzieścia minut przerwy przed podpisaniem porozumienia i komunikatu końcowego.

Leżę koło gorączkowy nastrój. Dzięki pomocy młodych przyjaciół nam stempeł na odwrocie przepustki. Wchodzę do dużej sali. Ludzi jakby przybyło. Przyjechały delegacje z różnych stron Polski. Śląsk, Łódź, inne miasta. Siadam na wolnym krześle pod ścianą wśród delegatów Krosna. Przyjechali wczoraj wieczorem. Okazuje się, że w Krosnie także powstał Międzyzakładowy Komitet Strajkowy. Delegat, z którym rozmawiam, opowiada, jak dyrektor jego zakładu przez półtorej godziny błagał załogę, aby nie strajkowała. Mimo to strajk ogłoszono, powstał MKS i postanowiono wysłać delegację do Gdańska. Kiedy odjeżdżali, z placu przed fabryką, w której pracuje, wszyscy robotnicy wyszli ich żegnać. Jechali czterema taksówkami. Autobus okazał się w ostatniej chwili niesprawny: ktoś przebił opony. Zatrzymywano ich po drodze kilka razy, sprawdzano numery dowodów, ale dojechali.

W czasie tej dwudziestominutowej przerwy występują przedstawiciele robotników szwedzkich. Wysoki chłopak czyta oświadczenie w imieniu całej delegacji /wszyscy młodzi, są także dziewczyny/. Kończy: "Niech żyją wolne związki zawodowe!" "Żadnej wojskowej interwencji w Polsce!" Przedstawiciele MKS dziękują za poparcie. Chłopak mówi po francusku kilka słów: "W tej chwili oczy ludzi na całym świecie są skierowane na Polskę, a szczególnie na MKS. Ludzie pracy mają nadzieję, że wygracie i oddają wam cześć". Kończy po polsku: "Za waszą wolność i naszą!"

Lech Wałęsa mówi "jak sprawy stoja". Lista aresztowanych została przekazana. Jagielski ma podpisać oświadczenie, że będą wypuszczeni. Przypomina o spotkaniu 16 grudnia: "Jeśli coś będzie nie tak - będziemy znów strajkować. Teraz podpiszemy porozumienie, ufamy, że sprawy będą dotrzymane".

Mówi także o listach wysłanych do prymasa i papieża. Przerwa kończy się. W małej sali znów zasiadają delegaci obu stron. Słyszę pytanie Wałęsy: "Jak wygląda sprawa zatrzymanych?" Odpowiedź Jagielskiego: "Jutro do godziny dwunastej będą zwolnieni. Sankcje prokuratorskie cofnięte. Podpisuję w tej sprawie oświadczenie, ale proszę jednocześnie o oświadczenie MKS, że strajk zostaje przerwany".

Chwila rozmów - przygotowanie do przejścia na dużą salę. Tymczasem Wałęsa odczytuje tekst wystąpienia dla prasy i telewizji: "Panie premierze, cieszymy się, że nasze rozmowy trudne na początku, przebiegały później w duchu coraz lepszego zrozumienia..." "Pokazaliśmy, że Polacy jak chcą mogą ze sobą, zawsze porozumieć się. Jest to więc sukces obu stron. Będziemy o tym pamiętać. Liczymy, że to, co zostało podpisane, będzie dokładnie i w pełni przestrzegane. Jestem pewny, że to jest dobre dla kraju". I zwraca się do strajkujących: "Kochani, wracamy do pracy 1 września. Wszyscy wiemy, co ten dzień nam przypomina, o czym w tym dniu myślimy. O ojczyźnie, o sprawie narodowej, o wspólnych interesach rodziny, którą nazywa się Polska. Myśleliśmy o tym wiele w czasie strajku. Właśnie o tym myślimy kończąc strajk. Czy osiągnęliśmy wszystko, czego chcieliśmy, czego pragniemy, o czym marzymy? Zawsze mówię szczerze i otwarcie to co myślę. I teraz powiem szczerze: nie wszystko, ale wszyscy wiemy, że uzyskaliśmy bardzo wiele. Ufaliście mi przez cały czas, a więc wiercie mi w to, co powiem. Uzyskaliśmy wszystko, co w obecnej sytuacji mogliśmy uzyskać. Resztę też uzyskamy, bo mamy rzecz najważniejszą: nasze niezależne, samorządne związki zawodowe..."

Czyta trochę niepewnie, wolno, z przerwami, ale czuję, tak samo pewno wielu z nas naokoło - w sali i poza salą, a później w całym kraju - wielkie wzruszenie. Ten ucisk w gardle, który nie znika długo. Spiewamy hymn narodowy. "Jeszcze Polska nie zginie..." Wszyscy stoją, ale widzę, że nie wszyscy mogą śpiewać. Tyle dni.

Najważniejszy moment jeszcze nie nadszedł: dopiero teraz obie delegacje przechodzą między stołami - długi wąż ludzi: wszyscy członkowie prezydium MKS, przedstawiciele rządu, eksperci obu stron. Zasiadają przy stole prezydijskim na podium. Zajmują krzesła ustawione w rzędach z tyłu. Po środku Jagielski Wałęsa. Nad nimi orzek, hasło na niewielkim plakacie "21 x tak", krzyż i Lenin spoglądający w okno.

Wałęsa jeszcze raz krótko przemawia. Dziękuję, że załatwiono wszystko bez użycia siły. Zasługa to Jagielskiego i "pozostajej dość rozsądnej grupy".

Zabiera głos wicepremier. "Rozmowy były trudne, żmudne, wymagające wielkiego wysiłku... Rozmawialiśmy tak, jak Polacy. Jak Polak z Polakiem powinien rozmawiać".

Po raz pierwszy chyba sala przyjmuje wystąpienie przewodniczącego delegacji rządowej burzliwymi oklaskami.

Następuje moment podpisania dokumentów. Znow błyski lamp fotoreporterów, kamery, aparaty. Zwraca uwagę wielki długopis Wałęsy. W chwilę później na podium zjawia się Konrad Bieliński z NOW-ej. Wręcza Wałęsie plik egzemplarzy "Solidarności". Przewodniczący MKS rozdaje "Solidarność" siedzącym w prezydium delegatom - także członkom ekipy rządowej. Biuletyny strajkowe znikają w teczkach. Wałęsa wyjaśnia, że "Solidarność" będzie pismem nowego niezależnego związku.

Wymiana dokumentów. Ekipa rządowa opuszcza salę. Delegacje zakładów jeszcze zostają: "Na pół godziny, aby omówić kilka spraw". "Mamy nasz dom związkowy - ogłasza przewodniczący ERK /można już zmienić nazwę: Międzyzakładowy Komitet Związkowy/. Adres: Wrzeszcz, Marchlewskiego 13. Jutro od dziesiątej rano - pracujemy.

Notuję ostatnie wrażenia. Sympatyczny moment podziękowania ekspertom z KIK-u. Dostają kwiaty. Redaktor "Więzi" mówi do mikrofonu krótko: "Życzę wam, abyście również w przyszłości postępowali zgodnie z dwoma hasłami: rozważa i solidarność".

Sala pustoszeje. Kiedy w godzinę po podpisaniu dokumentów opuszczamy teren stoczni - wydaje się, że nikogo już nie ma. Nie ma ludzi na trawniku przed budynkiem, idziemy w kierunku bramy pustą aleją. Znikły kwiaty, portrety, transparenty. Tylko stara tablica na baraku naprzeciw portierni - "Rada Zakładowa Stoczni imienia Lenina" - przekreślona czerwoną farbą.

Kazimierz Orłowski

Anna Pogonowska

x x x

stary robotnik unosi okulary by otrzeć oczy -
 młody rękawem zasłania swój płacz -
 czy to wielki Matejko skomponował te sceny?
 cudzoziemscy dziennikarze wycelowali swoje aparaty
 i kręcą kręcą zadziwiające widowisko
 przedstawiciel rządu ma twarz zmęczoną i bladą
 ale nie włożył atłasowego fraka i koronkowego żabotu.
 jak niegdys kądś Staś

"przyjaciele, Polacy!"

młody przywódca strajku patrzy także na nas telewizzów
 stoi na progu niebios, potrząsa głową
 "wiedzie, że zawsze mówię prawdę"

Wiemy.

Wiemy że chodzi tu o Prawdę.

On nie ma narzuconej czemary ani delii
 ręce ma na pewno stwardniałe od pracy
 jego rycerska twarz
 towarzyszyła przez tyle snów narzeczemu narodowi
 nie wiem czy czytał dzieje Konrada
 ale mówi jego słowami
 przemawia głosem nas wszystkich
 "Polacy".

Janusz Anderman

KOTNA MYSZ

By osiągnąć radia, muszę najpierw pomyśleć o tym, że chociażbym osiągnąć, a potem długo zbierać siły, i wreszcie zmusić oporną rękę do tego zadania.

Powoli wysuwam dłoń z kłębka ciepła, które zebrało się u boku; wystawiam ostrożnie palce poza obręb kołderki i natychmiast czuję, jak obsiadają ją liczne owady chłodu.

Dłoń wędruje naprzód, jest coraz dalej i teraz nie należy już do mnie; sama kieruje się w stronę odbiornika - na moment spoczywa na szczyrach się klawiszach.

Wreszcie wskazujący palec wykonuje tęostatnią czynność; dłoń z ulgą wraca na swoje dawne miejsce i zasypia w gnieździe ciepła.

Radio odbiera tylko drugi program; na początku długo panuje cisza, tak przenikliwa, że mam już zupełną pewność, że tym razem radio się do mnie nie odezwie.

Potem zaczyna się jarzyć zielenią magiczne oko, pokryte ustępującym teraz bielmem.

Przez grubą, zdławioną kurzem materię, opinający głośnik, opornie zaczynają się przedzierać jakieś głosy; są dalekie, ale słychać je coraz wyraźniej; jest to audycja muzyczna dla dzieci i ten, który ją prowadzi, podaje najpierw temat, wystukując melodię na martwych klawiszach fortepianu, a potem wszyscy mechanicznie i nieskładnie, jak uszkodzone blaszane zabawki, powtarzają pierwszą zwrotkę; wśród tych głosów przebija się ten niski zdecydowany przywódca.

Chłód wypełza spod parapetu; dookładnie okrywam się króciutką dziecienną kołderką, którą zastałem w tym wynajętym żółtku i słyszę słowa pieśni, z wysiłkiem płynącej przez głośnik.

- dzień błękitny wędruje po niebie

słońce idzie drogą twą

twoja ziemia chce liczyć na ciebie

przecież rusz się razem z nią

Dziecięce głosiki, powtarzają niepewnie słowa, podmuchy wiatru wybrzuszają firankę, mimo że okno nie było otwierane od jesieni, a kłęby waty, potykane w szparach, dawno stały się szarą i wyglądają teraz jak plwociny.

Dzień błękitny wędruje po niebie, słońce idzie drogą twą, śpiewa męczyzna solo, słychać jakieś odgłosy za wysokimi drzwiami, obsypanymi krostami farby, potem cisza, i znowu kroki; ktoś zatrzymuje się na korytarzu, słyszę, że nasłuchuje, potem szybko porusza język klamki i drzwi w zaśpiewie zawiasów otwierają się; w żółtawym prostokacie futryn pojawia się ta czterdziestoletnia kobieta.

No, tak, mówi i przerywa, albo to myśl opuszcza ją i każe milczeć; podchodzi do pieca, otwiera drzwiczki i zaczyna dzwonić pogrzebaczem po sterzcących żebrach rusztów.

Jest odwołana i gdy się pochyla, by spojrzeć w zimną czeluść, widzę ciepłe zagłębienie między jej udem a kyczką, które przypomina zaciśnięte bezzębne usta staruszki. Olskania je uniesiony szlafrok.

- to może zawezwac lekarza z ubezpieczalni... czy jak...

Nie odpowiadam, bo szkoda mi tych zziębniętych słów, które niczego nie mogłyby wyjaśnić, ale udaje mi się wykonać dwa razy ruch głową; ma on oznaczać zaprzeczenie i kobieta rozumie tę głowę właściwie, więc tylko bezradnie wzrusza ramionami, w pracy takiej choroby nie uznają bez elcztery, nie wróć

do tej pracy, słyszę nagle ze zdziwieniem swój głos; ona podnosi wzrok:

- każdy musi pracować...

- właśnie o tym mówię - słyszę odpowiedź.

Ona wychodzi z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi; widzę ciężarną ciemność korytarza, w którą biegną... żowa piosenki, jeszcze nie-
zdarnej, ale brzmiącej z coraz wię-

- dzień błękitny wędruje po nie-

słońce idzie drogą twą

twoja ziemia chce liczyć na ciebie

przecież rośnie razem z nią

Pieśń ginie gdzieś w zatekłym mroku; znów słyszę kroki i ten mrok na-
gle się rozjaśnia, żarzy się, jakby po krzykliwym parkiecie toczyła
się płonąca obręcz.

Pojawia się kobieta; przed sobą niesie w wyciągniętej ręce monstrancję
- na blaszanej szufelce poruszają się pulsujące płomyki węgla, które pode-
brała przed chwilą z uła swego pieca.

Wchodzi do pokoju; węgle z jazgotem nikną we wnętrzu i cichną. Strumio-
ne chłodem przygasają.

Ona odkłada szufelkę, zatrząskuje drzwiczki, mocno je zakręca i odwraca-
jąc się, jedną ręką łowi na wolnych piersiach rozproszoną materię szlafroka,
a drugą klepie lubieżnie lodowate kafle.

- zaraz będzie ciepłutko...

- bardzo dobrze - słyszę głos mężczyzny. - a teraz chciałbym usłyszeć
dwie pierwsze linijki drugiej zwroteczki.

- kraj pięknieje w którą spojrzeć stronę

kwitną kwiaty białe i czerwone

Szeleści bezduszny głosik dziecka.

- zrobić herbatkę - pyta kobieta.

Patrzę na mętne jak formalina kafle pieca, tak, jak by się dało, to by
było dobrze, odpowiadam.

Ona ma włosy związane z tyłu chłodną fioletową tasiemką.

Przymykam oczy, by nie patrzeć na ślubny portret, który wisi nad lego-
wiskiem; jest to czarno-biała fotografia i tylko usta obojga pociągnięte są
wampirzym karminem; w rozchylnych wargach pełzają wśród lśniących zębów za-
suszony uśmiechy.

Klawisze w głośniku wystukują temat pieśni, a potem rozbrzmiewa postrzę-
piony chór.

- kraj pięknieje w którą spojrzeć stronę

kwitną kwiaty białe i czerwone...

Unoszę powieki; kobieta stawia na krześle zmętniałą szklanę, kładzie
na kółderce gazetę i przysiada obok niej.

- dzisiejsza - mówi.

- zaczekam, aż przestygnie, żebym mógł popić ten proszek, bo inaczej mi
nie przejdzie.

- proszki nasenną są szkodliwe.

- przecież nie zasypiam po nich, tak dawno nie spałem...

Ona przegina się niebezpiecznie i brutaśnie wyłącza radio. Jej wzrok
błądzi po zakurzonych narożnikach pokoju i tam szuka jakiejś zabłąkanej myśl-
li. Pojem wciąga do płuc liściastą gałką powietrza, sutki jej piersi wę-
drują w górę i w dół, pisząc cieniem na ścianie dwie pierwsze litery alfabe-
tu.

Wiem, że odezwie się teraz.

- a wczoraj stałam w delikatnych siedem godzin za śledziami i jakiś
stary nie-^{o-ze}trzymał i odwalił kite i przyjechało pogotowie i już było po
ptokach, no więc go nie zabrali, bo nie mają składu, tylko kazali wazwać bu-
dę. ktoś mu przykrył twarz trybuną ludu i tak leżał jak pierwszy sekretarz.
nie będą mogła jeść tych śledzi.

Ujmuję gazetę i odgradzam się od niej delikatną korońką czcionek.

- można popatrzeć?

- to już lepiej na głos - mówi ona z nagłą pokorą. - ja mogę ostatecz-

nie poczytać. tylko że pierwsza i druga strona była wczoraj w telewizji. o elementach antysocjalistycznych.

- no to ze środka...

- o, tu jest wywiad z ryszardem gontarzem, kto to jest ten ryszard gontarz... aha, tu pisze... publicysta i dramaturg.

- no właśnie.

- ... i dramaturg. widziałam niedawno, w warszawskiej cytadeli, piękne widowisko z okazji setnej rocznicy urodzin feliksa dzierżyńskiego. był pan autorem scenariusza; jak doszło do tego, że zajmując się do tej pory w swej twórczości wyłącznie współczesnością, sięgnął pan po temat historyczny? to pytała anna kłodzińska. teraz odpowiedź. w opinii ogółu feliks dzierżyński, to postać jakby ze stali, nie podlegająca żadnym wahaniom, żadnym ludzkim słabościom, chciałem go przedstawić nie tylko w tych wielkich wymiarach, ale także jako człowieka niezwykle wrażliwego, czulego romantyka, stąd tytuł romantyk i rewolucjonista.

Ona zasłania się przede mną dłonią gazety, za oknem rzadnie już światło, dzień chyli się ku upadkowi; nie widzę jej, ale czuję teraz, jak skłania się, opierając na łokciu; jej pierś przycupnęła na mojej stopie i otula ją ciepłem; to ciepło łagodnie gładzi i potraça palce.

- może coś innego - szepcze kobieta. - może wiersz. tu jest wiersz. kącik poetycki. bohdan chorążuk - grzechoczą cicho groszki słów.

mamy my kopalnię złota

komitet centralny

niebawem zapas potu

zespół idealny

- ... nie. to się nie nadaje... - mówi zawstydzona.

Przekłada chłodne stronicę, milczy; płuzyki jej palców pełgają po moim kolanie.

- tu jest o podróżach. pod wieżą ajfla na ulicy widok. kolorowe zdjęcie na tle wieży ajfla, łuku triumfalnego lub egipskich piramid bez opuszczania ojczyznoego kraju. takie zdjęcia zapewnia spółdzielnia polifoto w swoim nowym zakładzie, który zostanie wkrótce uruchomiony przy ulicy widok. odpowiednie tło i właściwe upozowanie osoby fotografowanej sprawi, że zdjęcia będą sprawiały wrażenie wykonanych w autentycznych plenerach, w związku z koniecznością odpowiedniego przygotowania tła i modelu, wykonanie fotografii będzie trwało około pół godziny...

Ona przestaje czytać i nie odstawia się, a ja wyciągam rękę; błądzę wśród grudek powietrza i wreszcie znajduję ten kształt; naciskam i znów słychać stłumione pieśnią głosy.

- a w dali jak polska szeroka

ploną ognie młodych serc...

Jej dłoń posuwa się teraz wyżej, wyżej, -wysoko; słyszę szelest jej dłoni; kobieta spiera głowę na moich kolanach i czuję rozpaczliwe migotanie tętnicy w cichym zagłębieniu jej szyi. Ona sięga wyżej, no, no, nic nie bryknie... ani trochę nie chce wierzgnąć, mówi matowym, szybkim głosem, który wygasa.

Ja jestem daleko, widzę siebie, ostrożnie obmacuję się wzrokiem, badam bez zdziwienia, jestem pluzawy i przyjmuję to i nie opieram się; przyjmuję to z cichym smutkiem, z łagodną rozpaczą; nie mam już nadziei, że kiedykolwiek będę mógł na siebie spojrzeć bez cynizmu. Moja tablica została zapisana tak dokładnie, że na nowe zdania nie ma już miejsca - chyba, że na strzępach marginesów.

Za oknem słychać kroki; kobieta prostuje się, nie cofając jeszcze ręki, to mój wraca z roboty, odzywa się, po chodzie poznaje, trzeba odgrzewać obiad.

Podnosi się wolno i pełnym zmęczenia gestem przysuwa mi szklanę. Widzę chłodną, fioletową tasiemkę, która spina jej włosy.

Drzwi zamykają się z cichym westchnieniem, a potem jak przez mgłę słychać dwa metaliczne kłaśnięcie otwieranego zamka.

Unoszę się na łokciu, z celofanowych lupinek wyłuskuję następny proszek

nasenny. Wkładam go do ust i popijam wyblakłą herbatą.

Z korytarza słysząc głosy, które balansują jak na linie, potem wszystko cichnie i przez szczelinę między ciemnością, a światłem wsuwa się do pokoju ta spłoszona czterdziestoletnia kobieta, takich dwóch panów przyszło z komitetu dzielnicowego i mówią, że przyszli się dowiedzieć, czemu pan już czwartego dnia nie przychodzi do pracy i czy aby nie chory, no i chcą się widzieć, tam czekają.

Siadam na posłaniu - kołderka osuwa mi się z piersi, ale oddychać wcale nie jest łatwiej.

- no więc nie mają tu... to znaczy... nie zgadzam się, żeby wchodzili. Proszę im powiedzieć, że ja nie chodzę do pracy, bo przez cztery doby zżerałem tę swoją czerwoną książeczkę, kartka po kartce, każdy znaczek ze składek, każdą pieczętkę, swoje nazwisko, fotografię, no i że najgorzej było z okładką, bo twarda, ale zeżarłem ją dokładnie i teraz będę to do końca życia trawił i nigdy nie strawię... ani tych okładek, ani tego koloru, a już na pewno swojego pożartego nazwiska, więc muszę to wszystko trawić i już nie będę miał czasu, żeby pójść do roboty. no i niech sobie radzą beze mnie i niech wracają tam, skąd przyszli. nie ma mowy, żeby tu wchodzili... won...

- tak im powtórzyć? - pyta załęknioma.

- dokładnie tak.

Ona odwraca się powoli i słysze jej szept; powtarza sobie, żeby nic nie pomylić, nie chodzi do pracy, bo przez cztery doby zżarł tę swoją czerwoną książeczkę, kartka po kartce, każdy znaczek ze składek, każdą pieczętkę, swoje nazwisko, fotografię, no i że najgorzej było z okładką, bo twarda, ale zeżarł ją dokładnie i teraz będzie to trawił do końca życia i nigdy nie strawi, ani tych okładek, ani... odgradza mnie od ciemności skrzydłem drzwi.

Nastawiam głośniej radio, które odbiera tylko drugi program i otulam się dzieciinną kołderką.

- a teraz cała zwrotka, tylko równo - no!

Wokół pudła migoczą szkiełka kurzu; z głośnika sypie się głos.

- kraj pięknieje w którą spojrzeć stronę

kwitną kwiaty białe i czerwone

a w oddali jak polska szeroka

ploną ognie młodych serc

Czuję jak się osuwam, jak pierwszy raz od swoich własnych stu dni myśli maci mi blekot smu, jak się osuwam, staje się sypki, stygnie stukot suchego serca, spadam... spadam...

Janusz Anderman

Wiesława Grochola

ZAWÓD: DZIENNIKARZ

Spotkałam się z ankietą na temat stanu komunikacji społecznej w Polsce, r z e c z y w i s t e g o obiegu informacji, a także potrzeb i możliwości w tej dziedzinie.

Pytania te rażą wewnętrznymi sprzecznościami, wynikającymi, jak sędzę, ze sposobu myślenia przeciwko któremu właśnie wydaje się skierowaną intencja pytających.

Nie odpowiem zapewne na te pytania, ale zabieram głos, bo trudno nie zastanawiać się nad sprawami, które są dla mojego zawodu i jego społecznego sensu najżywotniejsze; robię to jednak z trudnością, świadoma faktu, że przez lata kompromisów i upokorzeń zawodowych przesiąknęłam - podobnie jak inni koledzy - owym językiem wykrętnym, uchylającym się przed nazwaniem rzeczy po imieniu, owymi technikami deformowania rzeczywistości - to prawda, przez wielu z nas wykorzystywanymi dla swej własnej, prywatnej koncepcji układania się z rzeczywistością. Ale przecież - u k ł a d a n i a s i ę.

Nie da się mówić rozumnie o sytuacji i działalności tzw. środków masowego przekazu, nie mówiąc o niczym więcej. Sposób uprawiania propagandy - a my, dziennikarze byliśmy przecież "oficerami frontu ideologicznego", co nam często, drastycznie i praktycznie przypomniano - sposób więc uprawiania propagandy był jednym z elementów sposobu rządzenia. Środki przekazu traktowane były jako sposób manipulowania społeczeństwem, a w najlepszym przypadku jako akompaniament takich manipulacji dokonywanych w innych sferach życia społecznego. Im słabiej i mniej przekonywająco brzmiał główny motyw, tym większa rola przypadała akompaniamentowi. Z czasem słowo, które jest naszym twórczym, uznano za namiastkę rzeczywistości.

Stąd pytanie o "stan komunikacji" budzi wątpliwość.. Nie o komunikację bowiem tu chodziło, ale o sterowanie. Nie o przekazywanie informacji czy wymianę poglądów, lecz o pracowite i natrętne wbijanie w głowę tego, co uznane zostało za "świadomość społecznie pożądaną".

Celem tak pomyślanej "komunikacji" nie było dostarczenie odbiorcy pożywkę dla jakichkolwiek własnych procesów umysłowych, lecz dezinformacja, usypianie, zniechęcanie do samodzielności, ukazywanie "prawdy" jednej, nadającej się do zastosowań wszechstronnych, wyzutej z alternatyw, atrakcyjnej w końcu również przez swą wyłączoneść, bezkonfliktowość, jednorodność. Wydaje mi się zresztą, że w pewnym momencie społeczeństwo skłonne było nawet na ten towar myślowy, zainicjowany z gotowych prefabrykatów przystać; zmęczenie kolejnymi okresami wypaczeń i odnów, trudami życia, wysiłkami, aby wreszcie osiągnąć upragniony standard krajów wysoko rozwiniętych, stało się uczuciem przemożnym. Samodzielne myślenie zgodziliśmy się wymienić na równie samodzielne dorobkiewiczowstwo. Inteligenty i dobrze usytuowani społecznie i zawodowo Polak więcej wiedział nierzadko o krajach trzeciego świata niż o własnym społeczeństwie. Tak więc kokysanka nadawana przez środki przekazu mogła liczyć tylko na patronat urzędowy, ale również na swego rodzaju akceptację społeczną. Gdyby tylko nasz zainicjowany u progu lat siedemdziesiątych cud gospodarczy był się udał... Ale nie udał się, niestety /czy na szczęście? - to pokaże dopiero przyszłość/ i okazało się, że nasz tan chochoł zbrzydł społeczeństwu i nie przydał się władzy. A nawet wprost przeciwnie.

Bo propaganda korygująca rzeczywistość /a propos: lakiernictwo - z którego to etapu termin?/, wygładzająca kanty, sprowadzająca wszystko do wspólnego mianownika aktualnych zaleceń, planów i dyrektyw osiągnęła poziom absurdu

i stała się detonatorem zmian. Przypomnijmy sobie jednak: nie od początku tak było. Początek ostatniej dekady cechowały liczne punkty wspólne dążeń władzy i społeczeństwa: poprawa warunków życia, modernizacja przemysłu, otwarcie drogi ambicjom cywilizacyjnym i konsumpcyjnym, pewien ton pragmatyzmu, hojnie stosowany sztafaż hasła narodowych /słowa Polska i Polak deklinowane były na wszystkie sposoby/. Wszystko to było bliskie oczekiwaniom społecznym. Ta chwilowa harmonia także i dla nas, dziennikarzy, była pewną szansą. Co prawda, już w pierwszych miesiącach siedemdziesiątego pierwszego roku dowiedzieliśmy się, że "po tragicznym kryzysie grudniowym" naszym pierwszym obowiązkiem /egzekwowanym zresztą i przez cenzurę/ jest - nie zakłócać niczym "procesu odnowy" i nie szczędzić sił dla "konstruktywnych działań, które zapewnią naszemu krajowi godne miejsce na mapie świata". Poprzeć nową ekipę, nie utrudniać dzieła odnowy, nie babrać się w przeszłości, nie szukać tego, co dzieli, lecz tego, co łączy - to hasła, które dla niedoświadczonych brzmią rozsądnie, wydają się bowiem funkcjonalne. Nie dziury w całym, upominanie się o "szczegóły", ukazywanie trudności i złożoności życia społecznego i jego perspektyw łączono nierzadko na zarzut destruktywności, utrudniania drogi przemianom itp. Szybciutеньko narodził się termin "krytyka konstruktywna" /w przeciwieństwie do tej, która budzi wątpliwości i sieje zamęt/; dziennikarz, jeśli już upierał się by pokazywać zjawiska i fakty "negatywne", zmuszony był danie takie starannie wygotować i przyprawić, by czytelnika od wysiłku trawienia brzuch nie rozboleł. Iub może aby władzy nie rozboleła głowa?

Staliśmy się więc kuchmistrzami tych dań pichconych wedle coraz wynalazliwszej receptury, tym wynalazliwszej, im bardziej szwankowała dostawa surowców. Z pewnego punktu widzenia możemy sobie pogratulować: załoga żadnego zakładu produkcyjnego nie potrafiłaby dawać produktu końcowego bez dostępu do surowców i narzędzi, my - umieliśmy! Bo to jest taka specjalna robota, taki dziwaczny zawód, że jak trzeba তাঁ i z brudnego palca wycisnąć...

Zarzuca się prasie, że nie informuje /rzetelnie, rzeczowo - czy jak tam jeszcze/. Uczestniczyłam w wielu zebraniach gdzie dziennikarze też narzekali, że nie są informowani. Nie tylko nie dawaliśmy informacji - również nie otrzymywaliśmy jej sami. Szybko przestaliśmy się o nią upominać. Trzeba było stawiać na tupet /cecha to niestety w zawodzie tym nieodzowna/, czelność, swego rodzaju samodyscyplinę; dziennikarz jak wiadomo pisze, aby gazeta się ukazała, a nie dlatego, iżby miał coś do powiedzenia. Szczególnie w warunkach gdy poglądy są ważniejsze od informacji. O poglądy zaś było łatwo - po prostu należało je czerpać ze stosownych dokumentów oficjalnych...

Brzmi to trochę niedorzecznie, ponieważ właśnie obowiązkiem dziennikarza jest informacje zdobywać. Pomijając "wysoką" politykę, która istotnie objawiała się nam - nieco podobnie jak i całemu społeczeństwu - w swym stadium końcowym, w postaci dyrektyw, uchwał, zaleceń /całą "resztę" zbywano enigmatycznym milczeniem/, znajomość życia społecznego pozostawała w zasięgu naszych możliwości. Przysnąć trzeba, że niektórzy dziennikarze, nie pozbawieni pewnej pasji społecznej i smysłu moralnego, sporo o życiu społeczeństwa wiedzieli, nie wiele jednak, a z biegiem czasu coraz mniej tej wiedzy przekazywali na łamy piśm. Zainteresowania takie stanowiły raczej prywatne hobby, nierzadko stające w ryzykownej kolizji z tzw. obowiązkami służbowymi i nie ukłaniające zawodowego "funkcjonowania". Powiedzmy wprost: od lat działała zasada, że im gorszy artykuł, mniej samodzielny, mniej precyzyjny, mniej obiektywny, opowiadający się za bardziej prymitywną i jednoznaczną wykładnią sytuacji, tym łatwiej trafiał na łamy prasy, tym mniej przysparzał kłopotów kierownictwu redakcji i autorowi. Jeśli jeszcze zewsząd widać było grube szwy udało się ukryć pod haftem finezyjnej koronki stylistycznej - intelektualnej - było świetnie. Dlatego hafty, ozdobniki i uciejki dziennikarskiej elity. W produkcji masowej dominowała natomiast zasada bylejakości totalnej, z gramatyczną i stylistyczną włącznie. Opłacało się pisać szybko, byle jak i dużo - nazywało się to: wydajność, operatywność, dyspozycyjność, i dawało szansę użyteczności zawodowej i godziwych środków do życia.

Skoro już zabrnęłam w tę tak przyziemną problematykę; to właśnie w ostatnim dziesięcioleciu ograniczono redakcjom fundusze na delegacje, środki podróży, hotele i pozbawiono dziennikarzy wszelkich dotychczasowych ułatwień w poruszaniu się po kraju. Przypadkiem?

Zamiast tłuć się niewygodnie po "terenie", dopłacać do delegacji z własnej kieszeni i przywozić wątpliwy materiał /niekonstruktywny, nietypowy, kuriozalny, nie leżący na linii pisma, nie "robiący światła" w gazecie, nie organizujący numeru itd./ starczyło zaparzyć kawkę, zaopatrzyć się w klej i nożyczki i zasiać do biurka w ciepłym pokoju /nie było jeszcze kryzysu energetycznego, a jeśli, to pojawiał się tylko na kolumnach zagranicznych naszych gazet/. Trochę wariatów jeździło jeszcze po kraju - i gorzkniało. Tym bardziej, że coś jednak trzeba było od czasu do czasu wydrukować.

Dziennikarzom przez wszystkie te lata przypomiano o racji stanu, odpowiedzialności, obowiązku społecznym i innych wzniosłych sprawach. Nikt tylko nigdy nie przypominał nam o obowiązku pisania prawdy. Dziennikarz powinien być politykiem - słyszałam często. Nikt tylko nigdy nie powiedział, że powinien być ś w i a d k i e m.

Prawdę mówiąc, już od pamiętnego grudnia, a ściślej stycznia, nie zdążył zelżeć poprzedni ucisk na prasę, zaczęły się nowe restrykcje. Doświadczeni ludzie od razu usłyszeli dzwonki alarmowe. Cenzura zdejmowała teksty, tak jak przedtem, z nowym tylko i rozszerzonym uzasadnieniem. Nowa ekipa, wyniesiona przez strajki na Wybrzeżu, po pierwsze wykreśliła z języka słowo strajk. Sfera wolności słowa uległa szybko dalszemu skurczeniu, tyle że w imię normalizacji i odnowy. Wśród restrykcji tych pojawiała się jedna, sympatyczna: wyszło z mody publiczne ubliżanie społeczeństwu tak uprzednio modne. Zamiast skrytycznych "chochołów" i feryjny spod budki z piwem, zaczął obowiązywać slogan "Polak potrafi". Wiadomo, że oba hasła są sobie warte.

Jak więc dziennikarz miał się układać z tą rzeczywistością? Wypracowano kilka metod. Pominę model najbardziej znany i społecznie zniechęcający - załgiwanie się do samego końca i jeszcze dalej, co przypomina zjedanie własnego ogona. Pominę go, bo zbyt jest jednoznaczny i nie wart chyba staranniejszego rozbiórki /choć w prasie naszej tego okresu odegrał dość ważną rolę/. W końcu w każdym zawodzie - więc czemużby nie w dziennikarskim - znajdują się ludzie, którzy za pieniądze /czytaj: za szczyty, prestiż, przywileje etc./ zrobią wszystko. "Wszystko za wszystko". Ciekawsze wydają się modele pośrednie, funkcjonujące wedle zasady "coś za coś", one bowiem ukazują dramatyczną konieczność obiektywnych i próbę dochowania wierności sobie, z nich rekrutują się potencjalni załgiwacze i potencjalni wyraziciele opinii społecznej. One decydują o wszelkich możliwych postawach, obliczu i zagrożeniach tego zawodu.

Większość tych ludzi wolałaby prasę rzetelną od hagiograficznej, język normalny od pseudonaukowego lub propagandowego bełkotu, podnoszenie spraw społecznie istotnych od produkcji ogłupiających tzw. michałków. Jest rzeczą dosyć oczywistą, że w tym zawodzie, jak w każdym innym, a może i bardziej jeszcze, liczy się satysfakcja z użyteczności społecznej, ambicja osobista, rozwój własny, możliwość realizowania pasji "twórczej". /Oczywiście pomijam tu ludzi, którzy nie mają żadnych innych predyspozycji do tego zawodu prócz upodobania do siedzenia w kawiarni i późnego wstawania z łóżka, a taka grupa istnieje/.

Owi więc dziennikarze typowi, którzy trafili do zawodu nie przypadkiem i pragną w nim pozostać, choć nie każdą cenę skłonni byłiby za to płacić, poddani podwójnej presji, wewnętrznej i zewnętrznej, prowadzili swoje osobiste, skomplikowane i dramatyczne gry z energią godną lepszej sprawy. Objawiało się to najczęściej zachowaniami defensywnymi, jak usuwanie się w cień, ucieczka od problematyki pierwszych kolumn, wąska specjalizacja /może sprawy ekonomiczne, może ochrona zabytków, może obserwacja obyczajowa - z tym że na pewnej głębokości zanurzenia w każdej z tych dziedzin pojawiały się rafa/, trzeba się było trzymać wód płytkich/, wykonywanie skomplikowanych zabiegów stylistycznych /kariere zrobił felietonowy sposób pisania/. Handle były różne: błazeńskie miny po to, by przemyścić coś istotnego, spłykanie sprawy -

aby uniknąć kłamstw oczywistych, nadużywanie cytatów - by nie mówić od siebie. Mniej pracować, mieć gorszą pozycję w piśmie - by się mniej ubrudzić. Itd. Itd. Takie transakcje odbywały się również w gazetach: poskusny wstępniak bronił nonkonformistycznego reportażyku o hodowcy kur z Wólki Dolnej, dęta publicystyka rozkraczała się na całej kolumnie druku, by pomieścić gdzieś między wierszami jakieś jedno sformułowanie ważne czy cenne. Dbało się, aby w numerze, w którym "coś" ma być, owo coś umieszczona było pod bezpiecznym parasolem oddalającym od redakcji zarzut niesłusznej linii. Komponowało się numer uwzględniając dziwną kombinację apetytów autorskich /o czytelnikach z wolną w ogóle przestawało się myśleć/ i tak zwanych względów "BHP" /dotyczy to oczywiście tylko pism ambitniejszych czy też może bardziej obłudnych?/. Bardzo często i coraz częściej kończyło się tak, że przy pomocy Urzędu Kontroli czy innej instytucji ów krwisty reportażyk ze wsi czy też owo celne zdanko wypadały, a pozostawało ... samo "BHP", które zresztą koniec końców dla nikogo - ani bezpieczne ani higieniczne nie było. Nadmierne przestrzeganie "BHP" okazało się najbardziej niebezpieczną zasadą propagandową.

Właściwie jako dziennikarz /bo nie jako obywatel/ powinnam się dziwić i zachwycać, że społeczeństwo wbrew naszym wieloletnim staraniom okazało się rozsądne i dobrze poinformowane. Tym warszawskim, inteligentnym zdziwieniom na temat poziomu świadomości społecznej dziwi się z kolei Puzyra w "Polityce", ale chyba nie czyni słusznie; po prostu my wiemy, jaką strawę podawaliśmy naszym odbiorcom, i mamy uzasadnione, doprawdy kompetentne i fachowe podstawy do zdziwienia, że nie pochorowali się na anemię. Na szczęście społeczeństwo już od dawna nie traktowało nas serio i dożywiało się przy innych stołach, gdzie popadło: powszechne wykształcenie, trochę języków, trochę podróży, trochę kontaktu ze światową techniką, prywatny obieg informacji, nieoficjalne wydawnictwa, obce rozgłośnie - to były rzeczywiste źródła informacji. W tym koncercie, przyznajmy, odegraliśmy i my swoją istotną /ważną/ rolę - nasz sposób okrawania i przyprowadzania wiadomości, nasze milczenie i opóźnienia informacji, społeczeństwu już znanych, były również instruktywne. Nasze komunikaty traktowane były nie jak informacje o świecie, lecz o nas samych. System sprawowania władzy nie poddawał się wprowadzić penetracji zewnętrznej, lecz system sprawowania propagandy stawał się publiczny i jawny. Ludzie nauczyli się czytać w sposób zgodny ze swoim doświadczeniem. Jeśli ukazywała się informacja: "Cukier w ciągłej sprzedaży", wiadomo było, że cukru brakuje. Jeśli pisało się o "potrzebie dalszego doskonalenia pracy handlu", to znaczyło, że państwo półoficjalnie przyznaje się do kłopotów rynkowych.

I właściwie nie można rozstrzygnąć, czy groźniejszy był nasz cynizm czy nasze iluzje. Bo wielu z nas wbrew wszystkiemu do końca chciało udawać, że pracujemy, a nie szkodzimy, że wykonujemy jakąś społeczną rolę mediatora pomiędzy społeczeństwem i rządzącymi, że wpływamy na nastroje społeczne, że coś proponujemy i podstawamy zwierzchności. Niektórzy koledzy prześcigali się w dekorowaniu schematycznych, płaskich i nic wspólnego z rzeczywistością nie mających treści w przewrotną i wymyślną formę, skrzącą się dowcipem, rozdawali razy, także klapsy władzom /stąd styl felietonowy i błazeńska czapka/, by społeczeństwo mimo wszystko miało wrażenie, iż jest to dziennikarstwo prawdziwe.

Drugą stroną tego rodzaju zachowań było kadzenie tym samym władzom w poważnych, doniosłych wstępniakach i publicystyce. Świeciła tu triumfy zręczna żonglerka "podmieniająca" tryb warunkowy na tryb oznajmujący, czas przyszły niedokonany na czas teraźniejszy, duże zastosowanie miała konstrukcja znana gramatyce jako równoważnik zdania. "Służba zdrowia w centrum zainteresowania władz", "Program Wisła rozwiązuje zaniedbane problemy gospodarki wodnej" /to drugie zdanie należało już do tytułów zdecydowanie "ostrych"/ były to adresy hołdownicze dla władzy, która ważne te problemy widzi, rozwiązuje, bierze na siebie, ale zarazem były to próby podsuwania jej problemów i takiego kierunku ich rozwiązań, z jakim się dziennikarz wewnętrznie solidaryzował. Był to w istocie zabieg makiaweliczny: chwalić władzę za to, czego

jeszcze, prawdę mówiąc, nie zrobiła, żeby "zmusić" ją do podjęcia oczekiwanej decyzji! Rodziły się tak potworki logiczne i stylistyczne; dziennikarz już sam nie bardzo wiedział, co pisze, czytelnik nie rozumiał tego, co czyta. Z taką formą naiwnej "presji na decydentów" spotykałam się w swej praktyce zawodowej wielokrotnie. Za każdym razem, gdy ktoś kwestionował tekst mówiąc: "ale przecież to nieprawda", ktoś inny na to mu odpowiadał: "Ale przecież to jest właśnie to, o co nam chodzi!"

W ogóle zresztą słowo *p r a w d a*, używane było w takich zawodowych rozmowach jako nie pozbawiony wdzięku, trochę śmieszny anachronizm. Liczyła się przecież tylko strategia i taktyka. Strategia polegała na tym, żeby istnieć, przetrwać; taktyka na tym, aby w usta władzy wkładać to, czego się od niej oczekuje, co się postuluje i uważa za słuszne. Oczywiście - w ramach dopuszczonych ostatnimi wytycznymi. Przypominało to trochę zabawę dziecięcą pt. "Stary niedźwiedź mocno śpi" - dopóki się to śpiewa, dopóty wiadomo, że niedźwiedź się nie poruszy...

W siłę słowa-zaklęcia, słowa pozbawionego desygnatu, ale słowa, które jakoby stało się ciałem, uwierzyły więc w końcu obie strony: władza, licząca, że słowem "stań się" można kreować pożądane przez siebie zjawiska, że fakty nie nazwane po prostu *n i e i s t n i e j ą*, oraz dziennikarscy taktycy, przekonani, że od rozprawiania na temat mieszkań - przybędzie mieszkań, a od dywagowania na temat demokracji - przybędzie demokracji w naszym kraju. I prasę i władzę połączył ten sam magiczny krąg zaklętych, pustych słów. Społeczeństwo w przytłaczającej większości było z boku, nie uczestniczyło w tym kontredansie. Nie mówmy dziś, że to propaganda sukcesu się "zgrała". Skompromitowała się także nasza taktyka nadprodukcji słów bez pokrycia, którymi usiłowaliśmy zastąpić deficyt dóbr.

Nie mówmy więc o komunikacji społecznej. Na tym weselu prasy i władzy /mariaż to zresztą bardziej z rozsądku niż z miłości/ szersza publiczność obecna nie była. Przyglądała się tej imprezie zza okna uz poczuciem obcości i zgryźliwą niechęcią. Tu i ówczas jakiś tekst prasowy trafiał do czytelnika, poruszał w nim jakieś struny, coś mu uświadamiał, o czymś przekonywał. Ale w ostłości swej prasa i telewizja traktowane były z uzasadnioną podejrzliwością. Mam podejrzenie, że dzisiaj, gdy zmienia się słownictwo i tonacja naszych gazet, także i te dawno wyczekiwane słowa brzmią z ich łamów jakoś niedobrze i głucho, a nazwisko podpisane pod najrozsądniejszym nawet tekstem niezwykle często odbiera mu wszelką wiarygodność. Ważne jest bowiem nie tylko, *c o* się mówi, ale także, *k t o* mówi. Usta kłamcy kalają również prawdę. Traktowani zaś jesteśmy albo jak kłamcy albo jak ludzie, którzy uchyłili się przed obowiązkiem świadczenia prawdy. Wedle łacińskiego przysłowia: kto milczy, ten potakuje. Cwsem - wiele milczących potakiewiczów zapłaciło za to stressami, dramatami osobistymi, zgorzknieniem - ale co z tego społeczeństwu?

Jest usprawiedliwienie: mieliśmy cenzurę. To prawda przekonywująca, ale także wygodna. Myślę, że cenzura jest jedyną, i to wcale nie najefektywniejszym w naszych warunkach sposobem ingerencji w naszą pracę, zresztą dziś akurat spodziewamy się jej legalizacji i sformalizowania, co pożyteczne. Ale czy to decydujące? Niektórzy z państwa może pamiętają, że kilka lat temu, kiedy zaczęliśmy "wchodzić w etap rozwiniętego społeczeństwa socjalistycznego", uznano, iż świadomość społeczno-polityczna paru czołowych pism dojrzała do tego, by wyjąć je spod kompetencji Urzędu Kontroli. I co się stało? Chyba po dwóch tygodniach wycieńczeni z niewyspania redaktorzy naczelni widząc urząd własny i pisma zgłosili się do towarzyszy cenzorów z prywatną, koleżeńską prośbą o pomoc. I wszystko wróciło na swoje miejsce. Eksperyment uszczą, zmarł śmiercią naturalną, jak wiele innych. Taki bo to był i eksperyment, jakby sadził szmery las w skrzynce balkonowej. Okazało się, że szansę większej odwagi daje pismu raczej cenzor zewnętrzny, niż wewnętrzny.

Odnosi to nie tylko usunięcie barier zewnętrznych. Wszyscy bowiem, a my, dziennikarze, w szczególności, jesteśmy produktem określonego sposobu sprawowania władzy. Byliśmy jej trubadurami - jak zawsze, jak wszędzie. /W następnym etapie będziemy bardami nowego czasu, takiego, jaki on będzie/. Byliśmy środkiem nasennym dla społeczeństwa - jak to bywa gdzieś niegdzie - z tym, że

narkotyk ten, przedawkowany, doprowadził do torsji. B z punktu widzenia społecznego reakcja zdrowa. Potrzebna jest kuracja odwykowa - ale przede wszystkim nam samym, przyzwyczajonym opisywać świat, którego nie ma, dla społeczeństwa, które nie istnieje.

Właściwie piszę tę garść chaotycznych uwag po to tylko, aby sprzeciwić się jak najbardziej stanowczo rozpatrywaniu losów mojego zawodu poza szerszym kontekstem społeczno-politycznym. Nie jest to zawód w warunkach nam znanych wolny ani samodzielny, i nie sędzę, że będzie. Za orientacją dziennikarską musi stać jakaś siła i to się chyba nie zmieni. Ale może właśnie pojawiają się nowe siły, może znajdują się mecenas z zamówieniem na prawdę?

Jedno jest wszakże pewne: nikt nigdy nie musiał pisać tego, co pisał. Słowa "mąsmy musieli" są kłamstwem. Można było stosować całą gamę wykrętów i wybiegów, uciekać w ciasne zaułki tematów bocznych, można było wreszcie zmienić zawód. Ktoś powie, że to ostatnie jest wyjściem dla dziennikarza, nie dla dziennikarstwa, że zawsze istnieje argument: na moje miejsce przyjdą inni, może gorsi. Argument to znany i rozważany, odkąd pamiętam. Nikt tylko nigdy nie potrafił określić, ile w nim pryncypialności, a ile prywaty. Paradoks o dziennikarzu brzmiałby tak: chęć istnienia za wszelką cenę skazuje go na faktyczne nieistnienie.

Istotnie w tej pracy trudno zachować dobre samopoczucie, nawet jeśli udało się zachować "czyste ręce". Tym, którzy stosowali emigrację ku mniej eksponowanym tematom i mniej widocznym miejscom na kolumnach, łatwo zarzuć dekonwiktwo, zasłanianie się plecami bardziej ambitnych i ofensywnych kolegów: po to, by ktoś mógł pisać peryferyjnie, ktoś inny musiał nad nim rozpinąć parasole bezpieczeństwa i zapełnić czołowe miejsca na kolumnach. Jak przy takiej symbiozie można dziś uczciwie podzielić się odpowiedzialnością?

Przepraszam za anegdotkę banalną, ale dla czytelnika nie obznajmionego z tzw. kuchnią zawodu może być instruktywna. Powiedzmy, w Korytovicach Wielkich mucha wpadła do zupy i dziennikarz chciałby o tym fakcie donieść czytelnikowi /ma swoje powody: od dzieciństwa nie lubi much, natomiast bardzo lubi zupę lub też Korytowice są mu po prostu po drodze/. Proces "kierunkowania" i "redagowania" zaczyna się zanim jeszcze dziennikarz wsiadł do pociągu. Dlaczego właśnie Korytowice Wielkie? Zaraz, zaraz, czy to nie w Korytovicach Wielkich wtedy... Korytowice? Jakaś taka dziwna nazwa... Czy to nie brzmi zbyt aluzyjnie? A poza tym Korytowice należą do województwa /.../skiego. Z tego województwa już w tym roku mieliśmy ze trzy krytyczne materiały. Tamtejszy szef uważa, że to jakaś nagonka. A po drugie: dlaczego właśnie mucha w zupie? Czy to nie nazbyt drobne i nietypowe wydarzenie, by o nim pisać? Lub przeciwnie: czy to nie nazbyt szerokie i dolegliwe w naszym życiu zjawisko, aby drażnić ludzi nazywaniem go po imieniu? Jeśli już, to trzeba by do tego podejść z dystansem: muchy w naszym klimacie, owszem, są pewnym problemem, wchodzi tu w grę pewne prawidłowości ekologiczne, no, oczywiście przy okazji można by sięgnąć do pewnych zaległości higienicznych przekazanych nam przez minione stulecia. Ale dla przeciwwagi warto by się powołać na dorobek współczesnej polskiej muchologii, ostatnio np. prof. /.../ałek miał bardzo ciekawe wystąpienie w tej sprawie na międzynarodowym kongresie muchologów w Padwie, warto więc, aby i on... To umożliwiłoby poważne rozszerzenie tematu: Korytowice - i Padwa, mucha w zupie - i międzynarodowy dorobek polskiej entomologii, nasze dziś, które przymierza się do jutra, czy też nasze jutro, które zaczęło się wczoraj - to już rzeczywiście zakrawa na dobry temat. W tych warunkach można by to nawet dać na czołówkę... Zresztą zdolny dziennikarz dysponuje wieloma możliwościami: bo np. spójrzmy na incydent w Korytovicach Wielkich od strony zupy. W zasadzie można by uznać, iż wydarzenie samo w sobie jest raczej nie mile, społecznie niepożądane, estetycznie obrzydliwe. Niedojrzałego i niewprawnego dziennikarza owa mucha w zupie mogłaby skłonić do naturalistycznego opisywactwa i przesadnego krytykanctwa. Ale nie można otwierać oczu na muchę tylko, a zamykać na wszystko inne. Przecież dziennikarz nie urodził się dopiero przed chwilą i wie już coś niecoś o świecie, zanim otrzymał tę informację o musze. Trzeba więc, aby

spojrzał na muchę pod szerszym kątem i zrobił użytek z tej swojej ogólnej wiedzy. Skoro jakość naszej pracy nie jest nam obojętna, nie możemy ograniczać się wyłącznie do relacji. Zresztą - czy obiektywistyczny opis jest możliwy? Czy istnieje coś takiego jak obiektywizm i cóż by to w ogóle miało znaczyć? Już sam wybór przedmiotu zainteresowania kłóci się z ideą tak zwanego obiektywizmu. Bo dlaczego o musze? Ależ proszę bardzo, może być i o musze, jednak pod warunkiem, że dziennikarz odwoła się do swej wiedzy i doświadczenia. Zdarzyło się to w Korytowiecach? No właśnie, czy to nie te same Korytowiece, które wtedy... Więc właśnie! Korytowiece mimo wszystko istnieją, odbudowaliśmy je, ostatnio na rynku korytowickim zainstalowano nawet szwedzkie parkometry dla samochodów... Nasza mucha na tle tak zobaczonych Korytowiec już zupełnie co innego. A w zupie? Cóż, to w każdym razie dowód, że zupa w ogóle była. A może to był posiłek regeneracyjny, stołówka pracownicza albo szkolne dożywianie? Każda z tych sytuacji daje możliwość kontekstu dla owej samej w sobie istotnie niezbyt pozytywnej muchy. Prawdopodobnie jakość tej zupy nie była taką całkiem złą, skoro skusiła i muchę... Wszystkie takie ewentualności trzeba rozważyć, zanim redakcja podejmie decyzje "co do tematu". Dziennikarstwo jest pracą bardzo odpowiedzialną i nie możemy ot tak sobie biec za sprawą, która nas po prostu zaciekawiła...

W efekcie dziennikarz, zanim jeszcze wsiadł do pociągu, ba, zanim uzyskał podpis szefa na delegacji, już ma wizję tekstu o sprawie, której w ogóle na oczy nie widział, przestaje więc być zainteresowany zupą, muchą, Korytowiecami i ciekawi go wyłącznie, która z zaplanowanych wersji tematu da się przeprowadzić. Jest to trudna, ale pasjonująca łamigłówka, a wyjść z niej trzeba obronną ręką; czy można się dziwić, że nasz specjalny wysłannik w takim napięciu umysłowym przestaje w ogóle odróżniać muchę od komara, zupę od bigosu, prawdę od nieprawdy?

Im dziennikarz bardziej odpowiedzialny tym mniej takich "uwikłań" tematu, o których trzeba go przekonywać; ma tę wiedzę w sobie w środku. Tak czy owak praca na obstalunek jest rzeczą trudną - szczególnie w tym zawodzie, którego zadaniem winno być raczej opisywanie niż kreowanie rzeczywistości. Proces selekcji, obróbki i deformacji, jak widzieliśmy, nie zaczyna się dopiero na biurku redaktora naczelnego, na gotowych już tekstach, lecz znacznie wcześniej; już na etapie planowania numeru i wypisywania delegacji. "Tematy" bowiem - czyli to, co życie niesie - mają różne wady: są za małe, za duże, za błahę, ale i... zbyt ważne. /Przy okazji: w czasie strajków na Wybrzeżu kierownictwo poważnej relaksacji nie godziło się podpisywać reporterom delegacji służbowych do Gdańska!/. Od dziennikarza oczekuje się nie tego, aby śledził, co się dzieje, lecz by dostarczał reporterskiego "mięsa" potrzebnego dla uzasadnienia lub egzemplifikacji tez apriorycznych.

W prasie ostatniego dziesięciolecia rozwinęły się i skanonizowały dwa zasadnicze sposoby pisania, stanowiące wypadkową aspiracji dziennikarzy i oczekiwań mecenasów.

Jeden z nich to dziennikarstwo, które nazwałabym "dużym", "mądrym", "pisanym z góry". Ogarnianie szerokich horyzontów, poruszanie się na wysokim piętrze abstrakcji, rozpatrywanie wszystkiego na tle i w kontekście, umiejętność przewidywania wszystkich możliwych /i niemożliwych/ perspektyw i konsekwencji - to były założenia wstępne tego sposobu pisania. Cechowała je tzw. nowoczesność, perspektywiczność, dynamika, styl tak "mądry", że nieczytelny. Brało się do tego celu rocznik statystyczny /ze szczególnym uwzględnieniem stron retrospektywno-porównawczych/, analizy naukowe, plany perspektywiczno-rozwojowe itp. Na wstępie jednak autor powinien być w sobie samym i w czytelniku wzbudzić wrażenie, że wszystko, o czym mowa, wymaga wysokich kompetencji, specjalistycznego przygotowania i dostępne jest tylko dla niektórych. Stąd hermetyczny język, багаż liczb i proporcji /niekiedy nic nie znaczących/ i ogólna sztywna zasada wszystkowiedztwa redakcji. Ta specjalna pozycja redakcji i autora była przestrzegana konsekwentnie - jeśli nawet trzeba było sprostować drukarni oczywisty błąd czy pomyłkę, robiło się to w taki sposób, aby czytelnikowi, który na lapsus ten zwrócił uwagę, w piętę poszło!

To pisanie, z góry zakładające kontakt pochyły /miast poziomego/ pomiędzy pisem a czytelnikiem, można było stosować nie tylko w tzw. wielkiej publicystyce, ale także w reportażu. Był to z reguły reportaż o "małych ludziach", pisany niekiedy z pobłażliwym ciepłkiem, w tonie troszeczkę ośmieszającym, z pewnym wzniosłym zainteresowaniem typu "niech inni za żby chodzą a ja się dziwię". Zasadą takiego rozwiązania było, że autor nie traktuje siebie jako członka opisywanej wspólnoty, że jest "out", sytuuje się na zewnątrz, nic z tego, o czym pisze, nie dotyczy go osobiście, on jest tylko obserwatorem /dawało to więc miły efekt obiektywizmu/. Ta formuła przyniosła wiele dobrych reportaży i osiągnięć stylistycznych /ograniczenia publikacyjne bywają bowiem również impulsem do szlifowania formy/, nie przeceniałabym jednak jej zalet merytorycznych. Płodna jest bowiem głównie w warstwie psychologicznej i obyczajowej, nie potrafi natomiast udźwignąć ważniejszych, donioślejszych treści społecznych. Mimo woli jak gdyby pomniejsza sprawy i zjawiska opisywane, nadając im cechy incydentalne i kuriozalne. Koniec końców służy więc za coś w rodzaju wentyla bezpieczeństwa /jest co pokrytykować, jest co poczytać!/ ubezpieczając lansowaną na łamach pism tezę zasadniczą, że wszystko urządzone jest jak najlepiej na tym najlepszym ze światów. W dodatku taka bezkompromisowość, bezwzględność, rezerwowana wyłącznie dla mikrośrodków i ludzi "małych", nawet wbrew subiektywnym intencjom dziennikarza, wpędza go w pułapkę quasi-oszustwa; skoro bowiem w ogólnym rysunku pisma "dół" jest głupawy i małostkowo śmieszny, a "góra" przewidywana, mądra i nie podlegająca krytyce - konkluzja narzuca się sama.

Może i tu należy szukać źródła tych nagłych, posierpniowych zadziwień, że społeczeństwo nie jest wyłącznie małostkowe, tchórzliwe, pazerne i głupie?

Mimochoć od owego dziennikarstwa "dużego" przeszliśmy do drugiej odmiany, którą nazwałabym dziennikarstwem "pisanym z dołu", "małym", analitycznym, objaśniającym rzeczywistość na zasadzie "wszechświat w kropelce wody". Należało tropić prawidłowości, symptomatyczne objawy, a nawet całe mechanizmy w mikroskali: przedmiotem zainteresowania może być klasa, grupa dziecięca /Anglicy kiedyś nawet film o czymś takim zrobili i nieźle wyszło!/, zaniedbania opieki społecznej na poziomie gminy, analiza osobowości i postawy prezesa geesu, mięsisty reportaż z PGR-u, gdzie ani świnia ani żaden przyzwolony człowiek na stanowisku się nie uchowa, los matki wielodzietnej pracującej na trzy zmiany /pardon, tu się zapędziłam: na krytykę trzeciej zmiany kobiet był zapis!/, więcej raczej los matki pracującej jako takiej, z tym, że może być opuszczona przez męża - to weksluje odpowiedzialność w kierunku losu i tego typu, co rzucił rodzinę, więc pozwala dodać czerni... Ważne tylko: nie powinien to być duży, pierwszoplanowy zakład ani broń Boże jakaś budowa priorytetowa; raczej coś parafialnego, może przemysł włókienniczy, najlepiej stary zeszkolniczy zakład, coś takiego powinno się znaleźć w łódzkim zagłębiu włókienniczym...

O ile dla tekstów krytykujących wady społeczne /nieróbstwo, pijaństwo, etc. etc./ zarezerwowany został ton obywatelskiego oburzenia /były to zresztą z dziennikarskiego punktu widzenia produkty najnędniejsze/, o tyle analizom nieszczęść ludzkich, pecha, skrajnie trudnych sytuacji życiowych przydzielona została technika subtelniejszej obserwacji, zaskakujących point i kontrpunktu, zdążająca niekiedy w kierunku całkiem udatnej groteski.

Tak czy owak u najbardziej ambitnych autorów sposób pisania, pasja i wynalazczość formalna stawały się zadaniem nadrzędnym. Technika, umiejętności wykonawcze, a nie zawartość merytoryczna dzieła, stawały się celem.

Ta biegłość stylistyczna, przyznajmy, służyła i gorszym od opisywania marginaliów społecznych zadaniom. Skoro naczelnym, generalnie rzecz biorąc, zadaniem dziennikarstwa stała się perswazyjność - w tym kierunku pobiegło sporo rzeczywistych talentów i uzdolnień. Byliśmy świadkami /a niektórzy z nas i autorami/ popisów wręcz akrobatycznych; im coś trudniej udowodnić - tym większą zasługą w dokonaniu tego. Powstał szczególny, pożałuj się Boże, etos zawodowy: dobry dziennikarz to człowiek, który potrafi przekonywająco napisać i "udowodnić" absolutnie wszystko. Przekonać do tego najbardziej ab-

surdalnych - to niewątpliwie zadanie ambitne. A przecież nie beznadziejne. Istnieje parę sposobów znanych i dających /pozornie/ dobre wyniki. Nie poznanie i osąd rzeczywistości, ale manipulacja stała się ideologią zawodową: inteligencja i inwencja techniczna miały ją obsługiwać.

Środowisko dziennikarskie wystawione na porywisty przeciąg odnowy /i świadome na ogół paradoksalnego faktu, iż własnymi rękami kryzysowi społecznemu się przysłużyło/ przeżywa ze wszech miar trudny moment. To robotnicy upomnieli się o większą dawkę wolności słowa dla nas, a hasła odnowy trafnie celują w najczulsze interesy i potrzeby naszego rzemiosła. Ale jak przesterować starannie wypracowany mechanizm myślenia? Ile będzie tej wolności, i na jak długo? A właściwie na czym polega nasza wina: na tym, że kłamaliśmy, czy na tym, że nie zdołaliśmy oszukać czytelnika? Ten jest złodziej, kto ukradł, czy też tylko ten, kto dał się złapać? Czy warto zmieniać mechanizm myślenia, czy trzeba je tylko poprawić? Wiemy już, że posłuszeństwo dziennikarzy, ich myślenie na rozkaz, zostało społecznie zdezakwawane. Ale odpowiedzialność dziennikarza, rola i ranga zawodu - co z nimi? Przecież wiadomości, które powinny być naszym codziennym tworzywem, dzielą się nie tylko na prawdziwe i nieprawdziwe, ale również na użyteczne i szkodliwe społecznie. W tym miejscu zwykło się powoływać na Maxa Webera i jego słynną alternatywę etyki przekonań i etyki odpowiedzialności. A jeśli stają one w kolizji? Słyszysz się często, że kryzys prasy jest skutkiem jej niefunkcjonalności. Idea ta wydaje mi się ponętna, ale i szczególnie groźna. Wynikałoby z niej, że jedynym grzechem prasy jest, iż kłamała g ł u p i o. Jest to pomysł niezwykle niebezpieczny, bo kryje się w nim stary zamysł m a n i p u l a c y j n o ś c i. A także stare, wysłużone, zdawałoby się, przeświadczenie, że jesteśmy mądrzejsi od czytelnika, bardziej odpowiedzialni, szerzej widzący. Skąd ten pomysł doprawdy tak nie w porę? Ledwo dyrygent troszeczkę spuścił z nas oko, już samą chcemy przejąć jego pałeczkę?

Jak więc pisać pod odmienioną władzą dla odmienionego /w naszych oczach głównie/ społeczeństwa? Jak pogodzić przekonania własne z ciężarem odpowiedzialności społecznej i szczególnej rzekomo roli słowa drukowanego? A dlaczego nikomu nie wpada do głowy, by pisać po prostu, bez szukania wymyślnych sposobów i kolejnych pseudointelektualnych uzasadnień, krótko, do rzeczy, jasno, po polsku, o tym co się wie albo sądzi, w sposób czytelny i zrozumiały? Pisać tak, aby czytelnik mógł ocenić jasno nasze poglądy, intencje, i przyznać im rację, bądź skrytykować je i odrzucić. Ogłoszmy wreszcie samym sobie, że wszechwiedza nas już nie obowiązuje. Okazuje się, że jest to jednakże akt trudny. Że na brak owej własnej wszechkracji nie umiemy w żaden sposób przystać. Już wiemy, żeśmy jej nie mieli, ale wydaje nam się, że naszym obowiązkiem głównym jest ją odzyskać. Czy nie wystarczy uczciwość w zbieraniu faktów, czy nie wystarczą poglądy w ł a s n e? osobiste przeświadczenia? umiejętność wydobywania i formułowania opinii cudzych? Byle rzetelnie, uczciwie, bez sofistycznego krętaństwa i wymądrzalstwa.

Daliśmy się więc sami niepostrzeżenie wmanewrować w tę dziwną uzurpację: uważamy, że nasz błąd polegał na tym, iż nie byliśmy wszechwiedzący, a nie na tym, że wszechwiedzący być chcieliśmy /i jak się okazuje, wciąż chcemy!/. Dlatego właśnie mniemam, że nasza autokrytyka idzie w niebezpieczną stronę: bijemy się w piersi nie za to, że daliśmy się ubrać w cudze piórka, lecz że stroik ten okazał się nietwarzowy i wyleniały. Oczywiście, to będzie zabieg trudny - wymagający odwagi, także cywilnej - zdjąć cudze piórka, odsłonić przykrybę, pokazać jakim się jest naprawdę. Bo jeżeli okaże się, że tam w środku w ogóle nic nie ma? Wolność jest darem wspaniałym, ale kłopotliwym - burzy komfort wynikający z zaskaniania się koniecznością, autorytetem. Słuchając pewnych dyskusji środowiskowych odnosi się czasem wrażenie, jak gdyby sami dziennikarze byli nieco przestraszeni nadmiarem wolności, zanim jeszcze została im dana. Zachowujemy się trochę jak człowiek, który zbyt późno uczy się chodzić i ma przykurcze mięśni. Potrzebna będzie solidna rehabilitacja. Miejmy nadzieję, że życie dostarczy nam bodźców.

P.S. Wypowiedź tę wyjątkowo /oto przyzwyczajenie do cenzury!/ dałam do przeczytania paru osobom mego zawodu, z których zdaniem nie mam powodu się

nie liczyć. Spotkał mnie zarzut poważny: że koncentrując się na obiektywnej nicości naszych dokonań dezawuuje trud i wysiłek moralny ludzi, którzy w tych samych warunkach bronili wartości cennych, pracowali godziwie, dostarczali czytelnikom lub przynajmniej archiwom cenzury przyzwoitych, rzetelnych tekstów, a tym samym, co gorsza, rehabilituje i usprawiedliwiam tych, którzy w imię konformizmu i wygody zdolni byli do daleko idących koncesji na rzecz kłamstwa, potwarzy i wszelkiego rodzaju zachowań niegodnych. Słowem - że zacieram przedziały moralne, w tym zawodzie tak ważne. Byłoby mi niezwykle przykro, gdyby mój tekst został przez Czytelników tak odebrany. Jest on pisany żółcią, ale jest to moja żółć prywatna. Sama na wszystkich bodaj nakreślonych tutaj ścieżkach przystosowania się poczyniłam pewne kroki i byłabym wdzięczna, gdyby Czytelnik zechciał odebrać to, co napisałam, jako rozliczenie się nie tyle z innymi, co przede wszystkim z samą sobą.

Wiesława Grechola

R E C E N Z J E

Stanisław Barańczak

WIELKI STRACH - CZYJ I PRZED CZYJ?

Julian Strykowski: Wielki strach. "Zapis" nr 14, kwiecień 1980. Niezależna Oficyna Wydawnicza. Ss. 162.

Miłośnik prozy Strykowskiego miałby ochotę traktować "Wielki strach" jako dalszy ciąg "Czarnej Róży". W zakończeniu tej ostatniej książki, wydanej osiemnaście lat temu /a osądzonej fabularnie również we Lwowie, tylko międzywojennym/, bohater, młody komunista Henryk Jarosz, przekracza nielegalnie wschodnią granicę i z nadzieją w sercu, "oczami pełnymi łez wpatrzony w czarną przestrzeń", maszeruje w głąb wyszalonego Kraju Rad. Kraju, przeżywającego akurat - z czego czytelnik ma sobie zdawać sprawę i co stanowi o ironiczno-gorzki podtekście tego finału - apogeum stalinowskiego terrorku drugiej połowy lat trzydziestych. Właściwa /jeśli nie liczyć preakcji/ fabuła "Wielkiego strachu" rozpoczyna się z pozoru w punkcie, w którym skończyła się "Czarna róża"; bohater, młody komunista Artur Salz, dostaje się na terytorium ZSRR. Tyle że później o parę lat i że nie musi przekradać się przez granicę. To sama granica się przesunęła. Jest jesień roku 1939 i Artur Salz ucieka z bombardowanej Warszawy w stronę Lwowa, znajdującego się już pod sowiecką okupacją. Główna część fabuły "Wielkiego strachu" umiejscowiona jest właśnie w okupowanym Lwowie, a zakończenie powieści przypada na czerwiec 1941 roku, na moment wybuchu wojny z niedawnym hitlerowskim sprzymierzeńcem i panicznej ucieczki sowieckich władz.

Analogie kończą się więc, ledwie się zarysowały. Zwłaszcza że obaj główni bohaterowie przy pewnych powierzchniowych podobieństwach pochodzenia i biografii różnią się w sposób dość istotny. Uświadamia nam to obszerna preakcja "Wielkiego strachu", rozciągająca się od dzieciństwa Artura /lata I wojny światowej/ do jego ucieczki z bombardowanej stolicy. Henryk z "Czarnej róży", aczkolwiek równie zapalczawy wyznawca idei, został komunistą poniekąd z przypadku, do partii pchnęła go nieodwzajemniona miłość do dziewczyny komunistki. Artur jest natomiast komunistą ze świadomego wyboru, powziętego w dodatku w dość wczesnej młodości /po krótkim epizodzie sympatii dla syjonizmu/. Ku tej akurat ideologii skłaniają Artura początkowo determinacje związane z pochodzeniem etnicznym i społecznym /przed wywodzącym się z kresowej biedoty żydem stoi właściwie tylko jedna alternatywa: syjonizm i emigracja do Palestyny albo komunizm/, a także względy natury wewnętrzno-moralnej: skłonność do atycznego manicheizmu i instynktowna potrzeba znalezienia się po "właściwej" stronie barykady, w "jedynie słusznym" nurcie dziejów /w okresie swoich młodzieńczych rozterek bohater żywi przekonanie, że "jeśli przekroczy granicę dzielącą świat na dobry i zły, zrzuci z siebie ciężki balast", s. 18/. Potem, po wstąpieniu do KPP, te osobiste skłonności dostają się w karby partyjnej urawnikowki i dyscypliny, której Artur zmuszony jest podporządkowywać się wbrew sumieniu /jak wtedy, gdy pod naciskiem większości głosuje za wykluczeniem z partii swojego przyjaciela, uznanego za trockistę/ i wbrew zdrowemu rozsądkowi /gdy przechodzi do porządku nad niepojętymi sprzecznościami procesów moskiewskich/. Ale już w tym przedwojennym fragmencie biografii bohatera dostrzec można osobliwe zjawisko wytworzenia się podwójnej świadomości: aby nie zostać odtraconym przez towarzyszy, aby nie stracić jedynej oparcia ruchowego, jedynej racji bytu, jaką jest dlań partyjna przynależność. Artur wbrew logice i własnym wątpliwościom uważa niezmiennie, że "Partia ma zawsze rację" /s.34/.

W ten sposób Artur Salz przenosi swój ideowy zapach najpierw przez sprawę rozwiązania KPP, następnie zaś przez pierwsze tygodnie wojny i sowieckiej agresji. Tu już przechodzenie do porządku nad sprzecznościami wymaga nie laża

dialektyki: jak pogodzić miłość do Przodującego Ustroju z odpychającymi cechami jego reprezentantów, z atmosferą podejrzliwości, jaką otaczają oni nie kogo innego jak właśnie byłych KPP-owców /"Jak powiedział towarzysz Stalin: Ufasz, ale sprawdzaj" - cytuje jakiś sekretarz rajkomu, s. 58/, a przede wszystkim - z samym faktem najazdu i okupacji? Artur, który nie tak dawno, jeszcze w Warszawie, z goryczą przyjmował fakt, że jako komuniści nie daje mu się bronić do ręki i nie pozwala bronić kraju przed agresorem, wobec agresji z drugiej strony potrafi tylko niezdarnie tłumaczyć sobie i innym: " - Oni przybyli tu jako przyjaciele" /s. 61/. Nic dziwnego, że ze strony rodaków spotyka się w najlepszym razie ze wzruszeniem ramion; a najczęściej - z otwartą wrogością. Polacy w okupowanym Lwowie przedstawiają dość rozległą panoramę postaw wobec katastrofy, jaka na nich spadła: od żywiołowej ludowej nienawiści wobec "sowietów" /przechodzącej u niektórych po pewnym czasie w zobojętnienie, poddanie się i beznadziejną apatię/ poprzez zarażony oportunistą /Leon Hubel i jego ryzykowne interesy z władzami/, aż po posłuszną współpracę /polscy dziennikarze w redakcji "Czerwonego Sztandaru"/. Nad wszystkim unosi się jednak poczucie, że nastąpiła właśnie katastrofa; nikt nie jest też wolny od s t r a c h u, tytułowego bohatera tej powieści, w tym wypadku - powszechnego i elementarnego strachu przed zagładą, która może spaść na każdego w postaci nocnej wizyty NKWD.

Na tym tle Artur Salz to rara avis, odosobniona - nawet wśród lwowskich Polaków-komunistów - w postaci ideowca-fanatyka. Czy ułatwia mu to życie? Nic podobnego. Fanatyk zachował w sobie skłonność do osregego, manichejskiego rozdzielania dobra i zła, łączącą się w dodatku z relikami wrodzonej przyzwyczajoności. Artur w gruncie rzeczy jak najszczerzej pragnie służyć Przodującemu Ustrojowi, ale już od pierwszych dni tej służby utrudniają mu ją wrodzone i wciąż jeszcze nie wykorzenione odruchy moralne. Pracując w dziale listów "Czerwonego Sztandaru", nasz bohater niszczy anonimowy donos, który mógłby ciężko zaszkodzić jednemu z jego bliskich przyjaciół-znajomych. Nieprawomyślnością jeszcze większą jest wstawienie się u sowieckiego zwierzchnika za świeżo aresztowanymi kolegami: " - To szczerzy komuniści. Dobrzy towarzysze, oddani...". "A ty, bretku, skąd wiesz? - replikuje zwierzchnik. - W środku człowieka sięlisz? A naszej władzy ty nie ufasz? A, niedobrze" /s. 94/.
 Nazajutrz zostaje wylany z pracy, rzekomo za błąd korektorski. Jest to początek drogi, znaczonej coraz to bardziej dramatycznymi starciami indywidualnych racji moralnych Artura z bezwzględными racjami panującego systemu amoralnego posłuszeństwa. Dialektyka dwójmyślenia, pozwalająca Arturowi - w dyskusjach z nie-komunistami lub komunistami osłabionymi w swej wierze - usprawiedliwiać największe zbrodnie i absurdy, godzić rażące sprzeczności, zamykać oczy na fakty, nie wystarcza mu w pewnych granicznych sytuacjach. Taką sytuacją jest rozmowa z majorem NKWD, który bezskutecznie chce zmusić Artura do pełnienia funkcji konfidenta w Teatrze Polskim, potem zaś - zacieśniający się krąg aresztowań, wywózek i innych form represji, spadających na ludzi Arturowi bliskich. Nasz bohater jest fanatykiem i chce nim być - nie jest jednak osobowością w pełni zsovietyzowaną. To dwie różne sprawy. " - Zdaje się, że ty nie jesteś urodzony na komunistę" - mówi pod koniec powieści matka jego przyjaciela z dzieciństwa. " - Dlaczego? Nie zgadzam się z tym" /s. 157/ - odpowiada Artur, aby za chwilę dowieść skuszości tej diagnozy swoim bezsilnym i bezsensownym protestem /" - To jest rieludzkie! To jest tępota!", s. 158/, gdy staruszkę zabiera NKWD. Prawdziwy komuniista dostrzegłby w tym drobnym fakcie wyraz obiektywnej konieczności dziejowej i użył znanego przysłowia o drwach i wiórach.

Można by zapytać: dlaczego wobec tego Artur tak zaciekle opowiada się za komunizmem - opowiada się, mimo wszystkich zaznaczonych doświadczeń, aż do końca? Czy przyczyną jest, jak u innych bohaterów tej powieści, Wielki Strach, paraliżujący lęk przed fizyczną zagładą, która grozi o każdej porze i na każdym kroku? Właśnie, ale czy tytułowy Wielki Strach odnosi się na pewno tylko do tego zjawiska? O czyj strach tu chodzi? - strach sterroryzowanego społeczeństwa czy może bardziej skomplikowany strach kogoś takiego jak Artur? Zwróćmy uwagę, że ostatnie zdanie powieści - "Zdjął go wielki strach"

- stosuje się do Artura i to w sytuacji, w której bohater, po ucieczce władz sowieckich a przed przybyciem hitlerowskich oddziałów, ma przed sobą krótki moment samotnej wolności. Może właśnie tego stanu dotyczy tytuł powieści?

Strykowski swoją najnowszą książką - znacznie wyraźniej i bardziej bezpośrednio niż "Przybyszem z Narbony" - zabiera głos w wielkiej dyskusji, która przetawia się przez literaturę europejską od czasów "Legendy o Wielkim Inkwizytorze" /z Dostojewskiego też, co znamienne, pochodzi motto "Wielkiego strachu": "I nie dziw, że miast wolności wpadli w niewolę"/, a szczególnie konkretnej treści nabrała w naszym stuleciu, po oskłonionych procesach moskiewskich. "Ciemność w południe", "Rok 1984", "Wielka Czystka", "Zniewolony umysł" - to, jak wiadomo, najważniejsze głosy we współczesnej fazie tej dyskusji. Jej podstawowy problem zaś obraca się właśnie wokół wolności i niewoli. Co sprawia, że człowiek w warunkach zniewolenia posuwa się nieraz do konformizmu krańcowego - takiego, że niewolę nazywa się wolnością, kłamstwo prawdą, niewinność zbrodnią, i nawet siebie samego można oskarżyć o najfantastyczniejsze przywiny? /" - Takiej niewoli jeszcze nie było, jak świat światem, takiej niewoli w historii nie było, żeby śpiewać, tańczyć, klaskać i chwalić niewolę jako wolność" - powiada u Strykowskiego trzeźwa Rachel, której Artur odpowiada wybuchem gniewu: " - Jakim prawem ty tak mówisz? Czy ty cokolwiek wiesz o marksizmie?" s. 116/. Na to pytanie dawano, jak pamiętamy, z grubsza biorąc dwie odpowiedzi. Pierwsza /Koestler, Miłosz, Fromm/ podsuwa formułę "ucieczki od wolności", będącej równie stałym pragnieniem ludzkiego umysłu co pęd ku wolności: zażycie pigułki Murti-Binga pozbawia swobody i własnego zdania, w zamian za to daje jednak poczucie spokoju, bezpieczeństwa, wtopienia się w zbiorowość, oddanie się w służbę wyższym wartościom /wódcowi, partii, rasie, ideologii/. Odpowiedź druga, której wyrazicielem był zwłaszcza Weissberg-Cybulski, a poniekąd i Orwell /scena ze szczurami w "1984"/, polega na brutalnym przypomnieniu, że istotą totalitarnych ideologii jest również terror i fizyczna przemoc, a zatem ci, którzy "chwalać niewolę jako wolność" i oskarżają samych siebie o szpiegostwo na rzecz Japonii, czynią to najczęściej pod ciśnieniem strachu, złamani torturami, biciem, szantażem. Przypominam tu oczywistości /i beznadziejnie przy tym upraszczam/, po to, by wskazać, że stanowisko powieści Strykowskiego w tym sporze nie jest bynajmniej jednoznaczne. W początkowych partiach "Wielkiego strachu", gdy śledzimy ideologiczne dojrzewanie Artura, wydaje się dominować odpowiedź pierwsza: droga Salza od młodzieńczych rozterek do fanatycznej nieprzemakalności na argumenty i fakty to przecież klasyczny przykład "ucieczki od wolności", czy "zniewolenia umysłu". Kiedy z kolei w polu obserwacji pojawia się okupowany Lwów, w rozległej panoramie ludzkich postaw dostrzegamy jeden wspólny mianownik: elementarny i wszechobecny strach sterroryzowanych jednostek, spośród których jedynie nieliczne usiłują dorobić do tego strachu ideologiczne uzasadnienie. Cała kwestia zaczyna się komplikować jeszcze bardziej, gdy ponownie koncentrujemy uwagę na postaci Artura. I on bowiem nie jest wolny od strachu. Ma w sobie spory zasób cywilnej odwagi, to prawda; kilkakrotnie daje tego dowody. A przecież i on się czegoś boi: nie tylko, jak wszyscy, aresztowania i wywózki, lecz również czegoś gorszego. Towarzysze z byłej KPP, a za ich pośrednictwem również NKWD-ziści, mają mianowicie na Artura pewien specjalny "haczyk". Oto podczas pobytu w sanacyjnym więzieniu Salz został osadzony przez więzienną komunę o homoseksualizm. Niczego nie udowodniono, ale "haczyk" istnieje: w okupowanym Lwowie tym groźniejszy, że sowieckie prawodawstwo karze homoseksualizm osmioma latami łagru. Zauważmy jednak rzecz bardzo istotną: Artur boi się ujawnienia całej sprawy, ale w przedwojennej Polsce - gdzie żaden tego rodzaju wyrok mu nie groził - boi się go wcale nie mniej niż w sowieckim Lwowie. Boi się bowiem nie tyle łagru, co ostracyzmu towarzyszy. Wielki Strach Artura to strach przed izolacją, samotnością, brakiem oparcia, usunięciem poza nawias. Strach przed wolnością, który pojawia się w ostatnim zdaniu powieści, ale który był też przyczyną młodzieńczego wyboru ideologii i partii. Z dwu odpowiedzi, o których była przed chwilą mowa, ważne są - powiada Strykowski - obydwie: pierwsza bowiem sprowadza się w gruncie rzeczy do drugiej, totalitarna ideologia okazuje się sublimacją Wielkiego Strachu

przed samotną, trudną do udźwignięcia wolnością.

Być może waga samej problematyki powoduje, że w zestawieniu z nią literacka strona powieści Strykowskiego przedstawia się trochę blade i może rozczerować wielbicieli znakomitego pisarza. "Wielki strach" wydaje się najlepszy w swojej warstwie czysto poznawczej, jako opis mechaniki ludzkich zachowań i opis tego przedziwnego wycinka historyczno-społecznej rzeczywistości, jakim był Lwów pod sowiecką okupacją. /Niezawinionym pechem powieści Strykowskiego można natomiast nazwać fakt, że w tej drugiej zwłaszcza sprawie odegrałby w naszym piśmiennictwie rolę pionierską, gdyby nie wcześniejsze opublikowanie wstrząsającego "Mojego wieku" Aleksandra Wata - myślę tu zwłaszcza o jego drugim, "lwowskim" tomie/. Jako literacka konstrukcja natomiast "Wielki strach" razi... wypowiem zarzut, który zabrzmi może dziwnie: razi nadmierną prostolinijnością. Biografia Artura, opowiedziana w ściśle chronologicznym porządku, ze stale tej samej perspektywy narracyjnej, odbiera osobowości bohatera szansę niejednoznaczności, czyni zeń po trosze pogładowy przykład pewnej postawy, okazowy egzemplarz, w zbyt małym stopniu będący żywym człowiekiem. Czytelnik, który pamięta galerię fascynujących bohaterów prozy Strykowskiego od "Głosów w ciemności" do "Przybysza z Narbony", postacią Artura będzie chyba rozczerwany i pocieszyć go mogą tylko mistrzowskie pociągnięcia, jakimi Strykowski portretuje liczne postaci epizodyczne oraz oddaje dźwięczą atmosferę okupowanego miasta. Właśnie te dalsze plany powieściowego świata powodują, że "Wielki strach" jest nie tylko dyskusją o tych czy innych - skądinąd dojmująco dla nas ważnych - problemach, ale, również literacką wizją, która mimo poczucia pewnego niedosytu pozostaje na zawsze w pamięci.

Stanisław Barańczak

Tomasz Burek

W TYM SAMYM KRAJU

Wiktor Woroszyński: "Powrót do kraju. Kartki z dziennika, wspomnienia, polemiki, artykuły". Przedmowa, poprzedził A. Drawicz. Londyn, Polonia Book Fund, 1979; ss. 207.

Współczesne dzieje literatury polskiej mają wiele kart wydartych i liczne strony w ogóle nie zadrukowane, ba, całe rozdziały - często rozdziały najważniejsze, kluczowe, głęboko pouczające - zostały z nich praktycznie wykreślone, skazane na nieistnienie w świadomości zbiorowej, na los białej plamy, "Zapominanie" coraz większej ilości szczegółów i faktów z najnowszej historii literackiej, ignorowanie rzeczywistych osiągnięć i naturalnie wytworzonych hierarchii wartości, systematyczna blokada informacyjna i nie dopuszczanie do dyskusji o "niewygodnych" /oczywiście z punktu widzenia rządzących/ dziełach i prądach umysłowych doby wczorajszej i chwili obecnej, to proceder znany na wylot wszystkim piszącym i czytającym w Polsce. Znany aż do wymiotów.

Dziako się tak nie w ostatnich jedynie latach, choć może istotnie, pod batutą pewnego siebie dyrygenta usiłującego kierować koncertem ducha za pomocą lizaka i pałki, fatalny ten proces zaszedł najdalej. Posunięcia gorszące i skandaliczne /z punktu widzenia pisarzy i czytelników/ dokonywały się, by tak powiedzieć, przy otwartej kurtynie, decyzje włożące o pomstę do nieba podejmowane były z pogardliwą ostentacją, a następnie wcielane w życie z kreścią metodycznością i uporem. Nie odróżniałeś w tych praktykach miłego cynizmu biesów łukasiewiczowskich, przybierających wszakże pozor i miny Bóg ra-
prze straszonych
czy wiedzieć jak przebiegłych makiewelów, od wiernopoddania wykonawców

wszelkich, nawet najbardziej idiotycznych zarządzeń i uchwał, nie odróżniał gośliwości cenzora od tzw. politycznej bystrości naczelnego redaktora, nie był też w stanie odróżnić w wielu okolicznościach roli wydawcy od zawodu pierwszego lepszego stróża porządku.

Mechanizm w skrócie cokolwiek metaforycznym tu opisany - działał, niestety, w ciągu całego okresu powojennego. Czasem potrzebował ideologicznych uzasadnień i wzniosłej aprobaty: rozumowego przyzwolenia swoich ofiar. Kiedy indziej wystarczyła mu naga, pozbawiona jakichkolwiek kwiecistych osłonek, pragmatyka siły i władzy; wymóg racji stanu na przykład. Jeszcze innym razem działał jakby opieszale, obsługiwany czy to bez przekonania, czy to wręcz po dyletancku, jednakże przychodziły i takie lata, kiedy poruszał się ze zdwojoną mocą, obsługiwany fachowo, sprawnie i zawzięcie. Dla literatury i krytycznej świadomości, poddawanej różnorodnym ograniczeniom, restrykcjom i kastracjom, nie miało przecież większego znaczenia, czy zabiegi owe nosiły charakter przymusowy i brutalny, czy odrobinę bardziej wyrafinowany, perswazyjny i pieszczotliwy. Istota rzeczy nie ulegała zmianie. Chodziło za każdym razem o to samo, o odebranie współczesnej literaturze polskiej jej najżywczej dziedzictwa i wymiaru, wymiaru politycznego, o zredukowanie do minimum jej realnego wpływu na życie publiczne, o upozorowanie jej obywatelskiego zaangażowania, przy jednoczesnym, stałym, konsekwentnym, uporczywym ograniczaniu możliwości mówienia przez nią pełnym głosem o aktualnych sprawach polskich.

Nietrudno bowiem stwierdzić, że w ostatecznym rezultacie powtarzających się z etapu na etap, skumulowanych błędów polityki kulturalnej - "błędów", które w ciągu lat przeszło trzydziestu zdążyły nabrać znamion prawidłowości, stać się już historycznym constansem - najwięcej ucierpiało właśnie piśmiennictwo polityczne. To ono, niezależnie od przemian w barwach czasu i stylach rządzenia, było tak czy inaczej, bezpośrednio lub sposobem, tkamszone, pętane, przeinaczane, wyjąkowane, zmuszane do odwrotu, wreszcie likwidowane i zastępowane imitacjami. To ono ponosiło najważniejsze uszczerbki na kartach historii literatury Polski Ludowej. Nie mogło uformować swej własnej tradycji, samowiedzy i ciągłości, kultywować pamięci wszystkich swych autentycznych wzlotów i osiągnięć. Nie mogło, pod Argusowym okiem cenzury, normalnie się rozwijać, spychane na obszary umowności, wysiłonego metaforyzmu, gier i aluzji, trzymane na uwięzi, stawiane raz za razem przed identycznym dylematem: pójść albo w stronę oficjalnego pozoru, pół- i ćwierćprawdy, zkiej wiary i wynikającego stąd wcześniej czy później pełnego zakłamania, albo w stronę wymownego zamknięcia i demonstracyjnego samounicestwienia. Tak było przez długie lata. Podejrzewane o nie wiedzieć jak zdrożne herezje, obkładane interdiktami i straszone żółtą łata, piśmiennictwo polityczne - a więc gatunki takie jak poezja obywatelska, powieść krytycznych obrachunków z władzą, literatura wielkiej dyskusji ideowej, demaskatorska eseistyka i gniewem natchniony pamflet - rozkwitały jedynie w rzadkich momentach publicznej swobody myśli i słowa, w przedświtach wolności. Rozkwitały przedko, gorączkowo, spazmatycznie. Aby później, w nierównej walce z ogromniejącym kłębem, zamierać, gasnąć, paczyć się, ugorować.

A niekiedy - egzystować w konspiracyjnym micie, w pokoleniowej legendzie, tak jak egzystowała przez blisko ćwierć wieku polityczna literatura Polskiego Października. Z całym jej fermentem intelektualnym i krytycznym, z nagłym rozwojem i awansem małej formy literackiej: felietonu, polemiki, przypowieści, eseju, opowiadania, z odrodzeniem reportażu i nobilitacją artykułu w gazecie, z "niebieskimi kartkami" Adolfa Rudnickiego, z poezją realizmu elementarnego w "Poemacie dla dorosłych" i nową formą powieści politycznej w "Matce Królów", z błyskotliwą, świetną i śmiałą publicystyką /Kott, Kołakowski, Kijowski, Kisielewski i szereg innych/, z dziesiątkami dyskusji w czasopiśmie społeczno-kulturalnych. Ale w oficjalnej historiografii literackiej polityczne piśmiennictwo tamtego czasu sprowadzało się do niewielu, czujnie przesianych, nazwisk i publikacji. Powstawał obraz literatury dalece niepełny, zdeformowany, coraz bardziej wykrzywiony, fikcyjny, a w każdym razie niezmiernie odległy od prawdziwej historii "tych paru kroków w słońcu"

/patrz: "Piękni, dwudziestoletni"/, jakie uczyniła literatura w epoce Października. Tę ubogą, spłaszczoną fikcję poznawczą starano się utrwalić w pamięci zbiorowej, zwłaszcza zaś narzucić młodym rocznikom. W końcu można było odnieść wrażenie, że jedynym bodaj upełnomocnionym świadkiem i bohaterem literatury październikowego okresu jest Roman Bratny jako autor zbioru publicystycznego "Cwierć wieku i cała przyszłość" /Warszawa 1970/.

Przygoda zupełnie innej książki - książki noszącej tytuł "Powrót do kraju" - stanowi doskonałą ilustrację wszystkiego, co napisano powyżej. Skupił się w tej przygodzie niebywale trudny, ale zarazem nie pozbawiony optymistycznej wymowy, los polskiej literatury politycznej. W zasadniczym swoim zrębie książka Wiktora Woroszyńskiego powstała bowiem jeszcze na początku 1957 roku, gromadząc pod tym samym co i obecnie tytułem dorobek publicystyczny autora z poprzedniego jakże bogatego w przeżycia, przemyslenia, w nadzieje i tragedie, indywidualne i zbiorowe - roku Pięćdziesiątego Szóstego. Woroszyński, wtedy niespełna trzydziestoletni poeta /druk jego pamiętnego, pod niektórymi względami, tomiku "Z rozmów 1955" ukończono w kwietniu 1956/, przez czas pewien redaktor naczelny "Nowej Kultury", należał do czołowych, najbardziej dociekliwych, szczerych i odważnych piór antystalinowskiego obrotu reformy. Tę z jego, między innymi, działalnością i wypowiedziami kojarzy mi się gorączka ideowa i patos historii tamtego okresu. Okresu, który się zaczął pod znakiem wielkich oczekiwań związanych z XX Zjazdem w Moskwie i odwilżą w kraju, kończył natomiast w zgrozie i żałobie dogasających dymów Powstania Węgierskiego.

"Tak się złożyło, że byłem niemal wszędzie, gdzie tego roku działa się historia" - pisał Woroszyński w artykule "Ludzie, idee, wydarzenia". Wszędzie, gdzie człowiek zmieniał skórę i usiłował odnaleźć nadzieję, przeszłość, horyzont bez wież strażniczych, wszędzie, gdzie świat pokazywał wilcze kły, brońąc despotycznego porządku i łamiąc prawo innych do wolności. Moskwa w lutym i marcu 1956. Azjatyckie republiki radzieckie w maju. Poznań w lipcu, niedługo po krwawych wydarzeniach, które zapoczątkowały sytuację rewolucyjną w Polsce. Warszawa w dramatyczne dni październikowe. Budapeszt między 30 października a 11 listopada. Oto miejsca pobytu, miejsca wstrząsów, przerażeń i uniesień, miejsca wewnętrznego oczyszczenia, miejsca refleksji i ponawianych, dręczących pytań. Szlaki wędrówek i doświadczeń, marszruta świadka epoki. Sumiennego i aktywnego świadka, jakim chciał być ten poeta-gwałtownik, reporter gorącej linii /"Dziennik węgierski"/, publicysta ostro widzących oczu /"Wokół olsztyńskiej katastrofy"/, trybun publiczny /przemówienie "Nie o literaturze" na zjeździe literatów w grudniu 1956/, intelektualista dosłownie wmieszany w historię. Cayli "zaangażowany", w pierwotnym, bo etycznie szlachetnym, sensie tego słowa.

Powstające pod ciśnieniem wydarzeń teksty przybierały częstokroć formalny charakter zapisków z dziennika, robionych na gorąco notatek, utrzymane były w stylu polemicznego przyczynku i niedierpliwego komentarza, o czym z góry oznajmiały tytuły, takie jak wymieniony już "Dziennik węgierski", jak "Cztery dni, które wstrząsnęły Polską", jak "Materiały do życiorysu", "Zapiski z życia, lektur i widowisk", "Notatki na marginesie socrealistycznych polemik", itp. Drukował je Woroszyński głównie w tygodniku "Nowa Kultura". Nieco poprawione, miały się złożyć na książkową całość. Ale jak informuje autor w nocie wstępnej, umowa podpisana w grudniu 1956 z wydawnictwem "Książka i Wiedza" została niebawem wstrzymana, w czerwcu zaś 1958 roku definitywnie rozwiązana. Przygotowana książka, zamiast do czytelników, powędrowała do autorskiej szuflady. Na lat więcej niż dwadzieścia.

Wydobyły ją na światło dzienne nowe okoliczności. Opublikowana w Londynie, powróciła do krajowego przede wszystkim adresata i odbiorcy. Powróciła w momencie szczególnym i przecieź jakoś bliskim całemu jej klimatowi: w chwili narodowego przesilenia i historycznych rozstrzygnięć. Jej problematyka spotkała się w pół drogi z wielkim ożywieniem politycznym i umysłowym ostatnich miesięcy, z kulminacyjną falą społecznego protestu; jej myśli przewodnie, jej pełne bólu i pasji rozważania, jej namiętne akcenty, jej empiryzm i krytycyzm, jej moralnie radykalne ostrze, jej wolnościowe i demokratyczne

przesłanie, „wszystko to zbiegło się z tematyką i tonacją prowadzonych dziś powszechnie rozmów. Nie sposób więc czytać, wydanej po latach, książki Woroszyńskiego li tylko antykwarycznie, widzieć w niej jedynie dokument pisarski nie naszych czasów, spóźnione świadectwo o sprawach i konfliktach dawno minionych; przebrzmiałych, zwietrzałych, pamiątkę z epoki odwilży. Nie sposób nawet poprzestać na weryfikowaniu z okazji książki Woroszyńskiego - legendy o Październiku, kiedy to stalinowska zaraza cofała się od polskich progów, zdawało się na zawsze. "Powrót do kraju" to dziennik wyleczonego, ale i coś więcej.

Coś więcej. Nie tylko z tej prostej przyczyny, że książka wzbogacona została o późniejsze dopiski, dygresje i autokomentarze, uzupełniona o ciągi dalsze, a także o inne teksty, niektóre całkiem świeżej daty, jak "List otwarty do Heinricha Bülla" napisany w maju 1977. Dzięki tym rozwinięciom i dopowiedzeniom "publicystyczny raptularz szczególnego roku" przerósł oczywiście swe początkowe założenia i ramy, nabrał znacznie szerszego charakteru. "Powrót do kraju" stał się w ten sposób jednym z faktów znamienych dla nowej sytuacji literackiej, kształtującej się w ciągu drugiej połowy lat siedemdziesiątych, stał się kolejnym i dobitnym potwierdzeniem coraz bardziej widocznego społecznie zjawiska, któremu na imię: renesans niezależnego nurtu refleksji obywatelskiej w naszej literaturze. Zachowując swój pierwotny tytuł, książka Woroszyńskiego łączy w jedno dwa odległe momenty, spina dwa brzegi czasu. Umożliwia zrozumienie biegu historii, skrytych jej przejść i powiązań między "dziś" a "wczoraj".

Czytając "Powrót do kraju" widzimy jak na dłoni, ile elementów despotycznego systemu władzy, zaklasyfikowanego niegdyś pod mianem stalinowskiego autokratyzmu, przetrwało w maskach i przebraniach aż do naszych czasów. I jak ta sama zmora źle pogrzebanej i nie do końca przewyciężonej politycznie przeszłości ciąży nad losem zbiorowym. Trudno wprost oprzeć się wrażeniu, że w wielu ujawnionych ostatnio przestępczych skazaniach "realnego socjalizmu" w Polsce mieliśmy do czynienia - z recydywą. Tak jest. z wiadomą, sto i tysiąc razy napiętnowaną, opisaną, zanalizowaną recydywą biurokratycznego zwyrodnienia "ludowej władzy". Czyż w żywotach naszych licznych cesarów nie przejawiała się raz jeszcze atrakcyjność i żywotność modelu stalinowskiego wielkorządcy? Wystarczy zobaczyć, co o "posiadłościach upadłych chanów" - stalinowskich satrapów, w rodzaju pierwszego sekretarza KC Azerbejdżanu, Ba-girowa, i premiera tejże republiki, Temira Kulijewa, pisze Woroszyński w reportażu "Azja, wiosna 1956". Jakże uderzające zbieżności i tragifarsowe analogie, choć naturalnie polsko-wojewódzka skala - mniejsza, zaledwie skopio-wana. Te okazałe rezydencje i wspaniałe pałace w otoczonym murami parku, zamienione potem na siedziby rolniczych instytutów naukowo-badawczych; te pyszne dobra - "z basenami, oranżeriami, terenami łąkiewskimi, do których z północy sprowadzano jelenie..."; ta partia w partii, partia wąskiej kamaryli, uprzywilejowanej, rozpasanej konsumpcji, jaskrawej nierówności, wyobcowania od reszty narodu; ta pycha kacyków; i ci zauszniczy od kultury i propagandy... To wszystko już było. W Azji radzieckiej. W Poznaniu. Na Węgrzech. I w województwie olsztyńskim. Nieduża rozmiarami książka Woroszyńskiego przynosi prawie kompletny zbiór elementów do definicji stalinizmu.

"Stalinizm - to między innymi gwałt zadany ekonomice /w szczególności - rolnej/, ignorowanie rzeczywistej sytuacji gospodarczej, tuszowanie jej nieschematycznych przeciwieństw i polityczne rozmuchiwanie fikcji ekonomicznej, to ruina i nędza za dumną fasadą 'zwykłej' koncepcji".

I drugi, immanentny, a zatem skłonny regenerować się i powtarzać, element tego systemu. "Stalinizm - to nie tylko gwałt zadany ekonomice, to również stały gwałt zadawany ludziom - jednostkom i grupom, to system terroru, szpicłostwa, prowokacji, brutalnego nacisku dla osiągnięcia pozorów jedności moralno-politycznej narodu".

Jak widać choćby z tych dwóch przytoczeń, książka Woroszyńskiego mówi o zjawiskach i rzeczach nie całkiem minionych.

Nazywa i odsłania ich rodowód. "W pierwszych latach po wyzwoleniu wielu z nas szło do partii z całą wiarą, że służymy własnemu krajowi, własnemu na-

rodowi, własnej sprawie /.../. Ale proces stalinizacji Polski, jak i innych krajów demokracji ludowej, polegał na tym, że autentyczne pierwiastki najszej rewolucji były nieubłagane wypierane przez treści i formy obce. /.../ Co najważniejsze, klasa robotnicza, która w 45 r. przejęła fabryki, została niepostrzeżenie wykląszczona i odsunięta od możliwości decydowania i poprawiania własnego bytu - stopa życiowa obniżyła się, robotnikom odbierano nawet przywileje, wywalczone jeszcze za kapitalizmu - sprzeczności pomiędzy interesami klasy robotniczej a rzekomym interesem społecznym stawały się coraz ostrzejsze".

Prowadząc tę celną wiwisekcję spotworniającej a tak bliskiej przeszłości, publicysta ostrzega nieustannie przed nawrotami "stalinizmu bez Stalina", znajdującego nadal podatny grunt i poparcie wśród biurokracji partyjno-państwowej i w organach represji. Ostrzega przed możliwymi nawrotami, które zdają się grozić przede wszystkim tam gdzie nie ma "rzeczywistej wielopartyjności, uczciwej dyskusji i walki politycznej", i zwłaszcza wtedy, gdy absurdalnym ograniczeniom ulega wolność słowa, wolność informacji, "wolność analizowania istotnych zjawisk przeszłości i teraźniejszości". "Jestem przeświadczony - mówi Woroszyński na partyjnym zebraniu literatów w 1957 r. - że bez tych dyskusyjnych analiz już jutro naszemu eksperymentowi zabraknie tchu".

W tytule cytowanego przemówienia widnieje dramatyczny pytańnik: "Co dalej?" Odpowiedź znaleźć można w późniejszym o lat dwadzieścia "Liście otwartym do Heinricha Bölla". Jest ten list czyś w rodzaju ponurego posłowie do książki. Złe przepowiednie się spełniły. Kraj wchodził w apogeum cichego zniewolenia: "coraz trudniej więc naprawdę liczyć, że doczekam chwili, kiedy coś się wokół mnie radykalnie zmieni; straciłem ostatecznie iluzje, iż w tym systemie /mniejsza o to, jak go nazwiemy/, nie pozbawionym niegdyś również pierwiastków twórczych, coś z nich zostało albo mogłoby się odrodzić; ci, którzy ten system uosabiają, zdolni są jedynie do tępej niwelacji, do mściwej destrukcji wszystkiego - żywej tkanki kultury, autentycznych więzi społecznych i każdego z osobna losu ludzkiego". Na szczęście inaczej brzmiącą puentę dopisała książka rzeczywistość. Rzeczywistość powszechnego sprzeciwu. I tej samej co zawsze nadziei na odmianę narodowych losów.

Tomasz Burek

Stefan Kisielewski

WOŁANIE NA PUSZCZY

MOJE WYZNANIE NIEWIARY

Spotykam się często z różnymi pretensjami pod moim adresem - formułują je zawiedzeni czytelnicy i obserwatorzy. Zarzucają mi oni, że zdradziłem to lub owo, na przykład, że zdradziłem liberalizm, racjonalizm, pozytywizm, demokratyzm, humanizm i wiele innych rzeczy zależnie od wyboru i upodobania zarzucających. Odpowiadam im niezmiennie, że żadnego z wymienionych "izmów" zdradzić nie mogłem z tej prostej przyczyny, iż do żadnego nie zgłaszałem trwałego, ideowego akcesu, traktując je co najwyżej jako postawy przejściowe, pomocniczo-taktyczne. Zasadniczą zaś moją, nadrzędną, postawę wyraża fakt, że od 35 lat pisuję niemal wyłącznie w katolickim "Tygodniku Powszechnym" /także przed wojną unikałem pism tzw. laickich/. Zaś katolicyzm jako religia nie obiecuje ludziom na ziemi ani demokracji, ani autokracji, ani liberalizmu, ani humanizmu, ani trwałego triumfu żadnej w ogóle doktryny czy ideologii. Religia obiecuje tylko działanie łaski i indywidualne zbawienie czy potępienie duszy. I religia tak mało się zmienia, podczas gdy świeckie wiary i nauki zmieniają się tak bardzo...

Wielu moich adwersarzy nie chce brać tej odpowiedzi na serio, uważając ją za unik. Ludzie często najpoważniejszych rzeczy nie biorą na serio, gdy nie mieszczą się one w ich pojęciach czy myślowych przyzwyczajeniach. Ja w dodatku mam takiego pecha, że pisanie moje rozproszone jest w tysiącu małych form, w różnych miejscach i okresach, tworzone w dodatku pod różnymi pretekstami tematycznymi i formalnymi. Zdane jest więc na ludzką krótką pamięć i zgoła niepamięć oraz na przyrodzony niejednemu brak skłonności do syntezy. Wierzę jednakże, że jeśli kto zechce zainteresować się moim pisaniem jako całością, to uda mu się w przyszłości dokonać owej syntezy, rozpraszając nieporozumienia. Niechże więc niniejszy felieton będzie dla tego kogoś ułatwiającą zadanie wskazówką.

Nie wierzę w obiektywną a trwałą wartość i użyteczność żadnej ludzkiej postawy, ideologii, czy nauki, wszystko to są w życiu ludzkości tylko HIPOTEZY POMOCNICZE, pozwalające rozstrzygnąć pewne problemy odcinkowe na pewnym etapie i w pewnym środowisku. W podobny właśnie wycinkowy sposób posługiwałem się w moim myślowo-polemicznym życiu postawami czy propozycjami postaw, takimi jak pozytywizm, racjonalizm czy liberalizm, gdy tylko jednak wykazywały one aspiracje, aby zastąpić w moim mózgu jako stała metoda, idea czy doktryna - porzucałem je co prędzej. Bowiem wszelkie stałe metody, idee i definicje uważam za złudy; w świecie ludzkim wszystko okazać się może relatywne i zmienne, wierzę tylko w TAJEMNICĘ, w tajemnicze przeznaczenie moralne każdego poszczególnego człowieka. Nie wierzę w ludzkie cele zbiorowe, wierzę w indywidualne. I dlatego właśnie pisuję nie gdzie indziej, tylko w "Tygodniku Powszechnym". Pismo to bywa uniwersalne, pluralistyczne, zmienne, ale indywidualistyczne, moralna tajemnica człowieka jest tu zawsze obecna, brzmi jak stały leitmotiv, ukryty pod zmiennością tematycznych treści.

Czy tajemnicę pojmujemy jako coś w ogóle nie do zbadania, czy też jako coś jeszcze nie poznanego, co stopniowo da się rozszyfrowywać? - wszak nasza wizja świata bardzo się zmieniła od Arystotelesa do Einsteina! Trudno mówić o tym co będzie w przyszłości /świata, człowieka?/, zwłaszcza, że i czas i byt to w końcu pojęcia względne, o których niezmiennym obiektywizmie mocno powątpiewa właśnie współczesna nauka /"wiem, że coraz mniej wiem"/. Pewne jest jednak, że człowiek wciąż konstruuje sobie różne świeckie postawy, punkty widzenia, systemy moralne czy poznawcze, mające go zbliżyć do tajemnicy. Są pożyteczne ale przejściowe, pamiętać warto, że traktowane zbyt poważnie,

mogą ogromnie zawieść, okazać się systemami złud. Logika jest w pewnych warunkach złudą, nauka jest czy może być złudą, ideologia jest złudą. Złudne też i dwuznaczne okazać się mogą takie w obyczaj mowy już wrosnięte słowa jak: "postęp" i "zacołanie", "lewica" czy "prawica", "idealizm" czy "materializm", "reakcja" czy "demokracja". To są formułki, kryjące częstokroć treść zgoła przeciwną, myślimy słowami, a słowa mają treść zmienną. Na przykład typowo konserwatywnie i schematycznie myśląca inteligencja francuska uważa się za lewicową i obrazoburczą tylko dlatego, że posługuje się frazeologią Wielkiej Rewolucji, a przecież rewolucja ta w swej istocie /mimo wszystkich ideowych odchylen czy politycznych zygżaków/ przypieczętowała zwycięstwo mieszczańskiej burżuazji nad feudalną arystokracją. Kraj o przeważającej orientacji konserwatywno-prawicowej, który myśli, że jest lewicowy - oto dobitny przykład względności wszelkich słownych formułek. Każde słowo może niezauważalnie zmienić swą treść na przeciwną. Przy czym każdy, nawet niewątpliwy ludzki postęp również bywa dwuznaczny: w epoce naszej na przykład osiągnęliśmy olbrzymi postęp w leczeniu chorób i przedłużaniu życia człowieka, lecz co najmniej zrównoważone to zostało olbrzymim postępem w... zabijaniu całych narodów wraz z dziećmi i kobietami, przykładem losu narodu żydowskiego w Europie.

Zdarza się irracjonalizm o pozorach racjonalnych, zaś bezapelacyjny racjonalizm bywa też zbiorem hipotez, pomocniczych, bo ułatwiających niektórym życie psychiczne i zadowolenie z siebie. Hitlerizm miał formę teorii racjonalnej wręcz przyrodniczej /nauka o determinizmie rasowym, wobec zwierząt doskonała sprawdzalna/, okazał się zaś irracjonalnym fanatyzmem, który porwał za sobą przeważającą większość nowoczesnego europejskiego narodu. Niedawno pewien mój znajomy Niemiec wyraził powątpiewanie na temat emigracyjnych pamiętników Tomáša Manna: wielki pisarz sądził, że społeczeństwo niemieckie zostało w większości przez Hitlera sterroryzowane, mój Niemiec sądzi, że zostało po prostu PRZEŁONANE. Istotnie: kto miał do czynienia podczas okupacji z hitlerowskim wojskiem ten wie, że była to armia jak najbardziej IDEOWA. Każdy, najprostsz nawet żołnierz umiał na pamięć teorie Rosenberga i historiozofię Goebbelsa, w razie potrzeby śpiewał ją z pamięci jak z nut. Zwycęstwa militarne potwierdzały słuszność teorii i usprawiedliwiały wszelkie gwałty, dopiero klęska kazała sprawę zrewidować. Taka jest względność i elastyczna podatność umysłu ludzkiego, z którym zdarzyć się może wszystko... Przesady racjonalizmu mogą okazać się bardziej szkodliwe i irracjonalne niż okrzyki przesady i obawy irracjonalizmu.

Jednym z najniebezpieczniejszych ludzkich złudzeń /jeśli zostaną wzięte zbyt serio/ bywa nauka i tzw. światopogląd naukowy. To ostatnie jest w ogóle fikcją, opartą na wewnętrznej sprzeczności, bo przeciętnie normalny człowiek ani wie, co to jest nauka, ani jej nie zna i nie rozumie, poza tym nauka wciąż się zmienia. Przede wszystkim zaś istnieją, co wielokrotnie podkreślałem, dwie kategorie nauk: nauki humanistyczne, subiektywne, i nauki przyrodnicze, fizykalne, mające ambicje obiektywizmu. Podział ten jest na pewno uzasadniony, zważywszy wyjątkowość /przynajmniej dla nas/ problematyki ludzkiej w nieożywionym wszechświecie.

Nauki humanistyczne, tyjące się człowieka, jak psychologia, socjologia, ekonomia, historia, filologia, politologia, filozofia /?/ i inne mieszają uroszczenia co do swej ścisłości, jednoznaczności i obiektywizmu, lecz są w istocie tylko uroszczenia. W rzeczywistości dyscypliny te, choćby ujęte w formę naukową, jak psychoanaliza, to typowe, mniej lub więcej usystematyzowane zbiory hipotez, pozwalających ludziom ustawiać tak czy inaczej swą wewnętrzną postawę i "roboczo" bronić się przed życiem. Choćby jednak cała Ameryka z głębokim, autosugestywnym przekonaniem uczęszczała do lekarzy-freudystów, trudno w tym dopatrzeć się naukowego obiektywizmu, poza subiektywnymi pożytkami, płynącymi z autosugestii właśnie, która własnym chęciom przypisać jest skłonna awans do rangi praw ogólnych. Hegel, Taine, Freud, Lévi-Strauss, Jung, Fromm, Adorno, Sartre, Marcuse, Chomsky to nie żadni naukowcy, to swego rodzaju fantasty, wirtuozi, czasem szarlatani, dostarczający ludziom pewnych duchowych używek, pewnych - do wyboru - kolorów psychicz-

nych. Nawet na tak konkretnych faktach i badaniach oparta nauka jak historia, daje okazję do najrozmaitszych, nieraz przeciwnych sobie, teorii interpretacyjnych - oto przyrodzone, nieuniknione cechy humanistyki, odzwierciedlającej zresztą bogactwo ludzkiej duchowości: subiektywizm, zmienność, hipotetyczność.

Z drugiej strony mamy nauki ścisłe, przyrodnicze, jak fizyka, mechanika, termodynamika, chemia, astronomia i dyscyplina metodologiczna pomocnicza dla ludzkiego umysłu: matematyka. Te nauki dają nam konkretne, wspaniałe rezultaty, w postaci zadziwiających, potwierdzających obiektywizm wiedzy wynalazków, przetwarzających życie ludzkości. Tylko że jako podstawa dla praktycznego światopoglądu nauki te są nieprzydatne, bo są moralnie i ideologicznie obojętne, mogą służyć wszystkim panom i wszelkim celom, bomba atomowa może być użyta w intencjach i złych i dobrych. Poza tym nauki przyrodnicze wciąż się zmieniają: daleka jest droga od Newtona do Einsteina i Nilsa Bohra, od mechaniki klasycznej do kwantowej. Większość ludzi za zmianami tymi nie podąża, wręcz ich nie rozumie: jakże tu zmienić tradycyjny naukowy racjonalizm dostosowując go do indeterminizmu, wynikającego z mechaniki kwantowej? A zmienność pojęć o materii? jak wpłynąć ona musi na naszą wizję świata? Do tego jeszcze Heisenberg twierdzi, że rozwój dzisiejszej fizyki, a więc i naszego obrazu kosmologii, zależy jest od całkowicie subiektywnych postaw badaczy, którzy nieraz przypadkowo obierają sobie taki czy inny kierunek eksperymentów. Jakże tu konstruować sobie "światopogląd naukowy", przydatny człowiekowi na co dzień, opierając go na czymś nieznanym, zmiennym, trudnym, a moralnie obojętnym?

I tu, w związku ze złudzeniami pseudoscientystów, mała dygresja na temat, który bardzo mnie poruszył. Chodzi mi o pośmiertnie wydrukowany wywiad z Antonim Słonimskim /"Tygodnik Powszechny" 1980, nr 27/, w którym zmarły pisarz ostatni raz dał wyraz przyświecającym mu przez całe życie ideałom nauki i rozumu, upatrując natomiast źródło współczesnych nieszczęść wojennych i innych w irracjonalizmie, w odejściu od praw tegoż rozumu.

Osobiście poruszył mnie ten Głos zza grobu, całe bowiem życie wojowałem ze śp. Słonimskim publicznie i prywatnie o tę właśnie sprawę. Wyrzucałem mu ogólnikowe powoływanie się na naukę, której nie znamy i którą dowolnie interpretujemy, wyrzucałem uporczywy kult H.G.Wellsa, który mimo swej reklamowanej, prostoliniowej naukowości, okazał się w polityce fantastą i szarlatanem, stawiającym na totalizmy. Burzliwa moja dyskusja z autorem "Torpedy czasu" miała miejsce na parę jeszcze dni przed Jego tragicznym zgonem, a na dzień przed śmiercią ucałował mnie w Alejach Ujazdowskich, łagodząc konflikt stwierdzeniem, że mimo różnicy poglądów w kwestiach moralnych się dogadamy. Lecz nawet w tym stwierdzeniu widzę przejaw iluzji, jakimi karmił Go przez całe życie rzekomy światopogląd naukowo-humanistyczny. Wszakże prorocze wręcz czasem kampanie Jego, toczone w latach 1936-39 w imię racjonalizmu i pacyfizmu z nadchodzącym antyhumanistycznym faszyzmem czy hitleryzmem, okazały się w rezultacie bezsilne, niczemu nie zapobiegły, na terenie racjonalnym poniósł klęskę, nie on jeden zresztą. Natomiast sukcesy życiowe i moralne czerpał Słonimski z dziedzin właśnie irracjonalnych: ze swego ogromnego talentu, prowadzonego przez pozakrytyczną intuicję, a także z wewnętrznego, apriorycznego przekonania moralnego /"Prawo moralne we mnie"/. Symbolem irracjonalizmu, który Go wiódł w istocie, było, że on, sceptyk programowy, znalazł się w końcu także w piśmie katolickim...

Dziedziną, gdzie przebadac można a raczej prześledzić irracjonalizm kierujący w sumie losem ludzkich zbiorowisk, jest polityka - stąd też dyscyplina ta /jeśli można ją tak nazwać/ fascynowała mnie całe życie. Trudno nazwać ją dyscypliną, bo jest domeną irracjonalizmu, intuicji i talentu, a także przypadku, nauczyć się jej nie można, nie jest fachem, kierują nią uzdolnieni czy natchnieni amatorzy. Jest bardzo ludzka, bo pozanaukowa, nie teoretyczna, przez to na wskroś praktyczna, choć nieraz posługuje się motorem idei. Jej ewentualne wskazania teoretyczne mają też w istocie charakter praktyczny i funkcjonują w pewnym tylko, określonym i ograniczonym czasie i miejscu, jak np. teoria "równowagi sił", czy wszelkie teorie terytorialno-imperialne lub

gospodarcze, polityka bowiem z reguły tworzy konstrukcje nietrwałe, wcześniej lub później przemijające, a przyczyny i zasady tego przemijania są dla zainteresowanych tajemnicze, nieraz dające się wykryć dopiero post factum. Tak, trudno nazwać politykę dyscypliną, bo cóż to za dyscyplina, której ogólnych, ponadczasowych zasad ustalić nie sposób? Wszak w historii ludzkości niewiele jest dzieł, które by się o kodyfikację takich zasad pokusiły. Najwybitniejsze z nich to "Książę" Machiavellego, ale na pewno książka ta nie napełni nikogo "humanistycznym optymizmem". Musiałaby bowiem polityka /bo i musi/ iść dla człowieka przeciw człowiekowi, być zawsze niemoralną, choćby broniła moralności. Między moralnością zbiorową a jednostkową ustawiono tu mur - a fakty niestety tę rzecz chętnie potwierdzają.

Wielu naukowców czy ludzi żyjących iluzją światopoglądu humanistycznego, a opartego na zdobyczach nauk ścisłych i rozumu, nie chce dostrzegać faktu, jak często wiedza i skuteczność polityczna rozwija się samoistnym fatalizmem, całkowicie ignorując zasady racjonalne, bo też i jest to "dyscyplina pozaracjonalna". W warszawskiej "Kulturze" w bardzo ciekawym artykule "Fizycy i cywile" prof. Włodzimierz Zawadzki cytuje głos pewnego docenta na temat znaczenia światopoglądu naukowego. Docent troska się bardzo, czy indeterminizm zawarty w mechanice kwantowej nie odgrywa roli "w kryzysie intelektualnym współczesnego świata, przejawiającym się m.in. w ruchach irracjonalnych". Dalej prof. Zawadzki przytacza głos naszego wielkiego fantazjologa/moje stowo! naukowego Stanisława Lema, który zastanawia się "nawet" czy nie "jest" śmiły świadkami trwałego regresu śródziemnomorskiego racjonalizmu i całej humanistycznie zorientowanej a zarazem empirycznie działającej kultury". Prof. Zawadzki dodaje tu, że "fizyka jest niewątpliwie jedną z lokomotyw racjonalizmu i empiryzmu". Czytając to szczypałem się w rękę, zapytując czy przypadkiem nie śnię. Na jakim księżycu żyli dotąd ci Panowie i co sprawiło, że się nagle budzą?! Wszak kłapa i plajta "śródziemnomorskiego racjonalizmu" nastąpiła znacznie, może wiele wieków przedtem, nim patetyczny Mussolini /człowiek niewątpliwie śródziemnomorski!/ wypowiedział wojnę Etiopii a potem Francji i Anglii. Rządy naukowców są dotąd nieosiągalną utopią, rządy Mussolinich bywają od tysiącleci empirycznie stwierdzalną rzeczywistością. A fizyka nie jest tu zgoła "lokomotywą empiryzmu", raczej lokomotywą iluzji i nieznamości człowieka, tudzież jego irracjonalnych na tej ziemi przygód.

Skoro więc nie wierzę w absolutną humanistyczną wartość nauki, racjonalizmu, ideologii, skoro jako na przejściowe hipotezy patrzę na hasła liberalizmu, pozytywizmu, pacyfizmu /i innych "izmów"/, zatem, zapyta ktoś, co polecam jako busolę, jako podstawę systemu pozytywnego ludzkiego działania? Odpowiem na to krótko, nie jest to bowiem tematem niniejszego szkicu, który jak świadczy tytuł, ma być przede wszystkim kodyfikacją przedmiotów mojej niewiary. Odpowiem ogólnie, że należy, ówszem, praktykować "izmy", a także nawet w miarę okoliczności walczyć w ich imię co siłą, ale zdając sobie zawsze sprawę z ich pomocniczego tylko charakteru "hipotez roboczych", ważnych dla nas przede wszystkim subiektywnie, jako instrument życiowej walki i wspierania się moralnego. W żadnym wypadku nie należy tych ziemskich koncepcji ubóstwiać, ani popadać w rozpacz i zakłamanie, gdy zawiodą. One łatwo mogą zawieść, gdyż z natury są tylko chwilowym instrumentem, który ludzkości nie zbawi, a służy przede wszystkim indywidualnym celom moralnym, jedynym, o których jednostka ludzka, posługująca się psychologicznym autoempiryzmem czyli introspekcją, może na pewno orzec, że są realne. Antoni Skonimski lubił w tym wypadku cytować znane powiedzenie Kanta: "Niebo gwiazdziste nade mną - prawo moralne we mnie". Prawo moralne, co zaniedbywał dodać, wzięte z czystej intuicji, z wewnętrznego objawienia, często zgoła nie racjonalne.

Jako fasada czy rama działań człowieka chcącego żyć pozytywnie pozostaje więc ogólnikowy pragmatyzm, zabarwiony pewnym dialektycznym poczuciem względności pomocniczych norm i ideałów, a na dłuższą metę, czemuż by nie, nawet pesymizm. Są do niego podstawy w świecie, gdzie droga do dobra prowadzi często przez nieuniknione zło, wolności czy pokoju bronić trzeba przez gwałt, a dobrymi chęciami i pięknymi ideami wybrukowano piekło. Jest więc jednostka ludzka stale wydana na łup dwuznaczności, na łup szatański. Wszak

szatan otrzymał od Stwórcy prawo kuszenia, jest zatem również stale z nami. Jakie są jego szanse?

Tu wróć na zakończenie do katolicyzmu i do "Tygodnika Powszechnego". Jak wszyscy wsłuchując się chciwie i pilnie w głos "naszego" Papieża, jak wszyscy czerpię z Jego przemówień, kazań, homilii mnóstwo myśli pięknych, prawd i objawień cennych, darów wiary i nadziei. Ale może przyrodzona skłonność do manicheizmu lub mało uświadomione, ale pracujące gdzieś we wnętrzu kalwińskie sugestie o tragicznym determinizmie człowieka każą mi szukać w naukach papieskich wiadomości także o grożących a nieodwołalnych w razie zwycięstwa niebezpieczeństwach moralnych, o sile i gatunku zła, o potędze szatana. Wszak człowiek jest skażony, a zło penetruje zewsząd. Lecz mało o nim słyszę, o indywidualnej walce i indywidualnych spotkaniach z diabłem, a także jego szansach w tej walce!

Może Ojciec Święty nie chce o tym mówić, może uważa, że nie należy ludzi przygnębiać i osłabiać, że w toczonej nieustannej bitwie wewnętrznej trzeba dać człowiekowi przede wszystkim broń, dać skuteczny instrument pozytywny: wiarę, nadzieję, miłość? Tak, ale... Ale negatyw też istnieje, jako nieodłączny towarzysz pozytywu...

Czy ten, co mówi "tak, ale..." będzie odepchnięty, jak zdarzyło się to kiedyś pewnemu politykowi we Francji? Czy cenniejsze i jedynie wartościowe jest samo "tak"? Zastanawiam się nad tym przez całe moje dotychczasowe życie i zastanawiać się będę dalej. A na razie przypomniałem mój kodeks niewiary i spis małych świeckich wiar, pożytecznych, lecz tylko pomocniczo i hipotetycznie. Kodeks niewiary, czyli spis ziemskich dogmatów rozumu, w które nie wierzę, bo złudy i szaleństwa racjonalizmu gorsze być mogą, niż z góry jako szaleństwa zapowiadane ekscesy irracjonalne.

Stefan Kisielewski

Andrzej Szczypiorski

DEJGÓPISEM NA MARGINESACH

PODZWONNE DLA RACJONALIZMU

Trzeba się zestarzeć, by odkryć piękno piśmarstwa Stefana Zweiga. Może i to piśmarstwo musiało się zestarzeć, nabrać pewnej patyny, dostojności. Odcędzone z anachronizmów obyczajowych nabiera dziś aktualności. Szczególnie "Świat wczorajszy", utwór pisany na emigracji w Ameryce Południowej, w czasie ostatniej wojny. Ukończywszy tę książkę - Zweig wraz z żoną popełnili samobójstwo. Nie chcieli przeżyć swego świata, który umarł tak niegodnie. Może dlatego jest dla mnie Zweig zawsze bardziej obywatelem Europy, zawsze bardziej nieszczęśliwym, tragicznym człowiekiem niżeli piśmarzem. Czuł się odpowiedzialny, oszukany, wyszydzony. Jak Rzymianin - odszedł z własnej woli, gdy zawalił się świat jego wartości.

Był mistrzem w rysowaniu postaci kobiecych. Zapewne pozostawał pod dużym wpływem Zygmunta Freuda. Należał do tych nielicznych piśmarzy naszego wieku, którzy z wielkim współczuciem, niepokojem i delikatnością podejmowali w swych utworach problematykę płci. Powiadam, że należał do grona nielicznych, co może się wydać komiczne, biorąc pod uwagę owe sterty papieru zadrukowane rozmaitymi, erotycznymi historyjkami, w jakie obfituje współczesne piśmiennictwo artystyczne. Lecz te historyjki, nawet niekiedy zgrabne i pociągające, zajmują się nade wszystko opisem przygód miłosnych, a konflikty charakterów, wynikające z uwarunkowań seksualnych traktują schematycznie, banalnie, albo w ogóle nie poświęcają im uwagi. Te wszystkie ładne kobiety, skłonne do fig-

łów w łóżku, nie przeżywają głębszych dramatów, zupełnie tak, jakby ~~drzwi~~ przestały istnieć. Tymczasem one są wciąż obecne. I trzeba Stefana Zweiga albo Somerset-Maughama, aby znów je odnaleźć na kartach literatury. Lecz Zweig dzisiaj jawi się mi nade wszystko jako autor "Świata wczorajszego", książki niesłusznie zapomnianej, pokrytej kurzem. Nie idzie tu o wspomnienie z czasów Franciszka Józefa. W tej mierze dzieła Rotha pełniej, chyba oddają klimat tamtej epoki. Idzie tu raczej o pewne analogie, przez Zweiga nieprzeczuwane w roku 1941, które dzisiaj nakazują czytać tę książkę z ogromną czujnością i niepokojem.

Z każdej karty "Świata wczorajszego" emanuje rozpacz, że oto runął pewien model życia, utrwalony przez czterdzieści lat pokoju w Europie. Autor sądzi, iż on i jego środowisko, dźwigają współodpowiedzialność za katastrofę, jaka się przydarzyła światu w roku 1914. Do ostatniej niemal chwili Zweig i jego przyjaciele nie wierzą w wybuch wojny. Romain Rolland, który wywarł wielki wpływ na Zweiga, jego pacyfizm, jego wiara w siłę moralną intelektualistów, jego przekonanie, że zdrowy rozsądek zwycięży, a masy nie puszczą do rozlewu krwi bratniej Europejczyków - wszystko to brzmi dziwnie, żałośnie, a zarazem jest bardzo znajome. Europa, która się rozwija, kwitnie, w której coraz więcej powszechnego dostatku. Wapantele wynalazki, ułatwiający i uprzyjemniające życie. Granice, które nie dzielą, lecz łączą. Mądrzy mężowie stanu. Wielkie ruchy masowe. Międzynarodowo uczonych i artystów. Co więcej, jest to epoka - jak pisze Zweig - która dokonała wielkiego przeobrażenia obyczajów. Po roku 1900, a już na pewno po roku 1905 legły w gruzach dziewiętnastowieczne, fatalne, pruderyjne kodeksy mieszczańskie. Nastąpiło wyzwolenie kobiety. Swoboda obyczajowa. Koleżeństwo płci. Sport i turystyka. Ludzie swobodnie podróżują, nie tylko zresztą przedstawiciele klas posiadających, ponieważ rozwój oświaty i postęp cywilizacyjny sprawiają, że awans społeczny staje się zjawiskiem o kolosalnym znaczeniu. Synowie robotników i chłopów stają się inżynierami, lekarzami, uczonymi. Zaczynają zwolna zniknąć slumsy wielkomiejskie, walka z analfabetyzmem przynosi błogosławione rezultaty, związki zawodowe rosną w siłę, robotnik odgrywa coraz bardziej znaczącą rolę na arenie życia publicznego.

Zapewne, obraz malowany przez Zweiga jest nazbyt optymistyczny. Kiedy opisuje się czasy minione, czasy własnej młodości - niepodobna tu i ówdzie uniknąć sentymentalnej przesady. Lecz nie idzie tutaj o szczegół, o ocenę konkretnych wydarzeń, która może być zawsze cokolwiek stronnicza. Idzie o ów klimat intelektualny, o nastrój, przenikający wyznania Zweiga, i - jak sądzić można z jego relacji - dość powszechny wśród wykształconych elit tamtego czasu. Była to wiara w Europę, w rozsądek, w trwałość pokojowych struktur, w siłę perswazji moralnej, w postęp. W gruncie rzeczy wszyscy ci ludzie ówczesni byli spadkobiercami optymistycznego racjonalizmu schyłku XVIII wieku, uczniami Rousseau, Diderota, Encyklopedystów. Potwierdza to wstrząs, jakiego doznał Zweig zetknąwszy się później z Europą po roku 1918, wydaną na łup magii i szamaństwa. Wtedy rozpadający, uładowany świat jego młodości już nie istniał. Rozumowi ludzkiemu zadano straszliwy cios. Międzywojenne dwudziestolecie stanowiło dalszy ciąg kryzysu wartości, który osiągnął swoje apogeum w latach 1939-1945.

Zweig nie doczekał, bo nie chciał doczekać, odrodzenia Europy. Myślę, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych - gdyby żył i czynnie uczestniczył w życiu publicznym - należałby do tych niepoprawnych entuzjastów europejskiej jedności, którzy w pocie czoła organizowali rozmaite kongresy pokojowe, zjazdy intelektualistów i trybunały antywojenne. Znow wierzyłby w zdrowy rozsądek, pojednanie, nadrzędność humanistycznych zasad oraz potęgę rozumu. Znow głosiłby, jak w latach 1900-1914, triumf racjonalizmu. To było nawet uzasadnione w pierwszym, powojennym ćwierćwieczu. Lecz oto w bezmała lat czterdzieści od końca wojny Europa jest skłócona. W europejskich miastach grasują bandy oszalałych terrorystów spod znaku prawicy i lewicy. Najciemniejsze, najbardziej irracjonalne hasła porywają masy ludzkie. Żelazne prawa hordy dochodzą coraz wyraźniej do głosu. To, co niegdyś zwano pacyfizmem, a w pierwszym powojennym dwudziestolecu ruchem obrońców pokoju - jest

dzisiaj żalosnym mitem przeszłości. Dzięki politycznym cwaniakom i manipulato-
 rów z jednej, a humanistycznych, naiwnych entuzjastów z drugiej strony - le-
 gło w gruzy. Fakt, że Europa wskutek szczególnego splotu okoliczności uch-
 ronika się przed konfrontacją zbrojną, nie może nikogo pocieszać. Świat pło-
 nie, ludzie giną, wojny trwają, tyranie triumfują. Europa wciąż podtyka świa-
 tu swoje obolące, poranione członki, wciąż usiłuje zachować swoje wątpliwe
 pierwszeństwo w dziedzinie cierpienia, ofiar i heroizmu - ale już została zape-
 wne zdystansowana. Popioły Oświęcimia, dobry Boże! Potem były rzeki indone-
 zyjskie, pełne krwi, piramidy z trupów ludzkich w Białym, Wietnam, Etiopia,
 Bliski Wschód, Afganistan. Miliony złotych, czarnych, białych. Pieski świat
 Jacopettiego! Pod tę pozornie sytą, spokojną, zadowoloną, racjonalistyczną
 gębą współczesności - kryje się szyderczy grymas diabła, o jakim ludzie w
 epoce Zweiga nie mieli jednak pojęcia.

Jest w "Świecie wczorajszym" przeczucie, że historia podlega strasznym
 mechanizmom. Układzony, spokojny, racjonalistyczny świat podszyty jest szale-
 ństwem, które pewnego dnia rozsada wszystkie tamy, niszczy wszelki porzą-
 dek rzeczy, wydaje rozumne i na pozór trwałe struktury na łup irracjonalnej
 wściekłości. Zwodnicza równowaga sił, papierowe alianse - wszystko to przes-
 taje odgrywać jakąkolwiek rolę, gdy nagle, dziełem przypadku, wyzwalają się
 niszczące siły, tkwiące gdzieś w ludzkiej podświadomości. Wszelkie teorie
 ekonomiczne, politologiczne, socjologiczne, tak przekonująco i gładko
 brzmią w czasach spokoju - okazują się funta kłaków niewarte w chwili wiel-
 kiego wyboru. Co więcej, ten wybór też jest pozorny, nie wynika wcale z ro-
 zeznania rzeczywistości, z jakiegokolwiek rachunku, ze zdrowych zmysłów, ale
 przychodzi niejako z zewnątrz, jako rodzaj mistycznego, magicznego wyzwania,
 któremu bez oporu ulegają narody i klasy społeczne.

Lektura Zweiga, wbrew intencjom autora, skłania do przeświadczenia, że
 historia nie jest rozumna. Ci, co zawierzyli rozumowi, okazują się szczegól-
 nie niebezpieczni. Pozostaje otwarta kwestia - czemu wobec tego zawierzyć?
 I ^{Czy} rzeczywiście jesteśmy nieodwołalnie skazani na świat, który wciąż zmierza
 ku zagładzie?

Andrzej Szczypiorski

L I S T Y D O R E D A K C J I

Wacław Iwaniuk.
263 Keewatin Avenue
Toronto, Ontario, Canada
M4P 2A4

24 lipca 1980 r.

Drodzy Redaktorzy "Zapisu"!

Właściwie ten list to przysłówkowy groch o ścianę. Bo gdzie Rzym, gdzie Krym. Gdzie Warszawa, a gdzie Toronto. Ale nie chodzi tu tylko o odległość, bo co dla odrzutowca tych kilka tysięcy kilometrów; nie ocean i nie kontynent europejski nas dzieli.

Proszę mnie źle nie rozumieć, nie są to słowa zarzutu, zwłaszcza pod Waszym adresem. Przeciwnie, jestem z pełnym uznaniem dla Was i Waszej roboty, a znając warunki w jakich musicie wydawać "Zapis", związane z tym niebezpieczeństwo, wysiłek Wasz, który historia należycie oceni, zasługuje na szacunek i pełne poparcie.

Być terroryzowanym we własnym kraju przez instytucje rządowe, prawne, czynniki społeczne, a nawet współobywateli, to chyba najbardziej tragiczne i upodlające nieszczęście, jakie mogło spaść na nasz kraj. Rębowanie w tych warunkach najwyższych wartości narodowych jest więcej niż zwykłym obowiązkiem.

Przyznawszy Wam, "co papieżkiego", Drodzy Redaktorzy, pragnę również powiedzieć parę słów pro domo sua.

Nie jestem człowiekiem wymagającym; moje zasady życiowe zdyscyplinowały i zmierzliwiły tarapaty wojenne, w których - jak wielu z nas - za wcześniej i zbyt długo brałem udział. Jedynym szczęściem w tym nieszczęściu jest to, że jeszcze żyję.

Muszę przyznać, iż ucieszyły mnie moje wiersze w "Zapisie", mało, uważam, iż figurowanie w piśmie wolnym od cenzury, wydawanym w kraju, jest swego rodzaju zaszczytem. Bez względu na sąsiedztwo nazwisk i przeszłość ich właścicieli.

Powojenny człowiek ogromnie zubożał, zwłaszcza wewnętrznie, wydaje mi się, że wojna wyostrzyła w artystach i pisarzach talenty, ale zagłuszyła człowieka, to co w nas jest ludzkie, na użytek i w stosunkach codziennych; szablon i egoizm zastąpiły żywy odruch i serdeczność.

Mnie Zachód nauczył wiele. Zwłaszcza Stany Zjednoczone. Gdy się pomyśli że w tak krótkim czasie państwo to osiągnęło tak wysoką stopę ekonomiczną, kulturalną i moralną, z powątpiewaniem patrzy się na europejskie bezhołowie, na państwa które po tysiącach lat niepodległości i rozwoju kulturalnego stały się dziś moralnymi karłami. Geopolityczne warunki niczego nie usprawiedliwiają, bo człowiek jest zawsze i wszędzie czynnikiem nadrzędnym.

Powiedziawszy to wszystko, wracam na własne podwórko, gdzie z żalem, choć bez goryczy, stwierdzam całkiem obiektywnie, iż nota biograficzna zamieszczona w numerze 13 "Zapisu", a dotycząca niżej podpisanego, jest tak banalna i pełna dziur, iż właściwie mija się z prawdą. Tych kilka wyrwanych faktów podał chyba ktoś, kogo można posądzać o złośliwość, a nie fair play.

Niedawno pani Danilewicz-Zielińska wzbogaciła mnie, w swojej kronice wydawnictw emigracyjnych wydanej przez Instytut Literacki w Paryżu, o 10 publikacji których nigdy nie napisałem. "Zapis" się poprawił, bo dodał mi tylko dwie, ale błąd jest błędem i należy do dobrych obyczajów prostowanie pomyłek. Wiem w jak ciężkich i niebezpiecznych warunkach pracujecie. Może będziecie mnie przeklinać, iż zabieram Wam czas i cenny papier, proszę jednak wziąć pod uwagę ewentualność, iż może ktoś zainteresuje się kiedyś, co, kiedy i gdzie napisał Iwaniuk i automatycznie sięgnie po "Zapis". Pragnę więc ułatwić przyszłemu szperaczowi pracę i za Waszą, Redaktorzy, zgodą streścić moj literacki plon:

1. "Pełnia czerwca", poemat, Biblioteka grupy literackiej WOŁYN, Chełm Lubelski, 1936 r.
2. "Dzień Apokaliptyczny", arkusz poetycki pod redakcją Józefa Czechowicza, wyd. Hoesick, Warszawa 1938 r.
3. "Czas Don Kichota", wiersze, Światowy Związek Polaków z Zagranicy, Londyn, 1946 r.
4. "Dni białe i dni czerwone". Dziennik poetycki z działalności 1. Dyw. Pancernej gen. Maczka, Bruksela, 1947 r.
5. "Pieśń nad pieśniami", poemat z rys. Józefa Czapskiego, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1953 r.
6. "Milczenia", wiersze 1949-1959, Instytut Literacki, Paryż, 1959 r.
7. "Wybór wierszy", Instytut Literacki, Paryż, 1965 r.
8. "Ciemny czas", Instytut Literacki, Paryż, 1968 r.
9. "Lustro", Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1971 r.
10. "Nemezis idzie pustymi drogami", wiersze, Oficyna Głowy, Londyn, 1978 r.
11. "Dark Times", selected poems of Wacław Iwaniuk, translated by Jagna Boraks and Others. Edited by John Robert Colombo, Hounslow Press, Toronto, 1979.

Poeci nie tylko piszą by wzbogacić literaturę; jest jeszcze tak zwane społeczne zamówienie //, jest twórczość dyktowana warunkami specjalnymi, jak wojna czy niewola. Pisałem wiersze w Norwegii pod Narwikiem, pisałem dla żołnierzy na kontynencie, ilustrując nimi etapy naszej Dywizji. Literacko, nie są to wiersze ważne, ale wtedy, a nawet i dziś potrzebne dla wielu kombatantów. Najlepszym dowodem jest korespondencja z majorem lotnictwa, mieszkającym obecnie w Australii, który po wojnie odszukał mnie w Kanadzie i stale teraz pisuje. Twierdzi on iż dużo z tych wierszy zna na pamięć; ukławiły mu one długodystansowe, wojenne loty.

"Dni białe i dni czerwone" nie są dla mnie żadną chlubą literacką i nigdy nie wydałbym ich w tomiku, gdyby nie namówił mnie do tego Jeleński. O ile jednak red. "Zapisu" dostrzegł tak mało ważny tomik, to raczej wolałbym by wymienił, iż za działalność pod Falaise, w Normandii, otrzymałem Krzyż Walecznych. Albo że w 36-tym roku otrzymałem nagrodę Kuźni Młodych; że w 63-cim nagrodę Sułkowskiego, potem nagrodę Roy'u w Nowym Jorku, za przekład Emily Dickinson; potem nagrodę paryskiej "Kultury" za "Wybór wierszy"; nagrodę Fundacji Jurzykowskich; Fundacji Kościelskich; londyńskich "Wiadomości"; Związku Pisarzy w Londynie, itd itd.

Mógł mój bibliograf z "Zapisu" pominąć czyny wojenne, zbagatelizować nagrody, a tylko wymienić iż trzy tomiki z wyliczonych poprzednio wydała paryska "Kultura", że byłem jej wieloletnim korespondentem, lub pominąć nawet i to, a powołując się na koronnych świadków, przypomnieć mnie jako tłumacza poetów amerykańskich i to wybitnego, według oceny krajowej "Twórczości", że przekłady moje ukazały się w paryskiej "Kulturze", w londyńskich "Wiadomościach", w amerykańskich "Tematach", londyńskich "Kontynentach", w "Antologii Współczesnej Poezji Brytyjskiej i Amerykańskiej" Pawła Mayewskiego i w antologii krajowej Sity. A wśród przekładanych poetów byli: John Berryman, Carl Shapiro, Archibald MacLeish, c.c.cummings, Wallace Stevens, Theodore Roethke, W.S. Merwin, Sylvia Plath, Emily Dickinson, Delmore Schwartz, Robert Pen Warren, Stanley Kunitz, Thomas Merton, Gertrude Stein, Marianne Moore, Conrad Aiken, itd.

Nie dodam już, w jakich obcojęzycznych antologiach ukazały się moje wiersze, bo po co męczyć Redaktorów. Ale gdy panu Kottowi upiększa się dorobek zmyślonymi faktami, to dlaczego mój się pomniejsza - prawdziwymi? No, dlaczego?

Łączę torontońskie pozdrowienia
Wacław Iwaniuk

Warszawa, 13.XI.1980 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W nr 15 Waszego pisma ukazała się notatka p. Władysława Krajewskiego "Czy Sandauer był zwierzyną chronioną?". Autor broni tam tezy p. Ryszarda Matuszewskiego /"Polityka" 1979 nr 34/, jakoby w latach 1956-1979 był "zwierzyną chronioną", czyli jakoby ataki na mnie zdejmowała stale cenzura. Przykład przytacza tylko jeden, ale za to - jakże wymowny! Oto artykułu jego "piętnującego" /moją/ napaść na Izydore Dąbską" redaktor "Kultury" w 1976 r. "drukować nie chciał, powołując się na to, że Sandauer, któremu /jego/ tekst pokazano, zagroził, że wówczas zerwie stosunki z "Kulturą". "Wtedy - kończy p. Krajewski - przesłałem swój artykuł do "Tygodnika Powszechnego", w którym się ukazał artykuł Dąbskiej będący przedmiotem napaści Sandauera. Redaktor tego pisma artykuł drukować chciał, ale nie mógł, gdyż zdjęła go cenzura".

Otóż w latach 1956-1979 ukazywała się lawina polemizujących ze mną wypowiedzi prasowych. W swym archiwum posiadam ich 68, a jest to tylko część drobna; kilka czy kilkanaście przytoczyłem w odpowiedzi danej p. Matuszewskiemu /"Karty na stół", "Polityka" 1979, nr 46/, której p. Krajewski nie może nie znać. Jakże zakwalifikować jego postępowanie, gdy tej liczbie 68 przeciwstawia swój artykuł, o którym na dobitkę niewiadomo, czy w ogóle do druku się nadawał? Nieukazanie się jego wypowiedzi niczego nie dowodzi, nawet gdyby przytoczone okoliczności były w pełni prawdziwe.

Niestety, prawdziwe nie są. Nigdy nie otrzymałem od redaktora "Kultury" żadnych artykułów p. Krajewskiego do wglądu; nigdy by mi też nie wpadło do głowy zrywać z pismem dlatego, że zamieszcza polemizujące ze mną - a chociażby i najgwałtowniej - artykuły. Ileż razy musiałbym zrywać - chociażby z "Polityką"! O konfiskacie w "Tygodniku Powszechnym" słyszę po raz pierwszy i za poczynania cenzury krakowskiej nie mogę ponosić odpowiedzialności.

Nie mówię już o tym /o czym p. Krajewski, skoro podejmuje ze mną spór na ten temat, powinien wiedzieć/, że to właśnie moje prace ulegały - zarówno w tym, jak i poprzednim, okresie - nader częstym konfiskatom. Tak np. moja polemika z Kazimierzem Brandysem "Przeciw literaturze oportunistycznej", odczytana w 1948 r. na zebraniu otwartym POP ZLP, mogła się ukazać dopiero w 7 lat później /"Moje odchylenia", Kraków, 1956, s.171-177/. Esej "O Gałczyńskim, tym razem... bez taryfy ulgowej", zdjęty przez cenzurę w 1962 r. w tymże "Tygodniku Powszechnym", mógł się ukazać dopiero w rok później w "Twórczości". Recenzja o "Człowieku z marmuru" Wajdy, uznana za zbyt pozytywną, dotychczas się w ogóle nie mogła ukazać; zamieściło ją pismo włoskie "Cinemasessante" /marzec-kwiecień 1978/. Każdy zresztą mój szkic, który nie miał ściśle filologicznego charakteru, odlegiwał się miesiącami w cenzurze. Tak było z "Ewolucją poezji polskiej 1945-68", która czekała na druk ok. 2 miesięcy; tak też - z "Kartami na stół", atakowanymi przez pp. Ryszarda Matuszewskiego oraz Władysława Krajewskiego, którzy z kolei - jeżeli rozumować w podobny, co oni, sposób - okazaliby się "zwierzyną chronioną".

Dodajmy, że nie było z mojej strony żadnej "napaści" na p. Dąbską; była natomiast - sarkastyczna, przyznaję, lecz poparta cytatai i argumentami - odpowiedź na jej artykuł, krytykujący moje studium "Głos, dzielony na czworo", z którego to artykułu wynikało, że autorka wszystkie tezy mojego studium pojęła opacznie, dopatrując się w nim pochwały "nawróceń" na socrealizm z 1949 r. oraz wrogości wobec kultury zachodniej. Ciekawych odsyłam do mojej książki "Poeci czterech pokoleń" /Kraków 1977/, gdzie się rzeczony studium ukazało.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku
Artur Sandauer

KRONIKA

Inteligenci z robotnikami

Od poprzedniej kroniki do tej - zaszyły rzeczy wielkie; nie mamy ambicji ani możliwości odnotowania w tym miejscu wszystkich wydarzeń i przemian, które nastąpiły w Polsce późnym latem i jesienią 1980 roku - nawet w tym ograniczonym zakresie spraw, jakim zwykliśmy się zajmować w kronice "Zapisu"; nie bez żalu porzestaniemy na paru wybranych wątkach, epizodach i wypowiedziach.

20 sierpnia sześćdziesięciu czterech intelektualistów ogłosiło apel o natychmiastowe rozpoczęcie przez Komisję Rządową rozmów z Międzyzakładowym Komitetem Strajkowym na Wybrzeżu; w ciągu następnych paru dni pod apelem podpisał się około dwustu dalszych sygnatariuszy ze sfer naukowych, artystycznych, literackich etc. Inicjatywa wyszła ze środowisk związanych z Towarzystwem Kursów Naukowych, redakcją "Więzi", a także konwersatorium "Doświadczenie i Przyszłość". Ostatnie zdania apelu, który podpisali również redaktorzy "Zapisu", brzmiały: "Jedynie rozważa i wyobrażenia mogą dziś doprowadzić do porozumienia w interesie wspólnej ojczyzny. Historia nie wybaczy nikomu, kto sięgnąłby po inne rozwiązanie niż droga takiego porozumienia. Apelujemy o wejście na tę drogę, apelujemy o rozważę i wyobrażnię w przekonaniu, że nie ma w tej chwili ważniejszej sprawy dla Polski".

Drugi apel - o zwolnienie przetrzymywanych w aresztach działaczy opozycji demokratycznej - ogłosiła 29 sierpnia grupa 195 intelektualistów, częściowo pokrywająca się z poprzednią.

22 sierpnia dwaj współinicjatorzy pierwszego apelu - historyk Bronisław Geremek i redaktor naczelny "Więzi" Tadeusz Mazowiecki - przybyli do strajkującej Stoczni im. Lenina w Gdańsku; kiedy rozważali z Lechem Wałęsą, jak mogliby pomóc stoczniowcom, wykonał się projekt powołania Komisji Ekspertów; już nazajutrz Mazowiecki został jej przewodniczącym, a oprócz niego i Geremka do komisji weszli ekonomiści, prawnicy, historycy, politolodzy: Jadwiga Staniszkis, Tadeusz Kowalik, Waldemar Kuczyński, Andrzej Wielowieyski, Bohdan Cywiński; korzystano również z konsultacji Jerzego Stembrowicza, Jana Strzeleckiego, Andrzeja Stelmachowskiego i Lecha Kaczyńskiego. "Nasza rola sprowadzała się do wyrażenia ich postawy w języku negocjacji - wyjaśnił później Mazowiecki w wywiadzie udzielonym "Tygodnikowi Powszechnemu". - /.../ Praktycznie nasze zadania sprowadzały się do takiego opracowania tych dwudziestu jeden punktów żądań wspólnie z Prezydium MKS, aby mogły się one znaleźć w porozumieniu. Poszukiwaliśmy gwarancji dla ustaleń porozumienia. Trzeba było wyraźnie określić, o co w każdym punkcie chodzi".

Koncepcja korzystania z ekspertów przez ruch strajkowy - a następnie przez kształtujący się ruch nowych związków zawodowych - zyskała popularność, po Gdańsku sięgnął do niej również Szczecin i inne ośrodki. Tadeusz Mazowiecki jest obecnie jednym z głównych doradców Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ "Solidarność". W pracach "Solidarności" na różnych szczeblach, w różnych zakładach pracy i miejscowościach, uczestniczy wielu ludzi nauki, kultury i myśli społecznej. W tej skali - jest to zjawisko nowe i uderzające, ale ma ono w sobie też element pewnej kontynuacji, m.in. nawiązania do działalności pism jak "Robotnik", wydawanych w ostatnich latach poza zasięgiem cenzury. "Spotykam się teraz z takimi stwierdzeniami w odniesieniu do naszej pracy - powiedział Mazowiecki w cytowanym wywiadzie - że jest to takie ciekawe, że po raz pierwszy intelektualiści współdziałali z robotnikami. A przecież trzeba pamiętać o zasłudze tych, którzy od lat pracowali dla obrony robotników. Ich zasługa jest ogromna. Symbolem współdziałania intelektualistów z robotnikami podczas samego strajku była postać Lecha Bądkowskiego, pisarza gdańskiego, którego robotnicy powołali do Prezydium MKS. A jeśli my przyczyniliśmy się do czegoś, jeśli nas szanowano i z uwagą wysłuchiowano, to musimy powiedzieć, że równie wiele myśmy się nauczyli od robotników".

Głos pisarzy

21 sierpnia 1980 roku w izolowanym od reszty Polski strajkującym Gdańsku członkowie tamtejszego oddziału ZLP oraz Koła Młodych przy ZLP sformułowali własny apel w związku z sytuacją. "Z powodu odcięcia telekomunikacyjnego Gdańska od głębi kraju - czytamy w apelu - nie możemy porozmiec się z Zarządem Głównym Związku Literatów Polskich w Warszawie dla wymiany zdań i nakłonienia najwyższych instancji Związku do zabrania głosu, tym bardziej więc odczuwamy ciężący na nas obowiązek publicznego wystąpienia z apelem o spokój, ład, nie uciekanie się do siły lub gróźb jej użycia przez kogokolwiek! I dalej m.in.: "Konieczne jest dokonanie głębokich reform w państwie drogą ewolucji zabezpieczonej i kontrolowanej, a zatem rozpoczynamy już zaraz z podaniem do publicznej i wiążącej wiadomości wiarygodnych środków gwarantujących jej konsekwentne przeprowadzenie wtedy, gdy niebezpieczeństwo bezpośredniego konfliktu minie. Takim środkiem jest, w naszym przekonaniu, utworzenie nowych związków zawodowych posiadających samodzielną pozycję wobec instytucji partyjno-państwowych..." Apel podpisali członkowie ZLP: Lech Bądkowski, Stanisław Załuski, Stanisław Dąbrowski, Zbigniew Jankowski, Mieczysław Czychowski, Kazimierz Nowosielski, Mirosław Stecłowicz, Eusef Fac, Zbigniew Szymański, Teresa Ferenc, Zbigniew Żakiewicz i Maria Boduszyńska-Borowikowa oraz członkowie Koła Młodych: Bożena Ptak, Grzegorz Boros, Stanisław Rosiak, Władysław Zawistowski, Zbigniew Joachimiak, Marek Bienkowski, Andrzej Dorniak, Marian Terlecki, Stanisław Esden-Tempski, Maciej Kraciński, A. Jurewicz, W. Chyliński, L. Kopeć, A. Grzyb, J. M. Kamrowski, M. Kasprzyk, L. Topp, S. Chazbijewicz.

Lech Bądkowski, który dostarczył apel pisarzy gdańskich strajkującym stoczniowcom /był to pierwszy, który do nich dotarł, głos poparcia ze strony inteligencji/, został zaproszony do udziału najpierw w plenum, a niebawem w prezydium MKS, odegrał znaczną rolę w pertraktacjach z komisją rządową i pozostał również w składzie MKZ przez dłuższy czas jako jego rzecznik prasowy. 20 września pisarze gdańscy wyrazili mu za tę działalność uznanie.

23 sierpnia apel doręczono Prezydium Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich w Warszawie, jednakże najwyższa instancja ZLP nie od razu zareagowała - jak później tłumaczono, ze względu na wakacyjną nieobecność większości członków. Dopiero 9 września Zarząd Główny ZLP ogłosił oświadczenie, zaczynające się od zdań: "Związek Literatów Polskich wyraża uznanie, wdzięczność i podziw robotnikom polskim, a w szczególności robotnikom Wybrzeża reprezentowanym przez Międzyzakładowe Komitety Stawkowe w Gdańsku i w Szczecinie, za to, co uczynili dla wspólnego dobra". Dalej oświadczenie przypomina, że "Związek nasz od lat starał się o zasadniczą zmianę polityki kulturalnej, zubażającej nasz wspólny dorobek" i wskazuje, że "przeciwstawialiśmy się i będziemy, w razie konieczności, czynić to nadal, przekreślanie, w imię doraźnych celów, całych kart naszej historii, bądź też jej tendencyjnej i powierzonej interpretacji; instrumentalnemu traktowaniu kultury; spychaniu, zarówno utworów, jak twórców, na margines egzystencji społecznej; skazywaniu na niebyt pisarzy i dzieł niewygodnych" etc. W zakończeniu, "wyrażając poparcie dla oświadczenia naszych kolegów z Gdańskiego Oddziału ZLP z dnia 21 sierpnia br., oraz dla dalszych oświadczeń innych środowisk pisarskich, zbliżonych z niniejszym oświadczeniem, jak również dla inicjatyw rodzących się w bratnich stowarzyszeniach twórczych", Zarząd Główny ZLP deklaruje "gotowość współuczestniczenia w dziele narodowej odnowy".

Czesław Miłosz - laureatem Nobla

Literacką Nagrodę Nobla dla Czesława Miłosza społeczeństwo odebrało jako jeszcze jeden ważny moment w godzinie prawdy, przeżywanej od jakiegoś czasu przez Polaków, jako jeden z rozbłysków, rozświetlających nasze narodowe istnienie - kolejny po obraniu Karola Wojtyły papieżem i jego niezapomnianej wizycie w kraju, po strajkach robotników polskich w obronie swojej godności, tożsamości i sensu życia, po zbawiennym porozumieniu między robotnikami i władzą i po wyłonieniu się z mas pracujących wielkiego ruchu, który przy-

brał nazwę "Solidarności"... To, co się stało, sprawiło też, że radość z nagrody dla wielkiego poety mogła być manifestowana jawnie i zatoczyła szerokie kręgi, że dały jej wyraz również sfery oficjalne, że tym razem dobrą wiadomość ze Sztokholmu przyjęto normalnie, to znaczy popularyzując ją w środkach przekazu, starając się wreszcie w jakiejś mierze udostępnić publiczności dzieło i postać pisarza.

Niezupełnie ścisły jest pogląd, że po trzydziestu latach przemilczania Miłosza w Polsce, niewydawania jego książek, a niekiedy organizowania seansów nienawiści wobec emigranta, stał się on w ojczyźnie kimś zupełnie nieznany. Były osoby i całe środowiska, które znały jego twórczość i zdawały sobie sprawę z jej rzeczywistych wymiarów. Podróżujący od lat szmuglowali przez granicę książki Miłosza, wydawane przez "Kulturę" paryską; w ostatnim okresie również Niezależna Oficyna Wydawnicza w kraju podjęła edycję książek tego autora i zdażyła już wydać sześć tytułów; aktorzy związani z ruchem niezależnym, zwłaszcza Halina Mikołajska i Maciej Rayzacher, recytowali poezję Miłosza na nieoficjalnych wieczorach, krążyły też taśmy z nagraniami; w prasie cenzurowanej niektórzy krytycy przemyśleli refleksje o Miłoszu, najczęściej posługując się zrozumiałymi dla wtajemniczonych określeniami: autor "Trzech zim", autor "Ocalenia"; na zebraniach i zjazdach literatów głośno domagano się wydawania Miłosza, w szczególności Jacek Woźniakowski wytrwale upominał się o zezwolenie na wydanie w "Znaku" tomu "Gdzie słońce wschodzi i kędy zapada"; kilka lat temu przyznano Miłoszowi nagrodę Polskiego PEN-Clubu, a mniej więcej przed rokiem grupa członków PEN-Clubu podpisała list, gorąco popierający kandydaturę tego pisarza do Nagrody Nobla. My w "Zapisie" też znaleźliśmy i podziwialiśmy Miłosza, jego nazwisko wielokrotnie pojawiało się na naszych łamach, między innymi w tej kronice, ale również w obszernym eseju Stanisława Barańczaka o "Ziemiu Urlo" - i wreszcie pod tekstami samego Miłosza, którego współpracę uznaliśmy za wielki honor dla piśmi. Ostatnio otrzymaliśmy nowe wiersze Czesława Miłosza w lipcu 1980 roku, a posłaniec, który je przywiózł, przekazał "Zapisowi" od poety wyrazy przyjaźni i wspólnoty. Umieściliśmy te wiersze w numerze 16, który właśnie był w przygotowaniu i ukazał się, z datą październikową, już po nowinie o tegorocznej Nagrodzie Nobla.

Z tym wszystkim, liczniejsze od wiedzących były rzesze redaków, którzy teraz dopiero - ze zdumieniem, satysfakcją, po trosze zawstydzaniem i żalem do tych, którzy ukrywali przed nimi Miłosza - dowiedzieli się o jego istnieniu, o jego wielkości. Wszystkie uczucia, o których tu mowa, i wiele innych, odzwierciedla księga wyłożona na wystawie miłoszowskiej, zorganizowanej dosłownie w ciągu paru dni po wspaniałej nowinie w Instytucie Filologii Polskiej UAM w Poznaniu. /Notabene, z okazji tej wystawy wyszło na jaw, ile tomów poety, wydanych przez Instytut Literacki w Paryżu i przez NOWą w kraju, znajduje się w rękach osób, które zgodziły się je udostępnić/. Tłumy ludzi w różnym wieku, z różnych grup społecznych wprost oblegały wieczory i poranki poezji Miłosza, wielu zawiedzionych odchodziło, nie mogąc się dostać /dotyczy to na przykład jednego z pierwszych wieczorów - w Domu Literatury 15 października/. Kiedy "Znakowi" w rekordowym tempie udało się wydać tom poezji Miłosza, przed warszawską księgarnią im. św. Wojciecha na ulicy Freta ukształtowała się kolejka i czekała tam przez wiele godzin; zorganizowano zapisy i zanim jeszcze książkę dowieziono do księgarni, na liście było 2000 nazwisk - oczywiście, egzemplarzy starczyło zaledwie dla części zapisanych, ponieważ nakład rozprowadzany w całej Polsce wyniósł 20 tysięcy.

Na wspomniany wieczór w Domu Literatury /zaplanowany przez Zarząd Oddziału Warszawskiego ZLP jeszcze przed wszystkim wydarzeniami, w lipcu/ złożyła się prelekcja Ryszarda Matuszewskiego, recytacje Gustawa Holoubka i odtworzenie z taśmy magnetofonowej recytacji samego poety. Tekst Matuszewskiego ukazał się następnie w "Polityce" - z charakterystycznymi opuszczeniami w stosunku do tekstu mówionego; pominięto mianowicie zdania, że Miłosz miał oparcie, "jakim dlań było wydawnictwo Instytutu Literackiego w Paryżu", a także: "Byli wreszcie - zasługa to niewątpliwie największa - ludzie, którzy w ostatnich latach podjęli systematyczną - oczywiście na miarę swoich skromnych mo-

żliwości - publikację jego utworów w działających poza zasięgiem cenzury czasopiśmie i wydawnictwie NOWA".

Z dużych imprez poświęconych Miłoszowi w Warszawie wymienimy jeszcze dwie: 26 października w Auditorium Maximum Uniwersytetu Warszawskiego - patronował jej klub "Oświata" przy NSZZ "Solidarność", a także Towarzystwo Kur-sów Naukowych - i 4 listopada w kościele św. Anny, zorganizowaną przez dusz-pasterza akademickiego, ks. Niewęgłowskiego. Na wstępie tej pierwszej prze-mówił Zbigniew Bujak, prezes "Solidarności" regionu Mazowsze, wspominając, jak to robotnicy zbierali się, żeby ^{wy} słuchać Macieja Rayzachera recytującego Miłosza, a kiedy aktor się spóźnił, nie wiedzieli, czy go nie zatrzymano na 48 godzin w areszcie... Prelekcję o Miłoszu wygłosił Tomasz Burek, a wiersze czytała Halina Mikołajńska. Na drugą imprezę, w ciasno wypełnionej przez mło-dzież zakrytą kościoła, złożyły się recytacje Józefa Duriasza, m.in. ob-szerne fragmenty "Traktatu poetyckiego". Takich wieczorów i poranków było, naturalnie, więcej, i nie tylko w Warszawie, lecz w całej Polsce. Również radio, telewizja i prasa poświęciły dużo miejsca utworom Miłosza, rozmowom i artykułom na ten temat, często bardzo dobrym, a czasami - niestety - budzą-cym wątpliwości co do kwalifikacji uczestniczących w tym osób.

Po tym początku - ohy nastąpiło długie i owocne ubcowanie Polaków z wielkim polskim poetą...

Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych i sprawy cenzury

Z inicjatywy plastyków, podjętej następnie przez literatów, 16 września 1980 roku powołano do życia Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, który swoje spotkania i konferencje odbywa w warszawskim Domu Li-teratury, przy Krakowskim Przedmieściu 87/89. Do Komitetu wchodzi przedstawiciele związków i towarzystw zrzeszających twórców /a więc - oprócz litera-tów i plastyków - także architektów, muzyków, filmowców, fotografików, dziennikarzy, aktorów/ oraz uczonych humanistów - filozofów, socjologów, hi-storyków, historyków sztuki i innych. Do Sekretariatu Komitetu Porozumiewaw-czego weszli: Janusz Eysymont, Cystaw Holoubek, Andrzej Jarecki, Stefan No-wak, Klemens Szaniawski, Witold Zalewski, Edward Żebrowski. Wykoniono Kom-ijsę do spraw Cenzury w składzie: Jan Białostocki, Witold Kulisiwicz, Zbigniew Makarewicz, Jerzy S. Sito, Andrzej Szczypiorski, Andrzej Tymowski. Oba te ciała podpisały list do Premiera Pińkowskiego, postulujący podjęcie w trybie nagłym rozmów w sprawie cenzury i wyłuszczający wspólny pogląd repre-zentowanych środowisk na najdotkliwsze źródła kryzysu w dziedzinie kultury, w szczególności na tzw. "cenzurę podmiotową" /tzn. dotyczącą osób/, i na "ar-bitralne, niejawne i pozostające poza porządkiem prawnym decyzje polityczne, ograniczające swobodę życia kulturalnego". List zawiadamiał, że Komitet wi-dzi swój udział w konsultowaniu projektu nowej ustawy o cenzurze.

Wobec braku reakcji adresata w ciągu miesiąca od doręczenia listu, z brzmieniem jego zapoznano 17 października, w trakcie konferencji prasowej, dziennikarzy krajowych i zagranicznych. W tydzień później doszło do spotka-nia Premiera /któremu towarzyszył m.in. nowy minister Kultury i Sztuki, Jó-zef Tejchma oraz minister Sprawiedliwości, Jerzy Bafia/, z reprezentacją Ko-mitetu. Jeszcze po pewnym czasie minister Tejchma ogłosił publicznie uniewa-żnienie cenzury podmiotowej i nieaktualność czarnych list pisarzy i artys-tów; niebawem niektóre zakazane dotąd nazwiska zaczęły się ukazywać na łą-mach prasy, np. "Życie Warszawy". opublikowało fragment "Cudownej meliny" Orkosa; "Polityka" - fragmenty "Nierzeczywistości" Brandysa i "Literatury" Woroszyłskiego /wszystkie trzy wymienione powieści ogłosił uprzednio Insty-tut Literacki w Paryżu/. PIW wydał "Ucieczkę do nieba" Komolki, słychać też o przepycjach ze strony innych redakcji i wydawnictw.

Cenzurze, acz rozluźnionej, nadal jednak nie zbywa na czujności: w tej-że "Polityce" skonfiskowano na przykład wywiad Hanny Krall z Anną Walentyno-wicz /tę decyzję podjęto podobno na wysokim szczeblu w KC PZPR/, a także ar-tykuły Falkowskiej i Podemskiego z ciągle drażliwej dziedziny prawa i wymia-ru sprawiedliwości. W radio funkcjonuje bez zmian zapis na pisarzy emigra-cyjnych, nawet nieżyjących; wyłączono z niego jedynie Miłosza.

Mimo oferty współpracy ze strony Komitetu Porozumiewawczego, władza przez kolejne tygodnie zdawała się nie kwapić do kontaktów z nim w sprawie nowej ustawy o cenzurze. W Ministerstwie Sprawiedliwości opracowano projekt ustawy, który dopiero 21 listopada 1980, już w postaci dość zamkniętej, przedstawiono pod dyskusję na tzw. forum ministerialnym. Przedstawiciele Komitetu Porozumiewawczego, wobec braku uprzedniej konsultacji projektodawców ze Stowarzyszeniami Twórczymi i Naukowymi, odmówili udziału w forum. Jednocześnie zgłoszono merytoryczne zastrzeżenie do projektu: nie realizuje on intencji Porozumienia Gdańskiego, nie przekształca cenzury "ze środka zubażania kultury narodowej, uniemożliwiania swobodnego obiegu informacji i wykonywania przez opinię publiczną kontroli społecznej nad działalnością rządu i administracji - w środek zapewniający ochronę ściśle określonych interesów państwa i społeczeństwa", "spełnia tylko rolę porządkującą aktualnie obowiązujące przepisy i ustaloną praktykę". Wskazano też wiele uchybień szczegółowych, nie zgodzono się na znaczną ilość tzw. delegacji przenoszących możliwość konkretnych decyzji poza obręb samej ustawy. Zaoponowano przeciwko podporządkowaniu urzędu cenzurującego Radzie Ministrów. Liczne zastrzeżenia zgłosiło też Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Rozległy się mocno krytyczne głosy w prasie i komisjach sejmowych.

Dwa miesiące wcześniej, 23 września 1980 roku, społeczne grono prawników i publicystów skierowało do Komitetu Porozumiewawczego Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych oraz do Komisji Ekspertów NSZZ "Solidarność" własny projekt ustawy o cenzurze. W przygotowaniu tego projektu uczestniczyli: Stefan Bratkowski, Jerzy Ciemniewski, Jan Górski, Jacek Kurczewski, Stanisław Podemski, Jerzy Stembrowicz, Jolanta Strzelecka, Andrzej Wielowieyski, Jan Wojtyński, Janina Zakrzewska. Wstępną radą i konsultacją służyli: Henryk Korotyński, Andrzej Piekara, Jan Rosner, Andrzej Stelmachowski. Zapoznano się także z innymi opracowaniami, zwłaszcza z pracami B. Banaszkiwicza i B. Michalskiego. Projekt ten, z pewnością również niedoskonały, wydaje się w dużej mierze większym stopniu od rządowego odpowiadać oczekiwaniom, wyrażonym w Porozumieniu Gdańskim. 27 listopada oba projekty - rządowy i społeczny - opublikowano obok siebie na łamach "Życia i Nowoczesności", co umożliwia ich porównanie.

4 grudnia doszło wreszcie do spotkania - i wymiany poglądów na temat przyszłej ustawy - pomiędzy ministrem Sprawiedliwości a Komitetem Porozumiewawczym Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych, delegatami Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ "Solidarność" oraz autorami projektu ustawy o cenzurze. Z komunikatu PAP wynika, że nowy termin zakończenia prac nad projektem ustawy wyznaczono na 15 stycznia 1981.

Głos Akademii Nauk

Na sesji Zgromadzenia Ogólnego Polskiej Akademii Nauk, 23 października 1980, prezes PAN, prof. Witold Nowacki, wygłosił referat pt. "Nauka polska na drogach odnowy". Wielu uczestników dyskusji uznało go za zbyt optymistyczny i mało krytyczny zarówno w kwestiach ogólnych, jak w ocenie stanu nauki polskiej i roli odegranej w minionych latach przez Polską Akademię Nauk.

"Pomimo większych niż kiedykolwiek przedtem nakładów na naukę - mówił prof. Janusz Groszkowski - jej efektywność mierzona zarówno liczącymi się odkryciami, jak i zasilaniem gospodarki narodowej praktycznymi zastosowaniami, stale maleje. Mamy 50 tysięcy samodzielnych pracowników nauki, którzy umieją zagajać, prezydować, ukierunkowywać i podsumowywać, ale którzy nie potrafią twórczo pracować. Wśród pracowników naukowych szerzy się plagiatowanie prac, nieuczciwość i nieróbstwo. Nastąpiła groźna w skutkach dewaluacja stopni i tytułów naukowych, spowodowana masowym ich nadawaniem osobom nie posiadającym kwalifikacji etycznych i zawodowych. Nie mamy wielkich nazwisk, nie mamy wielkich osiągnięć i nie mamy szans na zmianę tego stanu rzeczy, albowiem naszej młodzieży nie stworzono warunków umożliwiających nadrobienie narosłych znowu opóźnień. Działalność instytucji naukowych jest manipulowana i reżyserowana w sposób zmierzający do utrwalenia istniejącego stanu rzeczy".

"Byłem zbudowany i podniesiony na duchu - wspomina prof. Anatol Brzoza - kiedy na zebraniu naszej Akademii po masakrze robotników w Grudniu pan profesor Szczepański powiedział... że już nigdy nie powtórzy się taka sytuacja, że w obliczu pewnych podstawowych wydarzeń brak będzie głosu PAN. Niestety, brak było tego głosu, a nawet słyszany był dziwny głos tej Akademii w roku 1968, brak było tego głosu w roku 1976 i, niestety, zabrakło tego głosu w najbardziej napiętych momentach roku 1980... Akademia nasza stała się urzędem, no i w związku z tym urzędnik podporządkowany swemu zwierzchnikowi łamie się w pewnych trudnych momentach... Konieczne jest uniezależnienie Akademii, konieczne jest by Akademia przestała być resortem, przestała być urzędem, żeby stała się rzeczywistym przedstawicielem uczonych".

Nawiązując do pamiętnej kampanii marcowej, prof. Zofia Kielan-Jaworowska przypomniała: "We wszystkich większych środowiskach naukowych działała wówczas święta inkwizycja... Protesty przeciw oficjalnie szerszonemu antysemityzmowi oraz przeciw jawnemu łamaniu praworządności były interpretowane, co można uznać za największy paradoks i ironię tamtych czasów, jako działania podważające podstawy socjalizmu i wymierzone w ustrój Polski Ludowej... Wydarzenia marcowe odbiły się fatalnie na rozwoju nauki polskiej. Nie tylko wskutek decyzji personalnych, ale znalazły także swoje odbicie w ustawodawstwie tamtych czasów, które obowiązuje do dziś..."

Mówcy podniosła również kwestię działań pozornych Akademii. W szczególności "II Kongres Nauki Polskiej wraz z osławioną księgą czynów kongresowych to symbol działań przemyślnych i tego nieznośnego zakłamane go ceremoniału, który się w latach siedemdziesiątych rozwinął".

Do uczestników sesji żarliwie krytykujących sytuację w Akademii i poza nią - i szukających dróg wyjścia - należeli również Jan Białostocki, Stanisław Działyński, Kazimierz Dzięwoński, Władysław Fiszdon, Jan Kielanowski, Władysław Kunicki-Goldfinger, Leszek Kuźnicki, Bohdan Paczyński, Arkadiusz Piekara, Józef Werle i inni. Prof. Jerzy Łoś jako pierwszy /ale nie jedyny/ wskazał, że możliwość mówienia na Zgromadzeniu Ogólnym PAN o nauce "bez samouwielbienia i fałszywego entuzjazmu" zawdzięcza Akademia nie samej sobie, lecz "tym masom robotniczym i ich przywódcom, które wcześniej od nas zorientowały się, że kłamstwo jest mniej efektywne od prawdy". - "Nikt wśród nas nie jest bez winy - oświadczył prof. Groszkowski - bośmy nie wykorzystali naszych autorytetów i możliwości, aby przeciwdziałać niekompetencji, nieuctwu i nieuczciwości rządzącej klikii, która wpędziła Polskę w straszną sytuację, w jakiej się obecnie znajdujemy. Z obrzydzeniem myślę o najbardziej ponurym okresie mego życia, kiedy w roku 1971, sądząc iż będę mógł służyć Polsce i jej nauce, dałem się namówić na objęcie funkcji przewodniczącego Ogólnopolskiego Frontu Jedności i zastępcy przewodniczącego Rady Państwa". Nawiązując do tej wypowiedzi, prof. Edward Lipiński przypomniał, jak przed kilku laty prof. Groszkowski manifestacyjnie zrezygnował z wszystkich wysokich funkcji publicznych: "Niebyszały wypadek odwagi i zrzeczenia się wielkich moralnych korzyści, jakie płynęły z tego, że właśnie te funkcje spełniał". Na wniosek profesora Lipińskiego zebrani uchwalili co następuje: "Ogólne Zgromadzenie Polskiej Akademii Nauk składa profesorowi Groszkowskiemu wyrazy podziękowania za jego wieloletnią walkę w obronie dobrego imienia polskiej nauki oraz dobrych obyczajów w życiu społecznym. Wyrażamy nadzieję, że właściwe władze ukróćą narastającą jeszcze akcją lżenia i obrażania profesora Janusza Groszkowskiego".

Nie wszyscy mówcy uznawali za kryzysową i do współodpowiedzialności za nią. Prof. Zdzisław Kaczmarek, sekretarz wydziału siódmego PAN, twierdził, że "w całym okresie funkcjonowania Akademii... była na ogół respektowana zasada współistnienia różnych koncepcji światopoglądowych". Również prof. Włodzimierz Trzebiatowski, poprzedni prezes PAN, pozytywnie ocenił działalność tej instytucji, łącznie z II Kongresem Nauki Polskiej. Prof. Bogusława Jeżowska-Trzebiatowska, apelując do "poczucia narodowego", nawoływała, żeby zbytnim krytycyzmem "nie krzywdzić, nie odbierać godności nauce polskiej". Także profesorowie Kazimierz Petruszewicz i Ignacy Malecki sprzeciwili się "nastrojowi katastrofizmu".

W wyniku dyskusji podjęto jednak uchwałę, stwierdzającą, że na drodze rozwoju Polski stanął "autokratyczny, nieudolny, a po części skorumpowany aparat władzy". Sytuację cechował programowy brak zaufania do społeczeństwa, powszechny brak osobistej odpowiedzialności za podejmowane decyzje, niezajomość lub ignorowanie nowoczesnych, naukowo uzasadnionych metod kierowania i zarządzania. "Na rozwoju nauki polskiej zaciążyły w szczególnym stopniu wydarzenia marcowe 1968 roku. Odważne, niekonformistyczne wypowiedzi, protesty przeciwko jawnemu łamaniu praworządności były wówczas utożsamiane z podważaniem podstaw socjalizmu i ustroju Polski Ludowej. Wielu kompetentnych i zasłużonych uczonych zastąpiono ludźmi dyspozycyjnymi, gotowymi do bezkrytycznego wypełniania odgórnych poleceń".

Do konfliktu doszło wokół regulaminu przyszłych wyborów do władz Akademii i składu powołanych komisji. Prezydium PAN nie potrafiło odejść w tych sprawach od dotychczasowego stylu postępowania, opowiadając się, jak to sformułował prof. Gutkowski, za "demokracją zorganizowaną". Polemizując z tym stanowiskiem, prof. Kunicki podkreślił, że wyrażone zahamowania są dobitnym świadectwem, jak bardzo konieczna jest odnowa Akademii. Opinię, że w kierownictwie PAN powinni znaleźć się ludzie mający doświadczenie w takiej pracy, prof. Kunicki przeciwstawił pogląd, że należy się wstydzić doświadczeń, "które zaowocowały tym, czym Akademia jest teraz". Również prof. Piękara odmówił zaufania ludziom, "którzy tak zwanym decydentom, a nawet bardzo malutkim ich pomocnikom i wykonawcom schlebiali w prasie, w radio i w telewizji, którzy lukrowali czy lakierowali tę naszą żalosną rzeczywistość". W rezultacie ożywionej wymiany zdań przewagę uzyskali zwolennicy wyborów bezpośrednich, bez jakiegokolwiek manipulacji /projekt regulaminu, konkurencyjny wobec projektu Prezydium, zgłosił w imieniu grona uczonych prof. Fiszdon/.

Dyskutowano też o przyszłej strukturze PAN /którą określi ustawa/, na ogół stanowczo opowiadając się za tym, by Akademia przestała być agendą rządową i była podporządkowana wyłącznie ciałom obieralnym. Wiele głosów postulovalo zajęcie się przez Akademię sprawami edukacji, w szczególności nauczaniem historii /"trzeba - mówił prof. Stefan Kieniewicz - żeby ktoś się wreszcie zatroszczył o nieszczęsnego nauczyciela historii... który zmuszony jest systematycznie do głoszenia nieprawdy o przeszłości narodu"/. Mówiono o konieczności ukrócenia wszechwładzy cenzury /znalazło to wyraz w uchwale/, o wyjazdach pracowników naukowych za granicę /w tym kontekście prof. Kielanowski wspominał uniemożliwienie Stanisławowi Barańczakowi objęcie katedry w Harvard University/, wreszcie - jako że sesja toczyła się przed ostatecznym zarejestrowaniem statutu NSZZ "Solidarność" - domagano się /i to też znalazło wyraz w uchwale/ szybkiego sfinalizowania tej ważnej sprawy.

Nowy rok Towarzystwa Kursów Naukowych

Po trudnym końcu roku akademickiego 1978/79, kiedy na wykłady TKN wkroczyły agresywne bojówki, i po roku 1979/80, kiedy działalność TKN w kleszczach polskiej, kolegów orzekających itp. zdawała się powoli zamierać /wykładów właściwie nie było, funkcjonowały głównie mniejsze grupy seminaryjne/, nowy rok akademicki zaczął się pomyślniejsze. Mówił o tym prof. Jan Kielanowski przed inauguracyjnym wykładem prof. Edwarda Lipińskiego "Rozważania o ekonomice" 31 października w Auditorium Maximum UW, porównując sytuację na tej sali do dramatycznych okoliczności wykładu inauguracyjnego Władysława Bartoszewskiego przed rokiem (relacjonowaliśmy je swego czasu/; sam profesor Lipiński sięgnął do innego jeszcze porównania, mówiąc, że drugi raz w życiu występuje wobec tak licznej i pełnej zapachu gremium - po raz pierwszy było to w roku 1905...

Inne piątkowe wykłady TKN, które zdążyły się odbyć w Auditorium Maximum do chwili, w której to piszemy, to: "Etyczne problemy nauki" Stefana Amsterdamskiego, "Treść i forma umowy społecznej" Jerzego Jedlickiego, "Sierpień 1980 na tle najnowszej historii Polski" Adama Michnika, "Polska 1956; wokół reformy gospodarczej" Tadeusza Kowalika. Frekwencja jest bardzo duża - od kilkuset do ponad tysiąca słuchaczy. Wykładom towarzyszy sprzedaż broszurek z wykładami TKN /Bartoszewskiego, Cywińskiego, Drawicza, Jedlickiego/ oraz

innych wydawnictw NOW-iej; ludzie dosłownie wrywają je sobie z rąk. Odrębny cykl wykładów i imprez literackich zorganizowano wspólnie z klubem "Oświata" z nauczycielami zrzeszonymi w "Solidarności" - tu prof. Michał Głowiński dzielił się spostrzeżeniami o "nowomowie", wspominaliśmy też o poranku Miłoszowskim /Burek, Mikołajska/; jeszcze inny - w SGGW /wieczór Miłosza z udziałem Drawicza i Rayzachera, wykład Jedlickiego o umowie społecznej, jak na UW/. Odbyło się kolejne kolokwium poświęcone totalitaryzmowi.

22 listopada obradowało Zebranie Ogólne Towarzystwa Kursów Naukowych - już nie w mieszkaniu prywatnym, jak dawniej, lecz w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki, w gościnie u tamtejszego koła "Solidarności". Referat komisji programowej wygłosił Stefan Amsterdamski, w dyskusji zabierało głos wiele osób, także spoza ściśle TKN-owskiego grona. Zarówno w referacie, jak w dyskusji i w szkicu uchwały "Zadania TKN w obecnej sytuacji kraju", próbowano uprzytomnić sobie, jak może teraz wyglądać rola TKN-u i możliwości jego działania. Istotny jest nie tylko brak pewnych utrudnień zewnętrznych, ale bardziej jeszcze - obecność nowych szans i potrzeb, rozleglejszych niż kiedykolwiek oczekiwań społecznych; czy TKN potrafi im sprostać? Na TKN liczą dziś studenci i robotnicy, nauczyciele i młodzież szkolna; liczą nie abstrakcyjnie i biernie, lecz zwracają się o odczyty, wykłady, pomoc w organizowaniu ośrodków badawczych, rady co do kierunku ich działalności. Nie sprawienie zawodu tym środowiskom będzie możliwe jedynie pod warunkiem energicznej i harmonijnej współpracy z ich reprezentacjami, a zwłaszcza z nowym ruchem związkowym, z ruchem studenckim i nauczycielskim, ale i z wszystkimi w ogóle instytucjami i stowarzyszeniami, których cele choćby częściowo zbiegają się z celami TKN-u; i pod warunkiem własnej wzmocnionej aktywności, pozyskania nowych wykładowców, autorów, organizatorów. TKN chce w nowych warunkach być jeszcze bardziej niż dawniej liczącym się ośrodkiem opiniotwórczym w dziedzinie nauki, oświaty i kultury, chce ugruntować swoją "merytoryczną osobowość", nie kwapiąc się przy tym do zmiany statusu formalnego.

Na zebraniu, o którym mowa, ogłoszono nazwiska nowych sygnatariuszy Deklaracji TKN: Ryszard Bugaj, ekonomista; Jerzy Holzer, historyk; Leszek Kłwak, profesor filozofii /Poznań/; Zdzisław Łapiński, historyk literatury; Maria Joanna Radomska, profesor nauk rolniczych; Krzysztof Sliwiński, biolog; Irena Wóycicka, ekonomista.

Towarzystwo Popierania i Krzewienia Nauk

Taką nazwę przybrało nowe stowarzyszenie założone w Warszawie 5 października 1980 r. Z uchwalonej Karty dowiadujemy się, że chodzi o utworzenie forum, na którym pracownicy nauki mogliby "wypowiadać się indywidualnie oraz formułować opinie zbiorowe zarówno w kwestiach ogólnospołecznych, jak i w szczególności dla nich żywo interesujących sprawach polityki naukowej". Towarzystwo zamierza organizować dyskusje, odczyty i seminaria na obchodzące je tematy, a w razie potrzeby opracowywać eksperymenty dotyczące wybranych zagadnień nauki i oświaty. Deklarację członków-założycieli podpisało około 90 osób. Prezesem Towarzystwa został prof. Grzegorz Białkowski, fizyk /i zarazem poeta/, wiceprezesem - doc. Andrzej Siciński, socjolog.

Dwanaście lat po marcowej czystce na Uniwersytecie Warszawskim

Senat Uniwersytetu Warszawskiego powołał komisję "do spraw analizy niewłaściwych decyzji personalnych władz Uniwersytetu Warszawskiego podjętych w latach 1968-1980". Przewodniczącym Komisji jest profesor Klemens Szaniawski, członkami - profesorowie Andrzej Bogusławski, Jan Kutek i Andrzej Tarkowski oraz doktor Jacek Kochanowicz. W oświadczeniu, datowanym 12 listopada 1980, Komisja zajmuje stanowisko "wobec ogłoszonego w dniu 25 marca 1968 roku postanowienia ówczesnego Ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego, na mocy którego zostali pozbawieni swych stanowisk uniwersyteckich profesorowie i docenci Uniwersytetu Warszawskiego: Bronisław Baczko, Zygmunt Bauman, Włodzimierz Brus, Maria Hirszowicz, Leszek Kołakowski, Stefan Morawski" i stwierdza, że "odejście tych profesorów i docentów z Uniwersytetu Warszawskiego

kiego było wynikiem działania władz nadrzędnych, jednakże władze Uniwersytetu Warszawskiego ponoszą odpowiedzialność za to wydarzenie, ponieważ nie sprzeciwiły się tej akcji".

Rezygnując ze szczegółowej analizy całej sprawy, która "jest dobrze znana w kraju", Komisja uważa za konieczne "stwierdzenie, że ówczesna decyzja władz była wyjątkowo brutalną ingerencją w sprawy uniwersyteckie, która spowodowała ogromne szkody w życiu Uniwersytetu Warszawskiego i w rozwoju całej nauki i szkolnictwa wyższego. Cieszący się powszechnym szacunkiem profesorowie Uniwersytetu Warszawskiego doznali ciężkiej krzywdy. Musieli oni odejść z Uniwersytetu w bezprecedensowo krótkim terminie, bez jakiegokolwiek możliwości obrony. Jednocześnie rozpętano przeciwko nim oszczerczą kampanię propagandową, a sprzeciw społeczny, jaki cała sprawa wzbudziła, był tłumiony w sposób bezwzględny. Nauka i dydaktyka uniwersytecka poniosły wielką stratę. Niemniej pożałowania godne były skutki pośrednie akcji Ministerstwa. Jego decyzja w ogromnym stopniu przyczyniła się do rozszerzenia się w latach następnych atmosfery zastraszenia w środowisku naukowym, która hamowała postęp w badaniach i nauczaniu oraz sprzyjała awansowi miernoty".

Oświadczenie nie wymienia nazwiska ówczesnego ministra Oświaty i Szkolnictwa Wyższego - był nim Henryk Jabłoński. Nominalnym rektorem UW był Stanisław Turski, ale rządy na uniwersytecie objął już prorektor - a niebawem formalny rektor z nominacji ministra - Zygmunt Rybicki /który dopiero we wrześniu 1980 ustąpił z tego stanowiska; nowym rektorem UW, z wyboru Senatu, jest obecnie profesor Henryk Samsonowicz/. Spośród szczęśliwych uczonych, usuniętych w marcu 1968, jedynie Stefan Morawski przebywa w kraju; pozostali wykładają i publikują swe dzieła za granicą. W ślad za spektakularnym usunięciem wymienionych osób /o których można było przeczytać w komunikacie PAP - cytujemy za "Trybuną Ludu" z 26 marca 1968 - iż "najwyższe interesy państwa i narodu, wgląd na dobro młodzieży i troska o właściwą atmosferę polityczną życia uniwersyteckiego wymagają, aby... zostali sunięci od wpływu na wychowanie młodzieży"/ nastąpiła na UW i innych wyższych uczelniach w kraju zakrojona na znaczną skalę czystka wśród starszych i młodszych pracowników naukowych.

W końcowym fragmencie oświadczenia z 12 listopada 1980 czytamy m.in.: "Potępiamy destrukcyjną akcję z marca 1968 roku. Usuniętym wówczas profesorom składamy wyrazy podziękowań za ich cenną pracę na rzecz Uniwersytetu Warszawskiego. Wierzymy, że współpraca z nimi będzie w przyszłości możliwa".

Podczas jednej z konferencji prasowych, na zapytanie, czy wiadomo o jakichś praktycznych krokach, zmierzających do przywrócenia katedry Leszkowi Kożakowskiemu, profesor Szaniawski oznajmił, że osobiście uczestniczy w takich staraniach.

Setna książka Niezależnej Oficyny Wydawniczej

25 października 1980 roku w obszernym /ale nie dość obszernym, żeby zmieścić tłum zaproszonych/ mieszkaniu Pawła Bąkowskiego na Żoliborzu odbyła się konferencja prasowa, a następnie cocktail z okazji setnej publikacji NOW-ej. Książką tą są bardzo ładnie wydane "Miesiące" Kazimierza Brandysa, których fragmenty czytelnicy znają z 11 i 12 n-ru "Zapisu". Również pierwszą pozycją Oficyny trzy lata temu była książka Brandysa - "Nierzeczywistość". Miło nam, że w tej setce okazałe miejsce zajmuje piętnaście numerów naszego kwartalnika /a w tej liczbie trzy numery z powieściami Konwickiego i Strykowskiego/, jak również osobne wydania naszych autorów - Barańczaka, Burka, Ficowskiego i innych.

Kierownicy NOW-ej - Konrad Bieliński, Grzegorz Boguta, Mirosław Chojęcki, Adam Michnik i Ewa Milewicz - wygłosili krótkie przemówienia i odpowiadali na pytania, zabrał również głos waruszony Kazimierz Brandys, a Krzysztof Śliwiński odczytał oświadczenie "Solidarności" regionu Mazowsze w aktualnej tego dnia sprawie rejestracji i statutu. Na pytanie jednego z dziennikarzy, czy w zmienionych warunkach NOWA zamierza kontynuować działalność, padła odpowiedź, że zamierza tak długo, jak długo istnieją książki, które z

przyczyn politycznych, doktrynalnych etc. nie mogą ukazywać się oficjalnie. Kazimierz Brandys, podpisując egzemplarze "Miesiący", napracował się jak na kiermaszu majowym. Wśród gości, oprócz osób bezpośrednio związanych w minionych latach z redagowaniem, produkcją i kolportowaniem prasy niezależnej, a także działacze KSS "KOR" na czele z Antonim Pajdakiem, Anielą Steinsbergową i Edwardem Lipińskim, zauważyliśmy reprezentantów różnych środowisk kulturalnych, m.in. Andrzeja Wajdę, Stefana Bratkowskiego, Irenę Szymańską, Ryszarda Matuszewskiego, ks. Jana Palusińskiego, Jerzego Piórkowskiego, Juliusza Żuławskiego, Hannę Krall, Artura Międzyrzeckiego, Marka Edelmana, Józefa Duriasza, Martę Fik, Annę Walentynowicz, Joannę Guze, Jerzego S. Sito, było też dużo młodzieży. Wystąpili popularni pieśniarze Jacek Kaczmarski i Przemysław Gintrowski.

Inne wydawnictwa niezależne też działają

Anonsowaliśmy jakiś czas temu ukazanie się "Konia na wzgórzu" Eugeniusza Małaczewskiego i kilku innych pozycji Wydawnictwa Biblioteki Historycznej i Literackiej /nazwa wydawnictwa - tymczasowa/. Oto nowe tytuły tej niecenzurowanej oficyny: "Sól ziemi" Jerzego Narbutta, "Ostatnie dni obrony Lwowa" W. Langnera, "Przewodnik po miejscach pamięci narodowej związanych z bitwą warszawską w sierpniu 1920 r.", "Tajny referat Chruszczowa".

"Samorządność", "Niezależność", "Solidarność"

Pod tym pierwszym tytułem od 24 września 1980 roku ukazuje się trzy razy w tygodniu na łamach "Dziennika Bałtyckiego" miniorgan gdańskiego MKZ-u, redagowany początkowo przez Lecha Bądkowskiego, a obecnie przez zespół w składzie: Ewa Górską, Lecha Bądkowskiego, Grzegorz Fortuna. Oprócz materiałów informacyjno-publicystycznych, zdarzają się na czasnych łamach "Samorządności" teksty literackie, m.in. natrafiliśmy na felieton Andrzeja Brauna, wypowiedź Andrzeja Vincenza o Miłoszu oraz wiersze Ryszarda Krynickiego, Andrzeja Mandakiana i Wiktora Woroszyńskiego.

Region Mazowsze NSZZ "Solidarność" wydaje - środkami małej poligrafii i, niestety, trochę nieregularnie - pismo "Niezależność". Redagują: K. Karpieńska, M. Lanota, J. Łojak, L. Wujec, K. Lityńska.

Jeszcze w sierpniu ukazywał się w Stoczni Gdańskiej Strajkowy Biuletyn "Solidarność", redagowany przez Konrada Bielińskiego i Mariusza Wilka; wyszło czterdzieści numerów, a piętnasty, kontynuując poprzednią numerację, wydano z datą 24 września; ostatni, który do nas dotarł, jest numer osiemnasty /co nie znaczy, że nie wyszło ich więcej/, podpisany za zespół redakcyjny przez Joannę Dudę-Gwiazdę i Mariusza Wilka.

Ten sam tytuł ma przejąć również duże pismo NSZZ "Solidarność", którego zespół formuje się obecnie spośród wielu wybitnych dziennikarzy, pracujących dotąd w różnych redakcjach oficjalnych i nieoficjalnych. Sprawa wydania nowej "Solidarności" jakiś czas temu zdawała się już zakatwiona, ale ostatnio rozmowy prowadzone na ten temat przez rzecznika prasowego Komisji Krajowej "Solidarności" Karola Modzelewskiego z rzecznikiem prasowym rządu PRL Józefem Bareckim utknęły na martwym punkcie - miejmy nadzieję, że nie na długo.

"Naprzeciw"

Jeszcze podczas strajku sierpniowego przebywająca w stoczni grupa członków Koła Młodych przy Gdańskim Oddziale ZFP przygotowała pierwszy numer pisma "Naprzeciw", który ukazał się we wrześniu. W numerze - bieżące oświadczenia, a także wiersze i publicystyka młodych pisarzy z Wybrzeża, i nie tylko: Marka Eienkowskiego, Antoniego Pawlaka, Stanisława Rośka, Juliana Kornhause-ra, Macieja Kraińskiego, Tomasza Jastruna, Tomasza Wołka, Mariana Terleckiego. Reprezentatywny dla nastroju pisma wydaje się artykuł Rośka pt. "Odzyskane my", kończący się słowami: "Dzisiejszy dzień pozwala poszukiwać wspólnoty nie w niebie, lecz na ziemi. Nie pośród cieni, lecz żywych ludzi. Historia dała pokoleniu jeszcze jedną szansę".

Przygotowany przez nieco rozszerzony zespół /G. Bienkowski, Zb. Joachimiak, P. Luelle, M. Krański, St. Rosiek, M. Terlecki, Wł. Zawistowski/ numer drugi "Naprzeciw" nosi podtytuł "gazeta młodej inteligencji" i na czoło wybija się w nim obszerny dział eseistyczny. W tytułach - raczej pytania, niż odpowiedzi: "Kim byliśmy? kim jesteśmy? kim będziemy?" /Marek Bienkowski/, "Co może literatura?" /Waldemar J. Ziemiński/...

Zjazd Nadzwyczajny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich

Otwarcie Nadzwyczajnego Zjazdu SDP poprzedziła działalność tzw. grupy inicjatywnej /złożonej najpierw z kilku, potem z kilkudziesięciu; wreszcie z kilkuset osób/, zbieranie podpisów, ustalanie platformy, uparcywa walka o to, aby zjazd w ogóle się odbył. Jeszcze w trakcie zjazdu /który obradował w trzech ostatnich dniach października 1980/, usiłowano go zrywać, proponując odłożenie na czas nieokreślony, pod pretekstem, że delegaci nie są przygotowani do uchwalenia poprawek statutowych. Większość sprzeciwiła się tym zakusom - i zjazd doprowadzono do końca, odbyto długą i gorącą dyskusję, uchwalono poprawki do statutu i inne dokumenty, wybrano całkowicie nowy Zarząd Główny. Specyficzną tradycją "starego" SDP było, że na jego czele stał aktualny redaktor naczelny "Trybuny Ludu" /Stanisław Mojkowski, Józef Barecki/. Teraz prezesem Stowarzyszenia został Stefan Bratkowski, członek PZPR, ale "enfant terrible" macierzystej organizacji, publicysta związany z DiP-em, przez wiele lat bez stałej pracy, dopiero ostatnio przywrócony na stanowisko szefa "Życia i Nowoczesności" /dodatku do "Życia Warszawy"/, które odebrano mu siedem lat wcześniej. Pismo to, trzeba przyznać, od razu nabrało rumieńców /wrócili do niego i inni usunięci siedem lat temu współpracownicy/. Wiceprezesami SDP zostali: Maciej Ikwiecki z "Polityki" i Jerzy Surdykowski z "Życia Literackiego", sekretarzem generalnym - Dariusz Fikus z "Polityki".

Na uchwały Zjazdu SDP nałożono w prasie kilkutygodniowe embargo: dopiero w numerze "Kultury" z 7 grudnia 1980 wydrukowano główną uchwałę "Nasz głos w sprawach publicznych". Jest to głos bardzo krytyczny, wskazujący na przykład, że "procesowi odnowy nie służą rozmaite, niespójne w swej istocie, taktyczne posunięcia, noszące znamiona manipulacji i niepotrzebnie antagonizujące społeczeństwo", jak prowadzona w niektórych regionach kraju "mała wojewódzka polityka blokowania przemian", głośna sprawa rejestracji NSZZ "Solidarność", a także "próby dezinformacji, jednostronność ocen, opóźnianie się z podejmowaniem problemów nurtujących społeczeństwo". - "Szczególnie niepokoi - czytamy w uchwale - szermowanie pojęciem sił antysocjalistycznych. /.../ Protestujemy przeciwko wystąpieniom w środkach masowego przekazu ludzi prezentujących pogardę i lekceważenie społeczeństwa". Uchwała domaga się też m.in. "zagwarantowania nowym związkom posiadania własnych wydawnictw".

Inne dokumenty Zjazdu to: "Rezolucja dotycząca prawa człowieka do życia w nieskażonym środowisku", "O znaczeniu środków komunikacji społecznej w Polsce i roli Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w ich rozwoju - ocena wstępna wniosków z dyskusji", "Uwagi Nadzwyczajnego Zjazdu Delegatów SDP w sprawie ustawy o cenzurze i ustawy prasowej". Ustępującemu Zarządowi Głównemu udzielono absolutorium warunkowo, tzn. - jak to sformułowano - "pod warunkiem, że każdy z członków byłego Zarządu weźmie z tego absolutorium tyle, ile zdołał dla ochrony wiarygodności dziennikarstwa polskiego".

Namiętności - zwłaszcza ze strony osób niechętnych przemianom w SDP - nie opadły także po zjeździe. W "Kulturze" ukazał się na przykład artykuł Bogusława Rychwalskiego z "Nowych Dróg", zarzucający grupie inicjatywnej złamanie demokracji, wybranie nowych władz "prawem kaduka" etc. Władze te Rychwalski określił jako zarząd "z nieprawego łóża"...

Aktualna linia Egzekutywy POP Literatów

Ukazał się /bez daty i numeru, ale przygotowany, jak łatwo wywnioskować z materiałów, we wrześniu 1980 r./ drugi "Biuletyn POP PZPR przy Oddziale Warszawskim ZLP". Ogłoszono w nim kilka przemówień z zebrania POP w dniu 5 września, wraz z uchwałą; a w dalszej części - inne wypowiedzi członków organizacji. Najbardziej istotne przemówienie, Stefana Bratkowskiego, zostało skrupuletnie ocenzurowane; na szczęście, o rzeczywistej jego treści możemy się dowiedzieć skądinąd, m.in. z 6/40/ n-ru "Biuletynu Informacyjnego"; tam więc również, nie zaś w organie Egzekutywy POP, znajdziemy np. takie światoburcze konstatacje, jak: "KOR nie prowadziła nam oficjalnej propagandy, nie zdeorganizowała gospodarki, nie zadłużyła kraju na skraj bankruktwa, nie patronowała złodziejom i utracjuszom. Te klęski autentyczne i tragiczne zgotowało naszej Partii własne kierownictwo!".

Ton dyskusji partyjnej nadawały jednak zgoła odmienne wypowiedzi, jak ta - wielce charakterystyczna - Romana Bratnego: "Musimy, my, partia, znaleźć się na czele procesu... Partia jest i musi pozostać główną siłą sprawującą władzę w państwie". I sekretarz POP, Andrzej Wasilewski, uznał za stosowne zachęcić "do powrotu na drogę normalnego funkcjonowania w kulturze narodowej tych, którzy z tej drogi zeszli" /?/. Zabrzmiało to zaś wspaniałomyślnie: "wyrażamy gotowość niepamiętania nikomu ani tego co głosił, ani tego co robił, gotowość zaprowadzenia od dziś nowego kalendarza, w którym obowiązywać będą te same zasady, jakie potwierdziły strajkujące załogi: zasady funkcjonowania w porządku konstytucyjnym. Porozumienie jednoznacznie określa, co to oznacza: akceptację podstawowych założeń ustrojowych socjalistycznego państwa, poszanowanie systemu jego międzynarodowych sojuszy, uznanie kierowniczej roli PZPR w życiu kraju".

I wreszcie zasługuje na przytoczenie fragment wypowiedzi /spoza zebrania/ Kazimierza Koźnińskiego, specyficznie interpretujący rolę Lecha Bądkowskiego, autora refleksji w "Zapisie" nr 13 /już atakowanych w poprzednim POP-izdaniu/ i zasłużonego uczestnika sierpniowych wydarzeń w Gdańsku. "... nie bardzo wiarygodny - twierdzi Koźniński - wydaje mi się pisarz, który wiosną ogłasza wielki esej, domagający się w praktyce rozbioru Związku Radzieckiego, a w kwartał później, w lecie, podpisuje listy zapewniające, iż ruch, w którego imię którego się znalazł, ani nawet myśli o jakimkolwiek działaniu wymierzonym w pozycję polityczną ZSRR. Jedno lub drugie; albo też trzeba się otwarcie wytłumaczyć ze swej ewolucji". Nie domagając się w zamian od Koźnińskiego wytłumaczenia z różnych ewolucji życiowych, tym razem my przestaniemy na formułce zapożyczonej z poprzedniego numeru "Biuletynu POP": komentarze zbyteczne.

Przemówienie Stanisława Dąbrowskiego

Na zebraniu Oddziału Gdańskiego Związku Literatów Polskich 5 września 1980 ze szczególną uwagą wysłuchano przemówienia poety i eseisty Stanisława Dąbrowskiego, który próbował wielostronnie zanalizować aktualną sytuację, istotę konfliktu między władzą a społeczeństwem, sens takich używanych oficjalnie pojęć jak "kierownicza rola partii", "siły antysocjalistyczne" i inne. Z przemówienia tego przytoczymy dwa fragmenty, dotyczące bezpośrednio środowiska literackiego.

Nawiązując do sierpniowego zebrania gdańskich pisarzy, Dąbrowski powiedział: "Jest bezsporne, że zawiodła intuicja moralna i polityczna tych, co uchyłili się od podpisania naszego oddziałowego poparcia dla MKS-u. Zadziałał albo stary stereotyp lęku przed represjami, albo stary stereotyp nieufności do tego, co nie ma jeszcze partyjnego odgórnego przyzwolenia. Spotkałem się z opinią, że - ponieważ w czasie podpisywania poparcia dla MKS-u nastąpił między nami wyraźny podział - teraz należy podjąć działania integracyjne. Nie zgadzam się z tą opinią, bo ona zbyt przypomina rzucone obecnie w partii hasło zwierania szeregow. Hasło takie rzuca się jedynie w warunkach zagrożenia. Jeśli partia małaby traktować obecne społeczno-narodowe przemiany jako zagrożenie, to prowadziłoby to ją do psychologicznej niemożności uz-

niania pozytywnego charakteru tych zmian. Nikt przecież nie okazuje uznania zagrożeniom. ZLP nie jest wcale ośrodkiem integrowania swych członków w jakiejś całości nadrzędnej. ZLP powinien jedynie bronić naszego prawa do osobistej, indywidualnej, duchowej integralności, której zwieranie szeregów wcale nie sprzyja. ZLP powinien być modelowym ośrodkiem ożywionego różnicowania samodzielnymi opiniami. Ale nim nie był i nie jest, jak nim nie był i nie jest gdański uniwersytet".

I w końcowym fragmencie przemówienia: "Pora najwyższa, aby pójść w ślady stoczniovców, jeśli nie przez zakładanie nowego ZLP, to przynajmniej przez dopilnowanie, aby był wolny, samorządny i niezależny. By przestało w nim dominować państwo w państwie i panoszyć się fałszywa reżyseria polegająca na robieniu dyrektywnych zebrań przed zebraniem właściwym. Broniąc się przed dyrygowaniem od środka powinniśmy dbać i o samosterowność zewnętrzna, tj. pamiętać, że ani w obrębie województwa, ani wyżej niepotrzebna są nam żadne władze zwierzchnie i nadzorcze, skoro nasze władze związkowe, te które sami wybierzemy, będą się mieściły na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie. Warto przypomnieć, z jaką wrogością odwołano się do zasady, którą usiłował realizować Słonimski, by ZLP zajmował wobec partii pozycję partnerską, kontrproponycyjną, a nie przyklaskiewiczowską, pokłonną wobec coraz to innych szejków i ajatollahów".

Odblokowane filmy

Niejednokrotnie donosiliśmy w tym miejscu o filmach fabularnych i dokumentalnych, które zamiast na ekrany kinowe i telewizyjne - na mocy decyzji kolejnych kierowników naszej kinematografii - trafiały na półkę. Spośród tych filmów, nakręconych kilka lat temu, ostatnio mogliśmy już obejrzeć w telewizji "Metę" Antoniego Krauzego, "Spokój" Kieślowskiego i dokumentalną "Robotnice" Kamińskiej. Skoludowano "Indeks" Janusza Kijowskiego, "Palace Hotel" Ewy Kruk /według scenariusza Stanisława Dygata; swego czasu ogłosił liśmy protokół haniębnego posiedzenia, na którym ten film niszczone/, skierowano na kolaudację "Jak żyć" Łozińskiego. Bodajże najdłużej przetrzymywany na półce film Jerzego Skolimowskiego "Ręce do góry" autor zdecydował się "odświeżyć" przed zaprezentowaniem publiczności. Niejasne pozostają perspektywy filmów Andrzeja Żuławskiego: "Diabeł" i nie dokończony "Na srebrnym globie".

Do rozpowszechniania skierowano ponadto filmy krótkometrażowe: "Egzamin dojrzałości" i "Próba mikrofonu" Łozińskiego, "Krowo niebo do pyska" Ziarnika, "Stolarz" Wiszniewskiego, "Wielogłos" Kidawy, "Robotnicze głosy", "Skansen" i "Śladami bohatera pozytywnego" Raplińskiego, "Trudności bardzo obiektywne" Dmowskiego. Wszystkie wymienione tytuły powstały w Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Dalsze filmy czekają na przegląd w Naczelnym Zarządzie Kinematografii lub na decyzję, dotyczy to takich tytułów, jak "Robotnicy 71" Kieślowskiego i Zygadły, "Nie wiem" Kieślowskiego, "Wśród ludzi" Slesickiego, "Tyłso dla dorosłych" Piwowskiego, "Sto lat" Kosińskiego, "Dwa oblicza Boga" Hoffmana i Skórczewskiego, "Zakopane 61" Kwiatkowskiej, "Nie płacz" Królikiewicza. Spis jest niekompletny, ponieważ NZK nie dysponuje pełną dokumentacją filmów zatrzymanych w ostatnim 25-leciu /niekiedy po pierwotnym okresie eksploatacji/ i obecnie jest w trakcie zbierania informacji.

"Robotnicy '80"

Kiedy dwaj młodzi reżyserzy, Andrzej Chodakowski i Andrzej Zajączkowski, zgłosili gotowość udokumentowania filmowego wydarzenia w strajkującej Stoczni im. Lenina w Gdańsku, przez wiele dni nie mogli uzyskać zezwolenia na tę eskapadę /a co za tym idzie - finansów, ekipy i sprzętu/; w rezultacie - po licznych i intensywnych interwencjach - znaleźli się na miejscu dopiero w ostatnim tygodniu strajku, w okresie pertraktacji MKS-u z komisją wicepremiera Jagielskiego. Mimo tego opóźnienia - powstał film wstrząsający swoją prawdą, napięciem dramatycznym i głęboką charakterystyką występujących postaci. Z kolei robiono filmowi trudności w stadium montażu, kopiowania

itd. - bo nie tylko kierownikowi kinematografii, wiceministrowi Juniewiczowi, ujawnienie takiej prawdy i takiego dramatu wydawało się widać nie do pomyslenia. Do walki o "Robotników" włączyła się "Solidarność", a także Stowarzyszenie Filmowców i pracownicy kinematografii na kilku burzliwych zebraniach. Wreszcie - na szczeblu wyższym niż zajmowany przez Juniewicza - zapadła decyzja dopuszczenia filmu bez wymaganych uprzednio cięć /jedną z nich dotyczyło na przykład napomnienia Anny Walentynowicz, że była bita podczas zatrzymań przez milicję w minionym okresie/. Sporządzono kilkadziesiąt kopii i zezwolono na pokazywanie "Robotników" dla różnych środowisk. Od 8 grudnia film miał wejść do normalnej eksploatacji kinowej - był już nawet pokaz przedpremierowy dla dziennikarzy i po jednej projekcji pseudo-premierowej w Gdańsku i Warszawie - ale jednocześnie z nimi PAP doniósł, że "dalsze wyświetlanie filmu odbędzie się w terminach późniejszych". Przeciwno tej niepokojącej zwłoce zaprotestował, obok NSZZ "Solidarność", Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych.

Bohdan Kosiński, który patronował przedsięwzięciu Chodakowskiego i Zajczkowskiego, kręci jak gdyby dalszy ciąg "Robotników" pod tymczasowym tytułem "Pierwsze dni". Chodzi o początek trudnej powszedniości wykonanych ze strajku Niezależnych Związków Zawodowców. Z kolei film o Niezależnym Zrzeszeniu Studentów /również po pokonaniu oporów Juniewicza/ kręci Marcel Łoziński.

Rozebrany "mur"

Co do Antoniego Juniewicza, którego pierwsze kroki na stanowisku "ministra kinematografii" relacjonowaliśmy swego czasu, to poczuwamy się do obowiązku zawiadomienia także o finale jego kariery na tym polu. 7 października 1980 r. na zebraniu pracowników w warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych, po ostrej dyskusji, uchwalono /przy jednym głosie sprzeciwu i jedenas-tu wstrzymujących się/ wotum nieufności dla Juniewicza. Relację z tego zebrania, pt. "Rozmowa o murze", z przytoczeniem wypowiedzi Krystyny Gryczełowskiej, Marcela Łozińskiego, Pawła Kędzierskiego i samego Juniewicza, opublikowała "Literatura" z 23 X 1980 Małgorzata Szejnert. /Tytuł pochodzi z wcześniejszej o kilka miesięcy dyskusji na festiwalu w Krakowie, w trakcie której Bohdan Kosiński nazwał administrację kinematografii, a w szczególności Juniewicza, murem, o który dokumentaliści wciąż uderzają, kiedy chcą realizować filmy o rzeczywistości; minister odpowiedział wtedy, że "tak powinno być i tak będzie" - wy bijecie o ten mur, a ja będę się bronił"/. Następnym jest Eugeniusz Mielcarek, dotychczas - jeden z zastępców kierownika wydziału kultury KC PZPR.

Artyści Warszawy - "Solidarności"

Pod takim hasłem odbył się 10 listopada 1980 roku koncert w Teatrze Wielkim w Warszawie; jego reżyser, Jerzy Markuszewski, mówił w przeddzień, że w gruncie rzeczy reżyserem koncertu będzie życie, w zależności bowiem od wyników wyznaczonej na tę datę rozprawy odwoławczej przed Sądem Najwyższym /w związku z bezprawnymi wpisami, dokonany przez Sąd Wojewódzki w statucie "Solidarności"/ różne teksty zabrzmiały radośnie, gorzko albo szyderczo... Werdykt, jak wiadomo, wypadł pomyślnie - i nic nie skaziło szlachetnego dźwięku poezji, stanowiącej główny budulec koncertu. Niektórzy widzowie sprawiali tylko wrażenie bardzo zmęczonych tym, co było przedtem.

Bilety wstępu po 30 zł rozprowadziła "Solidarność" /Mazowsze/. Nie tylko artyści, ale również służba teatralna - maszyniści, oświetlacze, garderobiane - pracowały darmo. Pierwsza ukazała się na scenie, owacyjnie witana, Halina Mikołajska; kiedy zapadła cisza, rozległy się słowa "Uspokojenia" Słowackiego:

Co nam zdrady! - Jest u nas kolumna w Warszawie,

Na której usiadają podróżne żurawie...

Potem był Chopin - śpiewany /przez solistkę Opery Wandę Bargielowską/

i tańczony /Walc, przez duet Cwaro-Olkusznik/; potem znów recytację - "Do przyjaciół Moskali" Mickiewicza w wykonaniu Andrzeja Seweryna, Maciej Rayzacher z wierszem Miłosza; dawni i nowi poeci polscy w wykonaniu Maji Komorowskiej, Olgierda Łukaszewicza, Zofii Mrozowskiej, Damiana Damięckiego, Mirosława Konarowskiego, Daniela Olbrychskiego. Pierwszą część koncertu zamknął Zbigniew Zapasiewicz "Modlitwą" Tuwima:

Niech prawo zawsze prawo znaczy,
A sprawiedliwość - sprawiedliwość...

W części drugiej - także poezja, ale obok niej - muza kabaretu, czyli monologi, piosenki, skecze; wystąpili Jacek Kaczmarski, Przemysław Gintrowski, Wienczyszław Gliński, Piotr Fronczewski, Stanisław Tym, Krzysztof Kowalewski, Krystyna Janda, Jacek Fedorowicz, Jonasz Kofta, Jan Pietrzak. A kiedy artyści zeszli ze sceny i zapaliły się światła, obecny na sali Lech Wałęsa zaintonował "Jeszcze Polska nie zginęła" i "Boże coś Polskę", i wszyscy stojąc śpiewali...

Przed zjazdem literatów

Kiedy ten numer "Zapisu" dotrze do czytelników, będzie już po XXI Walnym Zjeździe Związku Literatów Polskich, naszą kronikę zamykamy jednak parę tygodni wcześniej. Zjazd odbędzie się w Warszawie 28-29 grudnia 1980 roku. Data jest nieco dziwna, i ujawniły się wokół niej wyraźne kontrowersje, m. in. na walnym zebraniu wyborczym literatów warszawskich. Otóż już na początku września wśród członków Związku ugruntowała się opinia, że zjazd, przewidziany na wczesną wiosnę roku 1981, należy w aktualnej sytuacji wydatnie przyspieszyć. Inne stowarzyszenia twórcze zwołały w tym okresie zjazdy nadzwyczajne, literaci natomiast uważali, że niezłym wyjściem będzie wyznaczenie, powiedzmy, na listopad terminu zjazdu zwyczajnego. Zarząd Główny ZLP podjął uchwałę o przyspieszeniu zjazdu, ale niebawem okazało się, że I sekretarz POP /który nie jest zresztą członkiem ZG/ wolałby możliwie minimalne przesunięcie terminu, np. z kwietnia na marzec lub luty. Wysłunięto argument, że z jakichś przyczyn "lepiej będzie odbyć zjazd literatów po zjeździe partii; następnie, że zwłoka w odbyciu zjazdu pomoże nowo mianowanemu ministrowi Kultury J. Tejchmanie w załatwieniu rozmaitych spraw dla Związku itp. Prezydium ZG ZLP podjęło jednak na posiedzeniu 27 września decyzję zwołania zjazdu w postulowanym przez opinię związkową terminie listopadowym. Decyzja ta miała zostać zatwierdzona przez plenum ZG 8 października, ale tu nastąpiła niespodzianka: prawie wszyscy członkowie partii, nie wyłączając tych, którzy na posiedzeniu Prezydium deklarowali zgodę na wcześniejszy termin, a wraz z nimi bezpartyjny wiceprezes Janusz Krasieński - tym razem wypowiedzieli się za zwłoką i w jawnym głosowaniu /w obecności I sekretarza POP/ odrzucili nawet kompromisowy termin 14 grudnia, większością głosów 21 : 15 przyjmując niewygodną datę między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem. Partyjna większość powstała stąd, że w Plenum ZG uczestniczą, obok członków wybranych na zjeździe, prezesi oddziałów terenowych, zwłaszcza w mniejszych ośrodkach mocno uzależnieni od komitetów wojewódzkich partii. Dyscyplina więc zadziałała; choć nie podporządkowali się jej prezesi oddziałów: warszawskiego - Wanda Żółkiewska, lubelskiego - Henryk Pająk, oraz słupeckiego - Stanisław Misakowski.

Opinia związkowa przyjęła manipulację z terminem zjazdu jak najgorzej, dopatrując się w niej lekceważenia członków ZLP, umyślnego utrudniania im udziału w walnym, jak wolno przypuszczać, zjeździe, wreszcie - jak to często bywało - zacieranie przez organizację partyjną za wszelką cenę do swoich celów, niejasnych dla innych kolegów. Na walnym zebraniu oddziału warszawskiego 10 listopada Władysław Bartoszewski zapytał publicznie o przyczynę przeforsowania terminu 28-29 grudnia i o to, komu go zawdzięczamy. Wywiązała się dość gwałtowna wymiana zdań, w której chyba nikogo nie przekonano o słuszności podobnej daty. Wydaje się, że cała sprawa zaciążyła także na wynikach wyborów, z których organizacja partyjna wyszła z mniejszą ilością delegatów niż mogłaby może uzyskać, gdyby nie ściągnęła na siebie podejrzeń o manipulację w starym stylu.

Oto lista 79 delegatów warszawskich na grudniowy zjazd:

Jarosław Abramow, Janusz Anderman, Henryk Bardijewski, Władysław Bartoszewski, Jacek Bocheński, Marian Brandys, Stefan Bratkowski, Andrzej Braun, Mieczysław Buczkówna, Tomasz Burek, Jan Dobraczyński, Andrzej Drawicz, Tadeusz Drewnowski, Kazimierz Dziwanowski, Jerzy Ficowski, Marta Fik, Janusz Flowacki, Michał Głowiński, Joanna Guze, Julia Hartwig, Józef Hen, Paweł Hertz, Maria Janion, Andrzej Jarecki, Mieczysław Jastrun, Lech Jęczyk, Irena Jurgielewiczowa, Anna Kamińska, Krzysztof Karasek, Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski, Michał Komar, Anka Kowalska, Hanna Krall, Janusz Krasiński, Jerzy Krzysztoń, Zbigniew Kubikowski, Andrzej Kuśniewicz, Irena Lewandowska, Jerzy Lisowski, Jan Józef Lipski, Janusz Maciejewski, Aleksander Mażachowski, Andrzej Mandalian, Ludmiła Marjańska, Krzysztof Międzyrzeccki, Wojciech Młynarski, Camilla Mondral, Zdzisław Najder, Jerzy Narbutt, Igor Newerly, Tadeusz Nowak, Marek Nowakowski, Janusz Odrowąż-Pieniążek, Kazimierz Orkoś, Seweryn Pollak, Leszek Prorok, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jerzy S. Sito, Halina Skrobiszewska, Janusz Szawiński, Julian Strykowski, Andrzej Szczypiorski, Krystyna Zarnowska, Władysław L. Terlecki, Anna Trzeciakowska, Stanisław Tym, Andrzej Wasilewski, Adam Ważyk, Andrzej Werner, Piotr Wojciechowski, Wiktor Woroszyński, Jerzy Zagórski, Witold Zalewski, Bronisław Zieliński, Wanda Żółkiewska, Stefan Żółkiewski, Juliusz Żuławski.

Tego samego dnia, co w Warszawie, wybrano delegatów na zjazd w oddziale krakowskim. Oto lista: Stanisław Balbus, Jan Błoński, Leszek Elektorowicz, Kornel Filipowicz, Julian Kornhauser, Jerzy Kwiatkowski, Tadeusz Nyczek, Jan Pieszczehowicz, Marek Skwarnicki, Jan Józef Szczepański, Wiesław Paweł Szymański, Wisława Szymborska, Kazimierz Traciewicz, Jacek Woźniakowski, Marta Wyka.

W nieco późniejszym terminie przeprowadzono walne zebrania w pozostałych oddziałach Związku. We Wrocławiu wybrani zostali: Lothar Herbst, Józef Kelera, Urszula Koziół, Jacek Łukasiewicz, Tadeusz Różewicz, Ewa Szumańska. W Poznaniu: Edward Balcerzan, Stanisław Barańczak, Przemysław Bystrzycki, Jerzy Koczak, Egon Naganowski, Ewa Najwer. W Gdańsku: Lech Bąkowski, Kazimierz Nowosielski, Andrzej Tworochlib, Zbigniew Żakiewicz. W Łodzi: Tadeusz Gicgier, Jan Huszcza, Mieczysław Kucner, Ziemowit Skibiński, Jerzy Wawrzak, Andrzej Wilczkowski, Józef Wiśniewski. Wyników wyborów w innych oddziałach jeszcze nie znamy.

Jeszcze o ważnym zebraniu literatów warszawskich

Zebranie, o którym w związku z wyborami delegatów na zjazd i z kontrowersją wokół terminu zjazdu była mowa w poprzedniej notatce, odbyło się 10 listopada 1980, a więc w dniu, w którym, jak już przypominaliśmy gdzie indziej, Sąd Najwyższy pozytywnie rozstrzygnął odwołanie "Solidarności" od bezprecedensowej ingerencji Sądu Wojewódzkiego w tekst jej statutu. Wiadomość o tym rozstrzygnięciu na początku zebrania i nie mogła wpłynąć na nastrój sali. Przybyłych na zaproszenie zarządu Oddziału Warszawskiego ZLP przedstawiciele NSZZ "Solidarność" regionu Mazowsze - Zbigniewa Bujaka i Krzysztofa Sliwińskiego - powitano serdecznymi oklaskami. Bujak w krótkim, ujmującym bezpośrednio przemówieniu wspominał o wyniku przepołudniowej rozprawy i o wizerunku związkowców u Prymasa Polski, następnie zaś powiedział coś, co sprawiło nam szczególną radość, mianowicie podziękował literatom za "Zapis", który robotnicy czytali w tych ciężkich latach /wtrąćmy, że chyba, niestety, nie tak wielu robotników, ale jeżeli tacy jak Bujak i jego otoczenie - to wystarczający powód do satysfakcji/. Z kolei, na wniosek Haliny Skrobiszewskiej, zebrani uchwalili rezolucję witejącą pomyslnie rozwiązanie konfliktu wokół statutu "Solidarności" oraz drugą, o następującym brzmieniu: "Jednocześnie wyrażamy najwyższe zaniepokojenie pojawiającymi się na łamach prasy i w innych środkach społecznego przekazu oszczerczymi pomówieniami osób lub grup obywateli o rzekomą działalność antysocjalistyczną, co żywo przypomina niechlubnej pamięci metody z marca 1968 roku". Na prawie pięćset obecnych przeciwko tym rezolucjom głosowały 3-4 osoby i niewiele więcej wstrzymało się od głosu. Innego rodzaju uchwała, przyjęta po przemówieniu jednej z biblio-

tekarek Związku, dotyczyła niezbędnych podwyżek płacy pracowników ZLP /nie-literatów, zatrudnionych w biurze, stołówce itp., jak dotąd bardzo kiepsko uposażonych/.

W dyskusji jako pierwszy zabrał głos Andrzej Szczypiorski, odczytując opracowany wspólnie z Pawłem Hertzem projekt platformy zjazdowej delegatów warszawskich; w dalszej części zebrania przegłosowano po kolei poszczególne punkty tego programu /dotyczącego zasad działania Związku, jego stosunków z partią, administracją państwową, ruchem zawodowym, wydawnictwami itd./.

Kazimierz Brandys w przejmującym, bardzo osobistym przemówieniu opowiadał o złym czasie, kiedy mogło się wydawać, że jesteśmy samotną inteligentką wysepką w coraz obojętniejszych masach - i o wrażeniu, które przeżywa od sierpnia: jakbyśmy się obudzili w całkiem nowym społeczeństwie, którego nie znaliśmy. Jest to najwspanialsze ze wszystkich, co przeżyliśmy po wojnie; i bez względu na to, jak się potoczą wypadki, jest to już coś nieodwracalnego, nie do wymazania. Nie wiemy, oczywiście, co będzie, ale nie dajmy się straszyć rzekomymi przykładami historycznymi - powtarzalność dramatów i katastrof nie musi być wieczna, zdarzało się w Europie, że ruchy wolnościowe, reformatorskie kończyły się sukcesem - to nieprawda, że właśnie u nas nie może się spełnić, a kolejne pokolenie młodzieży musi spłonąć na stosie.

Z następnego przemówienia - Andrzeja Brauna - zacytujemy kilka istotnych fragmentów. Po stwierdzeniu "pewnej dwuznaczności oraz niekonsekwencji związkowych zachowań" /tzn. zachowań instancji ZLP/ w decydującym dla kraju momencie, "taktyki pewnych środowisk w naszym Związku, gdy na przeczekanie", mówca zwrócił się do tych, którzy jakoby "nie mają sobie nic do wyrzucenia" czyli działacze organizacji partyjnej: "Trochę skromności, koleżo, trochę poczucia wstydu. Jesteście w końcu częścią tej siły, która doprowadziła kraj na dno kryzysu, tej siły - trawestując określenie z "Fausta" - co wciąż chce dobra, a ciągle zło czyni. Jest was około jednej czwartej naszej związkowej społeczności; macie wszelkie prawa i możliwości wyrażania swoich przekonań. Aby osiągnąć pozycję, jaką sobie uzurpujecie, trzeba zdobyć taki autorytet, skupić takie talenty, umysły i charaktery, żebyście byli nam potrzebni, żeby społeczność pisarska nie mogła bez was istnieć".

W związku z raportem, którym chlubi się POP, o stanie książki, mówca zauważył: "Nie chodzi o produkcję zadrukowanego papieru. W tych raportach nie widać pytania: czyjej książki? Nas interesują wartości, nie abstrakcyjna produkcja. Naprawdę jest brak papieru. /.../ Jest to permanentne kłamstwo. Księgarnie są pełne druków. Wystawy pełne tytułów. Jakich i czyich tytułów? /.../ Jedne tytuły można zobaczyć na wystawie obok siebie w trzech równoległych wydaniach - inne, nieraz wybitniejsze, tylko na powielaczu".

Dalszy fragment przemówienia Brauna: "Zebrania i zjazdy nasze odbywają się pod ciężarem określonej atmosfery. Obradujemy pod brzemieniem groźby. Straszy się nas - i to z najwyższych kręgów władzy - wymazaniem z mapy. Stwierdzenia, jakie padają, można by streścić lapidarnie: jak nas nie będzie, to i was nie będzie... Trzydziestu pięciu milionom ludzi mówi się, że istnieją warunkowo, z łaski, że mogą zniknąć z mapy; przywołuje się osiemnasty wiek, zbrodnię rozbiorów. I to ma być argument za przyjaźnią, za sojuszami i status quo?"

W ostatniej części przemówienia Braun stwierdził: "Aby być niezależnym i samorządnym, nie wystarczy się z dziś na jutro, odgórnie, takim mianować. Trzeba się stać niezależnym i samorządnym w praktyce, a żeby takim być, trzeba mieć ku temu prawo i środki".

Omawiając te prawa i środki /przede wszystkim prawo do pracy, ograniczenie cenzury, obsadzanie stanowisk i funkcji wyłącznie z wyboru, swobodne dysponowanie budżetem/, Braun postulował m.in. wprowadzenie do statutu zasady łączenia stanowisk w organizacjach politycznych oraz w administracji kulturalnej z funkcjami w naczelnych władzach związkowych, a także - zlikwidowanie antydemokratycznej anomalii kooptowania do ZG prezesów oddziałów, nie pochodzących z powszechnego wyboru przez zjazd. "Nikt nie przekona mnie - zakończył Braun - że naprawa Rzeczypospolitej, naszego wewnętrznego gospodarstwa, że system samorządności i swobody, ujmujący kłopotów niekompetentnej oraz biurokratycznej władzy mecenasa, ale i chroniącej przed jej destrukcyjną samowolą, że ten system zwłacz-

cza w zakresie kultury - jest sprzeczny z sensem socjalizmu. W każdym bądź razie służyć będzie oświeconemu społeczeństwu Polaków."

Krzysztof Mętrak mówił o "realnym zagrożeniu fizycznym" kultury polskiej w ostatnich latach, o tym, jak stawała się "przedmiotem manipulacji nie tyle ideologicznych, co socjotechnicznych, maskowanych ledwie ideologią", jak "przerwaną brutalnie ciągłość pewnych procesów krystalizujących się w młodej literaturze, uczonego już najmłodszych pisarzy uników i zakłamania" etc. W tej sytuacji: "Odnowa nie jest aktem, który można zadekretować - choć pewnych aktów tego typu, jak np. ustawy o cenzurze, wymaga. Odnowa jest zadaniem, które trzeba będzie stale i na nowo podejmować, tworząc wartości i przywracając w krwioobiegu kultury pewne fundamentalne wartości, które już w niej istnieją. Są tu zadania pilniejsze i mniej pilne: dziś, dzięki Akademii Szwedzkiej, łatwo już upominać się o Czesława Miłosza, ale idzie o to, żeby w przyszłości znowu z czwartku na piątek nie przypomniano nam, że istnieje Leszek Kołakowski. Idzie o wprowadzenie wielu utworów już funkcjonujących w niezależnym obiegu wydawniczym. /.../ Druga połowa lat 70-ych to był czas wielkiego podziemnego ruchu intelektualnego, myślę tu nie tylko o działalności opozycji; twórczyły się kółka, odbywały się samorzutnie zebrania, dyskusje wszystkich z wszystkimi, ale wszystkich przeciwko zadławieniu: zmłócone zostało wiele energii umysłowej, ale na szczęście nie bez pożytku. Jesteśmy teraz może lepiej przygotowani - nauczeni zresztą kilkakrotnym doświadczeniem - że po coraz bardziej krótkotrwałych okresach nadziei nadchodziły coraz dłuższe okresy bierności, apatii, wracało nowe - jak mówi genialne warszawskie powiedzonko - sztywniały struktury, demokratyczne kanały okazywały się niedrożne. Te zagrożenia - w ten czas nadziei i niepewności - nadal są groźne i realne. /.../ W walce przeciw tym zagrożeniom nikt nas nie wyręczy. Myślę, że jako środowisko ZIF musi zrobić wszystko, żeby nie zaprzepaścić tej okazji".

"Opciwązkciem naszym, każdego z nas z osobna i naszej organizacji - powiedziały Andrzej Drawicz - jest jednoznaczne poparcie sprawy, oznaczonej pięknym słowem Solidarność - już tylko dlatego, że jest to sprawa słuszna, a gdyby to komuś nie wystarczyło, to powiem, iż ślepiec albo człowiek złej woli nie dostrzeże, że jest to n a s z a sprawa. Ponieważ jedynym środowiskiem naturalnym, w jakim nasz Związek może normalnie działać, jest Polska podstawowych swobód demokratycznych - a obszar tych swobód może być bądź stworzony, bądź poszerzony i utrzymany tylko dzięki niezależnemu ruchowi związkowemu. Wolności będzie w tym kraju tyle, ile solidarności - w cudzym słowie i bez". Dalej zaś pod adresem "władzy, która zechce być wiarygodna": władza taka "będzie rozmawiała, współpracowała, współrozwiązywała problemy z każdą demokratycznie wybraną reprezentacją Związku. Taka władza zrozumie również, że dawna polityka małpiej złośliwości, polegająca na stawianiu - na złość szerokiej opinii związkowej - na ludzi w środowisku niepopularnych bądź skompromitowanych; obsypywaniu ich wyróżnieniami, oddawaniu im redakcji czasopism, urządzaniu hucznych jubileuszy, wydawaniu martwych dzieł zebranych, wybieraniu do sejmu, słowem: stwarzaniu pozorów, jakoby to właśnie oni reprezentowali autentyczne środowisko - do niczego sensownego nie prowadzi - i zechce odrobić w tej dziedzinie to, co jest do odrobienia, zwracając środowisku to, co mu się słusznie należy".

Kronikę zamknięto 8 grudnia 1980

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADEŚLANE

- Bohdan Cywiński, "Z dziejów Kościoła Katolickiego w Polsce Niepodległej", Towarzystwo Kursów Naukowych - Wykłady, Warszawa 1980, Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 30, 6 nlb.
- Andrzej Drawicz, "Inna Rosja", Towarzystwo Kursów Naukowych - Wykłady, Warszawa 1980, Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 38.
- Ewa Kancler-Żeleńska, "Ostatni dzień wieczności", ss. 12. Poezje.
- Tadeusz Kowalik, "Spory o ustrój społeczno-gospodarczy Polski 1944-1948", Zeszyty Towarzystwa Kursów Naukowych, Warszawa 1980, Niezależna Oficyna Wydawnicza, ss. 100.
- Krzyszyna Mitzner, "Krzyszyna", ss. 16. Poezje.
- Piotr Mitzner, "Z czasem", ss. 12. Poezje.
- Piotr Mitzner /?/, ss. 12. Poezje. Na okładce brak nazwiska autora i tytułu.
- Jerzy Narbutt, "Sól ziemi", Biblioteka Literacka, 1980, ss. 20. Poezje.
- Mateusz Strylecki, "Sentymenty", ss. 12. Poezje.
- Agata Tuszyńska, "Rysowanie", ss. 12. Poezje.
- "Przestańcie nas stale przeproszać... Wiersze = sierpień 1980", Warszawa 1980. Wydawnictwo im. Konstytucji 3 Maja, ss. 24. Teksty zebrane wśród strajkujących na Wybrzeżu.
- "Res Publica", nr 5, rok 1980, redaguje zespół. Czasopismo.

NOTY O AUTORACH

JANUSZ ANDERMAN

Urodzony w roku 1949. Prozaik. Wydał książki: "Zabawa w głuchy telefon" /1977/ i "Gra na zwłokę" /1979/. Laureat nagrody "Zapisu" w roku 1980.

STANISŁAW BARANCZAK

Urodzony w roku 1946. Poeta, eseista, tłumacz, teoretyk literatury. Współtwórca i autor "Zapisu" od początków jego istnienia. Przez szereg lat objęty zakazem druku w oficjalnych wydawnictwach krajowych, wydawał za granicą oraz w kraju poza obrębem cenzury, uprawiał też krytykę literacką na łamach "Tygodnika Powszechnego" pod pseudonimem: Barbara Stawiczak.

LECH BĄDKOWSKI

Urodzony w roku 1920. Prozaik, reporter, publicysta, tłumacz z kaszubskiego, autor książek dla dzieci. W "Zapisie" nr 13 publikowaliśmy jego rozważania natury społecznej i politycznej "Twarzą do przyszłości". Obecnie udostępnił nam fragmenty dziennika z okresu strajku w Stoczni Gdańskiej /sierpień 1980/.

JACEK BOCHENSKI

Urodzony w roku 1926. Prozaik, eseista, tłumacz literatury antycznej. Przez szereg lat objęty zakazem druku. W "Zapisie" publikował fragment książki o Tyberiuszu, część książki "Krwawe specjały włoskie" /"Mechaniczna pomarańcza"/, eseje o tematyce współczesnej i in.

KAZIMIERZ BRANDYS

Urodzony w roku 1916. Prozaik, eseista, dramaturg. Przez szereg lat objęty zakazem druku. W "Zapisie" nr 11 i 12 drukowaliśmy fragmenty książki "Miesiące", która następnie ukazała się w całości nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej. Obecnie publikujemy fragmenty drugiego tomu "Miesiący", nad którymi autor pracuje.

TOMASZ BUREK

Urodzony w roku 1938. Badacz literatury i krytyk literacki. W "Zapisie" publikuje poczynając od numeru pierwszego; pisał m.in. o Jerzym Andrzejewskim, Kazimierzu Brandysie, Stefanie Kisielewskim.

WIEŚŁAWA GROCHOLA

Urodzona w roku 1932. Dziennikarka. Pracowała m.in. w "Głosie Pracy", Agencji Robotniczej, "Polityce". Tekst, przez nas drukowany, proponowała redakcjom pism oficjalnych, które jednak nie zdecydowały się na publikację.

JANINA JANKOWSKA

Urodzona w roku 1939. Dziennikarka, od roku 1962 reporterka Polskiego Radia. Nie wszystkie jej reportaże trafiały na antenę /np. cykl "Ludzie, którzy potrafili powiedzieć n i e" - zatrzymany w czerwcu 1976/. Zamieszczone w tym numerze rozmowy ze stoczniowcami, nagrane na taśmę w czasie strajku sierpniowego, nie zostały dopuszczone do druku przez redakcję "Literatury" we wrześniu 1980.

TOMASZ JASTRUN

Urodzony w roku 1950. Poeta, autor opowiadań i scenariuszy filmowych. Wydał zbiory poezji: "Bez usprawiedliwienia" /1978/, i "Promienie błędnego koła" /1980/.

STEFAN KISIELEWSKI

Urodzony w roku 1911. Prozaik, publicysta, kompozytor. Jako Kisiel - stały felietonista "Tygodnika Powszechnego". Jako Tomasz Staliński - autor sześciu wydanych przez Instytut Literacki w Paryżu. W różnych numerach "Zapisu" drukowaliśmy jego teksty skonfiskowane przez cenzurę, jak napisane specjalnie dla nas. Ten, który publikujemy obecnie, został skonfiskowany w "Tygodniku Powszechnym" w lipcu 1980.

KAZIMIERZ ORŁOS

Urodzony w roku 1935. Prozaik, reporter. Przez wiele lat podlegał zakazowi druku. W paryskim Instytucie Literackim ogłosił powieść "Cudowna melina" i "Trzecie kłamstwo". W "Zapisie" publikowaliśmy zarówno opowiadania, jak reportaże i artykuły Orłosa.

ANNA POGONOWSKA

Urodzona w roku 1922. Poetka, eseistka, krytyk literacki. Debiutowała tomem "Węzły" /1948/, następnie wydała paręnaście innych zbiorów poezji, ostatnio w roku 1980 - "Inne wiersze". Utwór, który publikujemy, został skonfiskowany przez cenzurę w "Tygodniku Powszechnym".

JAROSŁAW MAREK RYMKIEWICZ

Urodzony w roku 1935. Poeta, dramaturg, eseista, tłumacz poezji, filolog. Debiutował tomem poezji "Konwencje" /1957/. Autor m.in. książki "Aleksander Fredro jest w złym humorze" /1977/ i nie wydanej jeszcze książki o Słowackim. W "Zapisie" publikuje po raz pierwszy.

ANDRZEJ SZCZYPIORSKI

Urodzony w roku 1924. Prozaik, publicysta. Jego notatki z cyklu "Długopisem na marginesach" drukowaliśmy już kilkakrotnie.

W "ZAPISIE" PISALI

Podajemy spis autorów, których teksty ukażały się w poprzednich numerach "Zapisu":

Stefan Amsterdamski, Jerzy Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Władysław Bartoszewski, Jan Baudoin de Courtemay, Lech Bądkowski, Władysław Bienkowski, Jacek Bocheński, Paweł Bodnar, Janusz Bogucki, ks. Adam Boniecki, Jifi Boreś, Kazimierz Brandys, Marian Brandys, Andrzej Braun, Jarosław Broda, Josif Brodski, Leszek Budrewicz, Tomasz Burek, Anna Chmielewska, Mirosław Chojecki, Wanda Chylicka, Krzysztof Dawidowicz, Witold Dąbrowski, Kazimierz Dejmek, Ludwik Dorn, Andrzej Drawicz, Lech Dymarski, Stanisław T. Dziczkaniec, Kazimierz Dziewanowski, Leszek Elektorowicz, Hans Magnus Enzensberger, Jerzy Ficowski, Kornel Filipowicz, Anna Frey, Natalia Gorzaniowska, Günter Grass, Maria Grodecka, Teodor Halicz, Stanisław Hartman, Vaclav Havel, Zbigniew Herbert, Lothar Herbst, Grzegorz Herian, Gustaw Herling-Grudziński, Wacław Iwaniuk, Kornel Jankowski, Henryk Jasiczek, Władysław Jasiński, Jakub Karpiński, Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski, Leszek Kołakowski, Jan Kopalca, Györgi Konrad, Tadeusz Konwicki, Andrzej Koraszewski, Tadeusz Korzeniowski, Jan Kott, Anka Kowalska, Hubert Krauze, Jerzy Kreczmar, Marcin Król, Ryszard Krynicki, Jan Kucharzewski, Jadwiga Kwiatkowska, Jan Józef Lipski, Artur Lundkvist, Władimir Maksimow, Jerzy Markuszewski, Ignacy Matuszewski, Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Micewski, Adam Michnik, Halina Mikołajska, Jan Nepomucen Miller, Czesław Miłosz, Zdenek Mlynar, Zygmunt Mycielski, Jerzy Narbutt, Marek Nowakowski, Tadeusz Nyczek, Kazimierz Orłoś, Zyta Orszyn, Leon Pasternak, Jan Patočka, Antoni Pawlak, Józef Poduczenek, Jan Polkowski, Seweryn Pollak, Jan Prokop, Barbara Sadowska, ks. Jacek Salij, Gesine Schwan, Isaac Bashevis Singer, Andriej Siniawski, Antoni Słonimski, Arnold Słucki, Aniela Steinsbergowa, Julian Strykowski, Leszek Szaruga, Jan Józef Szczepański, Joanna Szczęsna, Andrzej Szczypiorski, Wiesław Paweł Szymański, Jakub Święcicki, Barbara Toruńczyk, Marek Turbacz, Ludvik Vaculik, Tomas Venclova, Jan Walc, Tadeusz Walendowski, Stanisław Warecki, Piotr Wierzbicki, Witold Wirpsza, Wiktor Woroszyński, Adam Zagajewski.

Jako tłumacze, oprócz kilku wymienionych wyżej autorów, współpracowali z "Zapise": Paweł Hartman, Małgorzata Łukasiewicz, N.N., Tadeusz Polanowski, Alek Zoltan.

S P I S T R E Ś C I

Jacek Bocheński: Ca za nami, co przed nami.....	3
Kazimierz Brandys: Miesiące 1980	13
Jarosław Marek Rynkiewicz: Mogiła Ordona - Zbaraż 1979 - Księżyc nad Wigrami	48
Danina Jankowska: Gdańsk, 18 sierpnia 1980, wieczorem	50
Tomasz Jastrun: Polska - Pod bramą nr 2 - Na bramie - Jeszcze jedna delegacja - W mieście - Los	52
Lech Bądkowski: Przypisy dnia	54
Kazimierz Orłowski: Notatki gdańskie	80
Anna Pogonowska: x x x	91
Janusz Anderman: Kotna mycz	92
Wiesława IGrochola: Zawód: dziennikarz	96
R e c e n z j e	
Stanisław Barańczak: Wielki strach - czyj i przed czym?	106
Tomasz Burek: W tym samym kraju	109
F e l i e t o n y	
Stefan Kisielewski: Wołanie na puszczy - Moje wyznanie niewiary	114
Andrzej Szczypiorski: Długopisem po marginesach - Podzwonne dla racjonalizmu	118
L i s t y d o r e d a k c j i	121
K r o n i k a	
Inteligenci z robotnikami /124/ +++ Głos pisarzy /125/ +++ Czesław Miłosz - laureatem Nobla /125/ +++ Komitet Porozumiewawczy Stowarzyszeń Twórczych i Naukowych - i sprawy cenzury /127/ +++ Głos Akademii Nauk /128/ +++ Nowy rok Towarzystwa Kursów Naukowych /130/ +++ Towarzystwo Popierania i Krzewie- nia Nauk /131/ +++ Dwanaście lat po marcowej czystce na Uniwersytecie Warsza- wskim /131/ +++ Setna książka Niezależnej Oficyny Wydawniczej /132/ +++ Inne wydawnictwa niezależne też działają /133/ +++ "Samorządność", "Niezależność" "Solidarność" /133/ +++ "Naprzeciw" /133/ +++ Zjazd Nadzwyczajny Stowarzysze- nia Dziennikarzy Polskich /134/ +++ Aktualna linia Egzekutywy POP Literatów /135/ +++ Przemówienie Stanisława Dąbrowskiego /135/ +++ Odblokowane filmy /136/ +++ "Robotnicy '80" /136/ +++ Rozebrowany "mur" /137/ +++ Artyści Warsza- wy - "Solidarności" /137/ +++ Przed zjazdem literatów /138/ +++ Jeszcze o ważnym zebraniu literatów warszawskich /139/	
Książki i czasopisma nadesłane	142
Noty o autorach	143
W "Zapisie" pisali	145

NAKŁADEM NIEZALEŻNEJ OFICYJNY WYDAWNICZEJ UKAZAŁY SIĘ:

- | | |
|---------------------------|--|
| Jerzy Andrzejewski | - MIAZGA |
| Stanisław Barańczak | - JA WIEM, ŻE TO NIESEUSZNE |
| Stanisław Barańczak | - KNEBEL I SŁOWO |
| Władysław Bartoszewski | - POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE 1939-1945 /zeszyt TKN/ |
| Władysław Bienkowski | - SOCJALIZM PO SZESĆDZIESIĘCIU LATACH |
| Jacek Bierezin | - W POŁOWIE ŻYCIA |
| Kazimierz Brandys | - NIERZĘCZYWISTOŚĆ |
| Kazimierz Brandys | - MIESIĄCE |
| Bertolt Brecht | - ELEGIE BUKOWSKIE I INNE WIERSZE |
| Josif Brodski | - WIERSZE I POEMATY |
| Tomasz Burek | - JAKIEJ HISTORII LITERATURY DZISIAJ
POTRZEBUJEMY /zeszyt TKN/ |
| Bohdan Cywiński | - HISTORIA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO
W POLSCE NIEPODLEGŁEJ /zeszyt TKN/ |
| Józef Czapski | - WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE |
| Ludwik Czarnowski | - PRAWO I WŁADZA |
| Andrzej Drawicz | - INNA ROSJA /zeszyt TKN/ |
| Lech Dymarski | - ZA ZGODĄ AUTORA |
| Jerzy Ficowski | - GRYP |
| Jerzy Ficowski | - ODCZYTANIE POPIOŁÓW |
| Władysław Gnomacki | - TOW. SZMACIAK |
| Witold Gombrowicz | - WSPOMNIENIA POLSKIE |
| Egor Gołomszok | - JEZYK ARTYSTYCZNY W WARUNKACH
TOTALITARNYCH |
| Günter Grass | - BLASZANY BEBENEK |
| Leon Grosfeld | - POLSKIE ASPEKTY STOSUNKÓW NIEMIECKO-
-SOWIECKICH W PRZEDDZIEN I PIERWSZYM
OKRESIE II WOJNY ŚWIATOWEJ |
| Jan T. Gross | - W ZABORZE SOWIECKIM |
| Gustaw Herling-Grudziński | - INNY ŚWIAT |
| Marek Hłasko | - ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA |
| Bohumil Hrabal | - ZBYT GŁOŚNA SAMOTNOŚĆ |
| Paweł Jasienica | - ROZMĄŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ |
| Zdzisław Jaskuła | - DWA POEMATY |
| Jerzy Jedlicki | - NOWA UMOWA SPOŁECZNA /zeszyt TKN/ |
| Jerzy Jedlicki | - FORMA I TREŚĆ "UMOWY SPOŁECZNEJ" /zeszyt TKN/ |
| Wieniedikt Jerofiejew | - MOSKWA-PIETUSZKI |
| Andrzej Kijowski | - NIEDRUKOWANE /wyd. I i II-gie/ |
| Marcin Król | - STYLE POLITYCZNEGO MYŚLENIA |
| Marcin Król | - JÓZEF PIŁSUDSKI - EWOLUCJA MYŚLI POLITYCZNEJ
/zeszyt TKN/ |
| Waldemar Kuczyński | - PO WIELKIM SKOKU |
| Jacek Kuroń | - MYŚLI O PROGRAMIE DZIAŁANIA. ZASADY IDEOWE,
UWAGI O STRUKTURZE RUCHU DEMOKRATYCZNEGO
/wyd. I i II-gie/ |
| Sándor Kopacsi | - TRZYNAŚCIE DNI NADZIEI /PPZ/ |
| Tadeusz Kowalik | - SPORY O USTRÓJ SPOŁECZNO-GOSPODARCZY POLSKI
1944-1948 /zeszyt TKN/ |
| Antonin H. Liehm | - NOWA UMOWA SPOŁECZNA |
| Zdzisław Łapiński | - MIĘDZY POLITYKĄ A METAFIZYKĄ /o poezji
Czesława Miłosza/ |
| Osip Mandelstam | - PÓŹNE WIERSZE |
| Tomasz Masaryk | - WYBÓR PISM |
| Adam Michnik | - CIENIE ZAPOMNIANYCH PRZODKÓW |
| Czesław Miłosz | - ZNIEWOLONY UMYSŁ |
| Czesław Miłosz | - TRAKTAT POETYCKI, TRAKTAT MORALNY |
| Czesław Miłosz | - KRÓL POPIEL I INNE WIERSZE |
| Czesław Miłosz | - MIASTO BEZ IMIENIA |
| Czesław Miłosz | - GDZIE SŁOŃCE WSCHODZI I KĘDY ZAPADA |
| Czesław Miłosz | - ŚWIATEO DZIENNE |

- | | |
|---|---|
| Czesław Miłosz | - ZDOBYCIE WŁADZY |
| Czesław Miłosz | - GUCIO ZACZAROWANY |
| Zdeněk Mlynář | - MRÓZ ZE WSCHODU |
| Jan Nowak | - KURIER Z WARSZAWY /wyd. I i II-gie/ |
| George Orwell | - FOLKLOR ZWIĘZŁY |
| Maria Ossowska | - O PEWNYCH PRZEMIANACH ETYKI WALKI |
| Borys Pilniak | - ŚMIERĆ KOMANDARNA |
| Józef Piłsudski | - BIBUŁA |
| Jan Polkowski | - TO NIE JEST POEZJA |
| Dominique de Roux | - ROZMOWY Z GOMBROWICZEM |
| Aleksander Sołżenicyn | - ŁBEM W MUR /PPZ/ |
| Aleksander Sołżenicyn | - JEDEN DZIEŃ IWANA DENISOWICZA |
| Mieczysław Szerer | - KOMISJA DO BADANIA ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA
ŁAMANIE PRAWORZĄDNOŚCI W SĄDOWNICTWIE
WOJSKOWYM |
| Janusz Szpotański | - UTWORY WYBRANE |
| Józef Światło | - ZA KULISAMI BEZPIEKI I PARTII |
| Marek Tarniewski | - POCHODZENIE SYSTEMU |
| Marek Tarniewski | - DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ |
| Piotr Wierzbicki | - CYRK |
| Piotr Wierzbicki | - GNIDZI PARNAS |
| Kazimierz Wierzyński | - CZARNY POLONEZ |
| Kazimierz Wierzyński | - KRZYŻE I MIECZE |
| Witold Wirpsza | - POLAKU KIM JESTEŚ |
| Wiktor Woroszyński | - JESTEŚ I INNE WIDERSZE /wyd. I i II-gie/ |
| Stefan Żeromski | - NA PROBSTWIE W WYSZKOWIE |
| Zygmunt Żuławski | - WSPOMNIENIA |
| - WOKOŁ REWOLUCJI ROSYJSKIEJ | - Zygmunt Bauman |
| | - Zbigniew Brzeziński |
| | - Krystian Rakowski |
| - DOKUMENTY BEZPRAWIA /opracowanie KSS "KOR"/ | |
| - DWIE ROZMOWY MOSKWA 1960 /stenogram rozmów polsko-chińskich/ | |
| - OBYWATEL A SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA /poradnik/ | |
| - OPRACOWANIA ZESPOŁÓW PROBLEMOWYCH PPN | |
| - PAKTY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA | |
| - PRAWDA /wybór artykułów z września 1939 r./ /wyd. I i II-gie/ | |
| - RAPORT O STANIE RZECZYPOSPOLITEJ /opracowanie DIP/ | |
| - STOSUNKI SOWIECKO-NIEMIECKIE /październik 1939 - czerwiec 1944/ | |
| - DOKUMENTY MSZ III RZESZY | |
| - ZBRODNIĄ KATYŃSKĄ W ŚWIELE DOKUMENTÓW | |
| - Z KSIĘGI ZAPISÓW GUKPPiW /wyd. I i II-gie/ | |
| - ANTYSEMITYZM | |
| - EUROKOMUNIZM | |
| - KULTURA /wybór z roczników 1978 i 1979-1980/ | |
| - NOCNE ROZMOWY Z JOSEFEM SMRKOVSKIM | |
| - UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ KRAJU | |
| - ŚPIEWNIK DOMOWY I ULICZNY | |
| - ŚPIEWNIK WARCHOŁA | |
| - ANEKS cz. I i II /wybór artykułów/ | |

Ponadto nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej ukazało się:

- | | |
|---|-------------------|
| 17 numerów kwartalnika literackiego ZAPIS, w tym: | |
| Tadeusz Konwicki | - KOMPLEKS POLSKI |
| Tadeusz Konwicki | - MAŁA APOKALIPSA |
| Julian Strzykowski | - WIELKI STRACH |
| 10 numerów kwartalnika literackiego PULS | |
| 8 numerów kwartalnika politycznego KRYTYKA | |

NAKŁADEM NIEZALEŻNEJ OFICYNY WYDAWNICZEJ UKAZAŁY SIĘ:

- | | |
|----------------------------|---|
| Jerzy Andrzejewski | - MIAZGA |
| Stanisław Barańczak | - JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE |
| Stanisław Barańczak | - KNEBEL I SŁOWO |
| Władysław Bartoszewski | - POLSKIE PAŃSTWO PODZIEMNE 1939-1945 |
| Władysław Bienkowski | - SOCJALIZM PO 60 LATACH |
| Jacek Bierezin | - W POŁOŻENIE ŻYCIA |
| Josia Brodzki | - WIERSZE I POEMATY |
| Kazimierz Brandys | - NIERZĘCZYWISTOŚĆ /wyd. I i II-gie/ |
| Zbigniew Brzeziński | - JEDNOŚĆ CZY KONFLIKTY /Cz. I/ |
| Tomasz Burek | - JAKIEJ HISTORII LITERATURY DZISIAJ
POTRZEBUJEMY |
| Bohdan Cywiński | - HISTORIA KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO W
POLSCE NIEPODLEGŁEJ |
| Józef Czapski | - WSPOMNIENIA STAROBIELSKIE |
| Ludwik Dembiński | - PRAWO I WŁADZA |
| Andrzej Drawicz | - INNA ROSJA |
| Lech Dymski | - ZA ZGODĄ AUTORA |
| Jerzy Ficowski | - GRUPS |
| Jerzy Ficowski | - ODCZYTANIE POPIOŁÓW |
| Władysław Gnomacki | - TOW. SZMACIAK |
| Witold Gombrowicz | - WSPOMNIENIA POLSKIE |
| Igor Grotowski | - JEZYK ARTYSTYCZNY W WARUNKACH
TOTALITARNYCH |
| Günter Grass | - BLASZANY BEBENEK |
| Czestaw Herling-Grudziński | - INNY ŚWIAT |
| Marek Hłasko | - ÓSMY DZIEŃ TYGODNIA |
| Bohumil Hrabal | - ŻYTY GŁOSNA SAMOĆNOŚĆ |
| Paweł Jasienica | - ROZWAŻANIA O WOJNIE DOMOWEJ |
| Zdzisław Jaskuła | - DWA POEMATY |
| Jerzy Jolicki | - FORMA I TREŚĆ UMOWY SPOŁECZNEJ |
| Włodzisław Jeroń | - MOSKWA PIĘTYSZKI |
| Andrzej Kijowski | - NIEDRUKOWANE /wyd. I i II-gie/ |
| Marcin Król | - 1. STYLE POLITYCZNEGO MYŚLENIA |
| Marcin Król | - JOZEF PIŁSUDSKI - ewolucja myśli
politycznej |
| Waldemar Kuczyński | - PO WIELKIM SKOKU |
| Jacek Kuroń | - MYŚLI O PROGRAMIE DZIAŁANIA
ZASADY IDEOWE, UWAGI O STRUKTURZE
RUCHU DEMOKRATYCZNEGO /wyd. I i II-gie/ |
| Sándor Kopasz | - TRZYNAŚCIE DNI NADZIEI |
| Tadeusz Kowalik | - SPORY O USTRÓJ SPOŁECZNO-GOSPODARCZY
POLSKI 1944-1948 |
| Antonin H. Liehm | - NOWA UMOWA SPOŁECZNA |
| Zdzisław Łapiński | - MIĘDZY POLITYKĄ A METAFIZYKĄ /o poezji
Czesława Miłosza/ |
| Osiip Mandelsztam | - PÓŹNE WIERSZE |
| Tomasz Masaryk | - WYBÓR PISM |
| Adam Michnik | - CIENIE ZAPOMNIANYCH PRZODÓW |
| Czesław Miłosz | - ZNIEWOLONY UMYŚL |
| Czesław Miłosz | - TRAKTAT POETYCKI, TRAKTAT MORALNY |
| Czesław Miłosz | - KRÓL POPIEL I INNE WIERSZE |
| Czesław Miłosz | - MIASTO BEZ IMIENIA |
| Czesław Miłosz | - GDZIE SŁOŃCE WSTAJE I KĘDY ZAPADA |
| Czesław Miłosz | - ŚWIATEŁO DZIENNE |
| Czesław Miłosz | - ZDOBYCIE WŁADZY |
| Czesław Miłosz | - GUCIO ZACZAROWANY |
| Jan Nowak | - KURIER Z WARSZAWY |
| George Orwell | - O PEWNYCH PRZEMIANACH ETYKI WALKI |
| Maria Ossowska | - BIBUŁA |
| Józef Piłsudski | - TO NIE JEST POEZJA |
| Jan Polkowski | - ROZMOWY Z GOMBROWICZEM |
| Dominique de Roux | - JEDEN DZIEŃ IWANA DENISOWICZA |
| Aleksander Solżenitsyn | - ZA KULISAMI BEZPIEKI I PARTII |
| Józef Światły | - UTWORY WYBRANE |
| Janusz Szustalski | - POCHODZENIE SYSTEMU |
| Marek Tarniewski | - DZIAŁANIE I PRZYSZŁOŚĆ |
| Marek Tarniewski | - CYRK |
| Piotr Wierzbicki | - GNIDZI FARNAS |
| Piotr Wierzbicki | - CZARNY POLONEZ |
| Kazimierz Wierzyński | - POLAKU KIM JESTEŚ |
| Witold Wirpsza | - JESTEŚ I INNE WIERSZE /wyd. I i II-gie/ |
| Wiktor Wroczyński | - NA PROBOSTWIE W WYSZKOWIE |
| Stefan Żeromski | - WSPOMNIENIA |
| Zygmunt Żulawski | - DOKUMENTY BEZPRAWIA /opracowanie KSS "KOR"/ |
| | - DWIE ROZMOWY MOSKWA 1960 /stenogram rozmów polsko-chińskich/ |
| | - OBYWATEL A SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA /poradnik/ |
| | - OPACOWANIE ZESPÓŁÓW PROBLEMOWYCH PPN |
| | - PARTY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA |
| | - PPAB/A /wybór artykułów z września 1939/ |
| | - RAPORT O STANIE RZECZPOSPOLITEJ /opracowanie DiP/ |
| | - STOSUNKI SOWIETSKO-NIEMIECKIE /październik 1939 - czerwiec 1941/ |
| | - DOKUMENTY MSZ III RZESZY |
| | - ZBRÓDNIĄ KATYŃSKĄ W ŚWIETLE DOKUMENTÓW |
| | - Z KSIĘGI ZAPISÓW GURPPIW |
| | - ANTYSEMITYZM |
| | - EUROKOMUNIZM |
| | - KULTURA /wybór z rocznika 1978/ |
| | - NOCNE ROZMOWY Z JOSEFEM SMRKOVSKIM |
| | - UWAGI O SYTUACJI GOSPODARCZEJ KRAJU |
| | - JEZYK PROPAGANDY /Zeszyt TKN/ |
| | - ŚPIEWNIK DGMOWY I ULICZNY |
| | - ŚPIEWNIK WARCHOŁA |
| | - ANEKS cz. II /wybór artykułów/ |

Ponadto nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej ukazało się:

16 numerów kwartalnika literackiego ZAPIS w tym

- | | |
|-------------------|-------------------|
| Tadeusz Konwicki | - KOMPLEKS POLSKI |
| Tadeusz Konwicki | - MAŁA APOKALIPSA |
| Julian Strykowski | - WIELKI STRACH |

10 numerów kwartalnika literackiego PULS

7 numerów kwartalnika politycznego KRYTYKA